

.Imre kertes

FIASKO

Przełożyła Elżbieta Cygielska

W

W; I

Nr '

Tytuł oryginału węgierskiego: A kudarc Copyright © 1988 by Imre Kertes

Published by permission of

Rowohlt Berlin Verlag GmbH, Berlin

Tytuł wydania niemieckiego: Fiasko

Copyright © for the Polish edition

by Wydawnictwo WAB., 2003

Copyright © for the Polish translation

by Wydawnictwo W.A.B., 2003

Wydanie I Warszawa 2003

O tary stał przed sekretarzykiem. Mys'lał. Było rano. (Stosunkowo rano: dochodziła dziesiąta.) O tej porze stary zawsze miał zwyczaj rozmyślać.

Trapiło go wiele trosk i kłopotów, miał więc o czym myśleć.

Ale stary nie myślał o tym, o czym powinien myśleć.

O czym myślał, tego dokładnie nie wiemy. Było po nim widać, że myśli, ale samych myśli już nie.

Może wcale nie myślał. Ale przecież było rano (stosunkowo rano: dochodziła dziesiąta), a on przywykł do tego, że zawsze o tej porze rozmyśla. Stary nabrał już takiej rutyny w rozmyślaniu, że czasem robił wrażenie, jakby myślał, kiedy wcale nie myślał, aczkolwiek nie jest wykluczone, że sam sobie wyobrażał, iż myśli. Taka jest prawda i nie ma co jej upiększać.

A zatem stary stał przed sekretarzykiem, rozmyślając (pogrążony w myślach).

Właściwie nie możemy w tym miejscu nie powiedzieć czegoś o samym sekretarzyku.

Otóż sekretarzyk stał tuż za narożną biblioteczką, której dwa skrzydła zajmowały południowo-zachodni kąt pokoju od ulicy wychodzącego na zachód, a dokładniej, sięgały od południowej krawędzi okna wzdłuż osi północ-południe aż

do rogu pokoju, i od komody stojącej przy ścianie wzdłuż osi wschód-zachód również do rogu, obok szerokiego na około 120 centymetrów występu ściany, którego przeznaczenia nikomu nigdy nie udało się ustalić, a który to występ pokrywała przylepiona do niego (robiąca wrażenie części biblioteczki) drewniana płyta (nieco wstydliwie przylepiona) (i rażąco nieudolnie), która nie sięgała wprawdzie do samego sufitu, ale była tak samo wysoka jak biblioteczka, czyli miała dobre 2 metry wysokości.

Skoro już tak zagłęбилиśmy się w ten opis, nie możemy przemilczeć, że wspomniana wyżej biblioteczka została zrobiona z drewnianych części dwóch świętej pamięci reka-mier przez pomyslowego stolarza z sąsiedztwa, natomiast z ich wyściełanej części mieszkający nieco dalej tapicer zrobił dwa nowoczesne tapczany, które wprawdzie na nowo obite, ale wciąż jeszcze stoją wzdłuż północnej ściany we wschodnim oraz zachodnim rogu pokoju.

Chyba wspomnieliśmy już o tym, że było rano. (Stosunkowo rano: dochodziła dziesiąta.) Mamy teraz okazję dorzucić parę szczegółów: był piękny, ciepły, trochę zamglony, ale słoneczny poranek u schyłku lata (na progu jesieni).

Kiedy stary stał tak o owej stosunkowo wczesnej porze - dochodziła dziesiąta - przed sekretarzykiem i myślał, uległ przelotnej pokusie, żeby zamknąć okno.

Ale nie miał serca tego zrobić, taki piękny był za oknem ów ciepły, trochę zamglony, ale słoneczny poranek u schyłku lata (na progu jesieni).

Wydawało się, że stojącego przed sekretarzykiem i pogrążonego w rozmyśleniach starego wraz z całym jego otoczeniem przykrywał bladoniebieski szklany klosz.

Porównanie to - jak zresztą większość trafnych porównań - uruchamiając ciąg asocjacji, powinno nam pomóc bardziej zmysłowo odbierać rzeczywistość. Dzięki niemu powinniśmy sobie bowiem

wyobrazić, jak usiłują przeniknąć pod ów klosz hałasy i smród dochodzące z niezliczonych źródeł hałasu i smrodu pewnej bardzo ruchliwej ulicy, bo na taką ulicę wychodziło okno, od którego trochę na południe - gdybyśmy więc stanęli twarzą do niego, to na lewo - stary stał przed sekretarzykiem i myślał.

To była ohydna ulica. . Parów Kłamstwa - jak ją stary nazywał.

W rzeczywistości była to tylko jedna z bocznych ulic. (Zgodnie z oficjalną klasyfikacją.)

Ale wciśnięta pomiędzy dwie duże arterie owa boczna ulica - cóż innego mogłaby robić? - przejmowała ruch obu głównych ulic.

Na skraju chodnika, na osi północ-południe, sterczały rozmaite tablice informacyjne (same krzyczące symbole daremności), a południowy wyłot ulicy - gdzie zbiegała się jedna z głównych ulic z trzema bocznymi - zamykały światła komunikacyjne, które zachowywały się tak, jakby ta ulica rzeczywiście była boczną ulicą; to znaczy z tłumy ryczących przed nimi, dudniących, trzęsących się niecierpliwie samochodowych potworów, wśród których trafiały się auta wszelkiego kalibru, od - można by rzec - karzełek do olbrzymów (z odpowiednią do gabarytów porcją spalin i drgań silnika) (te ostatnie stały czasami w zaskakującej sprzeczności z rozmiarami pojazdu, jakkolwiek przeważnie okazywały się współmierne), przepuszczały zaledwie dwa lub trzy samochody, po czym znowu zmieniały się na czerwone.

Oficjalnie tramwaj nie jeździł tą ulicą.

Nieoficjalnie jednak wszystkie tramwaje kursujące wzdłuż obu głównych ulic jeździły tędy, tą wciśniętą pomiędzy dwie główne arterie boczną ulicą, do zajezdni i z powrotem.

Z Parowu Kłamstwa wzbijało się w niebo ryczenie, buczenie, charczenie, zgrzytanie, szczękanie, dzikie wrzaski, niczym z bulgoczącego kotła, dochodzące z głębi to czarno połyskujących, to zaledwie szarawych po zapadnięciu wieczoru (przed nastaniem zimy) (a przecież ani słowa nie poświęciliśmy do tej pory kominom), w każdym razie teraz już gnuśnie snujących się, niebieskawych spalin - kiedy o wpół do czwartej nad ranem w północnym wylocie ulicy pojawiał się - zarzucając pustym tyłem niczym parząca się kobyła zadem - dziko cwałujący pierwszy zwiastun watahy autobusów (a zarazem nowych czarnych spalin nowego dnia).

Wzdłuż tej biegnącej z północy na południe (lub z południa na północ) ulicy stało zaledwie dziesięć-piętnaście domów, a jednak na tych stosunkowo niewielu domach odcisnęła piętno cała historyczna epoka, co - w osobliwy sposób - znalazło wyraz w układzie chronologicznym wzdłuż osi północ-południe.

Pierwsza połowa lat czterdziestych przypadła na środkową część wschodniej strony ulicy.

Lata te naznaczyła wojna; budownictwo z tamtego okresu cechował pośpiech inwestycyjny, co przy braku materiałów spowodowanym wojną stworzyło w rezultacie wrażenie improwizacji.

W jednym z takich domów w kawalerce na drugim piętrze mieszkał stary (pokój, przedpokój, łazienka, wnęka

kuchenna, razem 28 metrów kwadratowych, mieszkanie komunalne, z czynszem od 120 forintów w górę - i mimo że czynsz stale rósł - wciąż jeszcze wynosił tylko 300 forintów), od lat zameldowany tymczasowo jako mąż (na stałe zaś zameldowany jako najbliższy członek rodziny w mieszkaniu swojej matki, jakkolwiek tam nigdy, choćby tymczasowo, nie mieszkał; ale biorąc pod uwagę nawet najdłuższe życie starszej pani, które jednak kiedyś nieuchronnie dobiegnie kresu...) (słowem, żeby opróżnione w wyniku tego nieuchronnego w końcu wydarzenia mieszkanie matki dzięki owemu chytremu manewrowi przeszło na starego) (jeśli ten chytry manewr - na co w świetle zwyczajowego prawa jest nadzieja - zaakceptuje odpowiedni organ rady miejskiej) (i jakkolwiek tam również wchodzi w grę tylko jeden pokój, za to duży, z wszelkimi wygodami, w otoczeniu zieleni, to przynajmniej na zamianę tamto mieszkanie - gdzie stary był zameldowany na stałe, ale gdzie nigdy, choćby tymczasowo, nie mieszkał - bez wątplenia bardziej się nadawało).

Ponieważ urządzenie tego mieszkania - a więc tego, w którym stary, zameldowany wprawdzie tymczasowo, mieszkał jednak na stałe - ograniczało się do najpotrzebniejszych sprzętów, jest nadzieja, że wymieniając poniżej z tych najpotrzebniejszych najpotrzebniejsze, nie czynimy tego - przynajmniej w świetle naszej historii - niepotrzebnie. Z przedpokoju leżącego wzdłuż osi wschód-zachód (od drzwi wejściowych) przez oszklone drzwi z grubą, matową szybą, przedzieloną na pół

drewnianą polakierowaną listwą (a ściślej, z pominięciem tych drzwi, które z powodu braku powietrza w przedpokoju zawsze były otwarte), wchodziło się do pokoju; po stronie południowej znajdowała się wnęka kuchenna, na zachód od niej drzwi do łazienki, a jeszcze dalej na zachód wolny kawałek ściany, mniej więcej 80 centymetrów, na której umieszczony był wieszak na okrycia wierzchnie (z półką na kapelusze).

Północną ścianę przedpokoju na całej szerokości, od framugi jednych drzwi do drugich, przykrywała uszyta z gustownego kretonu zasłona, za którą krył się pomysłowy system wieszaków i półek, usiłujący zatrzeć pamięć o stojących tu niegdyś i przez długi czas skutecznie wywołujących niezmienną niechęć żony starego dwóch pokracznych szafach różnej wielkości, które jednak - zgodnie z prawem, że ponoć nic w przyrodzie nie ginie - nie zginęły, tylko przekształciły się w ów pomysłowy system półek i wieszaków, a oryginalny kawałek jednej z tych szaf, o wymiarach mniej więcej 7 na 7 centymetrów (wart wspomnienia z powodu widniejącej na nim woskowej pieczęci) (wprawdzie sam napis stał się już prawie nieczytelny pod paroma warstwami białej, z czasem żółkłej farby, którą w ciągu lat kilkakrotnie szafy malowano), w czasie kiedy opowiadamy tę historię, wciąż jeszcze znajduje się w jednym z kartonowych pudeł starego (w którym, tego on też nie wie).

Tak oto dotarliśmy do drzwi z grubą, matową szybą, przedzieloną na pół drewnianą polakierowaną listwą, przez które (a ściślej, z pominięciem których - bo z powodu braku powietrza w przedpokoju zawsze były otwarte) wchodzimy do pokoju.

W południowo-wschodnim kącie tego (od ulicy wychodzącego na zachód) pokoju jest kaflowy piec, na północ od pieca oraz na zachód - wliczając odpowiednie przerwy - stoją fotele (typ Maya II, użyte materiały: drewno bukowe, lakier nitro, parcziana taśma P.P., pianka poliuretanowa, tkanina obiciowa, norma jakościowa mebla 8976/4/72

10

i 8977-nr 68, CHRONIĆ PRZED WILGOCIĄ!), między fotelami (nieco na północny wschód od kaflowego pieca) znajduje się wygięta w ostry łuk lampa stojąca (ze zmienianym mniej więcej co pięć lat abażurem), jeszcze dalej na północny wschód stoi coś malutkiego, chyboczącego się, na cienkich jak patyczki nóżkach, według certyfikatu jakości - ministolik dziecięcy, produkt I klasy, z wielowarstwowo sklejaną specjalną tarcicą I kl. - biorąc jednak pod uwagę jego funkcjonalność, jest to rodzaj stoliczka na drobiazgi, na przykład papierosy.

Za fotelom (wliczając stosowną przerwę) stojącym na pół- noc od kaflowego pieca znowu jest przerwa (mniejsza), potem drzwi z grubą, matową szybą, a ściślej - jako że z powodu braku powietrza w przedpokoju drzwi te zawsze były otwarte - otwór drzwiowy, następnie skrzydło drzwi z grubą, matową szybą, za nim przerwa, dalej - już w pół-nocno-wschodnim kącie pokoju - krótszy bok jednego z tapczanów, potem róg pokoju, jeszcze dalej - już wzdłuż północnej ściany - dłuższa krawędź tapczanu, przerwa, niska komoda, przerwa, w końcu zaś drugi tapczan, którego dłuższy bok przylega już jednak do zachodniej ściany pokoju, sięgając w kierunku północno-południowym aż pod okno, gdzie, jeszcze bardziej na południe, za przerwą, znajduje się stół (a ściślej, stół, jedyny w mieszkaniu stół z prawdziwego zdarzenia), który sięga, w kierunku południowym, prawie do samego południowo-zachodniego rogu pokoju, nie zajmując go tylko dlatego, że przeszkadza mu w tym stojący w owym kącie, uważnemu czytelnikowi zapewne znany już mebel.

Znacznie prostsze zadanie czeka nas, kiedy ruszymy wzdłuż południowej ściany pokoju, a więc od fotela stoją-

11

cego na zachód (włącznie z odpowiednią przerwą) od kaflowego pieca, bo tutaj znowu mamy kawałek wolnego miejsca; następnie trochę na zachód niską komodę (dokładną kopię komody znajdującej się naprzeciwko, z którą stanowi parę), potem przerwę, potem występ ściany (którego przeznaczenia nikomu nigdy nie udało się ustalić), w końcu zaś - już znowu w południowo-zachodnim rogu pokoju - biblioteczkę i sekretarzyk, stanowiące rodzaj hybrydy, centaury (jeśli wolno nam określić tym niejasnym pojęciem ów niejasny obraz) składającego się w połowie z biblioteczki, w połowie z sekretarzyka, przed którym pewnego pięknego, letniego, trochę zamglonego, ale słonecznego poranka u schyłku lata (na progu jesieni) - który niczym szczelny

klosz przykrywał starego wraz z jego otoczeniem - stał stary i rozmyślał.

Ażebym ostatecznie utrwalić ową z pewnością rysującą się już wizję, musimy chyba w tym miejscu nieco uściślić pojęcia, których używaliśmy dotąd beztrąsko.

Otóż, tak jak - na przykład - sekretarzyk nie był prawdziwym sekretarzem; bądź - że użyjemy innego przykładu - boczna ulica, przy której mieszkał stary (Parów Kłamstwa - jak ją nazywał), nie była prawdziwą boczną ulicą, tak samo stary nie był naprawdę stary.

Był oczywiście stary (przecież dlatego nazywamy go starym).

Stary jednak nie dlatego był stary, że był stary - czyli nie był starym człowiekiem (choć oczywiście nie był też młody) (przecież dlatego nazywamy go starym).

W tym wypadku najprościej byłoby powiedzieć, ile miał lat (gdybyśmy nie wzdrali się przed tego rodzaju wątpliwymi ponad wszelką miarę pewnikami, zmieniającymi

12

się z roku na rok, z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę) (któż bowiem może wiedzieć, ile lat, dni i godzin obejmie łukiem nasza historia) (i w którą stronę wygnie się ów łuk) (w rezultacie czego możemy się znaleźć nagle w sytuacji, w której nie będziemy już mogli wziąć odpowiedzialności za nasze pochopne stwierdzenia).

Z braku czegoś lepszego podeprzyjmy się zatem pewnym - w żadnym razie nie nazbyt oryginalnym - spostrzeżeniem:

Kędy barki człowieka przygniata ciężar półwiecza z górą, to człowiek albo się pod nim ugina, albo jakoś wytrzymuje, tkwi (niczym ryba na haczyku czasu) (który to haczyk, rzecz jasna, coraz gwałtowniej go szarpie i ciągnie w pustkę, gdzieś hen, na drugi brzeg, spośród przepysznych barw i namacalnych kształtów w krainę cieni, w suchą abstrakcję), i nastaje wcale długa chwila, która robi wrażenie, jakby jej nie było, czyli stwarza pozory, iż coś się jeszcze nie rozstrzygnęło ostatecznie (nieważne, czy żyłka jest dość mocna) (i chociaż wszyscy wiemy: jest mocna, to jednak fakt, że - aby zwiększyć szansę połowu - trochę zostanie popuszczona, zaraz budzi fałszywe nadzieje) (zwłaszcza w kimś takim, komu udało się już raz tę żyłkę zerwać) (ale nie uprzedzajmy dalszego ciągu naszej historii).

Jeżeli zatem nadal utrzymujemy - a utrzymujemy - że stary był stary, to użycie tego słowa (które nasunął nam nie wygląd starego, ale też nie głębsza niż pozory, dająca przewagę wiedza czerpana z ksiąg metrykalnych) musimy uzasadnić w jakiś inny sposób.

Nic łatwiejszego.

Stary bowiem tak się czuł - a z faktem, że w zasadzie miał po temu wszelkie powody, trudno by nam było dyskutować

13

- jak ktoś, kto jest stary, komu nic się już nie wydarzy, nic nowego, ani dobrego, ani złego (a to, czy owo coś byłoby trochę lepsze, czy trochę gorsze - bo na pewno nie jednoznaczne - w istocie rzeczy niczego istotnie nie zmienia); jak ktoś, komu wszystko już się zdarzyło (również to, co może się jeszcze zdarzyć lub co zdarzyć by się mogło), kto swoją śmierć - chwilowo - przechytrzył, swoje życie - ostatecznie - przeżył, za swoje grzechy otrzymał skromną nagrodę, za cnoty surową karę i kto już od dawna figuruje na owej szarej liście, prowadzonej - kto to wie, gdzie i wedle czyich sugestii - dla tych, którzy są nadliczbowi; i jak ktoś, kto pomimo wszystko dzień w dzień budzi się z myślą, że jednak istnieje (i nie odczuwa tego bynajmniej jako czegoś nieprzyjemnego) (co może i mógłby tak odczuwać) (gdyby wszystko to zawsze brał pod uwagę) (czego jednak nie robi).

Dlatego też nic nie przemawia za tym, byśmy sądzili, że właśnie o tych sprawach myślał stary, kiedy tak stał przed sekretarzem i rozmyślał.

Nie: chodzi jedynie o to, że było rano - stosunkowo rano: dochodziła dziesiąta - i o tej porze stary zawsze miał zwyczaj rozmyślać.

Taki miał tryb życia.

Każdego dnia, kiedy dochodziła dziesiąta (mniej więcej), natychmiast zaczynał rozmyślać.

Wynikało to z okoliczności; przed dziesiątą nie mógł zacząć rozmyślać, jeśli natomiast brał się do tego później, czynił sobie wyrzuty, że zmarnował czas (co oczywiście prowadziło jedynie do dalszej straty czasu, ponieważ utrudniało mu, jeśli nie - w skrajnych wypadkach - zupełnie

uniemożliwiało rozmyślanie).

14

A zatem o dziesiątej (mniej więcej), nieomal automatycznie i zupełnie niezależnie od intensywności myślenia - a nawet od tego, czy naprawdę myślał (stary nabrał już takiej rutyny w rozmyślaniu, że był w stanie stwarzać pozory myślenia nawet wówczas, kiedy nie myślał, choć może wyobrażał sobie, że myśli) - stary stał przed sekretarzykiem i rozmyślał.

O dziesiątej bowiem (mniej więcej) stary zostawał sam w mieszkaniu (co było dla niego podstawowym warunkiem myślenia), jako że jakiś czas temu żona wyruszyła już w długą drogę prowadzącą do bistra na przedmieściu, gdzie w charakterze kelnerki zarabiała na chleb (czasem również dla starego) (jeśli los tak zrzędził) (a zrzędził tak nie raz).

Miał już za sobą poranną toaletę.

Wypił też kawę (w fotelu stojącym na zachód od - wliczając przerwę - kaflowego pieca).

Wypalił swojego pierwszego papierosa (spacerując w tę i z powrotem od wychodzącego na zachód okna do znajdujących się na wschodzie zamkniętych drzwi wejściowych) (nieco zbaczając w wąski przesmyk między zasłoną z gustownego kretonu przykrywającą północną ścianę przedpokoju a otwartymi drzwiami łazienki) (których to drzwi nigdy nie zamykano w celu wietrzenia, bo w łazience było jeszcze mniej powietrza niż w przedpokoju).

To zatem były przesłanki (jeśli nie przyczyna) (a w każdym razie warunek) tego, że stary o dziesiątej (mniej więcej) owego pięknego, ciepłego, trochę zamglonego, ale słonecznego poranka u schyłku lata (na progu jesieni) stał przed sekretarzykiem i myślał.

Trapiło go wiele trosk i kłopotów, miał więc o czym myśleć.

15

Ale stary nie myślał o tym, o czym powinien myśleć.

Nie możemy jednak twierdzić, że owe najbardziej aktualne troski i kłopoty - czyli te, o których powinien myśleć - w ogóle nie przychodziły mu do głowy.

Wręcz przeciwnie.

„Stoję tu tylko przed sekretarzykiem i myślę - myślał stary - zamiast coś wreszcie zrobić”.

Fakt, dawno już powinien był zabrać się do pisania książki - taka jest prawda i nie ma co jej upiększać.

Stary bowiem pisał książki.

Taki miał zawód.

To znaczy - gwoli ścisłości - sytuacja tak się ułożyła, że zajęcie to stało się jego zawodem (bo innego zawodu nie miał).

Napisał już parę książek, przede wszystkim zaś swoją pierwszą książkę; nad tą książką (jako że pisanie książek wówczas jeszcze nie było jego zawodem i napisał ją ot, tak sobie, można by rzec, dla kaprysu) pracował dobre dziesięć lat, a potem - w bardzo niesprzyjających okolicznościach - upłynęły kolejne dwa lata, zanim książka ukazała się w druku; na napisanie drugiej potrzebował już tylko czterech lat; a na resztę swoich książek (jako że wtedy pisanie książek było już jego zawodem czy też - gwoli ścisłości - sytuacja tak się ułożyła, że stało się jego zawodem) (bo innego zawodu nie miał) przeznaczał już tylko tyle czasu, ile było absolutnie niezbędne, aby je napisać, w gruncie rzeczy zależało to od objętości - albowiem (kiedy już tak się ułożyła sytuacja, że pisanie książek stało się jego zawodem) musiał się starać pisać możliwie grube książki, we własnym dobrze pojętym interesie, ponieważ honorarium za grubsze książki jest grubsze niż za cienkie,

16

,

za które - czyli za cieńsze - honorarium też jest cenniejsze (w zależności od cienkości) (i niezależnie od treści) (na mocy wspólnego rozporządzenia nr 1/1970. III. 20. MM ministra kultury, ministra finansów, ministra pracy, pre- zesa Krajowego Urzędu Cen oraz Krajowej Rady Związków Zawodowych o warunkach zawierania umów wydawniczych i honorariach autorskich).

Nie żeby stary palił się do napisania nowej książki.

Tylko już od dość dawna nie ukazała się żadna jego nowa książka.

Jeśli tak dalej pójdzie, zapomną nawet, jak się nazywa.

Co - samo w sobie - w najmniejszym stopniu by staremu nie przeszkadzało.

Lecz - i w tym sęk - z pewnego względu powinno mu być przeszkadzać.

Jeszcze parę lat, a osiągnie wiek emerytalny: zostanie pisarzem na emeryturze (a więc takim pisarzem, który swoimi książkami zasłużył sobie na to, żeby nie musiał już pisać książek) (choć może pisać, jeśli akurat będzie miał ochotę).

A zatem - jeśli abstrahować od wszelkich mglistych celów i trzymać się tego, co uchwytne - to był właściwy cel jego działalności pisarskiej.

Po to jednak, żeby nie musiał więcej pisać książek, parę jeszcze musiał napisać.

Im więcej, tym lepiej.

Jeśli bowiem straciłby z pola widzenia właściwy cel swojej działalności pisarskiej (to znaczy zostanie pisarzem na emeryturze, a więc takim pisarzem, który swoimi książkami zasłużył sobie na to, żeby nie musiał już pisać książek), zachodziła obawa, że fakt, iż jego nazwisko, ulegając zapomnieniu, będzie w miarę zapomnienia - czyli coraz bardziej

17

I

niekorzystnie - wpływał na czynniki określające wysokość jego emerytury (o których to czynnikach nie miał wprawdzie dokładnych informacji, ale kombinował sobie jakoś tak - i może nie całkiem nielogicznie - że jeśli za grubszą książkę jest grubsze honorarium, to za więcej książek należy się wyższa emerytura) (co oczywiście - jak już wspominaliśmy - z braku dokładnych informacji było tylko hipotezą starego, ale może nie całkiem nielogiczną).

Tak więc staremu powinno być jednak przeszkadzać -choć skądinąd samo w sobie w najmniejszym stopniu by mu nie przeszkadzało - to, że jego nazwisko może ulec zapomnieniu.

A zatem, mimo że nie palił się do napisania nowej książki, dawno już powinien był się do tego zabrać.

Tylko że nie miał żadnego pomysłu. (Co zresztą zdarzało mu się także kiedy indziej, regularnie jednak dopiero od czasu, kiedy pisanie książek zaczęło być jego zawodem, czy też - gwoli ścisłości - kiedy sytuacja tak się ułożyła, że stało się jego zawodem) (bo innego zawodu nie miał). A przecież chodziło tylko o książkę. Wszystko jedno jaką, byle to była książka (stary od dawna już wiedział, że nie ma znaczenia, jaką książkę napisze: dobrą czy złą - bo w niczym nie zmienia to istoty rzeczy) (co jednak rozumiał przez istotę rzeczy, tego stary albo kompletnie nie wiedział, albo wiedział aż nazbyt dobrze) (taki wniosek przynajmniej możemy wysnuć z faktu, że chociaż, kiedy stał i rozmyślał przed sekretarzykiem, taka myśl również - między innymi - przychodziła mu do głowy, to jednak w żaden sposób nie dawał poznać po sobie, że zamierza istotę tego pojęcia - istotę rzeczy - zgłębić choćby na własny użytek).

Wprawdzie jeden pomysł nie czyni wiosny, ale stary nie miał nawet tego jednego pomysłu na książkę.

Mimo że zrobił naprawdę wszystko, co mógł zrobić (bo przecież - jak widzieliśmy - teraz też stał przed sekretarzykiem i myślał).

W ciągu minionych dni przejrzał również wszystkie swoje stare, starsze i jeszcze starsze pomysły, szkice, robocze fragmenty, które trzymał w teczce z napisem „Pomysły, szkice, robocze fragmenty”, ale okazały się albo bezużyteczne, albo nie rozumiał z nich ani słowa (jakkolwiek sam je kiedyś zanotował, dawno temu, dawniej lub jeszcze dawniej). Robił też długie spacery po budańskich wzgórzach (spacery na myślenie - jak je stary nazywał). Wszystko na próżno.

Teraz już - kiedy wszystkie jego pomysły, szkice, robocze fragmenty i spacer (spacery na myślenie - jak je stary nazywał) jeden po drugim zawiodły - pozostały mu tylko te papiery.

Od dawna już nie widział swoich papierów. A nawet nie chciał ich widzieć.

Schował je najgłębiej, jak mógł, w sekretarzyku, żeby się tylko na nie nie natknąć.

Musiał się zatem znaleźć w wyjątkowo trudnej sytuacji, skoro - tak jak na początku w szczęśliwym zbiegu okoliczności (który z wiadomych powodów powinniśmy raczej na- / zwać nieprawdopodobnym), potem zaś w swoich pomysłach, szkicach, roboczych fragmentach i spacerach na myślenie - teraz nagle zaczął bez reszty pokładać ufność w swoich papierach.

W tym miejscu jednak zaczynamy się obawiać, że jeśli nie oderwiemy się na chwilę od toku myślenia starego, to

18

19

nigdy nie będziemy w stanie jasno dostrzec - a jest to niezbędne z punktu widzenia dalszego ciągu naszej historii

- niesłuchanie subtelnej, aczkolwiek niedającej się pominąć różnicy, jaka istnieje między pomysłami, szkicami, roboczymi fragmentami a papierami.

Być może nie będziemy nawet musieli nazbyt długo jej objaśniać.

Pomysły, szkice, robocze fragmenty sporządza bowiem jedynie ktoś, kogo zmuszają do tego ważne i bezwarunkowe powody; kto, powiedzmy - jak na przykład stary - przypadkiem pisze książki, taki ma zawód (to znaczy - gwoli ścisłości - sytuacja tak się ułożyła, że pisanie książek stało się jego zawodem) (bo innego zawodu nie miał).

Swoje papiery natomiast posiada każdy.

A przynajmniej jeden taki papier na pewno: papier, na którym kiedyś coś zanotował, przypuszczalnie coś ważnego, żeby nie zapomnieć, bardzo starannie go schował - a potem zapomniał.

Papier, na którym zachowały się jego młodzieńcze wiersze.

Papier, na którym szkicował sobie drogę wyjścia w okresie pewnego kryzysu.

Albo dziennik.

Plan jakiegoś domu.

Budżet jakiegoś trudnego roku.

Zaczęty list.

Wiadomość: „Zaraz wróćę” - która potem może okazała się fatalna.

Albo przynajmniej jakiś rachunek czy oderwaną z bielizny metkę z instrukcją prania, na odwrocie której odkrywamy drobne, obce, wyblakłe i nieczytelne już litery - nasze własnoręczne pismo.

Stary miał całą teczkę takich papierów.

Chyba wspominaliśmy już, że trzymał je ukryte najgłębiej, jak się dało, w sekretarzyku, żeby przypadkiem się na nie nie natknąć.

Jeśli zatem pragnął teraz czegoś wręcz przeciwnego - to znaczy chciał się na nie natknąć - musiał najpierw z sekre-tarzyka zdjąć maszynę do pisania, parę teczek - wśród nich tę z napisem „Pomysły, szkice, robocze fragmenty” - następnie dwa kartonowe pudła zawierające rozmaite przedmioty (potrzebne i niepotrzebne) (a te określenia nabierały konkretnej treści każdorazowo w zależności od okazji) (i tak stary nigdy nie był pewien, które spośród owych rozmaitych przedmiotów są potrzebne, a które niepotrzebne) (tym bardziej że od lat nie zaglądał do dwóch kartonowych pudeł i nawet nie rzucał okiem na znajdujące się w nich rozmaite przedmioty - potrzebne i niepotrzebne).

Taki był zatem sposób, żeby jednak natknął się na zwykłą, szarą teczkę na dokumenty o znormalizowanym formacie MNOSZ 5617.

Na owej szarej teźce, w charakterze przycisku, leżał (lub sterczał) (albo delikatnie się wybrzuszał) (zależy, z której strony patrzeć) również szary - chociaż w ciemniejszym odcieniu szarości - kamień, a więc kamień o nieregularnym kształcie, o którym nie możemy powiedzieć nic pewnego (czegoś takiego na przykład, że jest to wielokątny paralelo-pipedon) (czegokolwiek zatem, co - nawet jeśli człowiek tego nie rozumie - pozwala jego umysłowi oswoić się, pojednać z przedmiotami, stwierdzić, że odpowiadają one jakiejś figurze geometrycznej, i przynajmniej w tym sensie uznać sprawę za załatwioną), a tymczasem ten kamień ze swoimi jeszcze ostrymi bądź już stępionymi krawędzia-

20

21

mi, ze swoimi zagłębieniami, wybrzuszeniami, rowkami, bruzdami, pęknięciami, wypustkami i ubytkami był taki nieregularny, jak tylko nieregularny może być kamień,

o którym nigdy nie wiadomo, czy jest odpryskiem jakiegoś większego kamienia, czy wręcz

przeciwnie, pozostałością po jakimś większym kamieniu, który to większy kamień - jak choćby skała będąca częścią góry - był znowu częścią jakiegoś większego kamienia (ale przecież każdy kamień prowokuje nas do rozmyślań nad prehistorią) (co nie jest naszym celem) (jakkolwiek trudno się temu oprzeć) (zwłaszcza jeśli mamy do czynienia z pewnym kamieniem, który popycha naszą zawodną wyobraźnię w kierunku początku

1 końca, końca i początku, całości i części, części i całości po to, byśmy ostatecznie wrócili do bezradnej (ale mającej przynajmniej rangę wiedzy) niewiedzy (jak w tylu innych wypadkach, również w wypadku tego kamienia, o którym nie wiadomo, czy jest odpryskiem jakiegoś większego kamienia, czy wręcz przeciwnie, pozostałością po jakimś większym kamieniu).

A zatem sytuacja zarysowana na początku naszej historii, której aż do tej chwili - wcale nie dla własnego widzimisię, lecz jedynie z uwagi na trudności, jakie miał stary z podjęciem decyzji - trzymaliśmy się konsekwentnie, uległa teraz następującej modyfikacji:

Stary stał przed otwartym sekretarzykiem, na którego górnej, na wpół opróżnionej półce leżała już tylko szara teuczka, na teuczce zaś, w charakterze przycisku, również szary

- chociaż w ciemniejszym odcieniu szarości - kamień, i rozmyślał:

„Boję się - myślał - że w końcu wyjmę te swoje papiery”. Co zresztą zrobił.

Później - dla porządku (bo jakież inny mógłby mieć powód) (jeśli tylko pominąć brak miejsca) (lub chęć nieodwołalnego przypieczętowania decyzji) - odstawił z powrotem na górną półkę sekretarzyka maszynę do pisania, odłożył parę teczek - wśród nich tę z napisem „Pomysły, szkice, robocze fragmenty” - następnie dwa kartonowe pudła zawierające rozmaite przedmioty (potrzebne i niepotrzebne).

Może nie będzie nam to poczytane za przesadną dro-biazgowość w opisie, jeśli zarysowaną na początku naszej historii sytuację, zmodyfikowaną od tamtej pory, przedstawimy poniżej - najkrócej, jak to możliwe - uwzględniając kolejną zmianę:

Stary siedział przed sekretarzykiem i czytał.

„Sierpień 1973

Co się stało, to się nie odstanie: teraz już nic na to nie poradzę. Nie zmienię swojej przeszłości, podobnie jak nieubłaganie wynikającej z niej własnej przyszłości, której jeszcze nie znam...”

- Dobry Boże! - powiedział półgłosem stary.

„...Po wąskich ścieżkach swojej terażniejszości zaś poruszam się tak samo po omacku, nie znając kierunku, jak po czasie minionym lub tym, który nadejdzie.

Jak doszedłem do tego punktu, nie wiem. Dzieciństwo po prostu zmarnowałem. To, że w niższych klasach gimnazjum byłem aż tak kiepskim uczniem, na pewno miało głębokie psychologiczne przyczyny. («Nawet to cię nie usprawiedliwia, że jesteś głupi, bo swój rozum to ty masz» - jak często mawiał mój ojciec.) Później, kiedy miałem czternaście i pół roku, wskutek idiotycznego zbiegu okoliczności przez mniej więcej pół godziny stałem oko w oko

22

23

ze skierowaną na mnie lufą załadowanego ostrą amunicją karabinu maszynowego. Opisać tych okoliczności normalnym, że tak powiem, językiem po prostu się nie da. Powiem tylko tyle, że stałem na ciasnym dziedzińcu pewnych koszar żandarmerii w tłumie ludzi, którzy wydzielali pot wraz ze strachem i jakimiś - jakimi? - strzępami myśli, tym zaś, co łączyło jednostki tworzące ów tłum, był fakt, że wszyscy byliśmy Żydami. Była krystalicznie czysta, pachnąca kwiatami letnia noc, nad nami świecił okrągły księżyc. Powietrze wypełniał równomierny, przytłumiony szum: były to eskadry Royal Air Force, startujące widocznie z włoskich baz i lecące w kierunku nieznanych celów, groziło nam, że jeśli uznają za stosowne rzucić bombę na koszary lub w pobliżu koszar, to żandarmi wystrzelają nas co do nogi. Dlaczego, z jakich idiotycznych powodów, to wówczas - a i później - uważałem za kompletnie nieważne. Karabin maszynowy stał na statywie, na jakim ustawia się kamerę filmową, za nim zaś na czymś w rodzaju podium stał żandarm z wąsami na turańską modłę, chłodno mrużąc oczy. Do wylotu lufy przymocował jakiś śmieszny lejek, przypominający lejek na młynku do maku u mojej babci. Czekaliśmy. Szum samolotów wzrastał się i przechodził w warkot, by po chwili przycichnąć. Zapadała głucha cisza, a potem znowu



rozlegał się szum przechodzący w warkot. Zrzuci czy nie zrzuci - to było pytanie. Żandarmi zaczęli się zachowywać niczym hazardowi gracze. Nie wiem, jak wyrazić słowami ów dobry humor, który i mnie ogarnął, kiedy ochłonałem z pierwszego wrażenia. Wystarczyło tylko zdać sobie sprawę, o jak drobną stawkę toczy się gra, żebym i ja również, na swój sposób, miał z niej przyjemność. Pojąłem prostą tajemnicę danego mi uniwersum;

24

gdziekolwiek, kiedykolwiek mogę zostać zastrzelony. Może właśnie to..."

- Niech to szlag trafi! - stary nagle przerwał czytanie i na wpół unosząc się z fotela, sięgnął do sekretarzyka.

Przyczyna tego szczególnego obrotu spraw tkwiła w nagłym - choć nie można by go nazwać nieoczekiwanym (bo następowało regularnie co dzień) - wydarzeniu, którego to wydarzenia - jak mogliśmy się o tym przekonać - nawet fakt, że powtarzało się tak często, nie pozbawił wpływu - pierwotnego, elementarnego wpływu - na starego (a nawet moglibyśmy powiedzieć, że wręcz przeciwnie).

Nie możemy oczywiście zwlekać z wyjaśnieniem tej sytuacji w zadowalający sposób.

Próżno byśmy jednak zaprzeczali, że ta powinność nie wprawia nas w pewne zakłopotanie.

Bo dla słów, które wyrwały się staremu; dla lekkiego skurczu, który poczuł w żołądku; dla delikatnych mdłości, które uderzały mu do gardła, ślizgając się niczym winda między klatką piersiową i gardłem z góry na dół i z dołu do góry, nie będzie zapewne wystarczającym wyjaśnieniem, jeśli - poprzestając na faktach - powiemy tylko tyle: na górze, nad jego głową, włączono radio.

Nie unikniemy pewnej tendencyjności (co więcej, nie będziemy udawać, że nie chcemy ułatwić sobie naszej sytuacji narratora), jeśli zostawimy teraz papiery starego i zamiast nimi, zajmiemy się owym nie za grubym, oprawionym w zielone półpłótno tomikiem, który stary w ostatnim czasie często i z dużym pożytkiem brał do rąk, szczególnie wiele zawdzięczając poniższym wersom (na 259 stronie tomiku) (na której to stronie zresztą oprawiony w zielone półpłótno tomik otwierał się, by tak rzec, sam z siebie, kiedy stary zdej-

25

\*!>>-

mował go z półki na książki zawieszanej nad tapczanem zajmującym północno-wschodni kąt pokoju) (choć na wszelki wypadek, to znaczy żeby nie szukać tej strony, była tam też zatknięta zakładka z żółtego sztucznego jedwabiu) (i poniższe wersy) (którym stary szczególnie wiele zawdzięczał) (teraz - nieomal zaglądając mu przez ramię - sami możemy przeczytać):

Istnieje pewna istota, która jest absolutnie nieszkodliwa; kiedy znajdzie się w twoim polu widzenia, wręcz jej nie zauważasz, z miejsca też o niej zapominasz. Jeżeli jednak niepostrzeżenie zagnieździ ci się w uszach, wtedy zaczyna się rozwijać, nieomal rozkwita; i widziałem już taki przypadek, kiedy dostała się aż do mózgu i rozprzestrzeniając się tam, rosła dalej, niczym pneumo-koki w nosie psa.

Ta istota to sąsiad.

Zgadza się.

Ogliitz - tak ją stary nazywał.

Istota Bez Ciszy.

Nie kobieta, nie mężczyzna, nie zwierzę, a tym bardziej nie człowiek.

Ogliitz - tak ją stary nazywał.

Czy to od nieumiarkowanego słuchania radia i telewizji, czy to wskutek jakiejś nieprawidłowości hormonalnej (którą to nieprawidłowość hormonalną tłumaczy być może nie-umiarkowane słuchanie radia i telewizji) (jakkolwiek nie możemy też nie brać pod uwagę zbyt obfitego jedzenia) Istota ta rozpanoszyła się nie tylko w mózgu starego, ale również na całych 28 metrach kwadratowych nad jego głową.

Stary mieszkał pod pewnym cyklopem płci żeńskiej, który odżywiał się hałasem. (Jakkolwiek ten cyklop miał dwoje oczu, dwoje małych oczu niczym nosorożec.)

26

Przez cały dzień bezradnie znosił uderzenia fali hałasów. Ilekroć potwór wracał do swojej jaskini, stary słyszał straszliwe trzaśnięcie drzwi; coś raz po raz leciało, toczyło się; może - myślał - potwór ciska wtedy na podłogę swój łup; słyszał na przemian trzask i dudnienie: tresuje niedźwiedzie - zwykł był mówić stary; wkrótce potem rozlegał się ryk jednej z oswojonych dzikich bestii: albo radia, albo telewizji.

Ogliitz - tak ją stary nazywał.

Nie było rady.

Musiał się z tym pogodzić.

Kiedyś, dawno, dawno temu, na samym początku, nie widząc innego wyjścia, złożył swój los w ręce potwora: wyznał, że przeszkadzają mu te hałasy (a nawet poprosił o ciszę).

Od tamtej pory potwór nad jego głową stał się czujny.

Poznał jego zwyczaje.

Czekał, aż wystuka na maszynie pierwszą literę.

Nieomylnie wyczuwał, kiedy stary stawał przed sekreta-rzykiem i myślał.

Nie było rady.

Musiał się z tym pogodzić.

Długie lata treningu wyrobiły u starego automatyczne odruchy obronne (takie jak - na przykład - otwarcie parasola, kiedy pada deszcz).

Cytowane powyżej wersy z nie za grubego, oprawionego w zielone półpłótno tomiku (którym stary szczególnie wiele zawdzięczał) również można zaliczyć do owych odruchów samoobronnych.

Ta duchowa pociecha, z której czerpał siłę, nie na wiele by się jednak zdała bez pokaźnego zbioru zatyczek do uszu

27

z miękkiego wosku, które zajmowały prawie cały - połud-niowo-zachodni - tylny kąt lewej dolnej przegródki sekretarzyka (ponieważ nie zawsze można było je kupić, był to wszak produkt zagraniczny) (OHROPAX Gerausch-schiitzer, VEB Pharmazeutika Königsee) (toteż - kiedy były dostępne na rynku - stary gromadził taki zapas, że jego zatyczki do uszu) (podobnie jak wstyd niejakiego Józefa K.) (przypuszczalnie go przeżyją), z którego to zapasu para woskowych kulek - w szklanej kapsule o kształcie walca -zawsze czekała w pogotowiu, gotowa do użycia, na wierzchu w wyższej przegródce sekretarzyka, by w razie potrzeby (a potrzeba ta zachodziła prawie zawsze, z dokładnością co do minuty) natychmiast znaleźć się w uszach starego, wyrobiona wcześniej palcami, żeby wosk nieco zmiękł.

Kiedy ugniatał zatyczki, zwykł był półgłosem wygłaszać dłuższy lub krótszy tekst - raczej ot tak, mechanicznie, dając w tych słowach upust swemu niegdysiejszemu, pierwotnemu wzburzeniu (wskutek częstego powtarzania nawet z rytuału nabożeństwa umyka istota obrzędu, ustępując miejsca swego rodzaju rutynowemu spektaklowi) - którego to, dłuższego lub krótszego, tekstu długość lub krótkość zawsze zależała od pory roku: zimą stary mówił dłuższy tekst niż latem, co znajduje proste wytłumaczenie w czysto fizycznym fakcie, że w ciepłe wosk szybciej mięknie niż w zimnie.

I tak w ten piękny, letni, trochę zamglony, ale słoneczny I poranek u schyłku lata (na progu jesieni), wolno i dobit- I nie artykułując, stary powiedział tylko tyle: „Żeby cię, ty stara, nazistowska, smętna kurwo...” - wciskając jednocześnie do uszu zmiękczone w palcach, starannie wyrobiony wosk, niejako unieważniając w ten sposób Oglutza, Parów

28

Kłamstwa, można by rzec, cały świat (co sprawiło, że zmodyfikowana sytuacja znowu odrobinę uległa zmianie, jako że teraz już stary czytał, mając w uszach woskowe zatyczki):

„...prostą tajemnicę danego mi uniwersum: gdziekolwiek, kiedykolwiek mogę zostać zastrzelony.

Może właśnie to, wcale zresztą nie nazbyt oryginalne odkrycie wprowadziło mnie w lekkie zakłopotanie; może odcisnęło we mnie głębszy ślad, niż powinno było odcisnąć: iluż bowiem ludzi przeżyło tę samą zbiorową prawdę, w tym samym czasie, w tym samym miejscu - lub kiedy indziej,

gdzie indziej na całym szerokim świecie. Może byłem zbyt wrażliwym dzieckiem i nie potrafiłem wyrosnąć z tej swojej subtelności: przypuszczalnie powstała we mnie jakaś blokada, jakiś problem z normalną przemianą materii pod wpływem moich doświadczeń - chociaż w gruncie rzeczy miałem za sobą takie same normalne, paskudne doświadczenia jak każdy normalny człowiek. Wiele lat później - i wiele lat przedtem - uświadomiłem sobie, że muszę napisać powieść. Właśnie czekałem gdzieś w biurze, na korytarzu, jakich jest mnóstwo, zupełnie obojętnie, kiedy usłyszałem jakiś odgłos, zwyczajny: kroki. Wszystko to trwało chwilę. Przywołując w pamięci tę chwilę - której zresztą nie jestem w stanie wspominać - wierzę, że gdybym zachował w sobie jej światło, jej treść, która jakoś uleciała, to miałbym w ręku to, co mnie zawsze najbardziej interesowało: sedno swojego istnienia. Ale chwila mija i nie wraca. Pomyślałem więc sobie, że powinienem przynajmniej pójść za jej głosem: zacząłem pisać powieść. Pisałem i darłem; znowu pisałem i znowu darłem. Tak płynęły lata. Pisałem i pisałem, dopóki nie poczułem, że natrafiłem wreszcie na powieść - dla

29

mnie jedyną możliwą. Pisałem powieść, a tymczasem produkowałem coraz to głupsze komedie muzyczne, żeby zarobić na chleb (oszukując przy tym żonę, która na «mo-ich premierach\* czekała w półmroku na widowni, żebym pojawił się w swoim uszytym na takie okazje szarym garniturze, kiedy zapadnie kurtyna i rozlegną się oklaski, bo wierzyła, że nasze życie, które ugrzęzło na mieliźnie, powoli ruszy jednak z tego martwego punktu); ale ja sumiennie zjawiałem się w odpowiednim oddziale banku i podejmowałem należne mi za te moje bzdury wcale niemałe tantiemy, po czym natychmiast, z nieczystym sumieniem, jak złodziej przemykałem się z powrotem do domu, żeby zasiąść do pisania powieści, a ta moja coraz silniejsza namiętność w ostatnich latach stanęła mi na przeszkodzie nie tylko w uszczęśliwianiu mojej spragnionej rozrywki publiczności nowymi komediami, ale i obdarowywaniu siebie regularnymi tantiemami..."

- Tylko że - stary wstał ze swojego miejsca i z miękkimi woskowymi kulkami w uszach, które tłumiły jego kroki, nadając im aksamitną miękkość niczym u lamparta, zaczął spacerować w tę i z powrotem od wychodzącego na zachód okna do znajdujących się na wschodzie zamkniętych drzwi wejściowych (nieco zbaczając w wąski przesmyk między zasłoną z gustownego kretonu przykrywającą północną ścianę przedpokoju a otwartymi drzwiami łazienki) (których to drzwi nigdy nie zamykano w celu wietrzenia, bo w łazience było jeszcze mniej powietrza niż w przedpokoju)

- zaczyna się tak, jakby to miała być spowiedź - mruczał.

- Może to i niezłe; chociaż nie ma gwarancji, że takie pozostanie. Kłopot w tym, że szczerze. A to nie najlepiej wróży. Temat zresztą też nie jest najlepszy.

No tak: skoro już musi napisać książkę (jakakolwiek, byle to była książka) (stary od dawna już wiedział, że wszystko jedno, jaką książkę napisze: dobrą czy złą - bo w niczym nie zmienia to istoty rzeczy), niech przynajmniej będzie to książka na jakiś dobry temat.

Jak dotąd tematy, które wybierał, rzeczywiście nie były najlepsze.

Przyczyny, jeśli się nad nią - bardzo rzadko - zastanawiał, stary upatrywał w tym, że prawdopodobnie nie ma fantazji (co jest dosyć niekorzystną okolicznością, skoro się zważy, że właśnie pisanie książek było jego zawodem) (to znaczy - gwoli ścisłości - sytuacja tak się ułożyła, że stało się jego zawodem) (bo innego zawodu nie miał).

A zatem - cóż innego mógł zrobić? - tematy czerpał przeważnie z własnych doświadczeń.

Co jednak zawsze psuło mu najlepszy nawet temat.

Musiał się więc mieć na baczności.

„To było bardzo głupie - myślał - że wyjąłem swoje papiery. Najlepiej byłoby je z powrotem zapakować”.

„Tylko że - myślał dalej - teraz już mnie interesują”.

„Tego się bałem” - dodał (w myślach).

I słusznie, bo - musimy teraz zdać sprawę z tego, że sytuacja, raz już trwale zmodyfikowana - a spacerowaniem tam i z powrotem przejściowo jedynie zmieniona - powróciła do stanu sprzed ostatniej zmiany: stary siedział przed sekretarzykiem i czytał.

„...z nieczystym sumieniem... jak złodziej... w uszczęśliwianiu mojej publiczności...

W ten sposób jednak nie posunę się naprzód. To w końcu tylko pewna historia: można ją poszerzać, skracać, a i tak niczego nie tłumaczy, jak zwykle takie historie. Nie dowiem

30

31

się z niej, co się ze mną stało: a przecież o to właśnie mi chodzi. Nawet nie wiem, czy teraz przeglądam na oczy, czy wręcz przeciwnie, tracę ostrość widzenia. W każdym razie wszystko mnie zaskakuje. Oto na przykład mieszkanie, które jest moim domem. Zajmuje 28 metrów kwadratowych na drugim piętrze niespecjalnie brzydkiej, stosunkowo po ludzku pomyślanej, jeśli o wielkość chodzi, czynszowej kamienicy w Budzie. Pokój, przedpokój, z którego wchodzi się do łazienki, i wnęka kuchenna. Jest w nim trochę rzeczy, meble, to i owo. Abstrahując od zmian, jakie moja żona od czasu do czasu uważa za niezbędne, wszystko jest takie, jakie było wczoraj, przedwczoraj, rok temu czy dziewiętnaście lat temu, kiedy..."

- Dziewiętnaście lat! - prychnął stary, „...dziewiętnaście lat temu, kiedy - w nieco zawitych okolicznościach - wprowadziliśmy się tutaj. Ostatnio jednak otaczające mnie przedmioty wydają mi się podstępne i groźne, emanują czymś, co wprawia mnie w zakłopotanie. Z początku zupełnie nie wiedziałem, co o tym sądzić; powiadam przecież, że niczego nowego, niczego niezwykłego nie widzę w tym mieszkaniu. Długo łamałem sobie głowę, zanim wreszcie wpadłem na to, że nie zmieniło się to, co widzę; zmiana polega jedynie na tym, że widzę. Tak; dotychczas nigdy jeszcze nie widziałem tego mieszkania, w którym mieszkam dziewiętnaście lat..."

- Dziewiętnaście lat - pokręcił głową stary, „...właściwie to nawet nie ma w tym nic niezwykłego, jak

się dobrze zastanowić. Dla tego faceta, którym ongiś - jeszcze nawet parę miesięcy temu - byłem, mieszkanie to było stałym, choć jedynie przypadkowym miejscem, gdzie pisał swoją powieść. Facet ten miał zajęcie, miał jasny cel, kto wie,

32

może nawet misję: słowem - bez względu na to, jak wolno pracował - zawsze się spieszył. Patrzył na przedmioty tak, jakby je oglądał z okna pociągu, widział przez chwilę, jak migają mu przed oczami i znikają. Co najwyżej uświadamiał sobie przelotnie ich wartość użytkową; brał je w rękę A i odkładał, chodził po nich, ciągnął je, potrzącał, popychał, terroryzował je, trzymał je krótko niczym kacyk. Teraz jednak, kiedy już nie czują na sobie władczej ręki, mszczą się: dają o sobie znać, pchają mi się przed oczy, ukazują - swoją niezmienną. Co mam zrobić, kiedy ogarnia mnie | na ich widok panika? To krzesło, ten stół, ten śmiały łuk J stojącej lampy i zwisający z niej, pełen oddania, przypalony wokół żarówki abażur - teraz wszystkie te przedmioty tłoczą się, otaczają mnie z podstępną łagodnością, niczym ) wyrozumiałe starsze siostry, oplakujące wraz ze mną jakąś . klęskę. Chcą mnie przekonać, że nic się nie wydarzyło; ( chociaż mnie się zdawało, że coś pośród nich przeżyłem, powiedzmy: pewną przygodę - przygodę pisania - i sądzi- ' lę, że doszedłem do końca pewnej drogi, w trakcie której | zmieniło się moje życie. Ale nic się nie zmieniło i teraz już stało się jasne, że owa przyгода pogrzebała właśnie szansę ,"-na zmianę. Tych dwadzieścia osiem metrów kwadratowych > to już nie klatka, z której co rano moja wyobraźnia pozwalała mi wyfrunąć i do której wracałem na noc spać: nie, teraz to już prawdziwa sceneria mojego prawdziwego życia, klatka, w której zamknąłem się jak w więzieniu.

A oto inna sprawa: osobliwość poranków. Kiedyś budziłem się już o świcie; niespokojnie śledziłem blask słońca rozchylający szpary żaluzji, nie mogłem doczekać się wsta- I nia. Przy porannej herbacie zamieniałem parę wymu- I szonych słów z żoną; w duchu czekałem tylko, kiedy

33

yf

k

wreszcie zostanę sam, żeby po niezbędnej porannej toalecie rzucić się na uparcie czekającą i zawsze stawiającą mi opór kartkę papieru. Teraz jednak, pod wpływem szczególnego przymusu, jakbym szukał usprawiedliwienia, przy śniadaniu zatrzymuję żonę, rozmawiam z nią; ona cieszy się

z tej zmiany, nie domyśla się przyczyny; a kiedy wychodzi, łapie się na tym, że moje myśli w napięciu jej towarzyszą..."

W tym momencie staremu wydało się, że słyszy dzwonek telefonu; ale - poluzowując jedną z miękkich woskowych kulek - przekonał się, że to tylko Ogliitz i hałasy dochodzące z Parowu Kłamstwa, być może na trochę wyższej niż zwykle częstotliwości; tym małym zakłóceniem tłumaczymy fakt, że musiał szukać dalszego ciągu i że - jak świadczy o tym również widoczny brak ciągłości - w tym miejscu przeskoczył zapewne parę linijek tekstu.

„...Czuje, jak rozwierają się pode mną różnego rodzaju pułapki, popełniam błąd za błędem; każde moje spostrzeżenie, wszystko, co widzę wokół siebie, wszystko, co mnie otacza, czeka tylko, żeby mnie zaatakować, żeby podać w wątpliwość, podkopać moje prawdopodobieństwo, fakt, że istnieję. Zastanawiam się, kiedy zaczęły się te nieprzyjemności. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że kojąco działa na człowieka znalezienie początku, jakiegoś, jakiegokolwiek punktu oparcia w czasie, który to punkt potem może nazwać przyczyną. Kiedy mamy wrażenie, że poznaliśmy przyczynę, każdy kłopot wydaje nam się racjonalny. Sądzę, że nigdy tak naprawdę nie wierzyłem w swoje istnienie. Miałem po temu - jak już wyżej sugerowałem - wszelkie podstawy, można powiedzieć, obiektywne powody. W czasie pisania powieści ta ułomność znakomicie procentowała; stała się

34  
niejako narzędziem mojej pracy, wyczerpała się w trakcie codziennej działalności, a kiedy potem zmęczyła mnie na tyle, że nie miałem już ochoty przekuwać jej w słowa, przestałem się nią zajmować. Kłopot zaczął się znowu, kiedy skończyłem swoją powieść. Pamiętam jeszcze, jak pisałem ostatnie strony. Było to trzy i pół miesiąca temu, w obiecujące majowe popołudnie. Czułem, że mam w garści zakończenie. Wszystko zależało od mojej żony. Pod wieczór wybierała się do jednej z przyjaciółek. W czasie obiadu patrzyłem z napięciem, czy nie jest przypadkiem zmęczona, czy przypadkiem nie straciła ochoty... Miałem szczęście, zostałem sam. Nagła biegunka przeszkodziła mi natychmiast dopaść kartki papieru. Ten irytujący objaw musiałem zrzucić na karb motus animi continuus, który - jak wiemy od Cycerona - jest istotą elokwencji. To nic innego, jak pewien stan duchowego podniecenia, który jednak - przynajmniej u mnie - oddziałuje na cały organizm, bywa, że i na układ trawienny. W końcu jednak mogłem usiąść przy stole; teraz już uporałem się z tekstem tak szybko, jak tylko pozwalała mi na to sama czynność prowadzenia pióra po papierze. Napisałem ostatnie zdanie: skończyłem. Potem jeszcze wiele dni się z nim cackałem, próbowałem tu i ówdzie coś dopisać, to czy tamto słowo poprawić, inne wykreślić. Ale potem nie miałem już nic do roboty; koniec, kropka. Zrobiło mi się trochę głupio. Coś się nagle zawaliło, coś, co przez długie lata, jak się wydaje, dostarczało mi niezłej rozrywki. Ale z tego również dopiero za jakiś czas zdałem sobie sprawę. Do tej pory sądziłem, że pracuję, i ze stosowną do sytuacji, wymuszoną pasją dzień w dzień brałem się do roboty. Teraz nagle mi tego zabrakło. Moja codzienna mrówcza praca zamieniła się w ten oto stos kartek.

35

A ja zostałem z pustymi rękami, ograbiony. Nagle znalazłem się oko w oko z niematerialnym i amorficznym potworem: z czasem. Głupio rozdziawiał na mnie swoją rozwartą w ziewaniu gębę, a ja nie miałem nic, żeby mu to wepchnąć do gardła".

- Pracowałeś? - spytała żona starego, kiedy wróciła do domu z bistra, gdzie w charakterze kelnerki zarabiała na chleb (czasem również na chleb dla starego) (jeśli los tak zrzędził) (a zrzędził tak nie raz).

- Owszem - odpowiedział stary.

- Posunąłeś się trochę?

- Coś tam zrobiłem - powiedział stary.

- Co chcesz na obiad?

- Nie wiem. A co jest? Żona wyliczyła.

- Wszystko jedno - zdecydował stary.

Jakiś czas potem stary i jego żona siedzieli przed sekre-tarzykiem i jedli obiad (oczywiście biorąc pod uwagę przedstawione już okoliczności) (jeśli mówimy, że stary i jego żona siedzieli przed sekretarzykiem i jedli obiad, należy to rozumieć tak, że choć siedzieli naprzeciwko sekretarzyka, to

w rzeczywistości siedzieli przy stole - a ściślej przy stole, jedynym w mieszkaniu stole z prawdziwego zdarzenia) (i jedli obiad).

Podczas obiadu żona starego miała zwyczaj opowiadać, co tego dnia wydarzyło się w bistrze.

Niedługo będzie remanent: kierownictwo boi się manka (mają powody, bo za dużo kradną) (a do tego zupełnie niefachowo, zwłaszcza Starsza Pani) (oficjalnie: kierowniczką) (jakkolwiek niektórzy członkowie personelu też biorą w tym udział) (ale gdzie im tam do kierownictwa, jeśli

I

chodzi o możliwości) (zwłaszcza możliwości Starszej Pani - oficjalnie: kierowniczką - która całe manko usiłuje ukryć w machlojkach z piwem z beczki, a zwłaszcza w żywieniu zbiorowym) (czyli obiadach jadanych głównie przez dzieci) (których rodzice - ponieważ nie chce im się gotować, a może nie są w stanie - opłacają co tydzień abonament) (jakkolwiek - i tego żona starego nigdy nie omieszkała zaznaczyć - nie spotkała jeszcze rodzica, który skontrolowałby, co jego dziecko je i czy w ogóle coś je) (choć dzieci i tak rosną i z czasem bez wątplenia same staną się dorosłe, i jako dorośli pewnie znowu skażą swoje dzieci na abonamentowe obiady, bo nie będą chcieli zawracać sobie głowy prowadzeniem domu) (zgodnie z porządkiem życia, który pewien wybitny, choć nad wyraz kontrowersyjny myśliciel nazwał teorią wiecznego powrotu) (i zaznaczymy, że tak jak w wielu innych sprawach, tak i w tej nie miał racji); słowem, jeśli chodzi o mający się wkrótce odbyć remanent, to krążą już na jego temat mętne aluzje i otwarte podejrzenia.

- Poza tym - dodała żona starego - trwa walka na noże o godziny pracy.

Żona starego bowiem zawsze pracowała przed południem.

Mimo że bistro było czynne do późnego wieczora (a w późnych godzinach wieczornych wypełniało się tłumem gości mających szeroki gest i w owych późnych godzinach wieczornych niezwykle już szczodrych).

Zgodnie z zasadą równych szans - a zarazem zapisanym w ustawie prawem pracy - personel bistra jednakowo par-tycypował w obsłudze gości przedpołudniowych i południowych, korzystających z zbiorowego żywienia, mających ściśle wyliczony czas, oraz gości przychodzących

I

36

37

!-"\*»,

w późnych godzinach wieczornych, mających szeroki gest i w owych późnych godzinach wieczornych niezwykle już szczodrych.

Żona starego jednak - na własne, wyrażone również na piśmie życzenie - zawsze pracowała tylko przed południem (żeby i stary przed południem mógł popracować na ich dwudziestu ośmiu metrach kwadratowych) (jak również dlatego, że nie cierpiała mających wprowadzić szeroki gest i niezwykle szczodrych w późnych godzinach wieczornych, ale przeważnie w sztok pijanych i awanturujących się gości).

A zatem zgodnie z zasadą równych szans - a zarazem zapisanym w ustawie prawem pracy - należące się również żonie starego późne godziny wieczorne (i związane z nimi wcale niebagatelne korzyści) niejako automatycznie przeszły na pewną koleżankę nazwiskiem Bodą; i zapewne długim czasem trwania tego stanu rzeczy, jak również mocniejszą od owych słusznych zasad (a zarazem prawa pracy zapisanego w ustawie) skłonnością natury ludzkiej do, by tak rzec, bardziej instynktownego stosowania prawa należy tłumaczyć fakt, że Bodowa (Ilona na imię) odziedziczone przywileje od dawna już traktowała nie jako przywileje, lecz jako należne jej prawa.

Biorąc to wszystko pod uwagę, należy docenić efekt, jaki wywołało ogłoszone tego dnia oświadczenie żony starego, że w przyszłości ona również zamierza pracować wieczorami.

- Dlaczego? - spytał stary.

- Dlatego że zarabiam grosze, a teraz ty również nie będziesz zarabiał, bo musisz napisać książkę.

- To prawda - powiedział stary. Wieczorem stary oznajmił:

38

- Wychodzę, przejdę się trochę.

- Tylko nie chodź za długo - powiedziała żona.
- Dobrze. Trochę porozmyślałam.
- Chciałam ci jeszcze coś powiedzieć.
- No? - stary zatrzymał się.
- Teraz nagle wyleciało mi z głowy.
- Na drugi raz zapisz sobie, żebyś nie zapomniała.
- Dobrze by było gdzieś pojechać.
- Nie byłoby źle - skinał głową stary.

Kiedy wrócił ze spaceru (spacer na myślenie - tak to stary | nazywał), zapytał:

- Nikt nie dzwonił?
- A kto miałby dzwonić?
- To prawda - przyznał stary.

„Żeby cię, do kurwy nędzy, pokręciło, ty w kółko go-3na...” - powiedział wolno, dobitnie artykułując, stary, gdy wciskał sobie do ucha rozmiękczone w palcach, starannie uformowany wosk, niejako unieważniając w ten sposób ' )gliitza, Parów Kłamstwa - można by rzec, cały świat.

„...Tak, gdybym był konsekwentny, pewnie nigdy nie kończyłbym swojej powieści. Ale skoro już skończyłem, 11 iekonsekwencją byłoby dziwić się, że jest gotowa. A prze-i ież tak się stało. Nie twierdzę, że nie wiedziałem: skoro piszę powieść, to wcześniej czy później będzie z tego powieść, przecież od lat nie dążyłem do niczego innego, i.ik tylko do tego, żeby była gotowa. Wiedzieć wiedziałem więc, jakże mógłbym nie wiedzieć: tylko zapomniałem się na to przygotować. Pisanie powieści zanadto mnie pochłonęło, abym rozważał konsekwencje. Teraz zaś leżało przede mną ponad dwieście pięćdziesiąt kartek i ten plik papieru,

39

ten przedmiot, wymagał ode mnie podjęcia pewnych działań. Nie mam pojęcia, jak wydać powieść; jestem w tym kompletnym dyletantem, nie znam nikogo z branży, nigdy jeszcze nie publikowałem prozy - jak zwykło się mówić. Przede wszystkim dałem tekst do przepisania na maszynie, potem upchnąłem go w jedynej teczce, jaką miałem, zaopatrzonej w stosowny zatrzask, w której posiadanie wszedłem w sposób pozostawiający co nieco do życzenia, a mianowicie kiedy złożyłem wizytę swojej matce w reprezentacyjnej siedzibie przedsiębiorstwa handlu zagranicznego, gdzie starsza pani, dorabiając sobie do emerytury, jest maszynistką i stenotypistką przez cztery godziny dziennie. Potem, z teczką pod pachą, odwiedziłem wydawnictwo, o którym wiem, że - jak by to powiedzieć - zajmuje się również wydawaniem powieści współczesnych węgierskich autorów. Zapukałem do drzwi z napisem «Sekretariat» i jedną z pracujących tu pań, którą otaczała tak trudna do zdefiniowania, tajemnicza aura kompetencji, zapytałem, czy mogę zostawić powieść. Uzyskawszy twierdzącą odpowiedź, wręczyłem jej teczkę, i widziałem jeszcze, jak kładzie! ją pośród innych piętrzących się na stoliku za jej plecami teczek. Prosto stamtąd zaś poszedłem na basen...”

- Mój Boże! - powiedział stary.

„...poszedłem na basen, ponieważ miałem nadzieję - i nie zawiodłem się - że pogoda, jakkolwiek słoneczna, to jednak chłodna i wietrzna, odstraszy tego dnia okupujące basen tłumy, i tam w zimnej wodzie przepląnąłem wolno, leniwie tysiąc metrów”.

- Mój Boże! - powiedział stary.

„...Później, po dobrych dwóch miesiącach, siedziałem u pewnego faceta, który był w tym wydawnictwie sam nie

wiem kim. Poszedłem do niego już tydzień wcześniej, jako że wedle słów pani z sekretariatu «od niego może pan uzyskać informacje dotyczące pańskiej powieści». Ale facet ani o mnie, ani o mojej powieści wtedy jeszcze nawet nie słyszał.

- Kiedy pan ją złożył?

- Dwa miesiące temu.

- Dwa miesiące to nie tak dawno - pocieszył mnie. Był to facet o szarawej twarzy, chudy, przepracowany, z wyglądu neurotyk, w przyciemnionych okularach. Na jego biurku leżał stos papierów, książki, kalendarz, maszyna do pisania, rękopis pełen poprawek - najwidoczniej powieść.

Uciekłem w popłochu. Najchętniej poszedłbym wprost na basen..."

- Mój Boże! - powiedział stary.

„...ale ponieważ był już szczyt sezonu, nie miałem żadnych szans na popływanie.

Podczas następnej wizyty okazał się bardziej komunikatywny. Wie już o mnie i o mojej powieści, chociaż sam jeszcze jej nie czytał, powiedział. Poprosił, żebym usiadł. Faszyzm - odwrócił się do mnie od maszyny, w której widziałem wkręcony firmowy papier - to wielki i wstrząsający temat, na który już..."

- Aha! - powiedział półgłosem stary, który tymczasem zaczął nerwowo grzebać w swojej teczce, póki nie znalazł pośród papierów listu z firmowym nadrukiem.

Był to zwykły handlowy list z miejscem na datę (27 VII 1973), nazwisko referenta (niewypełnionym), temat (niespre-cyzowany), numer akt (482/73), bez nagłówka:

Nasi lektorzy przeczytali Pański rękopis - stary zaczął czytać list - i na podstawie ich zgodnej opinii... Sądzymy, że artystyczne ujęcie materiału Pańskich przeżyć jest nieudane, chociaż sam temat

40

41

- wielki i wstrząsający. Fakt, że mimo to Pańska powieść nie staje się... z dziwnych, oględnie mówiąc, reakcji głównego bohatera Możemy jeszcze zrozumieć, że Pana nastoletni bohater nie od razu pojmuje, co się dookoła niego dzieje (powołanie do służby pracy, obowiązek noszenia żółtej gwiazdy itd), ale nie potrafimy już sobie wytłumaczyć, dlaczego, kiedy znalazł się w obozie koncentracyjnym... Niesmaczne uwagi ciągną się dalej... Niewiarygodne jest również to, że widok krematorium wywołuje w nim wrażenie... „sztubackiego psikusa ", chociaż wie, że znajduje się w obozie zagłady i sam fakt, że jest Żydem, wystarczy, by został zamordowany. Jego postawa, jego przykre uwagi... który z irytacją... również zakończenie powieści, bo przecież dotychczasowe zachowanie głównego bohatera... nie daje podstaw, żeby wyrokował on w sprawach moralności... - Aha! - zauważył stary półgłosem.

Stary siedział teraz przed sekretarzykiem i myślał.

„Trzeba by było jeszcze raz przeczytać tę książkę - pomyślał. - Ale - kontynuował myślenie - po co? Wcale nie mam ochoty czytać o obozie koncentracyjnym".

„To było bardzo głupie, że wyjąłem swoje papiery" - dodał (w myślach).

Ponieważ stary siedział przed sekretarzykiem i znowu czytał:

„...wielki i wstrząsający temat... w której... papier firmowy... odwrócił się do mnie od maszyny do pisania, w której widziałem wkręcony firmowy papier - wielki i wstrząsający temat, na który już wielu pisało i wiele napisano. Mimo to, dodał jak gdyby uspokajająco, nie zamierza twierdzić, że ten temat jest już wyczerpany. Następnie poinformował mnie, że zgodnie z trybem pracy w ich wydawnictwie trzech lektorów musi przeczytać rękopis, «zanim zapadnie decyzja o jego losach». I nieco tajemniczo dodał: nie ma

42

zwyczaju wprowadzać autora w wewnętrzne sprawy wydawnictwa, ale nie jest wykluczone, że trzecim lektorem mojej powieści będzie on sam. Umilkł.

- Czy to nie jest trochę gorzkie? - spytał nagle.

- Co takiego?

- Pańska powieść.

- Ależ tak - odpowiedziałem.

Było widać, że moja odpowiedź wprawiała go w zakłopotanie:

- Niech pan nie bierze sobie do serca tego, co powiedziałem: to nie opinia, bo przecież jeszcze nie czytałem pańskiej powieści - tłumaczył.

Teraz ja z kolei byłem zakłopotany: wszystko wskazywało bowiem na to, że gdyby moja powieść wydała mu się gorzka, to nie znalazłaby w jego oczach uznania. To zaś stanowiłoby jej słaby punkt i zapewne utrudniło jej wydanie. Dopiero wtedy spostrzegłem, że siedzę naprzeciwko zawodowego humanisty: bo zawodowi humaniści chcieliby wierzyć, że Auschwitz zdarzył się tylko tym, którym zdarzył się wtedy i przypadkiem, innym zaś, którym się wtedy i przypadkiem nie zdarzył,



większości, człowiekowi zatem

- Człowiekowi! - ogólnie rzecz biorąc, nic się nie przydarzyło. Tak więc ów człowiek z wydawnictwa chciałby w mojej powieści przeczytać, że pomimo to, a nawet właśnie pomimo to, iż mnie się przypadkowo wtedy zdarzył

- Auchwitz jednak mnie nie zbrukał. A przecież zbrukał. Zostałem zbrukany inaczej, to prawda, niż ci, którzy mnie tam wywieźli, ale zostałem zbrukany: moim zdaniem, to jest kwestia zasadnicza. Muszę jednak przyznać, jakże mógłbym nie przyznać: to niepokojące, że w ten sposób zaczyna być zamieszany w te brudy również ktoś, kto moją powieść w dobrej wierze bierze do ręki i zaczyna czytać, niczego nie podejrzewając.

Bez trudu bym zatem zrozumiał, gdyby jakiegoś zawodowego humanistę moja powieść zirytowała. Mnie też irytują zawodowi humaniści, bo w swoich pragnieniach dążą do tego, żeby mnie zniszczyć: chcą unieważnić moje doświadczenia. Ale z tymi doświadczeniami coś się stało, coś, co sprawiło - spostrzegłem skonsternowany - że obróciły się teraz przeciwko mnie, zaczęły mi szkodzić; od tamtej pory bowiem - jakże by inaczej - przeszły we mnie metamorfozę i nieodwracalnie przeobraziły się w coś, co jest w istocie kwestią smaku. Różnica poglądów między mną a tym człowiekiem wynikała wyłącznie z naszych osobistych i odmiennych przekonań: wszystko jednak popsuł fakt, że - przynajmniej symbolicznie - leżała między nami moja powieść. Czuję, że moje osobiste poglądy, które ona w całej pełni odzwierciedla, z punktu widzenia mojej sprawy zaczynają mi źle wróżyć. W dodatku na sprawę tę, która akurat przybrała materialną formę powieści, mają również wpływ mniej wzniosłe, w żadnym razie jednak niedające się pominąć czynniki - a mianowicie perspektywy finansowe...

- Che, che - rozpogodził się stary.

„...kwestia mojej przyszłości, mój status społeczny, że tak powiem”.

- Che, che - ubawił się stary.

„...Nagle znalazłem się w dosyć szczególnej - z braku perspektyw - zaskakującej sytuacji: stałem się więźniem tego liczącego dwieście pięćdziesiąt stron pliku papieru, który sam wyprodukowałem”.

- No tak - powiedział półgłosem stary.

44

„...sam wyprodukowałem”.

- No tak - powiedział znowu stary.

„...Nie sądzę, żebym już wówczas zdawał sobie sprawę z tego, co...”

Telefon.

Tym razem stary nie miał żadnych wątpliwości.

A jednak nie od razu wstał, jedynie poluzował sobie w uchu miękką woskową zatyczkę.

Rzeczywiście.

- Ależ nie przeszkadza mi pani - powiedział stary (już do telefonu).

Stał, trzymając słuchawkę, w południowo-wschodnim kącie pokoju, nieco na północny zachód od kaflowego pieca, obok ministolika dziecięcego z wielowarstwowo sklejaną specjalną tarcicy I kl. (z punktu widzenia funkcjonalności był to raczej rodzaj stoliczka na drobiazgi, na przykład papierosy).

- ...i zaraz pomyślałam o panu - usłyszał stłumiony kobiecy głos poprzez poluzowaną woskową zatyczkę. - To książka w sam raz dla pana: tylko piętnaście arkuszy, i ma pan na to pół roku. A jak pan nie zdąży, to może się pan nawet spóźnić ze dwa miesiące.

Stary bowiem brał również tłumaczenia.

Tłumaczył z niemieckiego (ponieważ spośród języków obcych, którymi nie włada, stosunkowo najlepiej nie włada niemieckim - zwykł mówić stary).

Tłumaczenie to marne pieniądze, ale pewne (mawiał stary).

Teraz jednak powinien był pisać książkę.

Z drugiej strony - co prawda, to prawda - powinien był też zarabiać pieniądze (jeśli nawet marne, to pewne).

Poza tym jeden pomysł nie czyni wiosny, ale stary nie miał nawet tego jednego pomysłu na książkę. Jeśli to tłumaczenie weźmie, upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu: zarobi pieniądze (jeśli nawet marne, to pewne) i nie będzie musiał pisać książki. (Chwilowo.)

- Ależ tak, oczywiście - powiedział do słuchawki.

- No to przyślę panu książkę i umowę - usłyszał stłumiony kobiecy głos przez poluzowaną woskową za tyczkę.

- Ależ tak, oczywiście. Dziękuję - usłyszał swój stłumiony głos (przez poluzowaną woskową zatyczkę).

„Bardzo głupie było podjęcie się tego tłumaczenia” - pomyślał potem (znowu głębiej wciskając do ucha woskową zatyczkę).

„No ale podjąłem się, trudno” - dodał następnie (w myśli) (jak ktoś, kto już nie ma wyboru) (jakkolwiek wybór mamy zawsze) (nawet wtedy, kiedy go nie mamy) (i zawsze wybieramy samych siebie - jak to można przeczytać w pewnej francuskiej antologii) (którą stary trzymał na półce na książce zawieszanej nad fotelem stojącym na północ od znajdującego się w południowo-wschodnim kącie pokoju kafłowego pieca) (ale wówczas kim jest ten, kto nas wybiera - mógłby człowiek zapytać) (i słusznie).

„...i z braku perspektyw... Nagle znalazłem się w dosyć szczególnej - z braku perspektyw - zaskakującej sytuacji: stałem się więźniem tego liczącego dwieście pięćdziesiąt stron pliku papieru, który sam wyprodukowałem”.

- No tak - powiedział stary.

„...Nie sądzę, żebym już wtedy jasno zdawał sobie sprawę z tego, co nawet dziś nie jest dla mnie całkiem oczywiste: a mianowicie w jaką pułapkę, w jaką niesłychaną przygodę się zaplątałem. O ile dobrze pamiętam, zadowolilem się

wtedy pewnym przelotnym złym przecuciem. Mam chyba taką naturę, że z jednej niewoli potrafię się wyswobodzić jedynie wówczas, gdy od razu popadnę w drugą. Jak tylko skończyłem swoją powieść, zaraz zacząłem łamać sobie głowę nad nową książką. Dzisiaj już się przynajmniej domyślam, po co to wszystko było: żeby uniknąć bezpośredniego zagrożenia, jakie stanowił następny dzień. Jeżeli uda mi się znaleźć dla siebie nowe zadanie domowe, będę mógł traktować upływ czasu i to, co się w ciągu tego czasu dzieje, jako swoją wolę, którą ujarzmiłem, narzucając jej cel: w ten sposób znowu rozciągnęła się przede mną nieskończoność, chociaż z tej faktycznej perspektywy wyławiałem jedynie załamania światła.

Ale jeszcze nie wiedziałem, o czym pisać. I już to powinno mi się wydać podejrzane. Prawdę mówiąc, nawet w mojej jedynej liczącej się lekcji nie udało mi się dostrzec tego znaczenia, tej - jak by to powiedzieć - usuwającej w cień całą rozagę konieczności, którą dostrzegłem swego czasu w mojej powieści; ją jednak, choć z pewnym żalem, miałem raz na zawsze za sobą.

W końcu impuls dał mi jakiś błahy uliczny incydent. Zawsze byłem zwolennikiem długich pieszych spacerów, podczas których mogę uporządkować myśli. Szczególnie cenię wówczas pogodne, sprzyjające medytacji otoczenie, nabrzeże Dunaju, budańskie wzgórza, gdzie z przyjemnością ulegam pokusie i od czasu do czasu przystaję, by popatrzeć na rozpościerającą się nieoczekiwanie panoramę. Przede mną niebieskawa przestrzeń: zabudowana peszteńska równina; tu jakaś wieża, tam kopuła, ówdzie błyszczący dach czy rząd okien, wśród nich połyskująca wstęga rzeki, a nad nią łuki mostów. Za moimi plecami

masywne, szarozielone zbocze góry, wille, budynki-pudełka, uśmiech spokojnych domów, wieża telewizyjna. Tego dnia, pamiętam, było duszno, gorąco, białe słońce niemiłosiernie prażyło mnie w kark. Zanim dotarłem na szczyt, idąc wzdłuż przedzielonej pasem zieleni autostrady, spływałem potem. Moje zdenerwowanie wynikające z upału, tępego bólu głowy i niemożności podjęcia decyzji do granic możliwości potęgowały po drodze tysiące drobiazgów: wyjący mi nagle tuż nad uchem sygnał pogotowia; niewytłumaczalny atak wściekłości rzucającego się na siatkę ogrodzenia psa, jego oszalałe, chrapliwe ujadanie, które bezustannie towarzyszyło moim krokom; jakiś postrzelony

facet, w słomianym kapeluszu, w koszuli z krótkim rękawem, z zawieszonym na szyi na skórzanym pasku radiem tranzystorowym, wyposażonym niczym nowoczesny radarowy okręt szpiegowski, od którego ryku i trzasków w żaden sposób nie mogłem się uwolnić; gęsty, czarny tuman pyłu spod kół hałaśliwej ciężarówki, w którym dusiłem się, łzawiąc i kichając - słowem, właściwie nic nieznaczące odczucia, które jednak skumulowane i idące w parze ze złym stanem psychicznym popychają ludzi w dużych miastach do ekscesów, indywidualnych perwersji, anarchistycznych myśli, rzucania bomb. Właśnie przecinałem na ukos jezdnię - zupełnie nieprawidłowo, jeśli chodzi o przepisy. Słyszałem tuż za sobą autobus, ale po tylu przykrych przeżyciach, kiedy to zawsze ja byłem na straconej pozycji, nagle poczułem w sobie jakiś dziwny upór; niech cię szlag, wymini mnie albo przejeżdż - pomyślałem. Klakson, pisk hamulców; skoczyłem niczym konik polny, którego chcą zdeptać. Przez otwarte drzwi z kabiny kierowcy posypał się na mnie grad przekleństw. Nie pozostałem

dłużny. Wypełniliśmy obojętne powietrze zgiełkiem jałowych plugawych słów. Myślę, że obu nam ulżyło; wyładowaliśmy nagromadzoną w nas bezosobową złość.

Kiedy zostałem sam na skraju drogi, stwierdziłem z satysfakcją, że jestem oszustem; przecież tylko dlatego odważyłem się podjąć ryzyko, że bezgranicznie ufałem kierowcy.

Mógł mnie, rzecz jasna, przejechać - powiedzmy, gdyby zawiodły hamulce. Ale zdaję sobie sprawę, że kierowcy autobusów znakomicie prowadzą. Mógł mnie przejechać również dlatego, że w świetle przepisów on miał rację; to ja szedłem nieprzepisowo. Ale dobrze wiem, nie muszę osobiście znać kierowcy; w pewnych okolicznościach ludzie niechętnie zabijają. Przejechać po miękkim ciele - to przywilej czołgów. Co innego morderstwo, a co innego ludobójstwo. I tak przypomniał mi się pewien dawny zamysł; projekt nie za długiego traktatu o możliwościach estetycznego przekazu przemocy..."

- No tak - skinał głową stary. „To było bardzo głupie...”

„...o możliwościach estetycznego przekazu przemocy... nie za długiego...”

- Dobry Boże!

„Trzeba by się trochę przejść”.

„Pójdę” - stary odłożył do sekretarzyka szarą teczkę i służący jako przycisk, również szary, chociaż w ciemniejszym odcieniu szarości, kamień.

Jednocześnie z niższej przegródki sekretarzyka wyjął szklaną kapsułę w kształcie walca, potem poluzował w uszach miękkie woskowe zatyczki.

Ogliitz.

„Żeby tę...” - zaczął stary.

48

49

„Nie warto, i tak wychodzę” - pomyślał.

W swojej drodze przez rozmaite stacje męki stary miał już za sobą ów przejściowy etap, kiedy człowiek próbuje jeszcze zapanować nad sytuacją, budując uniwersalne teorie. I tak pewnego razu stwierdził: Ogliitz (i być może właśnie od tamtej pory zaczął Ogliitza nazywać Ogliitzem) ucieleśnia pewną nową jakość bytu, a mianowicie byt widza (albo słuchacza) (lub widzysłuchacza) (który zasadniczo różni się na przykład od) (dziś już tak rzadko spotykanego) (bytu miłośnika sztuki), jako że Ogliitz, zarówno jeśli chodzi o literaturę, jak i muzykę, oglądał (albo słuchał) (lub słuchał i oglądał) wyłącznie, jak to się mówi, produkty rozrywkowe, quizy, gale, reportaże, reklamy, filmy fabularne, ewentualnie filmy przyrodnicze; i chociaż nie wiadomo, czy ta jakość bytu zaspokaja wszystkie potrzeby, to jednak nie ulega wątpliwości, że jest nad wyraz wygodna: bo zamiast przeżywać całe złożone życie, patrzymy, jak się ono toczy - prawda, że na ekranie i że może nas jedynie bawić lub irytować, lecz nie mamy na nie wpływu, nie możemy nim kierować, ingerować w nie, ponosić konsekwencji; ale w tym zakresie - i właśnie w tym (nie zaś w tym, co się dzieje na ekranie) - czyż nie jest ono podobne do życia niektórych z nas; stary (nie bez pewnej nostalgii) potrafił sobie w końcu wyobrazić chemicznie czysty byt widza (albo słuchacza) (lub widzysłuchacza), który spędza parę dziesiątków lat przed ekranem, a kiedy od ekranu odrywa go śmierć, w ostatnich swoich chwilach wcale nie wątpi, że ma za sobą barwne, ruchliwe i ciekawe

życie...

- Pracowałeś?
- Owszem.
- Posunąłeś się trochę?

50

- Coś tam zrobiłem.
- Chciałam ci jeszcze coś powiedzieć.
- Następnym razem zapisz sobie, żebyś nie zapomniała.
- Dobrze by było gdzieś pojechać.
- Nikt nie dzwonił?
- A kto miałby dzwonić?
- To prawda.

„...Właściwie - od tego wyszedłem - zawsze drażniło 'mnie połączenie krwi, zmysłowej rozkoszy i demona, / czym spotykamy się w niektórych dziełach sztuki. Z moi-i ni doświadczeniami w żaden sposób nie zgadza się odświętny, by tak rzec, obraz niezwykłego, niemożliwego do pogodzenia z naturą ludzką ciągłego sabatu czarownic, jaki przedstawiają owe dzieła sztuki, ukazując niektóre epoki historyczne i wydarzenia. Mordowanie - powyżej pewnego i zasu trwania i pewnej liczby ofiar - jest w końcu męczącą, systematyczną i żmudną pracą, której skuteczność każdego ilnia gwarantuje nie tyle ochota lub brak ochoty uczestników, ich zapał bądź niechęć, ich entuzjazm bądź opór; słowem, nie tyle chwilowy nastrój poszczególnych osób, a nawet nie ich psychiczna konstrukcja, ile organizacja, działająca jak taśma produkcyjna, jak dokładny mechanizm, który po prostu nie pozwala złapać tchu. Wobec tego lednak - i to nie ulega wątpliwości - jak tu przedstawić tragedię? Gdzie te wielkie, wyjątkowe i niezwykłe wręcz w swojej grozie postaci? Ryszard III zakłada się, że będzie szubrawcem; natomiast masowi mordercy w ustroju totalitarnym powołują się na dobro publiczne.

Z drugiej strony - dywagowałem - można beznamiętnie, chłodno i rzeczowo przedstawić fakty. Tylko że to też nie

51

przybliży nas tak naprawdę do przedmiotu naszych rozważań. Z faktami - jakkolwiek są ważne - problem polega na tym, że jest ich za dużo i szybko zabijają fantazję. Zamiast oswoić się z nimi i wnikać w ich świat - co w końcu jest nieodzownym warunkiem estetycznego przekazu - wlepiamy w nie wzrok z poczuciem coraz większej obcości. Nagromadzone obrazy mordowania są tak samo zabójczo nudne i męczące, jak sama praca, która towarzyszy zbrodni. Jak więc groza może być przedmiotem estetyki, skoro nie ma w niej nic oryginalnego? Zamiast śmierci, fakty ukazują jedynie stopy trupów.

Właśnie w tych dniach czytałem o śmierci 340 holenderskich Żydów w kamieniołomach w Mauthausen. Kiedy nadszedł transport, zastępca komendanta obozu Ernst-berger zakomunikował więźniowi politycznemu, blokowemu Glasowi, że wedle rozkazu więźniowie z transportu mogą przeżyć najwyżej sześć tygodni. Glas odmówił wykonania rozkazu - skazano go na trzydzieści kijów, a potem zastąpiono kryminalistą. Nazajutrz holenderskich Żydów popędzono do kamieniołomu. Zamiast 148 kamiennych schodów, musieli pokonać strome, kamieniste, osuwające się rumowisko. Na dole kazano im wziąć na ramiona deskę i położyć na niej nieproporcjonalnie duże kamienne bloki, które, biegnąc tym razem już po owych 148 schodach, musieli dostarczyć na górę. Kamienne bloki już przy pierwszych krokach spadały z desek i miażdżyły nogi więźniom biegnącym z tyłu. Taki wypadek karano biciem. Już pierwszego dnia wielu holenderskich Żydów rzuciło się z urwiska kamieniołomu. Potem, trzymając się za ręce, po dziewięciu-dwunastu ludzi skakało razem w przepaść. Cywilni pracownicy kamieniołomów wnieśli skargę do SS;

52

protestowali przeciwko «okropnemu widokowi», jaki przedstawiają kawałki ciała i mózg rozprysnięty na skałach. Brygada robocza oczyściła silnym strumieniem wody zbocza kamieniołomu; od tej pory straż pełnili więźniowie funkcyjni i próbujących oderwać się od kolumny poddawali szczególnie okrutnym represjom. Można powiedzieć, że pragnienie śmierci

karano tam śmiercią. A kto nie chciał umrzeć, tego też zabijano. Zamiast w sześć tygodni, uporano się z zadaniem w trzy.

Zamknąłem i odłożyłem książkę z uczuciem, że ów fakt, na który natrafiłem przypadkiem, jest jednym z wielu wymienionych na jej 400 stronach (które stanowią i tak zaledwie skromny fragment pełnej listy faktów, liczącej ktoś to wie ile dziesiątków tysięcy stron); a zatem że na przykład owych 340 kamiennych śmierci mogłoby się znaleźć pośród symbolicznych obrazów ludzkiej wyobraźni - pod jednym wszakże warunkiem: gdyby się nie wydarzyły. Ponieważ się jednak wydarzyły, trudno je sobie nawet wyobrazić. Zamiast stać się przedmiotem gry wyobraźni, okazały się wielkim, nieruchomym ciężarem, niczym tamte kamienie w Mauthausen; ludzie nie chcą być przez nie zmiążdżeni. Z drugiej strony jednak zostajemy w ten sposób w tyle za swoją epoką; przeżywamy życie, nie nabierając doświadczeń naszej epoki. Ale może - zastanawiałem się - monomaniakalna monotonia owych doświadczeń jest tym, z czym na próżno zмага się wyobraźnia? Czytałem niegdyś powieść pod tytułem Wielka podróż i natknąłem się w niej na Sigrid, piękną blondynkę, fotomodelkę, i przeczytałem o niej, że:

...jakby ta twarz i to ciało, reprodukowane dziesiątki, kto wie, może nawet tysiące razy przez żurnale mód, byty tylko po to, by przesłonić ciało i twarz Ilzy Koch, to ciało krępe i wyprostowane, 53

trzymające się prosto na nogach prostych i silnych, tę twarz ostrą i twardą, niezaprzeczalnie germańską, te oczy jasne jak oczy Signd (ale ani zdjęcia, ani aktualności filmowe wyświetlane teraz i powtarzane później przed niektórymi filmami nie pozwalały zobaczyć, czy jasne oczy Ilzy Koch były, jak oczy Signd, zielone, czy też jasnoniebieskie albo szare, stalowe, raczej szare, stalowe), te oczy Ilzy Koch zwrócone na nagi tors, na nagie ramiona więźnia, którego przed paroma godzinami wybrała sobie na kochanka, jej wzrok przecinający już tę skórę białą i niezdrową wzdłuż kropkowanej linii tatuażu, który ją pociągnął, jej wzrok oglądający już w wyobraźni piękny efekt tych niebieskawych linii, tych kwiatów czy żaglowców, tych węży, tych alg morskich, tych rozpuszczonych włosów kobiecych, tych róż wiatrów, tych fal morskich i tych żaglowców, jeszcze raz tych żaglowców rozpostartych jak skrzekliwe mewy, ich piękny efekt na wyprawionej jak pergamin skórze, która pod wpływem specjalnych zabiegów chemicznych uzyskuje barwę kości słoniowej, abażury przykrywające wszystkie lampy w jej salonie, gdzie z zapadnięciem wieczoru, tam właśnie, dokąd wprowadzała, uśmiechnięta, więźnia wybranego jako narzędzie rozkoszy, podwójnej, w samym akcie rozkoszy najpierw, a następnie rozkoszy o wiele bardziej trwałej, kiedy jego skóra wyprawiona jak pergamin, odpowiednio spreparowana, wpadająca w barwę kości słoniowej pokreślona niebieski mi liniami tatuażu, stanowić będzie niepowtarzalny abażur, tam właśnie, wyciągnięta na kanapie, gromadziła oficerów Waffen-SS wokół swego męża, komendanta obozu, żeby posłuchać, jak któryś z nich grał na fortepianie jakąś romancę, albo coś z wielkiego repertuaru poważnego, jakiś koncert Beethovena może..\*

1

\* Jorge Semprun, Wielka podróż, przeł. Krystyna Dolatowska. Warszawa 1964, s. 157.

54

Przerwałem czytanie. Oto krew, zmysłowa rozkosz i demon, skoncentrowane w jednej postaci, a nawet w jednym zdaniu. Kiedy je czytam, od razu podsuwa mi gotowe formy, które bez trudu mogę dopasować do zbioru rekwizytów mojej historycznej wyobraźni. Oto Lukrecja Borgia z Buchenwaldu; oto wielka zbrodniarka godna pióra Dosto-jewskiego, która porachowała się z Bogiem; oto kobiecy egzemplarz z bestiariusz Nietzschego - jedna ze wspaniałych, płowych bestii żądnych zwycięstwa i łupu, które powracają do niewinności sumienia drapieżnika....

Tak, tak: nasze myśli wciąż jeszcze zniewolone są mrzonkami inteligentów o gołęmbim sumieniu, naiwnymi wizjami śmiałej wielkości tego, co nikczemne, w których nigdy jednak nie poświęcono należytej uwagi szczegółom. Jest tutaj jakiś niemożliwy do przewyciężenia brak proporcji: z jednej strony pełne upojenia apostrofy do jutrzeńki, przewartościowanie wszystkich wartości i wzniosła niemoral-ność - z drugiej pociąg towarowy z transportem ludzi, których trzeba - i to możliwie sprawnie - czym prędzej zlikwidować za pomocą ciągle za mało wydajnych komór gazowych. Co tu ma do roboty oderwany od rzeczywistości wysiłek umysłowy? Za bardzo

samotny, za bardzo wybredny, za bardzo cierpiący, za bardzo nieprzeciętny, nienależący do żadnej paczki, nie zbiorowy - za bardzo amoralny; tu natomiast potrzebne jest morale, prosta, zrozumiała, funkcjonalna moralność pracy. «Czy uważa pan za słuszne, panie Globocnik - zadał to bardzo praktyczne pytanie SS-Gruppenfuhrerowi Globocnikowi radca ministerialny dr Linden - że zwłoki się zakopuje, zamiast je spalić? Po nas może przyjść pokolenie, które nie wszystko zrozumie!» Na co Globocnik: «Panowie, gdyby pokolenie,

55

które po nas przyjdzie, miało być takie tchórzliwe i znie-wieściałe, że nie rozumiałoby naszego wielkiego zadania, to oczywiście cały narodowy socjalizm okazałby się na nic. Ja - przeciwnie - jestem zdania, że należałoby umieszczać w ziemi tablice z brązu, na których widniałby napis, że mieliśmy odwagę zrealizować to gigantyczne i potrzebne dzieło».

Tak - snułem dalej swoje myśli - może tutaj gdzieś kryje się demon; nie w tym, że człowiek zabija, lecz w tym, że swoje główne cnoty rozciąga na porządek świata zbrodni. Zdjąłem z półki na książki pewien zbiór dokumentów i odszukałem w nim zdjęcie Ilse Koch. Ta przeciętna, niegdyś może nawet niepozabawiona pewnego uroku kobiecości, teraz jednak gburowata twarz prosiaka, twarz o ciastowatej cerze, w żaden sposób nie mogła mnie przekonać o tym, że patrzę na osobowość wielkiego formatu, wielką choćby w swojej skrajności, na kobietę, która stanęła poza dobrem i złem i której życie przebiegało pod znakiem bezustannego i upartego wyzwania rzuconego wszelkiej moralności. Bo przecież Ilse Koch w rzeczywistości nie przeciwstawiała się żadnemu moralnemu porządkowi - wręcz przeciwnie, sama go reprezentowała; a to jest wielka różnica. W owej dokumentalnej książce nie znalazłem dowodu ani na to, że szczególnie lubiła muzykę - zwłaszcza Beethovena, ani że oddawała się więźniom. Swoich kochanków wybierała z korpusu oficerskiego - lekarza obozowego dr. Hovena, «pięknego Waldemara\*», jak również Hauptsturmführera Florstedta - co mieściło się w jej logice. Jej pomysłowość nie wykraczała poza istniejące zwyczaje. Wypreparowane czaszki, przedmioty ozdobne z wyprawionej ludzkiej skóry upiększały w Buchenwaldzie wiele oficerskich willi i służbowych biur - Ilse Koch również miała tego trochę. Może więcej niż inni; ale to się jej należało - w końcu to ona była komendantką, «Kommandeuse». Wszystkiego miała więcej niż żony jej podwładnych: większą willę, bogatsze wyposażenie domu, więcej przywilejów. Jej fantazja - którą zaledwie parę lat wcześniej jako stenografka w fabryce tytoniu i cygar karmiła kto wie jakimi lekturami - podsunęła jej pomysł, żeby wykopać się w maderze i żeby zbudować sobie maneż liczący cztery tysiące metrów kwadratowych; wszystko to jednak w żadnym razie nie ma jeszcze znamion samotnego buntu przeciwko moralności. Chyba nigdy nie powstała jej w głowie myśl, że skoro Boga nie ma, to wszystko wolno; wręcz przeciwnie, potrzebowała nad wszystkim boga - i w dodatku takiego boga, który w przykazaniach ujmie to, na co jej pozwoli. Nie ulega wątpliwości: moralny porządek świata, jaki oferował Buchenwald, opierał się na mordowaniu; ale to był porządek świata i jej ten porządek odpowiadał. Nigdy nie przekroczyła granic swojej logiki: granic świata, gdzie mord jest banałem, gdzie człowiek staje się mordercą nie z odruchu buntu, lecz z nadgorliwości. Gdzie zabijanie może być taką samą cnotą, jak niezabija-nie. Widok tysięcy trupów, widok tortur z pewnością dawał jej niekiedy wyjątkową chwilę emocji, zastrzyk adrenaliny, a zarazem napępiał uczuciem wdzięczności i dumy ze służby.

Ale czyż to nie była jej rok } - drążyłem dalej temat. Czyż nie jest możliwe, że jakaś z góry określona sytuacja - sytuacja żony komendanta obozu - wiąże się z niejako określonymi z góry uczuciami i potencjalnymi czynami? Czyż tej samej sytuacji - może z pewnym naddatkiem w jedną czy w drugą stronę - nie mógłby w gruncie rzeczy

56

57

wypełnić podobnymi uczuciami i działaniami ktokolwiek inny, ktoś, kto znalazłby się nagle w innej - również gotowej - sytuacji, na przykład funkcyjny więzień polityczny Glas, który nie był skłonny sprostać swojej sytuacji, jeśli chodzi o owych 340 kamiennych śmierci, i dlatego trafił do komanda karnego? Pewna sytuacja stworzyła Buchenwald; Buchenwald - pośród wielu innych sytuacji - stworzył sytuację żony komendanta obozu; ta sytuacja z kolei stworzyła Ilse Koch, która - jak by to

powiedzieć - tchnęła w tę sytuację życia, i w ten sposób ona również stworzyła Buchenwald, którego bez niej niepodobna już sobie wyobrazić. Ile jeszcze było sytuacji w samym tylko totalitarnym świecie Buchenwaldu? Nieomal nie śmiem postawić pytania, które tkwi we mnie nieodparcie: czyim dziełem w końcu były przyciski na biurko wykonane z czaszek, abażury i okładki na książki z wyprawionej ludzkiej skóry?... Odłożyłem zdjęcie Ilse Koch: nigdy się nie dowiem, co ona sama myślała o swoim życiu komendantki, «Komman-deuse». Ponieważ milczała, odciała możliwość przekazu wiedzy na ten temat. Nie poznam jej codziennych przeżyć, szarych, powszednich dni w kieracie zbrodni. Nie potrafię dociec, czy w jej bilansie emocjonalnym przeważała w końcu zmysłowa rozkosz, czy nuda, spełniona ambicja czy irytujące chwile niezaspokojenia, nie potrafię odsłonić do końca jej własnej nerwicy, psychozy - słowem, sekretu jej osobowości. Mogę ją uważać za pospolitą sadystkę, która czuła się w Buchenwaldzie jak w domu i wreszcie miała okazję dać upust swoim ohydnyim instynktom. Ale mogę też myśleć, jak by to powiedzieć, że była osobowością bardziej złożoną: swoją nieoczekiwaną i niepojętą sytuację być może próbowała uporządkować, uciekając się do jeszcze

bardziej nieoczekiwanych i niepojętych gestów, choćby po to, by dla samej siebie uczynić ją bardziej intymną, bardziej swojską, i żeby dzień w dzień widzieć dowody na to, jak świetnie da się żyć w tym, w czym się żyć nie da, jak bardzo naturalne jest to, co nie do wiary... Wszystko to jednak nie ma żadnego znaczenia: Ilse Koch mieści się bowiem w pewnej średniej, którą można wyznaczyć pomiędzy nią a jej sytuacją, w pewnym wzorze, w którym jej samej może nawet nie ma. Tak; jej postać tylko wówczas poddaje się przekazowi, gdy ją wyabstrahujemy, gdy - by tak rzec - pominiemy ją samą. Im gorliwiej staralibyśmy się wyobrazić ją sobie jako postać ważną, tym bardziej degradowalibyśmy wagę tego, co ją otaczało: autentyczność świata opartego na mordowaniu; ponieważ przypisując jej istotę tego zjawiska, musielibyśmy ją tym samym odjąć owemu światu.

Być może - pomyślałem - ów brak istoty jest właśnie tragedią. Tyle że o to rozbija się każdy przekaz bazujący na reprezentatywnych postaciach. Bo tragiczne postaci żyją w świecie opartym na kategorii losu, perspektywą tragedii jest wieczność; tymczasem świat systemów totalitarnych, systemów przemocy, to ograniczony i nieprzekraczalny świat sytuacji pozbawionych innej perspektywy aniżeli czas historyczny, w którym właśnie trwają. Jak więc dałoby się przekazać doświadczenie, które nie potrafi i nie chce sprowadzić się do doświadczenia, ponieważ istotę tworzących je sytuacji - nazbyt abstrakcyjnych i nazbyt konkretnych jednocześnie - stanowi osobowość nieistotna, pozbawiona wagi i zawsze możliwa do zastąpienia kimś innym, a zatem niemająca początku ani dalszego ciągu, ani też żadnej analogii - czyli nieprawdopodobna, gdyby zastosować

58

59

miarę rozumu. Może - zastanawiałem się - trzeba by zbudować pewną konstrukcję, rodzaj obrotowej maszyny, pułapki; w której bezustannie biegliby w czymś na kształt labiryntu, zawsze jednak w tym samym kierunku, stymulowane jedną mechaniczną siłą, wzięte do niewoli figury, niczym elektroniczne myszy. Wszystko drży, trzeszczy, wszyscy się nawzajem tratuja, aż tu nagle maszyna pęka, rozpada się; wówczas, po chwili pewnego zaskoczenia i oszołomienia, figury się rozbiegają. Ale niewyjaśniona pozostaje tajemnica, zasada działania owej maszyny, zbyt prosta i zbyt upokarzająca, by ocaleni chcieli ją poznać; a mianowicie, że mechanizm, który ich poganiał, czerpał energię z ich własnego biegu...

Ale dam już temu spokój, zanim - jak to się mówi -pióro mnie poniesie. Po co się grzebię w tych odłożonych dawno do szuflady zeszytach, w tym imponującym stosie kartek z oślimi uszami, po co kopiuję szkic nigdy niena-pisanego wypracowania? Dla przypomnienia, dla oddania mojego ówczesnego stanu ducha. Przecież dopiero co rozmyślałem o tych sprawach; do tej pory jednak nigdy nie przyszło mi do głowy, by obwieszczać sam fakt, że myślę. Swoją powieść pisałem oczywiście z jakiegoś wewnętrznego przekonania, ale nie chciałem nią nikogo o niczym przekonywać. Komedia pisałem bez żadnego wewnętrznego przekonania, ale dostawałem za nie pieniądze. Teraz natomiast stoję w obliczu pewnej pracy teoretycznej: pochylić się nad tymi

sprawami, poznać je i wyrobić sobie o nich opinię, po czym z tą opinią i poczuciem pewności siebie wystąpić publicznie - do tego, aby przekonać innych, musiałbym dysponować niezbędną nadwyżką własnego przekonania. A zatem muszę przyjąć, że kiedy skończyłem powieść,

60

zaszła we mnie jakaś zmiana; albo przynajmniej zrodziła się we mnie gotowość do owej zmiany. Tak; starannie ukrywając swój cel, krok po kroczku, chytrze i podstępnie uczepliłem się ostatecznie pewnej błędnej idei. W końcu, gdybym się zastanowił, to chyba znalazłbym motyw, który mną kierował. Jasne jest, że ze swojego czynu, którego już nie da się naprawić, który bezpowrotnie zabrał mi kawał życia, czyli z napisania pewnej powieści, chciałem koniecznie wyciągnąć jakiś wniosek - tymczasem zapomniałem o tym, że może sama powieść zrodziła się właśnie z moich wątpliwości, z mojej niepewności. Mam wrażenie, że - przynajmniej w głębi ducha - zacząłem już swój los postrzegać jako los pisarza; jeśli nawet nie przyznawałem tego otwarcie, to zacząłem już swoje myśli wyposażać w taką cechę, która mnie obliżowała do ich publikowania, innych zaś do zapoznania się z nimi.

Kto wie, dokąd by mnie to wszystko zaprowadziło. W tamtych dniach czułem się chyba gotowy do uznania swego przyszłego życia za niewyczerpane źródło myśli, które należy przedstawić publicznie; ażeby rezultat swoich rozważań od razu przelewać na papier; ażeby z kopiami tego mojego tryumfального dokonania odwiedzać redakcje i wydawnictwa i na twarzach ludzi, by nie powiedzieć, w ich sposobie życia, szukać śladów wpływu, jaki wywarło to, co napisałem. Pośród ogłuszających fanfar ważkich wypowiedzi, kompetentnych poglądów i nieodwołalnych opinii sam zacząłbym wkrótce trąbić na swojej trąbce. Moja ręka wypuszczona na gładki jak lustro papier niczym nieokiełznany szaleniec ślizgałaby się po nim, kreśląc długopisem, jak łyżwą, skomplikowane esy-floresy. Pisałbym, jak gdybym chciał uniknąć jakiejś katastrofy - tej mianowicie, że nie piszę.

61

Pisałbym zatem, aby tylko, broń Boże, nie wyszło na to, i że nie piszę; pisałbym, aby w każdej minucie zagarniać! pod siebie czas i aby zapomnieć, kim jestem: końcowym produktem determinant, katastrofą przypadków, igraszką biologicznej elektroniki, mimowolną niespodzianką własnego charakteru".

Stary siedział przed sekretarzykiem i nic nie robił.

Nie myślał.

Ani nie czytał.

„To było bardzo głupie, że wyjąłem te swoje papiery"

- pomyślał potem.

„...Z tego punktu widzenia - w każdym razie tylko z tego jednego punktu widzenia - w dobrym momencie przyszedł ów list, który otrzymałem dwa dni po swojej ostatniej wizycie u człowieka z wydawnictwa".

- Aha! - powiedział stary, biorąc do ręki wzięty już raz do ręki i przeleciany wzrokiem zwykły handlowy list (z nadrukiem firmowym, miejscem na datę - 27 VII 1973 -na nazwisko referenta - niewypełnionym, tematem - nieokreślonym, numerem akt - 482/73 - bez nagłówka), który teraz w całości - jakbyśmy zaglądali staremu przez ramię

- możemy przeczytać sami:

Nasi lektorzy przeczytali Pański rękopis i na podstawie ich zgodnej opinii komunikujemy, że nie możemy się podjąć wydania Pana powieści

Sądzymy, że artystyczne ujęcie materiału Pańskich przeżyć jest nieudane, chociaż sam temat - wielki i wstrząsający. Fakt, że mimo to Pańska powieść nie staje się dla czytelnika poruszającym przeżyciem, wynika przede wszystkim z dziwnych, oględnie mówiąc, reakcji głównego bohatera. Możemy jeszcze zrozumieć, że Pana nastoletni bohater nie od razu pojmuje, co się dokoła niego dzieje (powo-

62

lanie do służby pracy, obowiązek noszenia żółtej gwiazdy itd), ale nie potrafimy już sobie wytłumaczyć, dlaczego, kiedy znalazł się w obozie koncentracyjnym, „podejrzani" wydają mu się



ogoleni na łyso więźniowie. Niesmaczne uwagi ciągną się dalej: „Ich twarze też nie budziły zaufania: odstające uszy, sterczące nosy, wpadnięte, małe, chytrze błyszczące oczka Wyglądali naprawdę na Żydów, pod każdym względem”.

Niewiarygodne jest również to, że widok krematorium wywołuje w nim wrażenie „jakiegoś żartu”, „sztubackiego psikusa”, chociaż wie, że znajduje się w obozie zagłady i sam fakt, że jest Żydem, wystarczy, by został zamordowany. Jego postawa, jego | przykre uwagi odpychają i rażą czytelnika, który z irytacją czyta również zakończenie powieści bo przecież dotychczasowe zachowanie głównego bohatera, jego brak współczucia, nie daje podstaw, I żeby wyrokował on w sprawach moralności żeby pociągał kogoś do dpowiedzialności (np. robiąc wyrzuty mieszkającej w jego domu zinnie żydowskiej). Musimy też odnieść się do stylu. Duża część tn jest niezręczna, sformułowana zawile, często, niestety, trafiają • takie zwroty jak: „w rzeczywistości z grubsza biorąc” ... Dlatego zwracamy Panu rękopis. Zpoważaniem.

„...Ten list sprawił, że miałem przynajmniej pełne wrażen [ przedpołudnie: i dziś jeszcze myślę o nim z pewną nostalgią. Jeśli nawet byłem trochę zaskoczony, to nie więcej, niż bywa człowiek, który wyrznie głową o jakiś występ w murze, choć od dawna wie, że ów występ znajduje się za nisko i że prędzej czy później się o niego uderzy. Niech-bym przynajmniej dostrzegł jakąś emocję i nieubłaganą przenikliwość, choćby płynącą z gniewu czy niesprawied-j liwego sądu - jakiegokolwiek uczucie i zrozumienie godne tematu!

63

Potem, jak pamiętam, niesłychanie ubawił mnie ów gest, ów bardzo pewny siebie, zdecydowany gest, jakim nieomal wywłaszczono mnie z celu mojego, nawet dla mnie samego problematycznego i wypływającego z niezupełnie jasnych pobudek, przedsięwzięcia, aby zaraz je unicestwić; albo-) wiem wedle tezy zawartej w tym liście, jeśli dobrze zrozu-! miałem, napisałem powieść wyłącznie po to, żeby trafiła w końcu do sekretariatu jakiegoś wydawnictwa, gdzie zapadają decyzje w sprawach tego rodzaju produktów. Komizm owego niesłuchanego braku proporcji wprawił w ruch nawet moją przeponę. Bo przecież nie mogę zaprzeczyć: w końcu zaniósłem swoją powieść do wydawnictwa. Ale był to jedynie przejściowy etap w pewnym ciągu wydarzeń, który płynący czas i kolejne wydarzenia - jak na przykład ów doręczony mi list - usunęły w cień. No i? - pytam się: czy przez to zostało wymazane to, czego dokonałem? Przeciwnie; zostało przypieczętowane, ponieważ - i ta zasadnicza okoliczność nie uszła mojej baczonej uwagi - ów energiczny ruch, którym zmieciono moją powieść, jest jednocześnie pierwszym faktycznym, można powiedzieć, pierwszym wiarygodnym dowodem, że powieść naprawdę istnieje. Tak, mogłem sobie powiedzieć, że amorficzny czas, który mam za sobą, właśnie w świetle tego listu zyskał wyraźne kontury; że moja sytuacja jeszcze nigdy nie wydawała mi się taka prosta, dająca się właściwie zawrzeć w jednym jasnym zdaniu: napisałem powieść, którą - przypuszczalnie z braku znajomości rzeczy i odwagi, jak również ewidentnie złej woli i głupoty - odrzucono.

Być może, a nawet dziś już to wiem na pewno, popełniłem błąd, kiedy zatrzy...” .. Dzwonek do drzwi?

Stary poluzował sobie w uchu woskową zatyczkę.

-Już drugi raz dzwonię! - wyrażała niezadowolone matka starego, energicznym (i nieco bojowym) krokiem, który maskował jej wiek, przemierzając położony wzdłuż linii wschód-zachód przedpokój, po czym, wyminawszy drzwi z grubą, matową szybą (które to drzwi z powodu braku powietrza w przedpokoju jak zawsze, tak i teraz były otwarte), znalazła się po chwili przed sekretarzem (oczywiście biorąc pod uwagę znane już okoliczności) (których zatem nie ma powodu raz jeszcze tutaj przedstawiać) (a więc jedynie zreasumujmy: jeśli mówimy, że matka starego znalazła się przed sekretarzem, należy to rozumieć w ten sposób, że jakkolwiek stała naprzeciwko sekretarza, to w rzeczywistości stała obok stołu - ściślej zaś obok stołu, jedyne w mieszkaniu stołu z prawdziwego zdarzenia) i (zmieniając błyskawicznie okulary noszone na ulicy na okulary do czytania) czytała.

Stary nie lubił, jak mu ktoś podczytywał rękopis.

- Nie lubię - powiedział - jak mi ktoś podczytuje rękopis.

- A co - spytała matka starego - to jakaś tajemnica?

- Właściwie tak - stary podrapał się po głowie.
- Widzę, że znowu zajmujesz się swoimi prywatnymi sprawami - powiedziała matka.
- Tak - przyznał stary.
- Odrzucili ci powieść? - spytała matka, i było w tym bez wątpienia więcej surowości niż Schadenfreude.
- Jeszcze jej nawet nie napisałem - mruknął stary.
- Ale tutaj czytam, że napisałeś powieść, którą odrzucili!
- To była inna powieść. Czy nie byłoby ci wygodniej w fotelu? - spróbował stary.

64

65

- A to co takiego? - matka starego wzięła do ręki leżący na brzegu szarej teczki i służący jako przycisk również szary (choć w trochę ciemniejszym odcieniu szarości) kamień.
- Kamień - powiedział stary.
- Widzę, że kamień. Nie mam jeszcze, chwała Bogu, sklerozy. Ale do czego ci on potrzebny?
- Potrzebować to go nie potrzebuję - mruknął stary.
- No to do czego służy?
- Nie wiem - powiedział stary. - Jest.

Matka starego siedziała na fotelu na północ od kaflowego pieca, przy ministoliku dziecięcym ze specjalnie klejonej tarcicy I kl. (który, jeśli chodzi o funkcjonalność, był raczej stolikiem na drobiazgi, na przykład papierosy).

- Pewnych rzeczy u ciebie - powiedziała - nigdy nie mogłam zrozumieć.
- Napijesz się kawy? - spróbował stary.
- Owszem. Na przykład - powiodła wzrokiem od stojących w południowo-zachodnim kącie pokoju, zrobionych z dawnego pojemnika na pościel, biblioteczek i sekre-tarzyka, tworzących hybrydę, centaury (jeśli wolno nam użyć takiego niejasnego określenia), do (stosunkowo) nowoczesnych tapczanów zajmujących północno-wschodni róg pokoju - tego, że jesteś w stanie ograniczyć wszystkie swoje potrzeby tylko po to, żeby nie musieć pracować.
- Przecież pracuję - tłumaczył stary (choć z niezupełnie czystym sumieniem) (bo już dawno powinien był się wziąć do pisania książki, skoro taki miał zawód) (czy też -gwoili ścisłości - sytuacja tak się ułożyła, że pisanie książek stało się jego zawodem) (bo innego zawodu nie miał).

66

- Nie o to mi chodziło - powiedziała matka. Dlaczego nie pójdziesz gdzieś na posadę? Przecież wtedy spokojnie też mógłbyś pisać.
- Nic nie umiem; zapomniałaś wyuczyć mnie jakiegoś intratnego fachu.
- Poczucie humoru to ty masz - powiedziała matka.
- Jakiś czas z tego żyłem - przypomniał stary.
- Dlaczego i teraz nie weźmiesz się raczej do komedii? - spytała matka.
- Bo nie chcę, żeby ludzie się śmiali. Zazdroszczę im tego.
- „Trzeba by wymienić tę uszczelkę” - pomyślał stary, parząc kawę.
- Nawet nie spytasz, po co przysłałam - powiedziała matka.

Faktycznie; matka starego nie miała zwyczaju przychodzić do starego, to raczej on odwiedzał matkę (raz w tygodniu, w niedzielę między siódmą a dziesiątą wieczór), (w przerwach zaś odbywali codzienne rozmowy telefoniczne, z których mógł się dowiedzieć, jak się matka czuje, oraz, io się z nią) (lub z należącymi do niej przedmiotami osobistego użytku bądź domowymi sprzętami) (ważnego lub nie bardzo ważnego) (dzieje), (w każdym razie były to istotne wydarzenia) (które każdorazowo nabierały wagi przez to, że wiązały się zawsze z nią) (lub z należącymi do niej przedmiotami osobistego użytku bądź domowymi sprzętami) (.1 więc bojlerem, kilimem na ścianie, kranem w kuchni itd.).

- Krótko mówiąc - ciągnęła matka starego - dostałam wreszcie poważną ofertę na swoje ogłoszenie.

Matka starego bowiem - jak to wynika również z powyższej informacji - dała ogłoszenie.

67

W ogłoszeniu tym oferowała pokój (ale duży pokój,, z wszelkimi wygodami i w otoczeniu zieleni) w zamian za dożywotnie utrzymanie.

Matka starego utrzymywała się z emerytury (czy też - mówiąc ściśle - nie mogła się z niej utrzymać).

Żeby dorobić do emerytury, starsza pani pracowała przez cztery godziny dziennie jako stenotypistka i maszynistka w pewnym reprezentacyjnym przedsiębiorstwie handlu zagranicznego. Z upływem lat jednak nie tylko stary, ale i matka starego robiła się stara (jakkolwiek wolniej, w mniejszym stopniu i bardziej się przed tym wzbraniając niż stary) (ale i ona musiała przyjąć do wiadomości oznaki starzenia się takie) (jak na przykład ból w krzyżu, kiedy pisała na maszynie) (czego - a mianowicie pisania na maszynie - z tej właśnie przyczyny musiała zaniechać). Toteż sytuacja, że matka starego (aby uzupełnić emeryturę) potrzebowała miesięcznie jeszcze dwóch tysięcy forintów, nie uległa zmianie.

Ale stary nie miał na plusie (czasem nawet miał na minusie) dwóch tysięcy forintów.

Dlatego zamieściła ogłoszenie, oferując pokój w zamian za dożywotnie utrzymanie (duży pokój z wszelkimi wygodami i w otoczeniu zieleni) (czyli to mieszkanie, w którym stary - jako najbliższy członek rodziny - był zameldowany na stałe, ale gdzie nigdy, choćby tymczasowo, nie mieszkał) (i skąd musiał się teraz przemeldować do mieszkania, w którym jako mąż zameldowany był tymczasowo, ale gdzie od lat mieszkał na stałe) (żeby ustąpić miejsca temu, kto podjął się płacić koszty utrzymania, kto jednak, zameldowany wprawdzie na stałe - w myśl umowy o tak zwanym

68  
dożyciu - nie będzie mieszkał w mieszkaniu matki starego choćby tymczasowo) (niecierpliwie czekając w obecnym

- przypuszczalnie nieodpowiadającym jego potrzebom -miejscu zamieszkania na zgon starszej pani, który jest nieuchronny, nawet gdyby starsza pani żyła najdłużej, jak to możliwe...) (słowem, aż odziedziczy opróżnione w wyniku owego nieuniknionego zdarzenia mieszkanie) (co dla obu stron - utrzymującego i utrzymywanej) (dokładnie kalkulując przewidywane koszty i liczbę lat) (mając na uwadze ostateczny rezultat, wynikający z długości ludzkiego życia, powinno się w sumie okazać sprawiedliwą, sensowną i wzajemnie korzystną transakcją).

- Krótko mówiąc, musisz załatwić wymeldowanie - powiedziała matka.

- Dobrze - powiedział stary.

- Ale możliwie jak najszybciej; nie tak, jak zwykle załatwiasz swoje sprawy - dodała matka.

- Dobrze - powiedział stary.

- Nie możesz ode mnie wymagać, żebym na starość żyła w nędzy.

- Boże uchowaj - powiedział stary.

- To nie moja wina - ciągnęła matka. - Mogłeś inaczej urządzić się w życiu.

- Bez wątpienia - przyznał stary.

- Chciałam wam zostawić to mieszkanie.

- Nie przejmuj się tym, mamó - powiedział stary. - Dobra kawa?

- Twoja kawa zawsze jest dla mnie za mocna.

„No, to dzisiejszy dzień mam już z głowy” - pomyślał stary, kiedy matka wyszła.

„Trzeba by wymienić uszczelkę w ekspresie do kawy”

- stary nie przerywał myślenia.

69

#

„Ale gdzie, do cholery, są uszczelki?” - pomyślał później (kiedy na swoim miejscu) (czyli w miejscu, gdzie spodziewał się je znaleźć) (ich nie znalazł).

Tak się więc złożyło, że stary stał przed sekretarzykiem i trzymał w ręce płaski, kwadratowy kawałek drewna.

Na ten kawałek drewna o wymiarach mniej więcej 7na 7 centymetrów, z jednej strony surowy, z drugiej pokryty paroma warstwami białej farby (która z biegiem czasu żółkła) natrafił w jednym z kartonowych pudeł zawierających rozmaite przedmioty (potrzebne i niepotrzebne), pośród których - jak sobie wyobrażał - mogą się również znajdować potrzebne mu uszczelki.

Zamiast nich jednak natknął się na ten kawałek drewna, pozostały po dwóch różnej wielkości, pokracznych szafach w przedpokoju - przez długi czas skutecznie wywołujących nieprzepartą niechęć żony starego (kawałek drewna wart wspomnienia z powodu widniejącej na nim woskowej pieczęci) (z nieczytelnym już prawie napisem, przykrytym paroma warstwami białej - z czasem pożółkłej - farby, którą kilkakrotnie w ciągu lat malowano szafy).

„Na próżno mówiłem, żeby oszczędzić tę woskową pieczęć!” - rozżłościł się stary (w myślach). W tym miejscu naszej historii - kiedy stary stał przed sekretarzykiem i trzymał w ręku ów kawałek drewna (wart wspomnienia z powodu widniejącej na nim woskowej pieczęci) - spośród liter oryginalnego napisu umieszczonych kółkiem na pieczęci można było odczytać jedynie URZ, tuż przed tym prześwitywało coś w rodzaju kropki, nieco wcześniej OP, natomiast jeszcze wcześniej - przy odrobinie dobrej woli - można się było dopatrzeć WE (URZĄD BEZPIECZEŃSTWA WEWNĘTRZNEGO. OPIECZĘTA

70

WANE); napis ten - jak sam głosi - umieszczono tam po to, żeby drzwi szafy w przedpokoju były zamknięte na klucz (nie wyklucza to jednak możliwości wyważenia fornirowej płyty tworzącej tylną ścianę szafy) (co się zresztą zdarzyło) (bo - niezależnie od późniejszych, oczywistych już dowodów - jak inaczej można wyjaśnić fakt, że kiedy pewnego letniego wieczoru żona starego) (która wtedy jeszcze nie była żoną starego) (a stary też nie był jeszcze stary) (co więcej, tych dwoje nawet się jeszcze nie znało) (słowem, tego letniego wieczoru przyszła żona starego na próżno próbowała własnym kluczem otworzyć drzwi własnego mieszkania i musiała - jako że w środku widać było światło - zadzwonić) (jak inaczej zatem można wyjaśnić fakt, że nieznaną, niską, krępa, z twarzy przypominająca nieco prosiaka kobieta, która na dźwięk dzwonka otworzyła drzwi, miała na sobie skrócony i dopasowany do własnej figury jej - przyszłej żony starego - szlafrok, a ten fakt w owej krótkiej chwili też nie uszedł uwagi przyszłej żony starego, kiedy przedstawiła się nieznaną kobiecie, która następnie, wydając pełen wzburzenia okrzyk) („Jak to? To pani jeszcze żyje?”) (natychmiast zatrzęsła jej drzwi przed nosem) (wskutek czego - cóż innego jej bowiem pozostało - żona starego) (która jeszcze wówczas nie była jego żoną) (co więcej, jeśli chodzi o ich znajomość, to też poznali się trochę później) (stojąc wobec perspektywy spędzenia tej letniej nocy na ulicy) (i wobec jeszcze bardziej niepewnego jutra) (z bardzo kiepskimi widokami na przyszłość, wróciła zaraz tam, skąd wyruszyła do swojego mieszkania) (czyli do Urzędu Bezpieczeństwa Wewnętrznego) (gdzie oficera, który ją przedtem - na mocy urzędowego dokumentu - wypuścił, zmuszona była prosić, żeby

71

dał jej nocleg na tę jedną noc, jeśli nie ma innej możliwości, to w jej dawnej celi, gdzie z pewnością czeka na nią jej dawna prycza i dawny koc) (które to życzenie okazało się niemożliwe do spełnienia, jako że już - na mocy urzędowego dokumentu - została zwolniona) (tak więc oficer mógł jej zaoferować jedynie skórzany fotel stojący w rogu jego pokoju, natomiast on - oficer - całą noc zwalniał więźniów - w oparciu o urzędowe dokumenty - rano zaś) (wyczerpany tym całonocnym zwalnianiem, wyschnięty na wiór i żółty od tytoniu) (niczym jeden z niezliczonych niedopałków, które wysypywały się już z popielniczki po owych całonocnych czynnościach towarzyszących zwalnianiu) (wyruszył z nią do odpowiedniego miejskiego urzędu lokalowego, żeby wyjaśnić, jak to się stało, że przydzielili komuś mieszkanie zaplombowane przez Urząd Bezpieczeństwa) (który to fakt sam w sobie powinien być traktowany jako tajemnica państwowa) (co za tym idzie, nie tylko bezprawna procedura, lecz również przeciek adresu nasuwał podejrzanie, że popełnione zostało przestępstwo przekupstwa) (jakkolwiek nigdy nic takiego nie wyszło na jaw) (również mieszkanie po trwającym zaledwie rok procesie trafiło z powrotem do żony starego jako prawowitej właścicielki) (którą teraz już bez zastrzeżeń możemy nazywać żoną starego, bo) (jakkolwiek stary nie był wtedy stary) (i jego żona nie była jeszcze jego żoną) (to przynajmniej już się znali) (a nawet prowadzili wspólne gospodarstwo) (o ile, rzecz jasna, ich gospodarstwo można było nazwać gospodarstwem).

Taki więc był powód, dla którego nawet i dziś jeszcze - w tym późnym okresie naszej historii - stary rozżłościł się, że - wbrew wszystkim jego wcześniejszym przestrogom -

woskowej pieczęci (zachowanej na kawałku drewna, który trzymał w ręku) jednak nie oszczędzono. „W końcu pamiątka to pamiątka” - złościł się dalej. „I tak nie pozostało po tym wszystkim nic, prócz tego kawałka drewna” - nadal się złościł.

\*

„To było dosyć nieprzyjemne” - twarz mu się nagle rozjaśniła (jak gdyby pod wpływem jakiegoś wspomnienia) (które to wspomnienie miało widoczny związek z pewną zabawną) (choć dosyć nieprzyjemną) (jakkolwiek te dwa elementy wcale się wzajemnie nie wykluczają) (a nawet ich ' jednoczesna obecność dodaje pikanterii każdej prawdziwej zabawie) (zakładając, że jesteśmy w stanie docenić humor dosyć nieprzyjemnej chwili) (na przykład kiedy się okazuje, że nie mamy żadnego rzeczowego dowodu na wydarzenie, które uważamy za niezwykle ważne dla naszego życia, że zatem istnieje ono jedynie w naszych gołosłownych wspomnieniach) (słowem, rozjaśniona twarz starego miała niewątpliwie związek z pewną dosyć nieprzyjemną i jednocześnie zabawną chwilą).

Stary bowiem parę lat później - i parę (wiele) lat wcześniej - wpadł na pomysł, żeby jego żona na wszelki wypadek (i to słowo należy tutaj rozumieć dosłownie, czyli na taki wypadek, który jedynie zakładamy, ale nie zaszkodzi, gdy się nań przygotujemy) (jeśli logicznie poprawne jest rozumowanie, że możemy przygotować się na coś, o czym nawet nie mamy pojęcia), żeby więc na wszelki wypadek wystąpiła o rehabilitację (tak jak to jest w zwyczaju) (jeśli nie chcemy, żeby sam fakt naszego ukarania przypisywano nam jako naszą własną winę).

Oficer śledczy wysiadł z samochodu. Przedstawił się.

72

73

Usiadł (nie w jednym z foteli stojących na północ albo na zachód od kaflowego pieca) (jako że te wówczas jeszcze nie istniały) (lecz przypuszczalnie w owym wyplatany fotelu - z plecionką podartą tuż przy drewnianej ramie -który, wraz z dwoma taboretami, również z podartą plecionką, z niepolakierowanym kolonialnym stołem, z dwiema reklamierami) (środek jednej z nich w miejscu, w którym siadła sprężyna, wypełniony był książkami) (jak również z dwoma kocami udającymi dywan na podłodze stanowił ówczesne wyposażenie mieszkania).

Poprosił o pisemny akt zwolnienia.

Wówczas nastąpił ten wspomniany wyżej jednocześnie zabawny i dosyć nieprzyjemny epizod, który charakteryzował się tym, że stary (który wówczas jeszcze nie był stary) i jego żona wymieniali bezradne spojrzenia, w pośpiechu wyciągali szuflady, gorączkowo szperali pośród bielizny, dopóki nie okazało się, że jedyny rzeczowy dowód zwolnienia (a zwłaszcza uprzedniego aresztowania) - mianowicie ów akt - zapewne w jakimś wynajmowanym mieszkaniu (lub w czasie przeprowadzki z jednego wynajmowanego mieszkania do drugiego) przepadł bez śladu, jak wszystko na to wskazuje.

Nic nie szkodzi - powiedział śledczy (potężnie zbudowany, życzliwy człowiek w ortalionowym płaszczu) - on zajmie się tą sprawą, poszuka w aktach.

Parę dni później (potężnie zbudowany, życzliwy człowiek w ortalionowym płaszczu) pojawił się znowu.

Usiadł.

Był zmieszany.

- Proszę pani - powiedział - przecież pani była niewinna.

- Oczywiście - potwierdziła żona starego (wtedy jeszcze nie była żoną starego).

- Nie ma nawet protokołu z pani przesłuchania - ciągnął śledczy - jest tylko dokument kilkakrotnie przedłużający areszt śledczy. Przeciwnie pani nie wniesiono oskarżenia.

- To prawda - potwierdziła żona starego (który wtedy jeszcze nie był stary).

- Jak by to powiedzieć... Nawet fałszywego oskarżenia.

- To prawda.

- Nie mówiąc o wyroku.

- To prawda.

- No więc, proszę pani, w tym właśnie problem - śledczy (potężnie zbudowany, życzliwy człowiek w ortalionowym płaszczu) wyraźnie stracił pewność siebie. - Bo, prawda... Że tak powiem... My

możemy kogoś zrehabilitować, tylko jeśli odbyło się dochodzenie, zapadł wyrok, a przynajmniej zostało wniesione oskarżenie. Ale w pani wypadku... Proszę mnie dobrze zrozumieć... Przecież w pani dokumentach nie ma po tym śladu, nie ponosi pani konsekwencji, nie ma pani w rejestrze skazanych... Słowem, nie ma powodu, by panią rehabilitować, nie ma z czego.

- A ten rok w więzieniu? - spytała żona starego (wtedy jeszcze nie starego).

Śledczy rozłożył ręce, spuścił wzrok: było po nim widać, że uważa tę sytuację za kwestię sumienia. Czas jakiś siedział jeszcze w wyplatanej fotelu, z plecionką podartą tuż przy drewnianej ramie. „Staraliśmy się go pocieszyć, ale był niepokieszony” - stary rozpogodził się (w myślach) na to wspomnienie.

„...prosta, dająca się właściwie zawrzeć w jednym zdaniu... że moja sytuacja jeszcze nigdy nie wydawała mi się

74

75

!!

taka prosta... napisałem powieść, którą - przypuszczalnie z braku znajomości rzeczy i odwagi, jak również ewidentnie złej woli i głupoty - odrzucono.

Być może - a nawet dzisiaj wiem to już na pewno, popełniłem błąd, kiedy zatrzymałem się na tym stwierdzeniu. Powinienem być iść dalej, do końca, wyciągnąć wniosek ostateczny, odcinając sobie wszystkie drogi powrotu. Gdybym się wówczas zorientował i wszedł w rolę wynikającą z owej sytuacji, nigdy nie doszedłbym do punktu, w którym dziś jestem. Bo przecież nic tak nie zdoła pisarza jak fakt, że epoka, w której żyje, jest na niego ślepa, a dodatkowy klejnot w jego koronie stanowi połączenie owej ślepoty ze zmuszaniem pisarza do milczenia. Jednakże, chociaż napisałem powieść, a w trakcie pisania nie potrafiłem sobie wręcz wyobrazić innego zajęcia, to w gruncie rzeczy nigdy nie myślałem o tym jako o swoim zawodzie. I chociaż ta powieść była mi potrzebna bardziej niż cokolwiek innego, nigdy nie udało mi się przekonać samego siebie, że ja jestem; potrzebny. Wygląda więc na to, że nie potrafię przekroczyć granic swojej natury, moja natura zaś jest umiarkowana, niczym strefa klimatyczna, w której żyję. Moje uczucia zlekły się złowrogiej chwały porażki. Tym bardziej że jej miejsce zajęło coś innego, uczucie, które okazało się znacznie bardziej katoryczne aniżeli wszelki, mający czysto abstrakcyjną naturę zapach: poczucie winy, kiedy i żonie pokazałem ów list".

„Tego nie należało chyba robić...” - zawahał się stary.

„...Zwrot ten nastąpił tak niespodziewanie, że sam byłem

zaskoczony. Nie potrafiłem ustalić, jak do niego doszło:

mam poczucie winy dlatego, że odrzucili moją powieść, czy

może w ogóle, że ją napisałem; to znaczy, gwoli ścisłości,

czy miałbym poczucie winy również wówczas, gdyby wydawnictwo przypadkiem zawiadomiło mnie o przyjęciu powieści? - Nie wiem i nigdy już się tego nie dowiem; ale zaskoczony czułem, że gdzieś tam, w najdalszych zakamarkach mojego mózgu, trwają podstępne działania: tworzą się jakieś pozycje wojskowe, za nimi zajmują miejsca rozbudowane szeroko argumenty, aby na dany znak ruszyć do ataku. Ale moja opanowana żona bez słowa... Znam ten jej nikły, milczący uśmiech... Nie usłyszałem wyrzutów, które przyniosłyby mi ulgę, co... Czułem, jak rozplywa się znaczenie wszystkich powieści świata, wszystkich wydawnictw, a także jak nieważne jest to, co mam na swoje usprawiedliwienie. Byłem do głębi zraniony: w ponurym nastroju zjadłem obiad. Chyba już wówczas domyślałem się, co straciłem. Dzisiaj

- z większego dystansu - potrafię dokładnie ocenić, że straciłem nie tylko swoją rację, lecz również wygodę. Powiadam: wszystko zależało od tego, czy przyjmę, czy też odrzucę rolę, jaka wynikała z sytuacji. Jeśli odrzucę, to znaczy, że odrzuciłem przeznaczenie, otwierając pole czasowi i niekończącemu się zdziwieniu. Dopóki moje przeznaczenie było ze mną - czyli dopóki pisałem powieść - tego rodzaju trosk nie miałem. Ten, kto żyje zauroczony przeznaczeniem, uwalnia się od czasu. Rzecz jasna, czas i wówczas płynie i upływa, ale ile trwa, to nieistotne; służy jedynie temu, żeby spełniło się przeznaczenie. Człowiekowi niewiele już pozostaje: musi jedynie umieć zbankrutować i czekać. Ja umiałem. Kiedy zaś otrzymałem ów list, wszystko stało się chyba jeszcze

prostsze: czas się wypełnił

- czy, jak kto woli, nie miałem nic więcej do roboty. Przeznaczenie - taka jest w końcu jego natura - wyzułoby mnie

76

77

z wszelkiej istotnej, a zatem godnej namysłu przyszłości. Usidliłoby mnie w chwili, utopiło w porażce, niczym w kotle pełnym smoły; ugotuję się w nim czy zastygnę jak lawa - to w gruncie rzeczy wszystko jedno. Ale nie byłem dość przezorny. Nie zdarzyło się więc nic ponadto, że dyskretnie zaważyło się pewne wyobrażenie: to wyobrażenie - ja sam, jako produkt mojej twórczej wyobraźni, że tak powiem - nie istnieje już; to wszystko.

A przecież nie tak to planowałem. O, mój plan był naprawdę prosty, nie widziałem w nim niczego nieracjonalnego. Skoro już odzyskałem wolność, sam chcę wydać sąd o swojej powieści, zdecydować, jaka naprawdę jest, dobra czy zła - tak myślałem. Wydawało mi się: cóż prostszego. Nazajutrz rano, kiedy żona poszła do pracy, wyjąłem i położyłem przed sobą zapinaną na zatrask teczkę, po czym w dobrym nastroju, ochoczo i pełen uroczystego oczekiwania otworzyłem ją, żeby przeczytać swoją powieść. Po mniej więcej półgodzinie pełnych determinacji zmagani musiałem przyznać, że podjąłem się zadania niewykonalnego. Z początku jeszcze cieszyłem się z jednego czy drugiego dobrze napisanego zdania, z jednej czy drugiej trafnej przydawki. Ale prędko złapałem się na tym, że jedynie wodzę oczami po stronicach, że ciągle muszę wracać do tego, co już przeczytałem, bo mój wzrok notuje tylko puste zdania, wyzute z sensu. Karcilem się za to, próbowałem skupić uwagę; później przeciwnie, odpuściłem sobie, zaparzyłem kawę, zrobiłem przerwę. Ale to nic nie pomogło: nie mogłem opanować ziewania. Musiałem przyznać, że się nudzę: przy każdym wersie z góry wiedziałem, co przyniesie następny, z góry znałem każdy zwrot, każdy akapit, każde zdanie, a nawet każde słowo, również w toku myślenia nie odkrywałem niczego nowego, żadnej niespodzianki. Nie można w ten sposób czytać powieści. Od tamtej pory wiele razy już łamałem sobie głowę nad tym zjawiskiem. Wpadłem w pułapkę, to nie ulega wątpliwości. Żeby wydać rzeczowy sąd, musiałbym spojrzeć na swoją powieść oczami kogoś innego: spróbowałem więc czytać ją cudzymi oczami - nie myśląc o tym, że to inne, to wyobrażone spojrzenie również jest tylko moim spojrzeniem. Próbowałem oszukiwać - ale na próżno. Wygląda na to, że nie przeskoczę samego siebie, by następnie z odpowiedniego dystansu, chłodno obserwować swój cień pozostawiony na drugim brzegu. Nigdy się zatem nie dowiem, czy moja powieść jest zła, czy dobra. W porządku, dam sobie spokój. W gruncie rzeczy - stwierdziłem tymczasem - wcale mnie to nie interesuje. Jest taka, jaka jest, a dlatego jest taka, że inna być nie może - to przynajmniej w trakcie czytania zrozumiałem; jest taka i stanowi gotowy, skończony produkt, którego ja nie potrafię już zmienić, zresztą pewnie w ogóle nie byłoby to możliwe. Ale - i to było wielkie zaskoczenie - dlaczego ten produkt, ten przedmiot już nie jest mój? To znaczy, skoro nie jestem w stanie zrobić tego cudzymi oczami - dlaczego nie potrafię przeczytać własnej powieści własnymi oczami? Weźmy taki przykład: na kartach powieści pewien pociąg jedzie do Auschwitz. W jednym z bydlęcych wagonów siedzi skulony podmiot opowiadania, pewien chłopiec, który ma czternaście i pół roku. Teraz przeciska się do szpary okiennej. Na krańcach horyzontu wstaje właśnie czerwone, złowróżbne letnie słońce. W trakcie czytania dokładnie pamiętałem, jaką trudność sprawił mi ten opis, a także następny fragment. Na papierze w żaden sposób nie chciały

78

79

ożyć wydarzenia tamtego upalnego, letniego poranka. Tutaj w pokoju, gdzie mozoliłem się nad tekstem, było ciemno jak nigdy, znał stołu widziałem zamglone grudniowe przedpołudnie. Musiało się coś wydarzyć na ulicy, jakiś korek zapewne, bo pod moim oknem bez przerwy dzwoniły tramwaje. Aż tu nagle zdania ułożyły się, pociąg dojechał do celu, a podmiot opowiadania - chłopiec, który miał niewiele ponad czternaście lat - mógł wreszcie wyskoczyć z zatekłego mroku bydlęcego wagonu na zalaną słońcem rampę w Auschwitz. - Kiedy teraz czytałem ten fragment, wspomnienia odżyły we mnie, a jednocześnie stwierdziłem, że zdania następują po sobie w

organicznym porządku, jaki sobie wyobraziłem; no tak, ale dlaczego nie odżyło we mnie to, co poprzedzało owe zdania, to, co się wówczas działo, owo rzeczywiste niegdyś przedpołudnie w Auschwitz? Jak to się mogło stać, że te zdania zawierały dla mnie jedynie to, co widziałem w mojej wyobraźni: pewien wyobrażony bydłęcy wagon, pewien wyobrażony Auschwitz i pewnego wyobrazonego czternastoipółletniego chłopca - skoro owym czter-nastoipółletnim chłopcem byłem niegdyś ja sam?

Co się więc tutaj stało? Czym jest to coś, co lektorzy z wydawnictwa nazywają «artystycznym ujęciem materiału przeżyć»? Tak: co się stało z moim «materiałem przeżyć», gdzie się podziały moje przeżycia, gdzie zniknęły, gdzie uleciały zarówno z kartek papieru, jak i ze mnie? A przecież były: dwa razy ich doświadczyłem, raz - jako coś nieprawdopodobnego - w rzeczywistości, i drugi raz - wtedy były bardziej rzeczywiste - później, kiedy je wspominałem. Pomędzy tymi dwoma momentami zapadły w zimowy sen. W owej chwili zaś, kiedy uświadomiłem sobie, że muszę napisać powieść, nawet nie przyszły mi do głowy.

80

Zmagałem się z różnymi powieściami, żeby potem raz-dwa odrzucić je wszystkie; żadna nie okazała się tą jedyną możliwą powieścią, dla mnie jedyną możliwą. A potem nagle zrodziła się we mnie, niczym pomysł, wyłoniła gdzieś z mroku. Znalazłem się nagle w posiadaniu takiego materiału, który wreszcie podsunął określoną rzeczywistość mojej gorączkowej, dotąd jednak stale rozpadającej się wizji, i teraz oto ta wizja nagle zaczęła we mnie dojrzewać i puchnąć, niczym rosnące na drożdżach ciasto. Ogarnęła mnie dziwna euforia: żyłem podwójnym życiem: terażniejszym - niechętnie, na pół gwizdka, i swoją obozową przeszłością - której rzeczywistość krzyżowała się z czasem obecnym. Nieomal przeraziła mnie gotowość, z jaką się w niej zanurzyłem: nawet i dziś jeszcze nie potrafiłbym wskazać przyczyny osobliwej rozkoszy, jaka temu towarzyszyła. Nie wiem, może to wspomnianie daje ową przyjemność - zupełnie niezależnie od tego, co się wspomina, bo przecież nie mógłbym powiedzieć, żeby przebywanie w obozie koncentracyjnym było samą przyjemnością; fakt faktem jednak, że wystarczyło wówczas najmniejsze wrażenie, abym odpłynął ku swojej przeszłości. Auschwitz był we mnie, w moim żołądku, niczym niestrawiona kluska, która odbija mi się w najmniej oczekiwanych momentach. Wystarczyło, że zobaczyłem jakiś smutny pejzaż, jakąś szarą przemysłową okolicę, jakąś zalaną słońcem drogę, betonowe fundamenty rozpoczętej budowy, wystarczyło, że poczułem zapach smoły i surowych desek, żeby zaczęły mi się odbijać coraz to nowe szczegóły, obrazy, nastroje tak silnie, jakby to była obecna rzeczywistość. W pewnym okresie budziłem się co rano na placu apelowym w Auschwitz. Uplłynęło sporo czasu, zanim odkryłem,

81

że to wyobrażenie wywołuje we mnie pewien stały bodziec węchowy. Parę dni wcześniej kupiłem sobie nowy pasek do zegarka. Zawsze kładę zegarek tuż przy łóżku, na niskiej półeczce.

Prawdopodobnie proces wyprawiania skóry i dalszej obróbki pozostawił na pasku charakterystyczny zapach, który przypominał mi chlor i odległy smród trupów. Używałem potem tego paska jako środka pobudzającego: kiedy moje wspomnienia blakły, kiedy snuły się gdzieś ospale w zakamarkach mózgu, to właśnie dzięki niemu wywabiałem je z kryjówki - można powiedzieć, że zawącha-łem go doszczętnie. Ale nie stroniłem od żadnego środka, żaden wysiłek mnie nie przerażał; toczyłem swoją walkę z czasem i wymusiłem na nim to, co mi się należało. Nasyciłem się swoim własnym życiem. Byłem bogaty, ciężki, dojrzały, stałem na progu jakiejś przemiany. Czulem się jak dzika grusza, która pragnęłaby rodzić brzoskwinie.

Tylko że im żywsze były moje wspomnienia, tym żałośniej wyglądały na papierze. Dopóki wspominałem, nie potrafiłem pisać powieści; kiedy natomiast zacząłem pisać, przestałem wspominać. Nie żeby moje wspomnienia zaraz przepadły: one się tylko zmieniły. Przeobraziły się we mnie w coś, co przypominało zawartość szuflady, do której sięgałem w miarę potrzeb, jak po banknot, który mogłem rozmiąć. Przebierałem wśród nich: tego potrzebuję, tego zaś nie. Fakty z mojego życia, tak zwany «materiał przeżyć», tylko mi przeszkadzały, ograniczały mnie, utrudniały pracę - utrudniały stworzenie tej powieści, dla której na początku były warunkiem istnienia i którymi ona do końca się żywiła. Moja praca - pisanie powieści - nie składała się właściwie z



niczego innego niż z konsekwentnego zmierzania ku temu, by moje wspomnienia obumarły, uschły, a wszystko

82

po to, bym stworzył taką sztuczną czy, jak kto woli, artystyczną formułę, którą na papierze - i wyłącznie na papierze - mógłbym uznać za odpowiednik moich wspomnień. Żeby jednak napisać swoją powieść, musiałem ją uznać za taką samą powieść jak wszystkie inne, ogólnie rzecz biorąc, za twór składający się z abstrakcyjnych znaków, za dzieło sztuki. Nawet się nie spostrzegłem, kiedy wzięłem rozbieg i jednym długim susem przeskoczyłem daleko od tego, co osobiste, do tego, co przedmiotowe, ogólne; a teraz zdumiony rozglądam się wokół. A przecież nie ma się czemu dziwić: dzisiaj już wiem, że kiedy wzięłem się do pisania powieści, od razu wykonałem ten skok. Na próżno mozolnie próbuję cofnąć się do samego zamysłu, na próżno zdaję sobie sprawę, że początkowo moje ambicje dotyczyły tylko tej powieści, że nie widziały świata poza nią i nie wykraczały poza kartki tego rękopisu: powieść - już z samej swojej natury - tylko wówczas może być uznana za powieść, kiedy coś przekazuje. Ja również chciałem coś przekazać, inaczej nie pisałbym powieści: na swój sposób, wedle własnych założeń, przekazać materiał, który tylko ja mogę przelać na papier, mój materiał, samego siebie - bo przecież dusząc się od jego nadmiaru, napęczniały niczym wymię, zanim je wydoją, nie pragnąłem niczego innego niż wyrzucić z siebie to, co jest we mnie... O jednym tylko - co może naturalne - nie pomyślałem: samym sobie nigdy nie możemy przekazać samych siebie. Mnie wiozł do Auschwitz nie pociąg z powieści, tylko prawdziwy pociąg.

Tak to jest; jedynie tej drobnostki nie wzięłem pod uwagę. Kiedy bowiem zagłębiłem się w siebie, w swoje najbardziej prywatne życie («w swoje prywatne sprawy» - jak zwykła mawiać moja matka); kiedy po to, żebym mógł

83

spokojnie grzebać się we własnej świadomości, zamknąłem się na wszystko i na wszystkich; kiedy gorliwie zadbałem, żeby nikt mi nie przeszkadzał, wtedy, niczego nie podejrzewając, pilnie i z zapałem zacząłem pisać - dla innych. Bo dzisiaj już widzę wyraźnie, że pisać powieść to znaczy pisać ją dla innych - między innymi dla tych, którzy ją odrzucają.

Tyle tylko, że nie mogę pogodzić się z tą myślą. Bo jeśli taki miał być mój cel, to palnąłem straszne głupstwo: powinienem był raczej napisać coś innego, wypuścić jakiś przydatny produkt, na przykład komedię. Ale nie to miałem na celu, twierdzą niezmiennie; to stało się celem, dopiero kiedy pracowałem nad powieścią, można by rzec, bez udziału mojej świadomości i bez mojej zgody, a nawet tak, że tego nie zauważyłem. Nie przejmowałem się wcale tymi, dla których być może pisałem swoją powieść, a którzy w trakcie pisania nawet nie przychodzili mi na myśl! Cóż to byłby za zbieg okoliczności, a nawet jako zbieg okoliczności cóż za nieprzewidywalny, niczym nieusprawiedliwiony, wręcz idiotyczny przypadek, gdyby nasze wspólne sprawy - moja powieść i ich rozrywka - przypadkiem współgrały ze sobą?!... I choć to absurdalne, w praktyce - tylko w praktyce - do tego jednak dążyłem; muszę więc teraz powiedzieć, że nie osiągnąłem celu - tego celu, który nigdy nie był moim celem. Ale co w takim razie było moim celem, pierwotnym sensem mojego przedsięwzięcia? Słowo daję, nie pamiętam; możliwe, że nawet o tym nie myślałem; a teraz już nigdy się nie dowiem, bo ów sens w trakcie realizacji owego przedsięwzięcia gdzieś - któż to może wiedzieć gdzie - po prostu się zapodział.

Wstaję od stołu. Nogi, jak to się mówi, same mnie niosą, automatycznie ruszam w drogę po mieszkaniu. Przemie-

I

rzam pokój, przez otwarte drzwi idę dalej, do przedpokoju, prawym ramieniem objam się o otwarte drzwi do łazienki, dochodzę do końca mieszkania. Tutaj odwracam się na pięcie, omijam otwarte drzwi do łazienki, prawym ramieniem uderzam o szafę w przedpokoju, wchodzę do pokoju, dochodzę do okna, i w tył zwrot. To przestrzeń licząca na długość mniej więcej siedem metrów. Stosunkowo wygodna klatka. W tę i z powrotem, w tę i z powrotem; nawrót przy drzwiach, nawrót przy oknie. To był stały zwyczaj tego faceta, powieściopisarza, którym kiedyś - jeszcze parę miesięcy temu - byłem. Właśnie wtedy przychodziły mu do głowy najbardziej godne uwagi myśli.

Ja nie mam o czym myśleć. Ale powolutku coś jednak we mnie kielkuje. Kiedy oddzieliłam lekki zawrót głowy wywołany spacerem i inne przypadkowe wrażenia, natrafiam na uczucie, które daje się z grubsza opisać. Sądzę, że jest kwintesencją mojej sytuacji. Trudno by mi było wyrazić je słowami - bo przecież o to właśnie chodzi, że istnieje gdzieś w przestrzeni poza słowami. Nie da się zawrzeć ani w twierdzeniu, ani nawet w przeczeniu. Nie mogę na przykład powiedzieć: nie ma mnie, bo to przecież nieprawda. Swój stan, żeby nie powiedzieć aktywność, mógłbym wyrazić jedynie słowem, które nie istnieje. Czymś takim jak niejestem. Tak, ten właśnie czasownik zawierałby w sobie moje istnienie, a zarazem potrafiłby określić negatywny charakter tego istnienia - gdyby tylko, jak powiadam, taki czasownik istniał. Ale nie istnieje. Z pewną melancholią mógłbym zatem powiedzieć, że zgubiłem swój czasownik.

Mam dość spaceru; siadam. Przeciagam się i moszczę w fotelu. Przybieram pozycję embriona, niczym w łonie matki w Brobdingnag. Być może z nadzieją, że nigdy nie

84

85

będę się musiał stąd ruszyć, nigdy nie będę musiał przyjść na świat. Bo i po co? Poza tym boję się trochę tego nieznanego mi kogoś, kto się stąd w końcu z trudem podniesie. W pewnym sensie będzie to już ktoś inny, nie ten, do kogo przywykłem. Nie może być zresztą inaczej, bo przecież on ukończył swoje dzieło, wypełnił swoją misję: doprowadził mnie do bankructwa. Mnie samego zamienił w przedmiot, moją upartą tajemnicę w banał, moją niewysłowioną prawdę przedestylował i zostały znaki - przeniósł je do powieści, której nie mogę przeczytać; jest mi obca, podobnie jak obcy - i ona to sprawiła - stał mi się surowiec - najważniejszy z najważniejszych fragment mojego własnego życia - z którego powstała. Będzie mi go brakowało i pewnie... próżno bym zaprzeczał, pewnie będzie mi brakowało również tego kogoś, kto to wszystko zrealizował. Tak, siedząc w fotelu, naraz odnotowałem zaskakujące, nieodwracalne uczucie, które mnie zmroziło i wyjąłowiło, coś takiego, co się czuje, kiedy po hucznej zabawie wychodzi ostatni gość. Zostałem sam. Ktoś, pozostawiając w moim ciele nieomal fizyczną pustkę, odszedł i z szyderczym grymasem na twarzy po raz ostatni macha mi na pożegnanie ręką z najdalszego kąta pokoju. Patrząc za nim bezradny, nie mam siły go zatrzymać. Ale też wcale nie chcę: odczuwam wobec niego jakąś lekką, ale upartą złość - niech idzie w cholere, oszukał mnie..."

- Wejdz - powiedział stary, wejdz, głuptasie. :

- Pracowałeś?

- Owszem.

Rozwój wypadków w bistrze: Starsza Pani - oficjalnie kierowniczką... - niespodziewanie rzuciła się na bufet i porwała z gwoźdźca paragon (żeby skontrolować żonę starego) (a mianowicie czy zdała paragon na wszystko, co miała na tacy) (jakby - dajmy na to - nie robiła tego zawsze) (co nawet taka krzykliwa) (i zarazem bezsilna) (demonstracja udowodniła) (bo nie mogła udowodnić nic ponadto, że żona starego i tym razem) (jak zawsze) (paragon zdała).

- Gdybym chciała kraść - oburzyła się żona starego - to mogłaby sobie sprawdzać te paragony.

Wyniosłabym jej pod nosem połowę kuchni i też by nie zauważyła.

- Na pewno - przyznał jej rację stary. - A dlaczego tego nie robisz? - zapytał następnie, w roztargnieniu, jedząc

zupę. . t .

- Sama nie wiem; bo jestem głupia - powiedziała żona. Zresztą (powiedziała żona) to pewnie jedyny widoczny

rezultat jej dzisiejszego oświadczenia (to znaczy, że od te) pory ona również chce pracować wieczorami); i jeśli nawet można znaleźć jakieś słabe wytłumaczenie owej osobliwej, (jakkolwiek wcale nie logicznej) logiki, zgodnie z którą koleżanka Bodowa - Ilona na imię - nie mówi jej teraz nawet dzień dobry, tylko odwraca głowę, to trudniej (o de to w ogóle możliwe) zrozumieć, dlaczego Starsza Pani - oficjalnie kierowniczką - czuje się równie obrażona (chyba że klucz do zagadki tkwi w owych pełnych zamieszania godzinach kiedy Starsza Pani wynajduje bufetowemu jakieś zajęcie w piwnicy) (zawsze akurat w czasie największego wieczornego ruchu) (i kiedy z widocznym poświęceniem, nie szczędząc sił, w białym fartuchu sama staje za bufetem) (niczym kapitan statku

za sterem, gdy szaleje orkan) (i kiedy to Bodowa, podobnie jak reszta kolegów i koleżanek, prosto do jej rąk zdaje paragony za odmierzony towar) (jeśli, rzecz jasna, zdaje) (o czym na pewno można by się było przekonać jedynie zrywając nagle z gwoździa paragony) (do czego

86

87

jednak wyłączne prawo ma Starsza Pani - oficjalnie kierowniczką).

- To dlatego jest manko - zauważył (przenikliwie) stary

- kradną.

- Bardzo możliwe - powiedziała żona.

- Pójdę się przejść - powiedział później stary. Stary siedział przed sekretarzykiem.

Było rano.

(Znowu.)

y

Tłumaczył.

Tłumaczył z niemieckiego (ponieważ spośród języków obcych, którymi nie włada, stosunkowo najlepiej nie włada niemieckim - zwykł mówić stary).

...antwortete nicht - przeczytał stary w książce (którą tłumaczył).

\*

...nie odpowiedział - wystukał stary na kartce papieru wkręconej do maszyny (na której pisał tłumaczenie).

Do diabła!... - na wpół unosząc się z fotela, stary sięgnął do sekretarzyka.

„...żeby cię, ty stara, pusta ruro” - (stary) wsadził sobie do uszu starannie ugniecione kulki z wosku.

„Trzeba by było wymienić już te zatyczki” - pomyślał stary.

„Stare są” - ciągnął w myślach (stary).

„Wyschły” - pomyślał następnie.

„Uwierają mnie” - poprawił sobie zatyczki w uszach.

„A kiedy nie uwierają, to wszystko słyszę” - złościł się.

„No, może tak...” - stary przestał poprawiać zatyczki.

Stary siedział przed sekretarzykiem i nasłuchiwał, czy coś słyszy.

Nie słyszał. (Prawie.)

88

„Świetnie” - twarz mu się rozpogodziła. „No, dalej, dalej, bo nic z tego nie będzie” - twarz mu się zachmurzyła.

Tłumaczenie to marne pieniądze, ale pewne (zwykł mawiać stary).

Kiedy tłumaczy, może upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: zarobi pieniądze (jeśli nawet marne pieniądze, to pewne) i nie musi pisać książki. (Chwilowo.)

Zresztą: jeden pomysł nie czyni wiosny, ale stary nie miał nawet tego jednego pomysłu na książkę.

...antwortete nicht. ...nie odpowiedział. „W porządku” - stwierdził stary. Od wielu już dni nie widział swoich papierów. I nie chciał ich widzieć.

A nawet schował je na samym dnie sekretarzyka, żeby przypadkiem się na nie nie natknąć.

Sein Blick hing an dem Daumen, wiefestgesogen. Festgesogen - stary podrapał się w głowę. Der Blutfleck unter dem Daumnagel hatte sich jetzt deutlich vorwärts bewegt. Er war vom Nagelbett abgelöst, ein schmaler Streifen sauberes neues Nagelhorn hatte sich hinterdreingeschoben.

- Co to za licho... ten Nagelhorn - stary sięgnąłby po słownik (gdyby tylko wiedział, po który słownik sięgnąć, jako że miał dwa) (a ściśle biorąc, trzy) (mianowicie leżący po prawej stronie przy maszynie SŁOWNIK PODRĘCZNY, po który nawet nie musiał wyciągać ręki) (tyle że zwykle nie było tam słowa, którego właśnie szukał) (i DUŻY SŁOWNIK, w którym w końcu przeważnie je znajdował) (a więc z czysto ekonomicznych względów powinien od razu sięgać po ten ostatni) (tylko że to wymagało od jego

89

górną połowę ciała dość niewygodnego skrętu, jeśli wziąć pod uwagę, że ów dwutomowy, ważący

co najmniej 5 kilo słownik-kolos nie mieścił się już na stole obok książki, którą stary tłumaczył, pliku papieru czystego oraz zapisanego tłumaczonym tekstem, maszyny do pisania i SŁOWNIKA PODRĘCZNEGO) (gwoli ścisłości: na stole, jedynym w mieszkaniu stole z prawdziwego zdarzenia) (leżał więc na przeniesionym z południowo-wschodniego kąta pokoju i postawionym obok krzesła starego ministoliku dziecięcym z wielowarstwowo sklejanej specjalnej tarcicy I kl., który w czasie, kiedy stary tłumaczył, zmieniał swoją funkcję ze stolika na drobiazgi, na przykład papierosy, na stolik mieszczący słownik) (jako że stary przeważnie, szukając danego słowa, sięgał po oba słowniki) (jeśli nie po wszystkie trzy) (podobnie jak teraz, kiedy - pełen nadziei - szukał słowa Nagelhom najpierw w SŁOWNIKU PODRĘCZNYM, potem - wściekły - w pierwszym tomie A-L DUŻEGO SŁOWNIKA, ażeby następnie - doprowadzony już do ostateczności - wziąć do ręki drugi tom M-Z; i jedynie nawiasem wspomnijmy, że nie znalazł go w końcu w żadnym z tych słowników) (co wprawdzie rozeźliło starego, ale nie zdołało go zgnębić, bo przecież znaczenie tego słowa było zupełnie oczywiste) (gdyby tylko trochę pomyślał) (co jednak staremu - póki nie odczuł palącej potrzeby - nie przychodziło do głowy) (zwłaszcza w trakcie tłumaczenia).

Sein Blick hing... - czytał stary.

Jego wzrok - wystukał stary - przylgął do jego kciuka, jak gdyby...

Festgesogen - stary podrapał się w głowę.

...nie mógł się od niego oderwać.

< j >

90

„To niezbyt pomysłowe” - stary podrapał się w głowę.

„A poza tym niedokładne” - drapał się dalej.

„Jego wzrok padł na kciuk i nieomal przylgął do niego - zastanawiał się stary - tak chyba byłoby dokładniej.”

„Ale od strony wizualnej trochę to mętne” - rozważał stary.

„Za to bardziej ekspresyjne - zawahał się - choć jednocześnie trochę naciągane” - stwierdził.

„Zresztą już napisałem”.

„Trzeba by wykreślić i przepisać”.

„Nie warto”.

Der Blutfleck...

Siniec wyraźnie przesunął się wyżej. Opuścił już macierz, na jego miejscu zaś ukazał się zupełnie nowy, czysty półksiężyc, świeży, cienki paseczek rosnącego paznokcia.

„Ujdzie” - stwierdził stary.

„Nieco bardziej rozwlekłe niż oryginał” - zastanawiał się dalej.

„No, ale niemiecki potrafi być taki zwięzły” - kontynuował myśl.

„A poza tym płacą mi za objętość” - zamknął swoje rozważania stary.

Die Natur. Etwas von mir, repariert sich. Langsames Wach-stum, unbeirrbar. Lost sich ab, wie die Zeit, wie Nichtmehrwissen. Was vorher wichtig war - schon wieder vergessen. Ebenso: leere Zukunft - das auch. Zukunft: was niemand sich vorstellen kann (wie mit dem Wetter) und was doch kommt.

„To przynajmniej łatwe” - ucieszył się stary.

„Nie potrzebuję słownika” - stwierdził (nieomal ze złośliwą satysfakcją).

91

Natura - stukał żwawo. - Coś ze mnie, coś, co jest częścią mnie, samo przywraca się do pierwotnego stanu. Powolny, niezmienny wzrost. Oddziela się niczym czas, niczym to, co zapominamy, o czym już nigdy nie będziemy niczego wiedzieli. Co kiedyś było ważne, teraz ulega zapomnieniu. Jest tak samo puste jak przyszłość. Przyszłość: to, czego nikt nie potrafi sobie wyobrazić (tak jak pogody), co jednak nadchodzi

„Nawet niezły tekst” - z.vc>2X& się stary.

„Sama powieść też zresztą niezła”.

„Fachowa robota” - pozazdrościł.

„Tak właśnie należy pisać powieści - zazdrościł dalej - drugorzędny materiał, rzeczowe ujęcie, nienaganna technika, trzy kroki do tyłu, żadnej autobiografii, niczego osobistego, autor nie istnieje”.

„Problem, który wszystkich interesuje, pewny zysk” - jego zazdrość potęgowała się. Jak pusta przyszłość której nikt nie potrafi sobie wyobrazić a jednak nadchodzi

Wzrok starego padł na tekst, nieomal przylgnął do niego.

- Chwileczkę! - stary zerwał się z miejsca, bez żadnej widocznej (czyli zewnętrznej) przyczyny (chyba że jakaś przyczyna niewidoczna) (czyli wewnętrzna) (skłoniła go do tego) (na przykład mogło mu nagle przyjść coś do głowy), i wziął z półki nad tapczanem stojącym w północno-wschodnim kącie pokoju niezbyt gruby, oprawiony w zielone półpłótno tomik (ten sam co w ostatnich czasach) (jak o tym w stosownym miejscu pisaliśmy) (często i z wielkim pożytkiem go przeglądał, szczególnie wiele zawdzięczając pewnym wersom na stronie 259) (których również nie

92  
omieszkaliśmy zacytować w odpowiednim miejscu, a zatem ich powtarzanie byłoby zbyteczne) (tym bardziej zbyteczne, że w tym momencie naszej historii stary) (kartkując gwałtownie) (najwidoczniej szukał w nim czegoś innego i najwidoczniej na innej stronie) (na której, tego najwidoczniej on sam nie wiedział).

/ również dzisiaj trudno mi się pisze, bo musiałem już napisać wiele listów, tak że ręka jest zmęczona - czytał stary.

Przyszłość tkwi w miejscu, drogi Panie Kappus, my zaś poruszamy się w nieskończonej przestrzeni „To właśnie to” - ucieszył się stary.

Tak jak długo łudził się człowiek co do ruchu słońca, tak wciąż łudzi się jeszcze co do ruchu tego, co nadchodzi - czytał stary dalej (to znaczy - ściśle biorąc - czytał wstecz) (jako że ostatni wers stał przed przedostatnim).

...musiało to wejść w nich właśnie teraz, gdyż zaklinali się, że - czytał stary dalej (to znaczy - ściśle biorąc - czytał wstecz).

...w swoim przestrachu i pomieszaniu.

I jest to niezbędne.

- Tak jest - powiedział stary.

Niezbędne jest - i ku temu będzie stopniowo zmierzał nasz rozwój -by nie spotkało nas nic obcego, lecz tylko to, co od dawna nam przynależy. Człowiek musiał pomyśleć na nowo już tak wiele pojęć związanych z ruchem, stopniowo nauczył się też, że to, co nazywamy losem, wychodzi od ludzi a nie wchodzi w nich z zewnątrz. Jak wielu ludzi nie wchłonęło w siebie swojego losu i nie przeobraziło go w coś własnego, dopóki w nich żył, i tylko dlatego nie rozpoznali oni tego, co z nich wychodziło; było to im tak obce, że w swoim przestrachu i pomieszaniu sądzili, że musiało to wejść w nich właśnie teraz, gdyż zaklinali się, że nigdy wcześniej nie znajdowali

93

w sobie niczego podobnego. Tak jak długo łudził się człowiek co do ruchu słońca, tak wciąż łudzi się jeszcze co do ruchu tego, co nadchodzi. Przyszłość tkwi w miejscu, drogi Panie Kappus, my zaś poruszamy się w nieskończonej przestrzeni."

Stary stał w miejscu, z książką w ręce.

Po pewnym czasie jednak się poruszył (jeśli nawet nie w nieskończonej przestrzeni, to przynajmniej po to, żeby odłożyć książkę na miejsce) (na półkę nad tapczanem stojącym w północno-wschodnim kącie pokoju).

„Boję się - myślał tymczasem - że znowu wyjmę swoje papiery".

„To byłoby strasznie głupie” - myślał dalej, stojąc już przed otwartym sekretarzykiem, gdzie na górnej półce (skąd wcześniej wyciągnął maszynę do pisania, kiedy brał się do tłumaczenia) leżało kilka teczek - wśród nich i ta z napisem „Pomysły, szkice, robocze fragmenty” - oraz dwa kartonowe pudła zawierające rozmaite przedmioty (potrzebne i niepotrzebne), za nimi zaś pewna szara teczka, a na niej, w charakterze przycisku, również szary - chociaż w ciemniejszym odcieniu szarości - kamień (niewidoczny).

„Jeszcze mogę się rozmyślić” - kontynuował myślenie (jak gdyby rzeczywiście mógł się rozmyślić) (czyli jak ktoś, kto wciąż ma wybór) (kto jednak dobrze wie, że nie ma wyboru) (nawet jeśli wybór

mamy zawsze) (i jeśli zawsze wybieramy samych siebie - według cytowanej już raz francuskiej antologii) (którą stary trzymał na półce na książce zawieszanej nad fotelem stojącym w południowo-wschod-

Rainer Maria Rilke, Listy do młodego poety, przeł. Justyna Nowotniak, Izabelin 1996, s. 60-61. nim kącie pokoju na północ od kaflowego pieca) (bo na tym polega nasza wolność) (choć - mógłby ktoś zapytać - jak można taki wybór nazwać wolnością) (skoro poza samymi sobą nie mamy innego wyboru).

Po czym znowu zaczął przeglądać swoje papiery, tym rzzzm. siedząc na tapczanie stojącym w północno-wschodnim kącie pokoju - po części zapewne dla podkreślenia tymczasowego charakteru tego zajęcia, zaakcentowania faktu, że tylko na chwilę zawiesił inną, ważniejszą pracę, po części zaś dlatego, że nie mógł zająć swojego zwykłego miejsca przed sekretarzykiem (ściślej, przy stole) (a jeszcze ściślej: przy stole, jedynym w mieszkaniu stole z prawdziwego zdarzenia), który (to znaczy stół) był zarzucony tym, co służyło jego jeszcze ważniejszej pracy (książką, którą tłumaczył, plikiem papieru czystego oraz zapisanego przetłumaczonym już tekstem, stała też na nim maszyna do pisania i leżał SŁOWNIK PODRĘCZNY):

„...Ten zwrot... siedząc... nie da się cof... Zostałem sam... wyzuty... Bez przeszłości, bez przeznaczenia, bez miłych mi błędnych idei, wyzuty ze wszystkiego, co miałem, patrzę zatem przed siebie na to, co mnie czeka. Widzę skłębioną, szarą, nieprzeniknioną kulę-mgławicę, czuję, że muszę się przez nią przedrzeć, ale nawet nie wiem, w którą stronę mam ruszyć. Nie szkodzi, nie będę się więc ruszał, poczekam, aż ona przyjdzie do mnie, ona przedrze się przeze mnie i pójdzie dalej, zostawiając mnie za sobą. To czas, nazywają go: przyszłość. Niekiedy w napięciu ją śledzę, kiedy indziej czekam na nią pełen ufności, jak na błysk słońca w czasie mglistej pogody. Choć dobrze wiem, że wszystko to jedynie złudzenie i że teraz też sam siebie oszukuję, uciekam, podobnie jak wtedy, kiedy z trampoliny swoich

94

95

celów rzuciłem się w nieskończoność: nie czeka na mnie przyszłość, tylko następna chwila, bo przyszłości nie ma, przyszłość jest niczym innym jak wydłużającą się ciągle, każdorazową terażniejszością. Ani jednej minuty nie można pominąć, co najwyżej w opowiadaniach. Prognoza mojej przyszłości - to jakoś mojej terażniejszości. Tak, ja jestem pogodą; i właśnie tego - samego siebie - jestem najmniej pewny.

Bo przecież gdybym mógł powiedzieć: pomyliłem się! Ale nie wiem, czy to nie ja sam jestem pomyłką. Nogi niosą mnie czasem - nie tylko w mieszkaniu - na moje ulubione medytacyjne spacerki. Zajmuję się przyrodą - cóż innego mógłbym robić; z posępną satysfakcją patrzę na jesienną zagładę, głęboko wciągając podniecającą woń rozkładu. Właśnie schodziłem tego dnia zboczem góry, kiedy zauważyłem dwóch starców. Stali w niszy skalnej, wystawiając twarze na znużone, bezsilne słońce: opalali się. Tak przytulili się do ciepłej zapewne skały, że ich dwie wystające z szarej ściany głowy wziąłem z początku za kamienie, za niezwykle wierną płaskorzeźbę. Dopiero kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że żyją. Jeden miał długą głowę kozła, oczy jak rozpuszczona galareta i czerwony czubek nosa; druga twarz była bardziej okrągła, ale wygięte w górę, rozciągnięte w półśmiechu usta pod szarym, prostokątnym wąsem również nadawały jej wyraz fauna. Nie wiem, dlaczego tak przykuli moją uwagę. Zdawało mi się, że widzę na obu twarzach jakiś nieokreślony, ale identyczny wyraz; jakiś niezamierzony wyraz, który nie miał związku ani z tą chwilą, ani z ich słowami - bez względu na to, o czym rozmawiali - lecz pochodził gdzieś z głębi, jak gdyby z koryta, którym płynął, szemrząc, strumień ich istnienia. Kiedy ich mijałem, umilkli,

96

jak gdyby mieli jakąś tajemnicę - nie, przeciwnie, jak gdyby mieli coś do powiedzenia, właśnie to, co skrywali, co jednak zagościło już na ich twarzach, niczym ruiny klęski i co chcąc nie chcąc, odsłaniają teraz przed bliźnimi, po części jako przestrożę, po części ze słabości, nieco szyderczo a w każdym razie nieprzyzwoicie, pragnąc jednak skupić na sobie uwagę. - Tak, skoro śmierć jest absurdałna to jak życie może być sensowne? A skoro śmierć ma sens, to po co żyć? Gdzie utraciłem

swoją zbawczą bezosobowość? I o co napisałem pewną powieść, a zwłaszcza, tak, a zwłaszcza dlaczego pokładałem w niej całą swoją ufność? Gdybym mógł to rozwikłać...

W regularnych odstępach czasu odwiedzam matkę Słucham wówczas historii o młodej kobiecie, która miała synka. Przeważnie słucham uprzejmie, dyskretnie ukrywając znudzenie Obecnie jednak łapię się na tym, że słucha<sup>^</sup> a nawet pilnie śledzę jej słowa: słucham, jakbym oczekiwał' ze nagle odsłoni jakąś tajemnicę. W końcu to ja byłem megdyś tym dzieckiem. Dziecko - jak mówi przysłowie -jest ojcem dorosłego. A nuż złapię na czymś tego skrytego gotowego biernie dostosować ńę do każdej sytuacji szcze-' mąka na jakimś słowie, na jakimś geście, na czymkolwiek co wskazywałoby na jego przyszły postępek - na to że napisze pewną książkę. Tak, do tego doszedłem czy jak kto woli, stoczyłem s,ę: zadowolilibym się czymkolwiek konstelacją gwiazd w dniu moich narodzin, decydującą o kodzie genetycznym molekułą DNA, tajemnicą ukrytą w grupie krwi; czymkolwiek, powiadam, co mógłbym za aprobować albo z czym mógłbym się przynajmniej pogodzić; tak się musiało stać, po to si? urodziłem - jakbym nie wiedział, że rodzimy się po nic, jeśli jednak uda nam się żyć

97

\*Cj" v<< ^N "T3

!friiiiJliiiiili

w

N' S' s c -.ą ~f

N

^+H

O"^-ii||.^

sf tt

UJ s

•a -g .L §

- S N K

s

N

1^3 o

tf.^ o o

o Js 5 s> s

<< § - J -s 1

N

TM

u-5 c cx.y J2 L

" O .L. „ C 2 N

o n y

s

^o ^

ti U S p? o-a

3 N

N -\* & O,

E ° L

T3

MI

LJ <U «

K.1 \* ^ I"\*  
\_3 o -^  
|2 •§ o  
-Q G oj  
^1 '---' M  
-zv a  
N N .«  
O, Ph o G  
^ -G  
rf fi  
s  
ń -a  
a ^" ^ "H ^  
- r-^  
>;  
JD .<\*"  
,- G O  
5 '

w podmiotowość, chciałem nadać imię, zamiast być nazwanym. Moja powieść to nic innego niż odpowiedź dana światu - jedyny rodzaj odpowiedzi, na który, jak się wydaje, mnie stać. Do kogo mógłbym zaadresować tę odpowiedź, skoro - jak wiemy - Bóg umarł? Do nikogo, do nieznanych bliźnich, do świata. Moja odpowiedź nie stała się modlitwą, lecz powieścią.

Bez przesady - to już literatura. W końcu jeszcze się okaże, że jednak mam trochę talentu do pisania; to by mnie dopiero krępowało. Przecież nie dlatego zacząłem pisać, że jestem utalentowany, przeciwnie: kiedy postanowiłem, że napiszę powieść, to mimochodem postanowiłem również, że będę utalentowany. Potrzebowałem tego, musiałem wykonać swoją pracę.

Musiałem się starać, żeby napisać dobrą książkę - nie z próżności, ale z natury rzeczy, że się tak wyrażę. Nie mogłem zrobić nic innego: potrzeba dania odpowiedzi w jakiś tajemniczy sposób zgęstniała we mnie, przeobrażając się w uczucie wolności, które było niczym gaz pod wielkim ciśnieniem. Cóż mogłem zrobić z tym amorficznym i nieznosnym uczuciem? Wolność sprowadza się niekiedy do problemu fachowości. Bo przecież również zła powieść może być wolnością - tylko że wówczas nie potrafi się ona objawić, a książka jest właśnie barierą. Dzisiaj już przynajmniej wiem, że na próżno szarpię postronek pisarskiego losu, skoro jego diabelska ironia trzyma mnie w niewoli. Jakikolwiek był na początku mój motyw, charakter tej prywatnej transakcji mogę usprawiedliwić jedynie tak, że innym również coś zaoferuję. W swojej podniesionej do uderzenia ręce znalazłem tylko pewną powieść, którą, głęboko się kłaniając, próbowałem położyć każdemu pod choinką jako prezent gwiazdkowy.

102

A zatem tak to wyglądało. Nie mając za grosz pewności, musiałem jakoś przekonać samego siebie, że jednak istnieję. Na zbrodnie, które przecież nie ustały - zarówno prawdziwe, jak i symboliczne - odpowiadałem to neurotyczną apatią, to agresją. Stosunkowo szybko - byłem przecież istotą myślącą - zdałem sobie jednak sprawę, że jestem bardziej wrażliwy na ciosy niż świat zewnętrzny. Ze słabości i bezsilności, jak również w pewnym stopniu z rozpacz i odrobiny chwiejnej nadziei zacząłem w końcu pisać. Koniec, kropka: oto odpowiedź na moje pytanie. I na tym mógłbym zakończyć te notatki.

Tylko że coś się we mnie w środku jeży, buntuje przeciwko zakończeniu. Moje notatki dobiegną końca, ja jednak będę trwał: znikną litery, a ja po raz kolejny stanę bezradny wobec następujących po sobie chwil, godzin, dni. Oto znowu wybrałem tę samą terapię, i znowu z tym samym rezultatem co wówczas, kiedy wziąłem się do pisania powieści. Nie żebym szukał rozwiązania - dla życia, wiem dobrze, rozwiązania nie ma - ale uważam, że sama rejestracja symptomów to za mało. Na nic mi protokół oględzin; ja jestem chorym, interesuje mnie ból. Nie diagnoza, lecz przebieg, sama



choroba. «Szczegóły, ważne są szczegóły» - o które Iwan Karamazow, podżegacz, wypytuje Smierdia-kowa, mordercę. Tylko nie kończyć, bo przecież nic się nigdy nie kończy: trzeba ciągnąć, pisać dalej, tak, poufale i wylewnie aż do mdłości, jak rozmawia ze sobą dwóch morderców. Chociaż to, co mam do powiedzenia, jest tak samo suche i rzeczowe, jak bezduszne stało się tamto morderstwo; jeszcze jeden statystyczny fakt, tak samo zbęd..." Telef...?

„...ny, jak napisanie pewnej książki..." A niech to!...

103

- Już myślałam, że nie ma cię w domu! - wtargnął - jak promień lasera w gotowane kartofle (które to porównanie nie jest wprawdzie szczególnie trafne, ani jeśli chodzi o wyrazistość, ani o logikę) (bo niby dlaczego promień lasera miałby wtargnąć w gotowane kartofle?) (ale staremu w pierwszej chwili to właśnie przyszło do głowy i nie mamy prawa wymyślać czegoś lepszego) (czy nie daj Boże gorszego) (o ile nadal chcemy być wiernymi kronikarzami tej historii) (a cóż w końcu innego moglibyśmy mieć na celu?) - w miękką woskową kulkę pełen wyrzutów głos matki starego.

- A gdzie miałbym być? - obruszył się stary.

- A czy to można wiedzieć w twoim wypadku?!... Wyobraź sobie, co się stało: stłukła się moja szklana półeczka, na której trzymam kaktusy, doniczki też pospadały, jedna się zbiła i cała ziemia wysypała się z niej na ziemię. Co mam teraz zrobić?

- Zamieć - zaproponował stary.

- Takich pomysłów to i ja mam na pęczki! - kolejny promień lasera rozłupał czaszkę starego. - Chciałabym wiedzieć, skąd mam teraz wziąć nową szklaną półkę?!

- Od szklarza - zaryzykował stary.

- Od szklarza! Jakby w okolicy roilo się od szklarzy!... Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest jakiś dobry szklarz?

- Nie wiem - powiedział stary.

- Oczywiście, że nie wiesz. Bo co ty w ogóle wiesz?!

- No, jeśli o to chodzi, to jednak... - obruszył się stary.

- Nawet nie zapytałeś, jak to się stało!

- Jak to nie - zaprotestował stary.

- Chciałam zetrzeć kurz z obrazu, który wisi nad półką, i tak jakoś nieszczęśliwie stanęłam na krześle, że szlafrokiem

104

zahaczyłam o róg półki. Chyba podarłam szlafrok... Nawet go jeszcze nie obejrzałam...

- Kobieta w twoim wieku nie powinna już skakać po krzesłach - doradził stary.

- Coś takiego! - w muszli ucha starego wybuchł ręczny granat. - Sama wiem, co powinnam robić w moim wieku... Ale odkąd z powodu bólów krzyża nie mogę chodzić do biura, tylko raz w tygodniu stać mnie na sprzątaczkę! Ciebie przecież nie mam co prosić, żebyś przyszedł i powy-cierał kurze.

- Pewnie masz rację - przyznał stary.

- No widzisz! Załatwiłeś wymeldowanie?

- Nie - przestraszył się stary.

- Bo cały tydzień byłeś taki zajęty, prawda?

- Byłem zajęty - zjeżył się stary. - Mam terminową robotę: tłumaczę.

- Coraz niżej się staczasz; najpierw pisałeś sztuki teatralne, potem powieść, a teraz tłumaczysz.

- Niedługo będę maszynistką - zirytował się stary.

- Kim będziesz, to już twoja sprawa. W każdym razie nie masz już za wiele czasu, żeby podjąć decyzję. Ty też nie robisz się młodszy.

- No ładnie - mruknął stary.

- Ale to wymeldowanie musisz załatwić jak najszybciej, żebyśmy mogła zawrzeć umowę.

- Dobrze - powiedział stary.

- Znam to twoje „dobrze”. Wszystko zostawiasz na ostatnią chwilę. To dlatego jesteś dzisiaj tu, gdzie jesteś - matka pożegnała starego.

„No to dzień mam z głowy” - pomyślał stary. „Chyba powinienem już to zostawić” - myślał dalej.

105

„To znaczy powinienem już to wszystko zostawić” -ciągnął.

„Zostawiłem to wszystko...”

- No proszę - rozpogodził się (trochę) stary, „...postanowiłem, że się trochę przejdę...”

- Bardzo mądrze - przyznał sobie rację stary.

„...i tak znalazłem się na Wyspie Świętej Małgorzaty...”

- Bzdura - skrzywił się stary.

„...Kogóż to widzę pośród opadających z cichym szelestem liści przy stoliku w kawiarnianym ogródku? Niech mnie kule biją, jeśli to nie Arpad Sas z jakimś facetem...”

- Pech - jęknął stary.

„...dwie pstre papugi - dwa samce - siedzące w cieniu dzikich kasztanów, dwie kolorowe koszule, dwie głowy, których trudno nie zauważyć. Właśnie miałem ich szerokim łukiem ominąć...”

- Che, che - ucieszył się stary.

„...ale było za późno: Arpad Sas już mnie dostrzegł...”

- No, no - stary poczuł złośliwą satysfakcję, „...przynaglającym ruchem zaprosił mnie do stolika.

- A oto król życia! Proszę, proszę, książę, właśnie na pana czekamy!

- Nie poszedłbyś do diabła? - spytałem go po przyjacielsku, najserdeczniej, jak umiałem, przekraczając tymczasem linię ogrodzenia wytyczoną przez kwietniki. Nie odpowiedział: nieco uroczyście zerknął na tego drugiego faceta, który na mój widok podniósł się z krzesła i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Był wysmukły, miał rozpuszczone długie włosy, trochę już szpakowate, nosił okrągłe okulary, a pomiędzy gęstych, ciemnych wąsów i krótkiej bródki wystawały mu żółtawe końskie zęby, na których widok

106

zaczęły we mnie z wolna ożywać strzępy wspomnień, tworzące w mojej pamięci osad niczym fusy po kawie.

- No i co, co? - zapytał, z lekkim obcym akcentem.

- Sam piekielny diabeł! - jak mówią u Verne'a angielscy kapitanowie statków:

- Mynheer van de Gruyn, holenderski plantator kakao!

- wykrzyknąłem.

- Bingo! - ryczał ze śmiechu Gerehdas, z domu Griin.

- Nic się nie zmieniłeś przez te siedemnaście lat! - No cóż, o tym można by podyskutować. Ale chwila nie była odpowiednia. Zamiast tego zacząłem wydawać z siebie rozmaite dźwięki, od radosnego zdumienia po koleżeńską bezpośredniość. Od razu trafiłem we właściwy ton, wszedłem w rolę, niczym w dawno zapodziany i nieoczekiwanie odnaleziony ranny pantofel. Zagrałem siebie, to znaczy starego dobrego kumpla, którego obraz przetrwał w Gerendasu. Bóg raczy wiedzieć, kto to był; Bóg raczy wiedzieć, co mnie skłoniło do tego, że usiłowałem być wierny tej starej fotografii, która prawdopodobnie już wtedy nie była wierna; może wieczny człowieczy strach, że kiedyś w końcu nasz obraz rozwieje się zupełnie.

Na szczęście nie byłem niezorientowany, Sas, którego widuję od czasu do czasu na ulicy, w kinie, na partyjce brydża, ale głównie na basenie, zawsze opowiadał mi, co słychać u Griina: Griin odniósł sukces w holenderskiej telewizji; Griin często publikuje humorystyczne opowiadania; sfilmowali właśnie scenariusz Griina, jakiś zachodnioniemiecki producent; po drodze z Londynu Sas zatrzymał się u Griina, który ma willę na przedmieściu Amsterdamu i hoduje w ogrodzie tulipany. Sas miał w takich momentach minę jednocześnie zadowoloną i uszczypliwą: zadowolenie odno-

107

siło się do Griina, uszczypliwosć zaś do niego samego i oczywiście w nie mniejszym stopniu do mnie. Sas wypracował sobie metafizyczny obraz świata, z którego jednak wyłączył metafizykę, jako że zamiast w boga, wierzy w dobra konsumpcyjne. Wedle tego obrazu on sam żyje na padole łez - z własnej nieprzymuszonej woli, to fakt; sam się na to skazał, zapewne z małoduszności, ale ukojenie daje mu świadomość, że istnieje - nieważne, że dla niego stracony -jakiś inny, lepszy świat, dokąd można od czasu do czasu wyskoczyć, jeśli się tylko da, to za państwowe pieniądze.

- Ty oczywiście nigdy nie wyjeżdżasz - zwykł mi czynić wyrzuty.

- Nie wyjeżdżam - odpowiadam mu, zgodnie z prawdą.

- Dlaczego? - dopytuje się.
- Przed samym sobą i tak nie ucieknę - mówię mu wtedy. Albo:
- Świat można poznać nawet w celi więziennej, co więcej; tam właśnie najlepiej się to udaje.

Kiedy indziej zaś:

- Nie lubię, kiedy pokazuje się nam świat, z którego jesteśmy wykluczeni, jakby to był świat, który do nas należy.
- Mówisz po flamandzku - on na to. - Dlatego mówię, że mówisz po flamandzku, bo to jest jedyny język, z którego nie rozumiem ani słowa. - Ale widzę, że się denerwuje, i to mi wystarczy. A tak w ogóle to Sas jest redaktorem działu w pewnym tygodniku ilustrowanym, jako tłumacz reprezentuje wielkie języki zachodnie, jako felietonista i autor artykułów wstępnych zaś linię narodową, dyskretnie, chytrze, uczuciowo i kulturalnie. Wspominał, że Griin przyjeżdża i chce się spotkać ze mną, jedną z relikwii swojego dawnego życia. Właśnie rozmawiali o tym, żeby do mnie zadzwonić.

108

. Ku ich wielkiej radości zamówiłem kawę. ,C,  
Potem zadałem kilka pytań, o których sądziłem, że powinienem je zadać przy takiej okazji. Mynheer Gruyn skromnie przyznawał; coś niecoś bez wątpienia osiągnął, ale jeszcze nie jest człowiekiem naprawdę ustawionym. Sas tylko parsknął śmiechem. Rodzina? Ma: żonę i pięcioletnią córeczkę.

- A nie mówiłem? - spytał Sas.

- Mówiłeś, rzecz jasna, tak tylko cię sprawdzam - próbowałem z tego wybrnąć.

Strapiiony czułem, że zaczyna brakować mi pytań. Na szczęście jednak teraz Grun zaczął zadawać pytania: słyszał od Sasa, że piszę komedie, które odnoszą sukcesy; no więc chciałby którąś z nich zobaczyć.

- Żadnej teraz nie grają - wymawiałem się.

No dobrze, w takim razie chciałby je przeczytać, powiedział.

- Nie warto - odwodziłem go. - Są kiepskie.

Griin na to zaczął się śmiać, kościstą ręką nawet walnął mnie w plecy; widocznie myślał, że żartuję.

- Ten to się wcale nie zmienił - wychrypiał uradowany.

- Od Morza Żółtego po Elbę nikt tak nie urządził sobie życia - chlubił się mną Sas, z ojcowskim uśmiechem.

- Skoro tak twierdzisz - przystałem, nie mniej dobrotliwie.

- Stary - Gerendas spoważniał - dobra komedia u nas, na Zachodzie, to świetny interes, jest na to duży popyt.

Dopiero wtedy spostrzegłem, że wpadłem w sam środek jakiejś farsy, istne quipro quo.

- Nie pisuję już komedii - powiedziałem.

- A co? - zainteresował się Mynheer Peeperkorn.

109

Diabli wiedzą, co mi strzeliło do głowy: wygląda na to, że nagle poczułem potrzebę wywnętrzenia się. Być może zrobiłem to z bezradności: w końcu siedziałem wśród kolegów. Ale możliwe, że wziąłem pod uwagę radę Goethego, która przemknęła mi przez myśl, że dobrze jest porozmawiać o tym, co napisaliśmy, z życzliwymi, fachowymi ludźmi, bo to nadaje naszym dziełom historyczną wartość i chroni je przed mrokiem niepamięci.

- Napisałem powieść - oświadczyłem skromnie.

- O! - zapalił się van de Gruyn.

- I nic mi o tym nie powiedziałaś?! - Sas spojrział na mnie z urazą.

- Kiedy się ukáže? - przeszedł do konkretów Gerendas.

- O to właśnie chodzi; nie ukáže się - powiedziałem.

- Jak to?

- Wydawnictwo ją odrzuciło.

- Ach, tak - zauważył z nieco obcym akcentem Mynheer Gruyn, jego twarz tymczasem przybrała wyraz rezerwy.

Sas natomiast wydawał się tym bardziej podekscytowany: które wydawnictwo i dlaczego - chciał wiedzieć. Odpowiedziałem, że nie znam powodu, ale dostałem kretyński list, z którego jasno wynika, że mojej powieści albo nie zrozumieli, albo nie chcą zrozumieć, bo - tłumaczyłem - wygląda na to, że to, co w mojej powieści dokładnie uchwycone, biorą za przypadkowe, to, co śmiało, za niezręczne, a całą jej konsekwentną logikę za chybioną.

- O czym jest ta powieść? - spytał Sas.

Jakoś nie wiem dlaczego, ale - trudno zaprzeczyć - zmieszałem się.

- O tym, o czym - zacząłem ostrożnie - każda powieść: o życiu. ....

110

Tylko że Sasa nie dało się tak łatwo zbyć:

- Zostawmy teraz te twoje górnotłone filozoficzne rozważania - machnął ręką. - Pytałem, o czym konkretnie jest twoja konkretna powieść. Akcja dzieje się dzisiaj?

- Nie - powiedziałem.

- No to kiedy?

- No... w czasie wojny.

- Gdzie?

- W Auschwitz - wydusiłem z siebie. Zapadła cisza.

- Rzecz jasna - zauważył z powściągliwym współczuciem van de Gruyn, jakby rozmawiał z niedoleczonym trędowatym - ty byłeś w Auschwitz.

- Tak - powiedziałem.

- Chyba oszalałeś - Sas doszedł do siebie po pierwszym szoku. - Pisać powieść o Auschwitz?!

Dzisiaj?! Kto to będzie czytał?!

- Nikt - powiedziałem - bo nie wydadzą.

- A może - spytał - oczekiwałeś, że rzucą ci się na szyję?

- Dlaczego by nie? To dobra powieść - powiedziałem.

- Dobra? Co to znaczy dobra?

- A co by miało znaczyć? - jękałem się. - Dobra to dobra. Sama w sobie, oparta na... tego...

Słowem... No, an undfiir sich, że się tak wyrażę.

-An undfiir sich - Sas spojrział na Gerendasa, jakby chciał wyjaśnić mu moje słowa, po czym znowu obrócił do mnie elegancką głowę. Wąski spiczasty nos, opuszczone do połowy rzęsy, okolona żółtawą brodą twarz czerwona jak po szkarlatynie czyniły go podobnym do doświadczonego przez los, sennego lisa. - An undfiir sich - powtórzył łagodnie. - Ale dla kogo dobra? Co można zrobić z taką powieścią-

111 cią?!... Gdzie ty żyjesz, na jakiej planecie? - pytał coraz smutniej. - Pies z kulawą nogą nie zna w branży twojego nazwiska, a ty się pchasz z powieścią, i to w dodatku na taki temat...

- Ten Sas - próbował załagodzić sytuację Mynheer Gruyn - to się nic a nic nie zmienił. Zawsze był taki... jak to się mówi... obsesowy - Gerendas, szczęśliwy, znalazł wreszcie określenie, którego szukał. - Pamiętasz, jak kiedyś...

Ale Sasa nie można już było powstrzymać; mnie zresztą też nie.

- Krótko mówiąc, ja nie mam prawa napisać dobrej powieści?! - usłyszałem własny rozwścieczony głos.

- Dokładnie o to chodzi - ucieszył się Sas. - Sam bym tego lepiej nie sformułował. Dobrej powieści, stary, nie od ciebie oczekują. Jaki masz argument, że napiszesz dobrą powieść?... Nawet gdyby, dajmy na to, faktycznie była dobra: to jaką możesz im dać gwarancję? Fachowiec, stary, nie uwierzy, ot tak sobie, własnym oczom! Nie zna twojego nazwiska - wyliczał na palcach - nikt za tobą nie stoi, temat nie jest na czasie, dla nikogo nie jesteś asem w rękawie; czego ty właściwie chcesz?

- A gdyby tak ktoś - spytałem - powiedzmy, napisał genialną powieść?...

- Pewnie masz siebie na myśli - stwierdził Sas.

- Przypuśćmy - zgodziłem się.

- Po pierwsze: genialna powieść nie istnieje - cierpliwie oświecał mnie Sas. - Po drugie, jeśli nawet istnieje, tym gorzej dla niej. To mały kraj; tu nie potrzeba geniuszy, tylko porządnych, pracowitych

obywateli, którzy...

- Dobrze, już dobrze - przemógł się van de Gruyn - skoro już jednak napisał tę powieść... To może - zaryzykował

112

ostrożnie - mógłbyś mi ją pokazać... Będę tu jeszcze dwa tygodnie, może bym ją przejrzał...

- No to po kłopotcie! - powiedziałem. - Przetłumacz ją i wydaj w Holandii!

Mynheer Gruyn wydawał się zaskoczony:

- Ja - powiedział - nie zajmuję się tłumaczeniem. Sam czasem potrzebuję pomocy, jeśli chodzi o język. - W zdenerwowaniu coraz gorzej mówił po węgiersku. - To czysty... jak to się mówi...

absurdity... Zresztą - z wolna przychodził do siebie - z powieścią to i u nas, na Zachodzie, nie jest łatwo: tam są świetni fachowcy, nieprawdaż, którzy wiedzą, jak się do tego zabrać. Taki temat, żeby przy okazji wyjść na swoje, no, do tego trzeba czegoś więcej! Holendrzy ten temat poprzez Annę Frank już... no tego...

- Odfajkowali - pospieszyłem mu z pomocą.

- No, może niezupełnie, ale jeżeli nie masz czegoś nowego... do dodania... Zresztą u nas, na Zachodzie, też nie jest dobrze widziana książka, którą jakieś wydawnictwo raz już odrzuciło...

Chyba że - na jego twarzy ukazał się wyraz pewnego wahania i zadumy - osoba autora jest, że tak powiem...

- Nie każe się zamknąć tylko dlatego, żeby stać się u was sensacją dnia! - powiedziałem.

- Na to nie licz! - uspokoił mnie Sas. - Dzisiaj wcale nie jest tak łatwo trafić u nas do więzienia za książkę!

- Nie to co w starych dobrych czasach! - ryczał ze śmiechu Mynheer Gruyn. - Pamiętajcie, jak...

- Dzisiaj takie rzeczy przebiegają już u nas w sposób znacznie bardziej cywilizowany - ciągnął niezmierny Sas.

- Tak, od wszystkich to słyszę - wpadł mu w słowo Mynheer. - Bardzo pięknie się rozwijacie: gustowne wystawy,

113

ludzie dobrze ubrani... Ale gdzie są te fantastyczne kobiety, których dawniej w Peszcie było pełno?

- Są - powiedział Sas - tylko ich nie dostrzegasz: ty też nie jesteś już tym zabójczym dandysem, jakim byłeś siedemnaście lat temu, stary...

A więc moja sprawa wreszcie im się znudziła, jak płyta. Sas dał mi jeszcze parę dobrych rad; powinienem pisać nowele, powinienem spróbować się przedrzeć na łamy czasopism literackich; w ten sposób środowisko powoli do mnie przywyknie, może nawet zaczną wymieniać moje nazwisko. Potem powinienem przyłączyć się do jakiegoś ugrupowania literackiego; wszystko jedno którego - powiedział - i tak trudno przewidzieć, które się opłaci.

- Ugrupowanie literackie - pouczał mnie cierpliwie - to coś takiego jak fala: raz się wznosi, kiedy indziej opada, ale zawsze niesie ze sobą piasek, czy to na grzbiecie, czy w dole, i w końcu zawsze przynosi go do brzegu. - Wymieniał przykłady pisarzy, którzy w ten sposób dobili do portu, jedni wcześniej, drudzy później. Niektórzy wprawdzie po drodze wypadają z szeregu, popełniają samobójstwo, porzucają karierę pisarską albo lądują w klinice psychiatrycznej; inni jednak dają sobie radę, po dwudziestu-trzydziestu latach okazuje się, że są wybitnymi pisarzami, i zawdzięczają to w dodatku tym samym utworom, których wcześniej pies z kulawą nogą nie dostrzegał; od tej pory - jeśli wciąż żyją - są hołubieni, nagradzani, rozpieszczani, i nie sposób już tego zmienić, podobnie jak wcześniej faktu, że ich pomijano.

Albo - ciągnął - trzeba wstrzelić się w dziesiątkę. Czyli - powiedział - trzeba wypatrzeć taki problem, który w danej chwili jest, że tak powiem, na czasie: w takim wypadku

114

może się zdarzyć, że jakiś wcześniej nieznany pisarz nagle wypłynie, bo - mówił Sas - dla jakiegoś człowieka bądź grupy ludzi jego książka będzie właśnie wydana w samą porę, będą jej mogli użyć jako argumentu lub kontrargumentu, zrobić wokół niej skandal albo wypisać jej tytuł na swoich sztandarach.

Mynheer powiedział również, że u nich, na Zachodzie, sytuacja też się wiele nie różni, jakkolwiek

tam bez wątpienia panuje wolny rynek. Ale co też trzeba wymyślać, żeby zdobyć ów rynek! Jedni rozbierają się do naga na przyjęciu u królowej; inni biją rekordy, bezustannie żeniąc się lub rozwodząc, przystają do podejrzanych sekt albo naćpani każą się wieźć do szpitala, żeby chociaż w ten sposób ich nazwisko trafiło do gazet. On sam - Mynheer van Gruyn - też ma powyżej uszu tych swoich humorystycznych historii, w których ciągle musi się powtarzać. Ma pomysł na poważną książkę. Nawet zgłosił go swojemu agentowi. Agent wprawdzie nie miał nic przeciwko temu, ale położył przed nim dwie umowy. Jedną na zabawne historyjki, takie jak zwykle, tyle że z honorarium wyższym o jedną trzecią od tego, co dotąd dostawał; drugą natomiast na powieść, za głodową stawkę, i w dodatku z zastrzeżeniem, że po obejrzeniu połowy gotowego rękopisu agencja będzie miała prawo nawet i tę żalną umowę rozwiązać.

- Nie mówię, że kiedyś jej nie podpiszę, ale teraz jeszcze nie mogę sobie na to pozwolić.

- Tak to jest - zauważył Arpad Sas - człowiek nie zawsze robi to, na co ma ochotę.

- Albo płaci za to wysoką cenę - dodał Mynheer. Już od dawna nie mówili do mnie. Jakiś gamoń siedział pomiędzy tymi dwoma doświadczonymi, mądrymi mężczyznami,

115

a oni sobie nad jego głową rozmawiali w miłej i pełnej wzajemnego zrozumienia atmosferze.

Ale ja również nie bardzo już zwracałem na nich uwagę. Taras restauracji zapełnił się ludźmi, blade jesienne słońce wydawało się tak samo rozproszone, jak moje myśli. Do szmeru rozmowy Sasa i Gerendasa doszły strzępy innych dźwięków. Brzęk talerzy, odgłos autobusu, który od czasu do czasu przejeżdżał ulicą. Na lewo od nas siedział starszy facet z wąsami a la d'Artagnan, w krawacie w śmiałe, wesołe wzory, naprzeciwko niego zaś dobrze utrzymana dama, która uśmiechała się skwapliwie.

- I like some pictures - powiedział facet, znacząco patrząc jej w oczy, w rękę trzymał kanapkę z kielbasą.

- Aj lajk dze mjuzik - powiedziała dama, z uśmiechem niewspółmiernie promiennym do tego, co zakomunikowała łamaną angielszczyzną.

- O ile pamiętam, dwie paczki były związane razem - poraził mi uszy jakiś szczekliwy głos.

Zobaczyłem drobnego staruszka, w otoczeniu kilku wymalowanych starszych pań; z ogromnymi uszami, zwiedłą twarzą i nastroszonymi na czubku głowy jak grzebień rzadkimi włosami przypominał rozszoszczoną małpkę kapucynkę.

Tylko mimochodem usłyszałem, jak Sas wprasza się do Amsterdamu na przyszlą wiosnę.

- Bardzo możliwe, że właśnie wtedy nie będzie mnie w domu - powiedział Mynheer. - Jakoś tak wiosną muszę polecieć do Ameryki. Ale jeden z pokoi gościnnych oczywiście... zawsze...

Wąsy d'Artagnana moczyły się w białej pianie piwa. Przy stoliku starszych pań podniósł się ostry, piskliwy gwar:

116

- Ty zawsze wszystko wiesz najlepiej! - zapiszczała, wzburzona, jedna z nich, trzęsąc się i czerwieniejąc.

- Tak jest, ja wszystko wiem dokładnie! - uciał zdecydowanie. Staruszki nagle spotulniały jak owieczki: zapadła cisza. On zaś, głośno prychnąwszy, groźnie potoczył po nich wzrokiem, dolna sztuczna szczęka wysunęła mu się do przodu, po czym wróciła na swoje miejsce.

Przy naszym stoliku tymczasem tematem rozmowy stał się mały angielski samochód Sasa, do którego przydałaby mu się właśnie jakaś część zamienna. W trakcie dalszej rozmowy okazało się, że chętnie przetłumaczyłby i spróbował opublikować jakiś tom humoresek Gerendasa, byle nie politycznych.

- Przynajmniej nauczę się po holendersku; z norweskiego już tłumaczyłem. Jak utknę, to mi pomożesz - powiedział wesoło.

Rozejrzałem się: wokół mnie wszystko było w ruchu, przelewało się, bulgotało, słowa latały tam i z powrotem, jak niewidzialne depesze po niewidzialnym drucie telegrafu, pomysły, propozycje, plany i nadzieje przeskakiwały z jednej głowy do drugiej, niczym połyskliwe wyładowania elektryczne.

Tak, w tej wielkiej powszechnej produkcji i konsumpcji, w tej gigantycznej przemianie materii, jaka zachodzi w świecie, ja sam jakoś nie biorę udziału, zostałem pominięty; i w owej chwili

zrozumiałem, że rozstrzygnął się mój los. Nie konsumuję i nie jestem do skonsumowania.

- Muszę iść - wstałem.

Nie zatrzymywali mnie nazbyt gwałtownie.

„Siedzę teraz w domu”.

„To koniec” - zdumiał się stary.

„Nic więcej nie da się zrobić”.

117

„A jednak potem ją wydali”. „Po dwóch latach”. „4900 egzemplarzy”. „18 000 forintów”.

- Pracowałeś?

- Owszem.

- Posunąłeś się trochę?

- Coś tam zrobiłem.

- Co chcesz na obiad?

- Nie wiem. A co jest? Żona wyliczyła.

- Wszystko jedno - zdecydował stary.

Finał wypadków w bistrze: trwa zgadywanie, kto odejdzie, a kto zostanie - opowiadała żona starego.

Odbył się bowiem remanent; nie było manka, tylko superata (co na ogół jest godne pochwały, ale superata ponad pewien poziom superaty zasługuje już raczej na potępienie) (ponieważ taka superata nie może powstać z niczego innego jak z systematycznego i trwającego dłuższy czas działania na szkodę konsumentów).

Starsza Pani - oficjalnie: była kierowniczką - natychmiast złożyła, od dawna zresztą aktualne, podanie o emeryturę, które przedsiębiorstwo bezzwłocznie uwzględniło (uznając, że emerytura jej się słusznie należy) (a także w nadziei uniknięcia szerszego rozgłosu) (co - to znaczy szerszy rozgłos - bez wątpienia wyrządziłoby przedsiębiorstwu większą szkodę niż owa superata ponad superatę) (która - czyli superata - ostatecznie i tak oznacza zysk) (tylko trzeba umieć ją zaksięgować) (oczywiście).

No a skutek takich wcale nierzadkich wypadków (kiedy mianowicie kierowniczką wpada) również personel

118

przenoszą do innych lokali - przeważnie gorszych, czasem podobnych, wyjątkowo zaś lepszych - (jakkolwiek większość personelu) (zgodnie z wyraźnym zapisem w prawie pracy) (nie ponosi odpowiedzialności za remanent, a nawet nie jest informowana o jego wyniku) (ale grzech rzuca długi cień, który pada na każdego) (zwłaszcza zaś na tego, kto w niczym nie zawinił).

Tak więc, co nie jest tajemnicą, a już na pewno nie jest niespodzianką, ta małomówna, wysoka blondynka o obojętnym wyrazie twarzy - oficjalnie: nowa kierowniczka - dyskretnie spowita wonią palinki czereśniowej zmieszanej z zapachem perfum, z papierosem zwisającym bez przerwy w kąciку ust, przygotowuje już w biurze czarną listę; co nie jest tajemnicą, zwłaszcza że w obecności wielu osób, w tym również żony starego, sama oświadczyła, że ze „złodziejskim personelem pracować nie będzie”; a więc nic jeszcze nie jest przesądzone, przesądzone jest tylko to, że koleżanka Bodowa (Ilona na imię) zostaje - czy to dzięki nieobliczalnemu czynnikowi, jakim jest osobista sympatia, czy też jakimś dającym się przewidzieć czynnikowi (na przykład przezorności nowej - oficjalnie - kierowniczki, która zapewne bierze pod uwagę fakt, że kiedyś i jej) (oficjalnie - nowej kierowniczce) (też może przydarzyć się superata, a wtedy) (i być może właśnie w czasie wieczornego szczytu) (sama stanie w białym fartuchu za bufetem) (zgodnie z owym - wcale zresztą nie tak nieuchronnym - porządkiem, który cytowany już wcześniej złowieszczy umysł nazwał był wiecznym powrotem) (a któremu oczywiście) (przynajmniej taką mamy nadzieję) (życie zawsze zadaje kłam).

- No i teraz czekam, gdzie trafię - zakończyła swój wywód (czymś w rodzaju konkluzji) żona starego.

119

- A właśnie - powiedział później stary - dzwoniła moja matka.

- Czego chciała? - spytała żona. Stary z grubsza naszkicował sytuację.
- No to nie mamy już co marzyć o zamianie mieszkania
- powiedziała żona.
- To prawda, mamy na to słabe widoki - powiedział stary. - Chwilowo - dodał (pośpiesznie).
- Będziemy mieszkać w tej dziurze do końca życia
- powiedziała żona.
- No to co mam zrobić? - powiedział stary. - Pójdę, przejdę się trochę - powiedział jeszcze (trochę później).

Nazajutrz rano żona starego, wyrwana ze snu, siedziała na skraju tapczanu stojącego w północno-wschodnim kącie pokoju, w nocnej koszuli, w kapciach, rozczochrana, i wodząc trochę nieprzytomnym jeszcze wzrokiem, powiedziała:

- Coś dziwnego mi się śniło. Nie pamiętam wszystkich szczegółów - ciągnęła. - Słowem, chodzi o to, że pracowałam w jakimś ogromnym kombinacie gastronomicznym. Budynek miał sześć pięter i był z czerwonej cegły, jak jakieś... no tak... jak więzienie. Oczywiście. Na każdym piętze głośno grała muzyka, przeważnie cygańska. Mnie przydzielili na taras na dachu. Był tłok. Nosiłam talerze, ciężkie, z jenajskiego szkła, po dwanaście butelek piwa na tacy. Kuchnia znajdowała się na parterze; stamtąd musieliśmy dźwigać wszystko, brakowało personelu. Byliśmy ugotowani, ludzie przy stolikach pokrzykiwali na nas; popielniczki pełne petów, z poplamionych tłuszczem obrusów ściekał wylany alkohol. Było takie dziwne, czerwone światło, jak niekiedy

120

latem o zmierzchu. Biegałam od jednego gościa do drugiego, lał się ze mnie pot, ale czułam, że ja właściwie nie mam już z tym nic wspólnego.

Bodowa pobrzękiwała talerzami tuż koło mnie, była w jakimś węgierskim stroju ludowym. Miała czerwony serdak, wianek na głowie i opiętą na wielkim zadku spódnicę w barwach narodowych. Niosła taki ogromny talerz, że aż pod jego ciężarem upadła. „A zimą, w czasie śnieżycy jak to robicie?” - spytała mnie zdyszana. „To już nie moje zmartwienie” - powiedziałam jej. Zauważyłam tylko, że wianek się jej przekrzywił, zsunął prawie na uszy, że spod wianka leje się pot, zalewa jej twarz, ścieka czerwoną i czarną strużką po twarzy, rozmazując makijaż. Tak się zaczęłam śmiać, że aż musiałam usiąść, tacę postawiłam na ziemi. Rozsznurowałam również buty - byłam w swoich roboczych butach, wysoko sznurowanych, za kostkę - bo coś strasznie uwierało mnie w stopę. Okazało się, że to dziesięcioforin-towa moneta; w całym tym rozgardiaszu widocznie jakoś wpadła mi do buta. Nagle wrzeszczy na mnie jakiś facet: „Ja tutaj zrobię porządek, co pani sobie myśli, poproszę o książkę skarg i zażaleń!”. Wiedziałam, że to zastępca komendanta, nie wiedziałam tylko, jaki zastępca jakiego komendanta. Mówię mu: „Może się pan nie fatygować: ja już mam wyrok śmierci!” - i pokazuję mu papier. Wziął, przeczytał, ale kiedy czytał, jakoś dziwnie wybałuszył oczy - wyglądały, jakby mu zaraz miały wypaść. „A to co innego!” - powiedział następnie. Znienacka podskoczył, strzelił obcasami i zrobił taki gest, jakby chciał zaszalutować, ale tylko machnął ręką. Jednocześnie puścił do mnie oko, ale tak jakoś smętnie.

Na to jak spod ziemi wyrosła nowa kierowniczką, blondynką. Z kredowobiałą twarzą, z papierosem w kąciku

121

ust syknęła mi do ucha: „Nie pozwalam ci odejść! Nie mam personelu, ten dzień musisz jeszcze przepracować!”. Nawet poczułam z jej ust smród czereśniowej palinki; jak na jawie. I powiedziałam do niej: „Ty też możesz się nie fatygować; ja już jestem wolna, mam wyrok!”. Zdjęłam fartuch i razem z drobnymi brzęczącymi w kieszeni cisnęłam jej pod nogi. Koniec pieśni. Jeszcze nigdy w życiu nie było mi tak lekko na sercu. Podeszłam do balustrady. Widziałam, że na dole kłębi się tłum ludzi: wszyscy chcieli wejść, chcieli jeść i pić, nadchodzili coraz to nowi z daleka, w długich czarnych szeregach, jak mrówki. Robiło się już ciemno. Pod moimi stopami w całym budynku wrzało jak w ulu. Grała muzyka, pito, śpiewano, niektórzy goście spili się już kompletnie i rozrabiali. Personel uwijał się pomiędzy nimi nieprzytomnie: kelnerzy w biegu stawiali jedzenie i picie, a potem w dół po schodach, do niewidocznej kuchni. Stamtąd zaś ciągle



płynęły nowe dania, a najdziwniejsze było to, że wiedziałam: w kuchni nie ma personelu, i to wszystko potrwa tylko dopóty, dopóki kierownictwo będzie miało superatę...

Nie potrafię tego opowiedzieć tak, jakbym chciała...

Wielu szczegółów nie pamiętam...

Muszę się już ubierać; bo się w końcu spóźnię...

Właściwie to miałam zły sen, ale nie taki zły jak przebudzenie - zakończyła swój wywód (czymś w rodzaju konkluzji) żona starego.

Trochę później stary stał przed sekretarzykiem i myślał o tym, że dzisiaj nie będzie rozmyślał.

Żeby zrealizować ten plan (jeśli w ogóle można jakiś negatywny cel nazwać planem, a dzianie się realizacją) (w dodatku taki cel, który nie wymagał od starego żadnego

wysiłku, ponieważ) (jak już chyba o tym wspominaliśmy) (stary nabrał takiej rutyny w rozmyślaniu, że potrafił stwarzać pozory myślenia nawet wtedy, kiedy nie myślał, chociaż sam pewnie wyobrażał sobie, że myśli), z tylnego, północno-zachodniego prawego kąta dolnej przegródki sekretarzyka wyjął beżowy futerał, podniszczony z wierzchu, przypuszczalnie ze świńskiej skóry, coś w rodzaju pudełeczka.

Na zewnętrznej (a zarazem wierzchniej) stronie (podniszczonego z wierzchu) beżowego pudełeczka, pośrodku znajdowała się wypukła i bardziej beżowa niż beżowe tło (można powiedzieć, brązowa), okrągła, stylizowana pieczęć z napisem MEDICOR (może był to skrót nazwy firmy farmaceutycznej lub przedsiębiorstwa produkującego aparaturę medyczną) (jeśli zdamy się na zwykłą logikę, a przecież) (z braku lepszego punktu oparcia) (jako że stary nie miał pojęcia, kiedy, dlaczego i jak pudełeczko to znalazło się w jego posiadaniu) (nie możemy zrobić nic innego), natomiast dwie wewnętrzne przegródki zawierały po talii francuskich kart (jedną niebieską i jedną czerwoną, w każdej talii zaś pięćdziesiąt dwie karty) (a więc w sumie sto cztery) (czerwonych lub niebieskich kart) (które na odwrocie miały stylizowaną pieczęć, bardziej niebieską od niebieskiej karty lub bardziej czerwoną od czerwonej, z napisem MEDICOR pośrodku) (zawsze w stosownym kolorze) (co się samo przez się rozumie).

Stary wyjął niebieską talię (jako że ta była mniej używana).

Przez chwilę tasował, po czym rozłożył cztery razy po trzynaście kart (a zatem w sumie pięćdziesiąt dwie) - za jednym zamachem i zawsze z prawej strony na lewą - przed

122

123

sobą na stole (a ściślej na stole, na jedynym w mieszkaniu stole z prawdziwego zdarzenia).

Czynnos'ci te s'wiadczyły o tym, że - jakkolwiek to zaskakujące - szykował się do brydża.

Do brydża bowiem potrzeba czterech osób (nie mniej i nie więcej).

Brydż to angielskie strzelanie głową - zwykł mawiać stary (na użytek słabszych graczy).

Jego istota, można powiedzieć, specyfika, polega na tym, że dwóch siedzących naprzeciwko siebie partnerów gra z dwoma innymi siedzącymi naprzeciwko siebie partnerami (dlatego ta gra nazywa się brydż) (po angielsku bridge) (co na węgierski tłumaczy się jako most) (jakkolwiek to nazbyt proste wytłumaczenie) (a wraz z nim angielskie pochodzenie gry) (najnowsze krajowe badania) (podobnie jak badania zagraniczne) (podają w wątpliwość).

A zatem - cóż innego mu bowiem pozostało? - stary sam jeden reprezentował trzy pozostałe osoby, czyli całą czwórkę, mówiąc fachowo, zarówno rozgrywających, jak i ich przeciwników, co miało bez wątpienia swoje zalety - na przykład znacznie redukowało trudnos'ci w porozumieniu między partnerami - natomiast wada owego rozwiązania polegała na tym, że starego bardzo kępowały otwarte karty; temu więc należy zapewne przypisać fakt, że jako rozgrywający, zamiast impasować w kiery - choć z góry wiedział, że to gwarantuje sukces - zagrał na przymus w pikach i położył grę (choć jako przeciwnik również grubo wcześniej przewidział rezultat); pozostał mu więc do rozstrzygnięcia jeden jedyny problem, a mianowicie, czy utożsamić się z przegranym rozgrywającym, czy raczej ze zwycięskim przeciwnikiem (po chwili wahania stary

124

stanął po stronie zwycięskiego przeciwnika) (jakkolwiek złościło go, że nie impasował w kiery, co

gwarantowało łatwą wygraną), zanim włożył talię z powrotem do pudełeczka, a pudełeczko na swoje miejsce (w kącie - północno--zachodni - prawej tylnej przegródki sekretarzyka), zamknął sekretarzyk i opuścił ręce - już niczym niezajęte; przez co na koniec znowu powstała sytuacja dobrze już znana, tradycyjna, można powiedzieć, obrzędowa, czyli:

Stary stał przed sekretarzykiem. Myślał. Było rano. (Stosunkowo rano: dochodziła dziesiąta.) O tej porze stary zawsze zwykł rozmyślać.

Trapiło go wiele trosk i kłopotów, miał więc o czym myśleć.

Już dawno powinien był się wziąć do pisania książki - taka jest prawda i nie ma co jej upiększać.

Jakiegokolwiek książki, byle to była książka (stary od dawna już wiedział, że nie ma znaczenia, jaką książkę napisze: dobrą czy złą - bo w niczym nie zmienia to istoty rzeczy).

A więc nerwowym ruchem (jak ktoś, kto nie ma czasu do stracenia) wyjął z górnej przegródki sekretarzyka teczkę z napisem „Pomysły, szkice, robocze fragmenty”, potem zaś spośród mnóstwa karteczek, karteluszków i świstków papierów, jak to się mówi na chybił trafił (jak ktoś, komu jest wszystko jedno, co wyciągnie: piki, asa czy dwójkę trefli) (a mówiąc dokładnie: jak ktoś, kto dobrze wie, że nie może wyciągnąć ani asa pik, ani dwójki trefli, ponieważ sam tasował tę talię kart) (z góry więc wiadomo, jakie karty mu się dostaną) (z tym zastrzeżeniem, że mogą mu się trafić tylko trochę lepsze lub trochę gorsze (co nie znaczy, że jednoznacznie dobre albo złe) (a to pozostawia jednak pewne pole manewru dla położenia gwiazd w owej chwili)

125

wyciągnął nieco już pozółkłą na brzegach kartkę z notesu, mniej więcej ze środka stosu kartek, który się przed nim piętrzył.

Na kartce z notesu (już nieco pozółkłej na brzegach) przeczytał poniższą notatkę (lub pomysł, szkic lub roboczy fragment) skreśloną zielonym flamastrem (którego od jakiegoś czasu już nie używał):

„Kóves dwa razy składał wniosek o paszport, i trzy razy mu odmówiono; jakkolwiek mógł mieć do czynienia z ewidentną pomyłką administracyjną, Kóves widział w tym jednak jakiś symboliczny sens, i wtedy ostatecznie zdecydował: teraz już koniecznie wyjedzie”.

- No proszę - mruknął stary. - Nieźle trafiłem. „Pamiętam”.

„Brakowało poparcia z miejsca pracy”. „To było dawno” - odbiegł (w myślach) od tematu. „Ale cóż mam, do diabła, z tym począć?” - powrócił (w myślach) do tematu.

„Chociaż - pomyślał znowu - to nie jest zły pomysł”. „Są w nim ciekawe elementy”. „Można by było od tego wyjść”. „Od wszystkiego można wyjść”. „Zależy tylko, gdzie się wylądować”. „Ale gdzie wylądować Kóves?”

Stary siedział przed sekretarzykiem i myślał (najpewniej nad pytaniem skierowanym do siebie, które) (jak już powyżej cytowaliśmy) (brzmiało: gdzie wylądować Kóves).

„A tak w ogóle to gdzie może wylądować Kóves?” - stary skierował sam do siebie następne pytanie (a jego z wolna rozpozadająca się twarz świadczyła o tym, że i odpowiedź ma już na końcu języka).

Po czym wyjął maszynę do pisania (z górnej półki sekretarzyka) (na której zostało już tylko parę teczek, dwa kartonowe pudła, za nimi zaś, z tyłu, pewna szara teczka, a na niej, w charakterze przycisku, również szary - chociaż w nieco ciemniejszym odcieniu szarości - kamień) i u góry wkręconej do maszyny kartki papieru, wypośrodkowując i samymi dużymi literami (jak zwykle pisze się tytuł) (dajmy na to, tytuł książki) wystukał, co następuje:

FIASKO

pod spodem zaś, po chwili namysłu, dodał jeszcze: ROZDZIAŁ PIER

„Kurwa twoja mać!” - przerwał nagle stukanie stary, unosząc się do połowy z fotela i sięgając do sekretarzyka.

„Żeby cię, ty parchata kobyło, ktoś wreszcie zaruchał...” - mamrotał wolno i dobitnie, a tymczasem wciskał sobie do uszu starannie ugniecione w palcach, miękkie kulki z wosku, niejako unieważniając w ten sposób Oglitza, Parów Kłamstwa - można by rzec - cały świat.

126

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przylot

Kóves ocknął się, czując szum w uszach; prawdopodobnie zasnął i omal nie przegapił tej niezwyklej chwili, kiedy z rozgwieżdżonej wysokości nieba schodzili w ziemską noc. Na poszarpanej linii horyzontu, nieustannie tańczącej w rytm ruchów samolotu, pojawiły się rozproszone, słabo migoczące światła; wyglądały jak rozbujana flotylla okrętów na ciemnym oceanie. Ale pod nimi rozciągał się suchy ląd; a więc tak żałośnie wygląda to miasto? Kóvesowi przyszedł na myśl dom, inne miasto - Budapeszt - które właśnie opuścił. I chociaż leciał już szesnaście godzin, po raz pierwszy z całą mocą uświadomił sobie, doznając lekkiego zawrotu głowy jak po alkoholu, odległość, która dzieliła go od tak dobrze znanej wijącej się linii Dunaju, oświetlonych mostów, budańskich wzgórz i od śródmieścia otoczonego wieńcem światła. Wprawdzie tutaj również widział w dole blado mieniającą się wstęgę - prawdopodobnie jakąś rzekę; nad nią zaś tu i ówdzie słabo oświetlone łuki - zapewne mosty; a kiedy opuścili się niżej, mógł również dostrzec, że miasto na jednym brzegu rzeki rozciągało się na płaskim terenie, na drugim zaś rozłożyło się na wzgórzach.

Na tym Kuves musiał zakończyć swoje obserwacje. Maszyna dotknęła ziemi, zaczęła się zwykła w takich razach

129

pośpieszna krzątanka: trzeba było rozpiąć pasy bezpieczeństwa, kilkoma szybkimi ruchami wygładzić pogniecione ubranie, krótko pożegnać sąsiada, towarzysza podróży - Anglik ów latał dookoła świata jako przedstawiciel wielkiego koncernu i Kóves w czasie lotu czerpał niemały pożytek z jego doświadczenia w lataniu - wszystko to sprawiało Kóvesowi pewien kłopot, w końcu pierwszy raz w życiu przemierzał kontynenty, w dodatku był jedynym pasażerem, który wysiadał w tym miejscu. No i całe zmęczenie podróży jak gdyby dopadło go właśnie w tej chwili; nie mógł się już doczekać, kiedy pozbędzie się bagażu - jakkolwiek składał się zaledwie z jednej walizki, która może mu się jeszcze przydać - ale odbierze go później, korzystając z pomocy swojego sławnego, zamożnego przyjaciela - tymczasem zaś chętnie odda się w opiekę personelowi lotniska. Na próżno jednak czekał; nikt po niego nie wyszedł, było ciemno i wszystko wyglądało na zupełnie opuszczone. Co tu się stało?! Strajkują? Wybuchła wojna i zaciemnili lotnisko? A może to zwykłe niedbalstwo, liczą, że przybysz sam znajdzie drogę? Kuves zrobił parę niepewnych kroków w kierunku, gdzie w oddali jego wzrok wyłowił jakieś kontury, przypuszczalnie budynek portu lotniczego; zaraz się jednak pośliznął - zdaje się, że w ciemności zszedł z betonowej nawierzchni - i jednocześnie poczuł się tak, jakby nagle ktoś wymierzył mu policzek. Był to ostry promień reflektora, bezlitośnie skierowany prosto w jego twarz. Kóves, wściekły, zmrużył oczy. Wówczas promień światła - jak gdyby dopiero teraz przyjęto do wiadomości jego oburzenie - szybko zsunął się niżej i błędząc po jego ciele, ześliznął się aż pod nogi, potem wybiegł parę metrów do przodu po ziemi, po czym wrócił na nogi Kóvesa,

130

a potem znowu wybiegł do przodu. Chcą mu w ten sposób pokazać drogę? W każdym razie pomysł byłby wielce osobliwy; można to wziąć zarówno za uprzejmość, jak i za rozkaz; i kiedy się nad tym zastanawiał, zdał sobie sprawę, że

- z walizką w ręku - rusza w ślad za tańczącym przed nim snopem światła.

Musiał pokonać dosyć długą drogę. Wprawdzie światło reflektora sprawiało, że wszystko wokół pogrążone było w jeszcze głębszej ciemności, ale Kuves zauważył, że idzie na przemian to przez teren porośnięty chwastami, to przez kolejne betonowe pasy lotniska. Te dalsze wydawały się jednak węższe; być może nawet niezdatne do przyjęcia takiego nowoczesnego ogromnego samolotu, jakim Kóves przyleciał; może - zastanawiał się - pas, na którym wylądował, zbudowano niedawno i dlatego dzieli go od starych pasów spora odległość. Albo - zastanawiał się dalej Kóves - nie chce się tutaj dopuścić, aby obcy od razu widzieli wszystko jak na dłoni.

Promień światła nagle zgasł; widocznie byli u celu; Kóves zobaczył teraz oświetlone wejście i jakiegoś człowieka naprzeciw siebie. A ściślej, kontury jakiejś postaci - parę stopni powyżej miejsca, gdzie stał - bo światło przy wejściu znowu padało w taki sposób, że Kóves, oślepiiony, i tym razem nic nie widział. No ale wreszcie spotkał człowieka; Kóves tylko dlatego nie odezwał się jeszcze do niego, że w nagłym zmieszaniu nie wiedział, w jakim języku powiedzieć mu dobry

wieczór.

Ale pospieszono mu z pomocą.

- No i co, przyjechaliśmy? - zapytał ów człowiek. Pytanie zrobiło na Kóvesu wrażenie przyjaznego pozdrowienia i zapewne tylko mu się zdawało, że słyszy w nim

131

jakaś nutę trudną do określenia - może coś w rodzaju Schadenfreude.

- Tak - odpowiedział.

- No proszę - powiedział ów człowiek, znowu tonem, który i tym razem zabił Kúvesowi ćwieka.

Wprawdzie nie widział twarzy mówiącego, ale w żaden sposób nie mógł się zdecydować, czy to, co słyszy w jego głosie, jest ironią, a nawet podstępą groźbą, czy jedynie suchym stwierdzeniem. Prawdopodobnie owa niepewność skłoniła go do tłumaczenia się, bo przecież nikt od niego nie wymagał wyjaśnień:

- Przyjechałem odwiedzić przyjaciela - powiedział. - Nie zawiadomiłem go tylko dlatego, że chciałem mu sprawić niespodziankę...

- Co to za przyjaciel? - spytał człowiek.

- Niejaki Sziklai... potem Stones... obecnie zaś Sassone, znany w świecie autor komedii i scenariuszy - tłumaczył Kóves. I jak ktoś, kto nagle poczuł pewny grunt pod nogami, dodał: - Musi pan znać to nazwisko! - znacznie pewniejszym już tonem.

- Pan dobrze wie, że pisarza o tym nazwisku my tutaj znać nie możemy - powiedziano mu.

- Nie?... - spytał Kóves; a ponieważ odpowiedź nie nadeszła, zauważył: - Nie wiedziałem, ale przyjmuję do wiadomości. - Stał chwilę milcząc, żółte światło padające z drzwi wejściowych dziwnie wydłużało jego cień, a walizka, którą trzymał w rękę, sprawiała wrażenie jakiegoś nieforemnego balastu zrosniętego z jego ciałem. Potem znacznie ciszej, jak zwykle, gdy po wstępnej wymianie zdań przechodzimy nagle do poufnej części rozmowy, spytał: - Gdzie jestem?

132

- W domu - brzmiała odpowiedź. Teraz ów człowiek zrobił krótką pauzę. W chłodzie wiosennej nocy Kóves dostrzegł lekką parę jego oddechu - wreszcie jakiś bezdyskusyjny sygnał fizycznej obecności tego człowieka - kiedy tamten znowu się odezwał. Tym razem bardzo łagodnie, nieomal ze współczuciem zapytał Kóvesa: - Chciałby pan wrócić?

- Jak? - spytał Kóves.

Człowiek wykonał gest, jakby go zapraszał, jakby składał Kóvesowi milczącą propozycję, wyciągnął rękę i wskazał kierunek. Kóves odwrócił się: w oddali błyszczał ledwie dostrzegalny maleńki rząd okien. Być może stał tam jeszcze samolot, którym tu przybył. I nagle ogarnęła go gorąca tęsknota za pokładem samolotu, gdzie pasażerowi gwarantuje się bezpieczeństwo, za ciepłym klimatyzowanego powietrza, za wygodnym fotelem, międzynarodowym towarzystwem, uśmiechniętymi stewardesami, beztróskim rytuałem posiłków na zasadzie stoliczku nakryj się, a nawet za nudnym i małowównym sąsiadem Anglikiem, który zawsze wie, skąd startuje i gdzie wylądjuje.

- Nie - zwrócił się do człowieka - sądzę, że to nie miałoby sensu. Skoro już tu jestem - dodał.

- Jak pan uważa - powiedział człowiek. - My do niczego pana nie zmuszamy.

- Tak - przyznał Kóves - ciężko by mi było dowieść, że jest inaczej. - Zamyślił się. - A jednak mnie państwo zmuszają - odezwał się znowu. - Choćby to światło, którym mnie prowadziliście.

- Nie trzeba było za nim iść - uciał natychmiast ów człowiek.

- Oczywiście, mogłem, rzecz jasna, zostać tam, pod gołym niebem, dopóki się nie rozwidni albo dopóki nie

133

zamarznę - powiedział Kóves z odrobiną kaznodziejskiej przesady, bo przecież była wiosna.

Z góry dobiegł jego uszu krótki, stłumiony śmiech.

- No, niech pan wejdzie - powiedział w końcu człowiek - załatwimy formalności. - Ustąpił mu z drogi, i Kóves mógł się wreszcie ruszyć, żeby pokonać tych kilka schodów.

Pewne okoliczności poprzedzające

Wszedł do oświetlonej, pustej hali; dopiero teraz zauważył, jak bardzo ciemność panująca na

zewnątrz wprowadziła go w błąd: tutaj w środku bowiem światło wcale nie wydawało się już takie jasne; wręcz przeciwnie, było raczej wątle, blade, tu i ówdzie lampy się nie świeciły i całość robiła dosyć przygnębiające wrażenie. Hala była wprawdzie wielka, lecz w porównaniu z halą jakiegoś międzynarodowego lotniska wydawała się mała i prowincjonalna, do czego przyczyniały się również opuszczone lady, puste okienka kasowe i pozostałe zgrzebne wyposażenie, które Kóves przelotnie omiótł wzrokiem. Mógł się teraz przyjrzeć również owemu człowiekowi, swemu wcześniejszemu rozmówcy; w rzeczywistości widział tylko mundur. Sam człowiek wydawał się tak z nim zrośnięty, tak weń wpasowany, że Kuves odniósł wrażenie - zapewne, rzecz jasna, błędne wrażenie, które brało się z jego zmęczenia - że ten mundur istniał od zawsze i zawsze będzie istniał, tych zaś, którzy go przejściowo noszą, za każdym razem dopasowuje do siebie. Zresztą mundur wydał mu się znajomy, chociaż nie był w stanie go zidentyfikować. „Nie żołnierz - zastanawiał się - nie policjant. I nie...” - przyszła mu nagle do głowy jakaś oderwana myśl, której nie potrafił sprecyzować. Zdecydował

134

więc, że ma do czynienia z celnikiem; w końcu - przynajmniej jak dotąd - nic nie wskazywało na to, że jest inaczej.

Człowiek tymczasem poprosił Kuvesa, żeby poszedł za nim. Wprowadził go do jakiegoś pokoju, do którego wchodziło się prosto z hali; urządzenie pokoju składało się jedynie z długiego stołu, za którym stały trzy biurowe krzesła. Celnik - jak go już Kóves w duchu nazywał - od razu zasiadł za stołem, zajmując miejsce naprzeciwko niego. Kóvesowi - chociaż to spostrzeżenie może nie miało znaczenia - rzuciło się jednak w oczy, że nie usiadł - co byłoby zrozumiałe samo przez się - na krzesła środkowym, lecz na jednym z bocznych. Kóves musiał mu podać swoje dokumenty, a walizkę położyć na stole.

- Proszę wyjść i poczekać - powiedział następnie celnik - wezwiemy pana.

Kuves rozejrzał się więc za jakimś krzesłem w pobliżu drzwi; zobaczył fotel, jakkolwiek jego składane twarde siedzenie nie obiecywało wielkiej wygody. Ze swojego miejsca widział całą halę; ale kiedy był w biurze, zaszła tu jakaś zmiana, prawdopodobnie w oświetleniu - doszedł do wniosku Kóves; teraz bowiem było ciemniej, część lamp zgaszono, być może szykowano się do zamknięcia. Świadczyłby o tym również fakt, że w odleglejszych kątach hali zaczął się krzątać, niespiesznie i niechętnie, personel sprząający; po zniszczonym, bezbarwnym, nieskończenie długim dywanowym chodniku jakiś człowiek w czapce i niebieskim fartuchu ciągnął odkurzacz, ale była to bardzo przestarzała maszyna, jakiej Kóves od dawna już nie widywał nigdzie, która całą halę wypełniła monotonnym, dychawicznym szumem. I teraz, kiedy już pozbył się napięcia, albo może dlatego, że przywykł do otoczenia, hala ta wydała się Kóvesowi

135

I.\_

znajoma. Miał wrażenie - zupełnie, rzecz jasna, bezpodstawne - że już tu kiedyś był; może wywołał je widok dużej ilości sztucznego marmuru na ścianach, na podłodze, we wszystkich możliwych miejscach, i charakterystyczna linia ład oraz innych przedmiotów wyposażenia; pewien rodzaj gustu, można powiedzieć, pewna cecha stylu, słowem, to, co w połowie tego wieku uważano jeszcze za nowoczesne, a co tak szybko, po piętnastu-dwudziestu latach stało się niemodne. Jedynie ów styl, no i może znowu nasilające się uczucie wyczerpania mogły wywołać w nim osobliwe złudzenie, że to, co widzi, kiedyś już widział, i że to, co się z nim dzieje, kiedyś już się działo. Mimo to nie wiedział, co się zdarzy; i nagle ogarnęło Kóvesa uczucie jakiejś beztroski, nieomal wyzwolenia; naraz był gotów na przyjęcie każdej przygody - niech przyjdzie, co ma przyjść, cokolwiek to będzie, niech go za sobą pociągnie, zabierze, zagarnie, wessie, coś, dzięki czemu jego życie stanie się inne, wejdzie w nowy etap; czyż nie po to wybrał się w tę podróż? Albowiem życie Kóvesa tam na zewnątrz, gdzieś w owej nocy lub nawet poza nią, gdzieś hen daleko, kto wie, może nawet w innym wymiarze - co tu dużo gadać - skończyło się krachem. Jak doszło do tego, do czego doszło, Kóves nigdy więcej - a przynajmniej przez jakiś czas - nawet nie chciał myśleć.

Prawdopodobnie działo się to stopniowo, powoli, krok po kroku, a więc prawie niepostrzeżenie; żył, przeżywał życie, znajdował się w pewnych sytuacjach, dokonywał wyborów; aż wyłonił się z

tego wszystkiego obraz porażki, fiaska, nie sposób było nadal tego nie dostrzegać. Być może zaczęło się już od jego urodzenia - chociaż nie, raczej od jego śmierci, a ściślej, od ponownych narodzin; Kóves bowiem przeżył swoją śmierć, w pewnym momencie, kiedy miał umrzeć, nie umarł, chociaż już wszystko było przygotowane, zorganizowane, zatwierdzone ze społecznego punktu widzenia; sprawa załatwiona - a tu Kóves po prostu zaczął się ociągać, nie spieszył się ze spełnieniem wymogów, nie potrafił się przeciwstawić tkwiącemu w nim, naturalnemu instynktowi życia, jak również szczęściu, które się do niego uśmiechnęło, i w ten oto sposób - na przekór wszelkiej logice - pozostał przy życiu. Z tego powodu miał potem ciągle jakieś męczące poczucie tymczasowości, jak ktoś, kto w prowizorycznej kryjówce czeka tylko, aż go rozliczą z tego, czego zaniedbał; i chociaż Kóves, prawdopodobnie z uwagi na delikatną konstrukcję swojej psychiki - i psychiki w ogóle - nie zdawał sobie z tego dokładnie sprawy, to jednak poczucie owo zatruło jego dalsze życie i wszystkie działania - jakkolwiek i z tego też nie zdawał sobie jasno sprawy, zawsze tylko zdumiewał go rezultat. Słowem, niczym bezdomny krążył po swoim bezimiennym życiu, czuł się jak w nie na siebie skrojonym, za dużym garniturze, który pożyczono mu w jakimś niewiadomym, zagadkowym celu, aż pewnego pięknego dnia doznał iluminacji. Stało się to w krótszym skrzydle korytarza w kształcie litery L, oświetlonego migającymi jarzeniówkami (gdzie znalazł się z powodu jakiejś zupełnie przypadkowej sprawy), w ciągu zaledwie dziesięciu minut (kiedy czekał tam na coś zupełnie innego), i skąd (po załatwieniu tymczasem swojej przypadkowej sprawy) wyszedł na ulicę z gotowym, zaplanowanym zadaniem. Zadanie to w istocie - co znacznie później, na przykład w cywilizowanym, międzynarodowym towarzystwie w samolocie, siedząc obok bywałego w świecie Anglika, towarzysza podróży, sam przed sobą krępował się przyznać - polegało

136

137

na napisaniu powieści. Szybko się jednak okazało, że Kóves nie ma warunków niezbędnych do podjęcia się tego zadania: nie zna na przykład techniki pisania; widzi swoją powieść jedynie w ogólnych zarysach, jeśli jednak chodzi o szczegóły, nie ma pojęcia, jakiego rodzaju powieść miałby właściwie napisać, a przecież powieść składa się głównie ze szczegółów; nie wiedział, co to jest powieść, powieść jako taka, dlaczego ludzie piszą powieści, dlaczego on sam miałby napisać powieść, jaki to ma sens, ogólnie rzecz biorąc, a zwłaszcza dla niego, kim on właściwie jest, i tak dalej - tyle trudnych pytań, a każde z nich takie, że można by strawić całe życie na szukaniu odpowiedzi. W końcu jednak w ciągu dziesięciu lat powieść powstała; Kóves w tym czasie był zupełnie stracony dla świata. Nieregularne dochody z przemysłu rozrywkowego - jako że pisanie powieści uczyniło go człowiekiem niezdolnym do dostarczania ludziom rozrywki - niebezpiecznie się skurczyły; był zdany na pełną poświęcenia pracę żony, która zarabiała na chleb, Kóves z udręką patrzył na jej stopniowe godzenie się z ciężkim losem, którego nie potrafił zmienić; on sam tymczasem, zamknięty w swoim pokoju - a ściślej, w jedynym pokoju w mieszkaniu - i pogrążony bez reszty w świecie znaków i abstrakcji, zapomniał, jak wygląda życie na zewnątrz. Na domiar złego, kiedy już za ostatnie pieniądze dał swoją powieść do przepisania renomowanej, pierwszorzędnej maszynistce, a potem opracił maszynopis w lśniącą okładkę, wydawnictwo po prostu mu ją odesłało. Na podstawie zgodnej opinii naszych lektorów komunikujemy, że nie możemy się podjąć wydania Pańskiej powieści; Sądzymy, że artystyczne ujęcie jest nieudane, chociaż sam temat - wielki i wstrząsający; Fakt, że mimo to Pana powieść nie staje się dla czytelnika poruszającym przeżyciem,

138

wynika przede wszystkim z dziwnych reakcji głównego bohatera; Jego uwagi są niesmaczne, sformułowania zawile... - takie rzeczy napisano Kóvesowi w załączonym liście.

Kóves był rozgoryczony wcale nie owym listem; wykonał wyznaczone sobie zadanie i jeśli o to chodzi - niech piszą, co im się żywnie podoba - nie miał sobie nic do wyrzucenia; a czy powieść poruszy, czy też nie poruszy czytelnika, to Kóves uważał za problem dokuczliwy i niewart uwagi, za coś takiego, co chcą mu po prostu narzucić, bo przecież on sam nie ma z tym nic wspólnego. Poza tym takie pojęcie jak „czytelnik”, a także obsesyjne wymądrzanie się w tej - wcale

nieoczywistej - w każdym razie w jego wypadku zupełnie abstrakcyjnej kwestii, jakie napotkał w liście od wydawnictwa, nie dawało Kóvesowi spokoju, w końcu kazało mu uświadomić sobie pewną szczególną okoliczność, która nagle pojawiła się przed nim jako nieznośny absurd, a mianowicie, że jest pisarzem. Bo o tym Kóves nigdy dotąd nie myślał, a jeśli już, to inaczej, w każdym razie nie tak jak teraz, kiedy nagle w świetle listu od wydawcy zobaczył siebie; został odrzucony, ale jednocześnie ukonkretnio-ny - zaistniał w tej pełnej udręki dziedzinie. Jako się rzekło, napisał powieść; ale zrobił to tak, jakby, dajmy na to, w obliczu ostatecznej katastrofy rzucił się z samolotu w pustkę, w nieznaną, traktując to jako jedyną możliwość przeżycia; i dla Kóvesa nagle stało się jasne, że - mówiąc obrazowo -ziemi może teraz osiągnąć jedynie jako pisarz, w przeciwnym razie zginie w owej pustce. Ta konstatacja zrodziła w Kóvesu najrozmaitsze pytania i refleksje. Przede wszystkim, czy tego chciał; to znaczy, czy kiedy pod wpływem iluminacji postawił przed sobą to zadanie, czy chciał zostać pisarzem? Czy taki właśnie miał cel? Kóves już tego nie

139

pamiętał; pamięć tamtej chwili zatarły lata; stan olśnienia, jakiego doznał, ustąpił miejsca żmudnej pracy, można powiedzieć, zwykłej harówce. Przez cały ten czas treść tamtego przeżycia tkwiła w Kóvesu już tylko jako nieubłagany nakaz, który dopingował go do wypełnienia zadania. A zatem wyjaśnienie tej kwestii wymagało od Kóvesa dalszego namysłu. Wyobraził sobie na przykład, że wydawca przesyła mu list nie tej treści, ale dokładnie odwrotnej. Co więcej - Kóves słyszał, że ongiś już się tak zdarzyło -o świecie pojawiają się oto w jego mieszkaniu lektorzy z wydawnictwa, z głównym lektorem na czele, zapewniają go, że jego powieść, wyrwijąc ją sobie z rąk, czytali przez całą noc, przeczytali jednym tchem, od deski do deski, i że ta powieść do szpiku kości wstrząśnie czytelnikiem; a zatem natychmiast trzeba ją wydać. I co wtedy? - zrodziła się w Kóvesu cierpka wątpliwość. Co znaczy jedna książka, skoro na kuli ziemskiej ukazują się co roku przynajmniej milion książek, jeśli nie więcej? Co znaczy przelotnie wstrząsnąć czytelnikiem (Kóves oczami duszy widział wstrząśniętego czytelnika, który szukając nowego wstrząsu, sięga już, roztargniony, po kolejną książkę stojącą na półce) wobec tych lat, które on, Kóves, poświęcił temu zadaniu, niszcząc przy okazji swoje życie, niszcząc samego siebie i zdręczając żonę? I w końcu jak ma się pogodzić z praktycznym rezultatem tego wyniszczającego przedsięwzięcia; z żalonym honorarium - żeby wybadać wszystko do końca, Kóves ostatnio informował się również w tej sprawie - którą to kwotę w ciągu paru miesięcy mógłby zarobić w jakiegokolwiek społecznie użytecznej, niebudzącej niczyich wątpliwości i nieocenianej przez żadnego lektora z wydawnictwa rzemieślniczej profesji?

140

Dla Kóvesa stało się więc jasne, że zabrnął w ślepią uliczkę, na dodatek bezpowrotnie roztrwonił czas. Miał już dość pisania powieści; co więcej, trzeźwiejąc z trwającego blisko dziesięć lat permanentnego odurzenia, z jasną już teraz głową Kóves nie mógł w gruncie rzeczy pojąć, jak to się stało, że w ogóle oddał się takiemu bezsensownemu zajęciu. Gdyby przynajmniej znał powód, to wówczas - tak się przynajmniej Kóvesowi zdawało - mógłby się pocieszać, że widać tak musiało być. Jak każdy, również i on słyszał naturalnie o tym, że do pisania powieści popycha człowieka talent. Jednak dla Kóvesa to określenie nie zawierało żadnej uchwytnej treści. Jawiło mu się jakoś tak, jakby o kimś mówiono, że ma niebrydki pieprzyk na twarzy. Ów pieprzyk, co tu dużo gadać, może się kiedyś przerodzić w paskudny stan zapalny, a nawet w nowotwór - może też pozostać niepozobawioną pikanterii ozdobą; to już oczywiście kwestia szczęścia. Tylko że Kóves nigdy nie odkrył u siebie tego rodzaju nieprawidłowości, nigdy nie czuł się właścicielem żadnej wyróżniającej go od urodzenia cechy, bez względu na to, czy byłaby to cecha korzystna, czy niekorzystna. Gdzie indziej trzeba szukać błędu - pomyślał Kóves - gdzieś głębiej; w nim samym, w okolicznościach, w jego przeszłości, kto wie, może w jego charakterze; w tym wszystkim, co się z nim dotąd działo, w przebiegu całego jego życia, na które nie zwracał dostatecznej uwagi. Gdyby przynajmniej mógł je powtórzyć, gdyby mógł zacząć od nowa - marzył Kóves - wszystko inaczej by się potoczyło, teraz wiedziałby już, co trzeba poprawić, co zmienić. Ale to oczywiście - dokładnie zdawał sobie z tego sprawę -jest niemożliwe; wtedy zdecydował się na tę podróż. Nie

żeby chciał zostawić żonę, dom, ojczyznę; czuł tylko, że

141

potrzebuje nowych bodźców, musi się zanurzyć w wodzie z nowego, obcego źródła, żeby się odświeżyć; pragnął wyruszyć gdzieś daleko, żeby się znaleźć bliżej samego siebie, odrzucić wszystko, co stare, i pojąć to, co nowe - słowem, żeby się odnaleźć, żeby zacząć nowe życie na nowych podstawach.

Kóves śni Potem zostaje wezwany Dodatkowym bodźcem dla Kóvesa był również pewien sen - ciągle powracający sen, który każdego czasami nawiedza. Zaczynał się lataniem, Kóves znajdował się w pustce. Była to błyszcząca pustka, usiana drobnymi światełkami niczym gwiazdami; ale była to pustka, a duża liczba małych światełek raczej zwodziła Kuvesa, niż go prowadziła. Odczuwał napięcie, miał przykrą świadomość własnej znikomości w tych wielkich przestrzeniach, bał się; ale nie bał się tego, że zginie, że stopi się w jedno z nicością. Wręcz przeciwnie, Kóves również we śnie wyraźnie czuł, że boi się tego, iż na coś się natknie. Szukał czegoś, ale nie chciał tego znaleźć; a ściślej, chciał znaleźć coś, ale nie to, czego szukał. Jego obawa rosła i rosła, aż nagle, jak gdyby niewidzialne strumienie jakiejś diabelskiej fontanny je wystrzeliły, zaczęły na Kóvesa nacierać strzępy rzeczy, twarze i przedmioty, które znał. Jakaś twarz, którą kochał, jakiś przedmiot, którego używał czy widział co dnia, jakaś część ubrania, którą codziennie wkładał na siebie. Próbował je złapać, wziąć do ręki, ale nie mógł; czuł, że owe przedmioty i twarze śledziły jego bezradne wysiłki z jakimś wyrzutem, że podsuwały mu się, wręcz narzucały po to, żeby go zmusić do walki i udowodnić mu, że nie jest w stanie ich złapać. Ich bolesną

142

I

bezsilność, ich latanie, wirowanie, rozpadanie się Kuves odczuwał jako własną winę; tak, czuł się winny, że na próżno o nie walczy, że nie potrafi utrzymać w ręce tego wszystkiego, co pragnęło ciepła jego ręki - Kóves wyraźnie czuł to pragnienie, tę niezdarną tęsknotę przedmiotów martwych; dlatego przed nimi uciekał. Wreszcie pozostawił je za sobą, zniknęły; on zaś dotarł do jakiejś jamy, jaskini czy tunelu. Tu było mu dobrze, bo ów tunel był bezpieczny, ciemny i ciepły; miał ochotę tu zostać, skryć się w jego mroku; ale jakiś mimowolny pęd, zapal, nad którym nie potrafił zapanować, gnał Kóvesa dalej, naprzód, ku majaczącemu w oddali światłu. Tunel nagle zmienił kształt, zrobił się okrągły, i Kóves zobaczył na ścianie naprzeciwko siebie płonące litery, niczym mene, tekel, upharsin. W pierwszej chwili przestraszył się ich, potem jednak stwierdził, że nic groźnego się nie dzieje, że stoi na dobrze sobie znanym placu - gdzieś w połowie Kóriitu - i widzi migające rdzawo, żółto i niebiesko litery nowoczesnej reklamy. Ale te litery tak szybko zmieniały kolor, a nawet kształt, że Kóves - jakkolwiek czuł, iż zawierają niezwykle ważną wiadomość, którą zna już każdy, cały świat, tylko on jeden jej nie zna - w końcu nie potrafił ułożyć z nich żadnego słowa. I kiedy coraz bardziej wściekły walczył, żeby wydobyć z nich jakiś sens, litery nagle jakby oszalały; najpierw zaczęły wirować z coraz bardziej obłądną prędkością; potem kolorowe światła zupełnie się zlały, zblakły, i Kóves w końcu widział jedynie jakąś bardzo słabo majaczącą kulę, gdzieś w dole, pod stopami - on sam zaś znowu był w pustce. Dopiero wtedy spostrzegł, jak bardzo owa kula podobna jest do kuli ziemskiej; nawet widać było na niej jakieś zarysy, ale nie były to zarysy kontynentów ani oceanów, tylko raczej jakiś zawikłany

143

rysunek, dziwny cień, falujący jak meduza, przybierający coraz groźniejsze kształty. I Kóves przerażony czuł, że ten będący w bezustannym ruchu cień, te ciągle zmieniające się rysy muszą być do czegoś' podobne; nie, raczej do kogoś', i to w dodatku do jakiejś' niezwykle ważnej istoty, o której nagle nie wiedział, czy budzi w nim strach, czy sympatie, która jednak - i tego był już zupełnie pewien - rzuca cień, ciemną, bezkształtną plamę, na ową kulę z mlecznego szkła. Musi zgadnąć, kto to może być; wyczerpując wszystkie siły, łamał sobie nad tym głowę, kiedy nagle, ale tak głośno, że o mało mu bębenki w uszach nie popękały, usłyszał własne nazwisko.

Ale to sen tak spotęgował ów głos; wołał go bowiem celnik; stał w drzwiach i zapewne dwa czy trzy razy musiał powtórzyć jego nazwisko, zanim Kóves zawstydzony pojął



w końcu, że zasnął, czekając; teraz więc w pośpiechu zerwał się na równe nogi i poszedł za celnikiem do biura.

Kontrola celna

Jakkolwiek był jeszcze trochę nieprzytomny, Kóves dostrzegł wewnątrz pewne zmiany. Przede wszystkim - choć to może nie nazbyt ważna okoliczność - kiedy tylko wciągnął powietrze, poczuł, że pokój wypełnia ostry papierosowy dym; Kúves odruchowo zmrużył oczy, a gryzące powietrze wywołało u niego kaszel; nie przywykł do tytoniu - a w każdym razie nie do takiego marnego. Poza tym teraz siedziało naprzeciw niego trzech mężczyzn; boczne krzesła zajmowali celnicy, jednym z nich był ten, którego Kóves już znał, drugim zaś" drugi celnik - Kóves nie potrafiłby go lepiej scharakteryzować, bo jeśli nawet rysami twarzy różnił się

144

mm

" Koves

ia-Ale

powiedzml

.u \*

wylot i

o

lub <sup>TM\*</sup>

»ad i

145

- A ma pan coś do oclenia? - człowiek siedzący w środku nagle podniósł głowę znad papierów.

- Nie wiem, co tutaj podlega ocleniu - odpowiedział z lodowatą uprzejmością Kóves. Wymienili parę artykułów; Kóves sumiennie zaczął się zastanawiać, kilka razy poprosił o powtórzenie, niby cudzoziemiec, który wie, jak się zachować, ale choć szanuje miejscową władzę, to jej nie przecenia - pozwala sobie nawet na pewne ceregiele, żeby podkreślić swoją dobrą wolę, a jednocześnie zaakcentować swoje prawa

- po czym odpowiedział, że o ile go pamięć nie myli, jego bagaż nie zawiera żadnego z wymienionych artykułów. - Ale

- dodał zaraz - jeśli panowie chcą, mogą się o tym przekonać. - Na co otrzymał odpowiedź, że to on powinien wiedzieć, co ma w bagażu; wtedy Kóves spytał, czy życzą sobie obejrzeć jego walizkę.

- Mam ją otworzyć? - spytał i nie czekając na odpowiedź, z jakąś szczególną gorliwością, która jemu samemu wydała się przesadna, ale której nie mógł już pohamować - jak gdyby ktoś inny działał w jego imieniu - podskoczył do walizki, żeby otworzyć zamek. Zbytecznie się jednak trudził; walizka była otwarta. A kiedy pospiesznie podniósł wieko, znalazł wprawdzie swoje rzeczy w jakim takim porządku, ale nie był to ten sam staranny, świadczący o przezorności i serdecznej trosce porządek, jakiego przestrzegała żona, kiedy go pakowała.

Zaskoczony wpatrywał się w walizkę, jak gdyby ukryto w niej coś bezwstydного.

- Ale przecież panowie już ją przeszukali! - zawołał.

- Oczywiście - skinął głową główny celnik. Przez chwilę bez słowa wpatrywał się w Kóvesa, Kúvesowi zaś się zdawało, że przez jego wąską, bladą twarz przemknęło coś

146

w rodzaju nikłego uśmiechu. - Pan zawsze zachowuje się tak, jakby się pan dziwił - dodał, Kóves dostrzegł, że wymienił przelotne spojrzenie z jego celnikiem, i wtedy pomyślał, że tamten poinformował już pewnie swojego szefa o jego zachowaniu podczas wcześniejszej rozmowy. Zapadła krótka cisza, Kóves stał niezdecydowany, szukał w myślach jakiegoś pytania, którego jednak nie znalazł, i zamiast tego zapytał w końcu:

- Co panowie zamierzają ze mną zrobić?

- To zależy od pana - odpowiedział natychmiast człowiek pośrodku. - Nie myśmy tu pana zapraszali, sam pan przyjechał - i Kóvesowi przyszło do głowy, że od swojego celnika również słyszał już coś podobnego dzisiaj wieczorem.

- Owszem, to prawda; ale dlaczego to takie ważne? - spytał.

- Nie mówiliśmy - brzmiała odpowiedź - że to ważne; ale skoro ważne, to nie dla nas. Musi pan spytać o to siebie, nie nas.

- O co? - jęknął Kóves, walcząc z sennością, niczym dziecko.

- O to, co pana tutaj sprowadza. - Choć nie było to pytanie ani rozkaz, Kóves łamał sobie głowę nad odpowiedzią; jego wyczerpany mózg jednak go zawiodł; wtedy jak ktoś, kto z okrucichów snu na chybił trafił wybiera jakiś obraz, zupełnie bez związku wymamrotał:

- Widziałem promień światła, poszedłem za nim. Pomimo rozchwiania umysłu natrafił widać na właściwe słowa, bo jego odpowiedź przyjęto z wyraźną aprobatą.

- Niech pan idzie za nim dalej - skinął głową główny celnik, łagodniejąc, a nawet przybierając wyraz jakiejś

147zagadkowej, cichej powagi, która nagle odbiła się również na twarzach obu siedzących obok niego celników, chociaż - jak to zwykle bywa w wypadku podwładnych - z pewną przesadą z stosunku do pierwowzoru; i tak obie te twarze stężyły teraz w jakimś nieubłaganie uroczystym wyrazie, a Kóves - przynajmniej w tej chwili miał takie wrażenie - nie zdziwiłby się wcale, gdyby celnicy wstali i zaszalowali albo zaczęli śpiewać. Ich wzrok, mimo że nie odwrócili twarzy, powędrował w kierunku głównego celnika, ale ten ani drgnął i tym samym tonem ciągnął dalej:

- Pana papiery są w porządku. Będziemy pana traktować tak, jakby pan przebywał za granicą. Na pewno chce pan kontynuować swoją dotychczasową działalność. W tej kopercie - położył na stole przed Kóvesem brązową kopertę - znajdzie pan adres i klucz do mieszkania. Niech go pan potraktuje jak przedmiot, który zostawił pan u nas w depozycie, a teraz otrzymał z powrotem. Pańska walizka zostanie tutaj. Zawiadomimy pana, gdzie i kiedy będzie pan mógł ją odebrać. - Umilkł. A potem głosem, w którym poza pewną mechaniczną rutyną nie było niczego, ani obietnicy, ani nawet odrzucenia, dodał: - Witamy w domu! - i wyciągniętą ręką wskazał na drzwi.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Przebudzenie nazajutrz. Okoliczności poprzedzające. Kóves siada

Resztę nocy, jakkolwiek wskazano mu miejsce zamieszkania, Kóves i tak spędził nie w łóżku, a gdzie dokładnie, tego - w pierwszej chwili, kiedy ocknął się z krótkiego zapewne i płytkiego, a jednak spychającego wszystko w niepamięć snu - sam nie wiedział. Niebo świeciło szklanym blaskiem; zdrętwiały mu wszystkie członki, czuł mrowienie, w łopatkę piło go oparcie jakiejś parkowej ławki, szyję miał wykręconą - być może we śnie po prostu oparł głowę na ramieniu siedzącego obok niego obcego osobnika, dobrze zbudowanego, tęgiego mężczyzny w muszce w groszki.

- Obudziliśmy się? - spytał z szerokim jak księżyc, przyjaznym uśmiechem nieznajomy. A ponieważ Kóves z wzrokiem wciąż jeszcze nieprzytomnym od nagłego przebudzenia patrzył na niego bez słowa, dodał, objaśniając mu sytuację: - Niezłe się wyspałeś na moim ramieniu - widać w nocy przeszli na ty. Nie; Kóves dopiero teraz przypomniał sobie, że mężczyzna od razu zagadnął go tak, jakby się znali - widocznie musiał go z kimś pomylić - a on, Kóves, zgodził się na to, jak ktoś, kto nie przywiązuje wielkiej wagi do tego, kim jest. Teraz pamiętał już nawet, co mówił o sobie jego nowy znajomy: jest pianistą w pobliskim

149

barze (Kóves w duchu bardzo się wtedy zdziwił, że są tu jakieś lokale rozrywkowe) i po drodze z pracy przysiadł sobie na ławce, żeby przewietrzyć płuca, bo w lokalu jest strasznie zadymione powietrze.

Ile mógł spać? Minutę czy godzinę? Kóves nieswojo rozejrzał się wokół; na placu jeszcze paliły się z rzadka rozmieszczone lampy uliczne - latarnie gazowe z zielonym płomykiem, na zakręconych żelaznych słupach, jak w szczęśliwych czasach dzieciństwa Kóvesa - a w oknach zniszczonych kamienic okalających plac tu i ówdzie paliło się już światło. Kóves nieomal słyszał krzątanie towarzyszącą porannemu wstawaniu, odgłosy budzenia się, pospiesznego szykowania się do pracy, czekał tylko, aż otworzą się nagle zamknięte jeszcze bramy i z wilgotnych sieni wysypią się na plac ludzie, żeby ich policzyć - coś mu się pewnie śniło, i widać wciąż jeszcze snuł tamten wątek. A

jednak Kóvesa ogarnęło uczucie przykrego napięcia, jak gdyby czegoś zaniedbał; gdzieś już go policzono i gdzieś go pewnie brakuje - a kiedy padnie gromko wypowiedziane jego nazwisko, odpowiedzią będzie tylko i wyłącznie cisza.

- Muszę iść! - poderwał się nagle z ławki.

- Dokąd? - zdziwił się pianista, i Kóvesowi przyszło do głowy, że w ostatnich godzinach wiele razy już powstrzymywał go przed odejściem ten zaskoczony - albo przynajmniej brzmiący zaskoczeniem - głos.

- Do domu - powiedział.

- Po co? - Z szeroko otwartymi oczami, z rozłożonymi rękami pianista rzeczywiście wyglądał na człowieka, który zupełnie nie rozumie Kóvesa, a Kóves - jak już wiele razy do tej pory - znowu miał wrażenie, że tylko za cenę niezwyklego wysiłku potrafiłby mu wyjaśnić swoje zamiary, 150

choć i wtedy wyglądałoby to tak, jakby robił jakieś śmieszne trudności.

-Jestem zmęczony - powiedział niepewnie, jak gdyby się usprawiedliwiał.

- No to odpocznij! - delikatną, pulchną dłońią pianista poklepał splekane deski ławki.

Kóves - który być może wciąż jeszcze nie do końca się obudził - czuł, że jego opór słabnie; można powiedzieć, że wcześniejszy pełen napięcia pośpiech ustąpił miejsca przyjemnemu odrętwieniu.

- Teraz już i tak nie masz po co się kłaść - tłumaczył mu pianista jak dziecku - zanim wskoczyłbyś do łóżka i zasnął, zadzwoniłby budzik. Chyba że nie możesz zaznać spokoju ducha, jeśli nie uganasz się wciąż za jakimś celem?

- I Kóves, który jeszcze z trudem zbierał myśli, nieomal się zawstydził, czuł, że można by go było teraz przekonać do czegokolwiek, gdyby tylko użyć stosownej dawki cierpliwości albo siły. -

Usiądź jeszcze na chwilę - ciągnął pianista.

- Popatrz - wyjął z kieszeni płaszczka nieźle już znaną Kóvesowi płaską butelkę - coś tam jeszcze na dnie zostało; to cię postawi na nogi - i Kóves znowu się podporządkował, jak tyle razy w minionych godzinach. Owe godziny Kóves odczuwał już teraz jako czas jakiejś niejasnej walki, w której on sam był nie tyle uczestnikiem, ile raczej obiektem; takim obiektem, który chętniej oddałby przeciwnikowi, niż walczył, bo - Kóves miał takie wrażenie - chwilowo dla niego samego jest tylko ciężarem.

Wyczerpanie osłabiające również jego intelekt; chaotyczne przeżycia tej nocy; no i jeszcze te wyborne, ogniste łyki, które pociągał z podsuwanej mu stale butelki - zapewne to wszystko powodowało, że noc, którą miał za sobą, wciąż

151

jeszcze, nawet teraz, gdy umysł mu się rozjaśniał, potrafił przywołać jedynie w postaci kilku oderwanych fragmentów. W każdym razie z lotniska dotarł do miasta autobusem; Kóves pamiętał, że usiłował nie spać, ale głowa wciąż opadała mu na piersi. Cel miał równie jasny, jak niejasny; przede wszystkim musi się położyć do łóżka, żeby wreszcie się wyspać - dopiero potem przyjdzie pora na inne rzeczy. Dokładny adres swojego mieszkania znalazł na jakimś urzędowym druku w kopercie - była to karta meldunkowa bądź legitymacja; w słabo oświetlonej hali lotniska, spiesząc się, żeby złapać autobus, Kóves nawet nie próbował tego ustalić, wyczytał tylko, że na wezwanie władz zawsze ma obowiązek ją okazać. Wydawało mu się, że był już kiedyś na wskazanej mu ulicy - oczywiście nie tutaj, gdzie nie widział jeszcze żadnej ulicy, nie mówiąc o tym, żeby po którejś ; chodził, lecz tam, skąd wyruszył w drogę; w swoim rodzin- j nym mieście, w Budapeszcie; nad tym jednak, bez względu na nieporozumienia, jakie mogły z tego wynikać, Kóves dosyć gładko się prześlizgnął, ponieważ miał nadzieję, że i tutaj odnajdzie tę ulicę, jak się nie da inaczej, to wsiądzie w taksówkę i każe się tam zawieźć, starczy mu na to pieniędzy.

Autobus - wysłużony stary grat - omal nie wytrzymał z niego duszy: Kóves widział fabryki, długie, puste przedmieścia, zaniedbane, zrujnowane domy; a potem nic; jakieś szarpnięcie znowu go obudziło; krążyli po ledwie oświetlonych bocznych ulicach, w oknach było ciemno, z domów dolatywał odór środka owadobójczego, ulice były wyludnione. Potem Kóves zapamiętał szeroką, ciemną szosę, wyrwy pomiędzy domami, następnie ostry zakręt, i nagle znalazł się na jakimś placu - o ile dobrze pamiętał, zawołano

do niego, żeby wysiadł, bo to końcowy przystanek - gdzie w pierwszej chwili rozejrzał się nawet z jakąś wewnętrzną aprobatą, jak ktoś, kto dokładnie wie, dokąd przybył.

Ale szybko zdał sobie sprawę, że to uczucie przeczy zdrowemu rozsądkowi i zapewne - kiedy się nieco dokładniej przyjrzał - również rzeczywistości. Chodziło po prostu o to, że Kóves miał wrażenie, iż widział już kiedyś ten plac - w takich okolicznościach, w środku nocy, zapewne każdy tego rodzaju centralny plac w jakimkolwiek mieście wydałby mu się w pierwszej chwili znajomy, na zasadzie mozaiki złożonej ze snów, oderwanych obrazów, prospektów, ilustrowanych przewodników turystycznych, pamiątek, których pochodzenia z czasem się nie pamięta. Plac, do którego ten był podobny - a ściślej, który Kóvesowi wydawał się podobny - po raz ostatni widział w Budapeszcie, zanim stamtąd wyjechał; był to prostokątny plac, otoczony okazałymi gmachami, pośrodku znajdował się mały skwer, a na nim imponujący grupowy pomnik. Ten plac również bez wątpienia był prostokątny, ale oczywiście wyglądał inaczej; tu także stały budynki - nawet w bladym świetle ulicznych lamp można było dostrzec ślady ich dawnej świetności - ale w jakimż opłakanym stanie były teraz! Same kikuty, jak starzy, wynędzniali inwalidzi wojenni - zdumiał się Kóves. Poczerniałe ściany, odpadające tynki, wszędzie dziury i wyrwy. Czy to ślady po walkach? Czy jakaś klęska naturalna je spustoszyła? Jeden z domów wyglądał, jakby oślepl, brakowało mu całego rzędu okien na piętrze, w miejscu ozdobnych portali i eleganckich sklepów nieme, ziejące bramy, zabite deskami wystawy. Pośrodku placu i tutaj Kóves dostrzegł grupę rzeźb, na wysokim postumencie górowała nad nimi centralna postać - siedzący mężczyzna -

152

153na ramionach, na piersi miał ptasie odchody; Kóves podszedł bliżej, żeby mu zajrzeć w oczy - może posępne spojrzenie wskaże mu drogę - ale opuszczona kamienna głowa, milcząca i nieprzenikniona, ginęła w ciemności.

Plac był opuszczony, ani śladu taksówki czy nocnego autobusu. Kóves ruszył dalej na piechotę, z jakimś dziwnym poczuciem bezpieczeństwa, jak ktoś, kogo wiedzie pamięć albo doświadczenia podróży, jakkolwiek nie mógł się poszczycić wieloma doświadczeniami z podróży, a pamięć nie mogła mu pomóc w miejscu, w którym nigdy jeszcze nie był. Pozostawił za sobą centralne ulice, jego krokom towarzyszyły zdziesiątkowane, podobne do zataczających się żebraków domy, i Kóves pamiętał, że się wzdrygnął, kiedy z okna któregoś z nich dobiegł nagle płacz niemowlecia, jak gdyby zaskoczyło go, że w tym mieście wychowuje się dzieci. Na każdym rogu ulicy ogarniała go ta sama bojaź-liwa nadzieja: że zabłądził. Ale za każdym razem trafiał dokładnie w miejsce, którego się spodziewał, co najwyżej nie od razu je rozpoznawał; na przykład tam, gdzie stał kiedyś wysoki budynek, zastawał teraz ruiny albo pustą parcelę; zamiast pewnego charakterystycznego fragmentu ulicy, którego daremnie szukał, znajdował jakiś inny, ale w końcu okazywało się, że to ten sam.

W pamięci Kóvesa te minuty zachowały się jako chwile najcięższej próby: chodził po jakimś obcym mieście, w którym jednakże znał każdy kąt - to dziwne uczucie, Kóves nie wiedział, jak się z nim uporać. Nogi miał jak z ołowiu, jakby szedł nie po asfalcie, tylko po lepkiej smole. Gdzieś na skraju chodnika zauważył słup ogłoszeniowy, na którym znajdował się jeden jedyny plakat, i to też nie cały, większą jego część zerwano czy też może zniszczyła ją zła pogoda.

154

MIASTO ŚWIATŁA - Kóves przeczytał napis, który tworzyły duże, masywne litery. Reklama? Hasło? Tytuł filmu? Obwieszczenie? W każdym razie ulica była ciemna; Kóves pomyślał teraz o tym, jak pełen nadziei przybył do tego miasta, jak bez wahania podążył za promieniem światła; właściwie dopiero co, przed chwilą, a jednak czuł się tak, jakby przeszedł od tamtej pory nieskończenie długą drogę, to górą, to doliną, w skwarze i mrozie, i jakby ta droga strawiła już wszystkie jego siły. Powoli przestawał się dziwić; ogarnęło go dobroczynne uczucie słabości; i kiedy dotykał pokrytej lizajem ściany domu, wystawy zabitej deskami, kiedy jego kroki odnajdywały drogę poprzez znane już ulice, poczęło przenikać go uczucie wyobcowania, bezdomności, a jednocześnie uczucie ulgi, ufności wręcz, które podsuwał mu przytępiiony znowu zmęczeniem umysł: że jednak znajduje się w domu.

W tym miejscu jego pamięć zaczęła się rwać, a nawet straciła kierunek, podobnie jak jego kroki; gdzieś znowu natknął się na jakiś plac; błąkał się po zakurzonym bulwarze, pośród połamanych

hustawek, niedokończonych zamków z piasku, pozostałych tu z dawnych czasów ciężkich, nieforemnych, pękających ławek, wyglądał pewnie na pijanego włóczęgę - przynajmniej tak można było wnosić z pełnego pogodnej protekcjonalności pytania, które dobiegło go z jednej z ławek:

- Dokąd to, dokąd po nocy, stary przyjacielu? - I raczej nie rozwiązała tego wrażenia jego własna odpowiedź:

- Do domu - brzmiąca niczym cicha skarga. Człowiek, który go zagadnął - w mroku rzucany na ławkę przez rozłożyste drzewo Kóves widział go tylko jako ciemną plamę - pokiwał głową ze zrozumieniem, jak ktoś,

155

kto jasno zdaje sobie sprawę, że za wiele dobrego to na Kóvesa w tym domu nie czeka.

- A to daleko jeszcze? - dopytywał się. Kóves, z pewnym powątpiewaniem w głosie, jak ktoś, kto wcale by się nie zdziwił, gdyby mu powiedziano, że plecie bzdury, podał nazwę ulicy; ale człowiek, znowu kiwając głową ze współczuciem, powiedział tylko:

- No tak, to jeszcze kawał drogi.

- Ale będzie bliżej, jak pójdę brzegiem Dunaju - zawahał się Kóves, znowu jakby się liczył z tym, że usłyszy dementi, że mu na przykład powiedzą: mówisz głupstwa, tutaj nie ma żadnego Dunaju, a takiej ulicy nikt nie zna; ale obcy zastanawiał się jedynie nad tym, czy Kúves rzeczywiście skróci sobie w ten sposób drogę.

- Najpierw trochę sobie odsapnij, stary! - zachęcił go ów człowiek, i Kóves - rzecz jasna, tylko na parę minut, zanim się trochę pozbiera - wolno i ociężale opadł obok niego na ławkę.

Ciąg dalszy

Na czym zeszło im te parę godzin, kiedy siedzieli obok siebie na ławce, tego - abstrahując od coraz bardziej niezdecydowanych prób oddalenia się (jak gdyby nie tylko spodziewał się, ale wręcz oczekiwał, że pianista za każdym razem skłoni go do pozostania) - Kóves nie potrafiłby powiedzieć. Oczywiście rozmawiali, prawdopodobnie opowiadali sobie jakieś zabawne historie, bo pamiętał, że się śmiali. Nie trzeba było długo czekać, by pianista wyciągnął z kieszeni płaską butelkę; obracając ją w wysoko uniesionej ręce, robił wszystko, żeby padł na nią gasnący promień księżycy zachodzącego za dach pobliskiego domu.

156

- Koniak - szepnął tonem żartobliwie pełnym szacunku, nieomal nabożeństwa.

Szybko zresztą nawiązał z Kóvesem pewną zażyłość; opowiedział mu, że grywa w lokalu, który nazywa się Błyszcząca Gwiazda.

- Mówię ci o tym, jakbyś sam nie wiedział, a przecież zaglądasz do nas - powiedział.

- Jasne - Kóves co rychlej umocnił go w tym przekonaniu.

- Ostatnio wprawdzie rzadko cię widuję - pianista, mrużąc oczy, wpatrywał się w Kóvesa, zrobił się nagle podejrzliwy. - Kim ty właściwie jesteś? - spytał, jak gdyby niespodziewanie pożałował, że posadził go koło siebie, a wprawiony nagle w zakłopotanie Kóves, który na próżno łamał sobie głowę, jak wytłumaczyć czy udowodnić, kim jest, w końcu powiedział tylko tyle:

- Kim miałbym być? - i wzruszył ramionami. - Nazywam się Kóves - dodał jeszcze. Poczł się dziwnie, słysząc własne nazwisko, zabrzmiało jakoś błaho, nieomal pogardliwie.

Ale okazało się, że to w pełni zaspokoiło ciekawość pianisty; z przepastnych jak plecak kieszeni rozpiętego na brzuchu płaszcza wyjął teraz zawinięte w papierowe serwetki kanapki.

- Życie jest krótkie, a noc długa - powiedział wesoło - przed zamknięciem lokalu zawsze się zaopatruję. Wcinaj - poczęstował Kóvesa, sam też odgryzł duży kęs. - W Błyszczącej Gwieździe - ciągnął z pełnymi ustami - nawet i dziś, nieprawdaż, trafiają się ekskluzywne kąski - pianista uśmiechnął się półgębkiem, Kóves zaś odniósł wrażenie, że mówił z pogardą o tym miejscu, którym skądinał, w sposób

157

dla Kóvesa mało rozumiały, chyba się raczej chwalił. - Kiedy ostatnio jadłeś szynkę? - zrobił oko do Kóvesa.

- Dzisiaj wieczorem - wygadał się Kóves.

- Akurat - zdumiał się pianista. - Gdzie?

- W samolocie - powiedział Kóves - właśnie szynkę podała stewardesa - dodał dla wyjaśnienia, a pianista zaczął się z tego śmiać jak ktoś, kto wreszcie rozumie Kuvesa - po krótkim wahaniu, najpierw z rezerwą, a potem już nieprzytomnie, jakby coś w nim puściło, a Kuves mu wtórował.

- Gadaj - poklepał go po udzie pianista - co jeszcze było?

- Polędwica na zimno, brzoskwinie, wino, czekolada - wyliczał Kóves, i obydwaj skręcali się ze śmiechu, Kuves również miał wrażenie, że przemawiają przez niego jakieś dawne marzenia, na dodatek dziecięce marzenia, które na nic się nie zdają poza tym, że przez parę minut bawią dorosłych.

Po chwili jednak pianista znowu sposepniał; wyglądało na to, że pochłaniają go jakieś niepokojące myśli, które czają się w tle za jego nadal wesoło płynącymi słowami, i coraz częściej wspominał o swoim zajęciu i o lokalu, zwłaszcza po tym, jak Kóves zauważył, że dobrze jest być muzykiem, on, Kóves, sądzi, że życie muzyka jest naprawdę dobre i niezależne, trzeba tylko mieć talent, którego on, Kóves, niestety nie ma.

Ale okazało się, że widocznie mówi nie to, co trzeba, bo pianista naprawdę poczuł się dotknięty.

-Ja wiem, co wy o mnie myślicie - powiedział, jak gdyby Kóves należał do jakiegoś licznego towarzystwa, które składa się z samych wrogów pianisty. - Temu - i tutaj wyraźnie miał siebie na myśli - temu to dobrze! Ten to ma łatwo! Trochę co wieczór pogra na pianinie, pobuczy do mikrofonu, weźmie do kieszeni napiwek, i już!... Cha, cha! - zaśmiał się gorzko, jakby na myśl o tej niesłychanej niewiedzy. - Gdyby to było takie proste!

- A nie jest? - chciał wiedzieć Kuves.

- Oczywiście że nie - wybuchnął pianista - w takim miejscu, gdzie sprzedają whisky!

- A co - spytał Kóves - nie wolno sprzedawać whisky?

- Wolno, a jakże! - powiedział pianista. - Ale pozwól, że o coś cię spytam... To znaczy nie ja, bo mnie to nie interesuje, lecz... - Pianista wydawał się teraz trochę zmieszany, jakby zaplątał się w zdanie, którego nie może kontynuować, i skryty w cieniu liści piętrzących się nad jego głową rzucił krótkie spojrzenie na Kóvesa, który siedział pod rozwidniającym się gwiazdzistym niebem, zanim, wyraźnie uspokojony, a jednocześnie coraz bardziej zdenerwowany, zdecydował się kontynuować: - Słowem, pytanie, kto pije whisky? Za co pije? I dlaczego właśnie whisky?!

Kóves odpowiedział, że on tego nie wie.

- A może ja mam wiedzieć?! - zapytał wzburzony pianista, Kóves zaś uznał, że lepiej będzie, jeśli zamilknie, bo wyglądało na to, że cokolwiek powie, zaraz wyprowadzi tamtego z równowagi.

! Pianista i tak wkrótce ochłonął.

- No to jednego! - wyciągnął w stronę Kóvesa butelkę. Ale dobry humor wrócił mu tylko na chwilę: - A poza tym - zastanawiał się dalej - tam są również numery...

Kóves czuł, że tym razem tamten czeka tylko na zachętę.

- Jakie numery? - poszedł mu na rękę.

- Których nie powinienem grać - odpowiedział zaraz pianista z nutką skargi w głosie.

- Zakazane numery? - dopytywał się Kóves. , , •

158

159

-Jak to zakazane?! - zaprotestował pianista. Gdyby były zakazane, tłumaczył, to by go głowa o to nie bolała. Co zakazane, to zakazane; jasna sprawa, figuruje na liście, on za żadne pieniądze tego nie zagra. - Tylko że - ciągnął - bywają też inne numery, jak by to powiedzieć: delikatne numery; takie, które nie figurują na żadnej liście, a zatem nikt nie może stwierdzić, że są zakazane; z drugiej jednak strony nie jest wskazane, żeby je grać - a większoś'ć gos'ci oczywiście właśnie o nie prosi.

- No i co ja mam im powiedzieć? Że to zakazane numery? - zadał pytanie, rzecz jasna, nie Kóvesowi, choć jednak wydawało się, że jemu. - To przecież oszczerstwo, to jeszcze gorzej, niżbym je zagrał! - sam sobie potem odpowiedział.

- Jak mam powiedzieć o jakimś numerze muzycznym, że jest zakazany, skoro rzecz ma się wręcz przeciwnie: wolno go grać, tylko że to numer delikatny i granie go raczej nie jest pożądane - ale nawet tego nie można o nim powiedzieć, bo gdyby nie był pożądany, to byłby zakazany...

Pianista umilkł z wyrazem troski na twarzy, najwidoczniej odrzucając rozwiązanie, które - na podstawie tego, co usłyszał - Kúves również uznał za niecelowe; często zresztą przytakiwał pianście, miał wrażenie, że słucha ciekawych rzeczy, i jakkolwiek nie wszystko oczywiście mógł zrozumieć, stwierdził jednak, że nie jest mu całkiem obce to, co mówi pianista.

- Albo czy - skierował do Kóvesa nowe pytanie - mam im powiedzieć, że nie znam tego numeru? Kóves - teraz już jednak coraz bardziej zmęczony - zauważył, że może i nie byłoby to takie głupie.

- Ale co wtedy byłby ze mnie za pianista? - pianista z wyrzutem spojrzął na Kóvesa, Kóves zaś zrozumiał, że tamten

puścił mimo uszu jego argument. - Słynę z tego - poskarżył się pianista, albo przynajmniej tak to zabrzmiało, jakby się skarżył - że znam wszystkie numery. Ja z tego żyję; i mało, że z tego żyję; ja naprawdę znam wszystkie numery, ja... - pianista wydawał się zmieszany, jak ktoś, kto nie potrafi wyrazić swoich uczuć, których może wcale nie chce do końca wyrazić. - Słowem - ciągnął - ja nie ustąpię. Mógłbyś zapytać dlaczego - spojrzął na Kóvesa, który jednak o nic nie pytał - ale wówczas również nie mógłbym ci odpowiedzieć nic innego jak to, że po prostu nie ustąpię. - Czas jakiś siedział w milczeniu obok Kóvesa, przypuszczalnie myślał.

- Nie pozwolę popsuć sobie reputacji! - oświadczył nagle, nieomal ze złością, jakby wbrew własnemu przekonaniu.

- Ech - wybuchnął następnie - wy nie macie pojęcia, jak to jest, kiedy wieczór dobiega końca, gasną nastrojowe światła, zamykam klapę fortepianu i zaczynam przeżuwać w duchu, jakie numery dzisiaj grałem, kto o nie prosił, kto siedział przy stoliku, kim mógł być ów nieznajomy facet, który...

- Pianista umilkł i długo się nie odzywał, a Kóves mógł jedynie zgadywać, czy zajęty jest właśnie tym, co przed chwilą nazwał „przeżuwaniem”

Z czasem widocznie i o tym zapomniał, bo wrócił mu dobry humor; wówczas jednak umysł Kóvesa znowu opanowało zmęczenie. Ostatnie słowa, jakie, zdaje się, słyszał, brzmiały: „Nie krępuj się, stary, oprzyj głowę na moim ramieniu. Jak chcesz, to nawet kołysankę zanucę ci do ucha” - i być może nawet nie mówił tego pianista, tylko Kóvesowi śniły się te słowa, bo wtedy już spał.

160

161

Świt. Ciężarówka Koves wyjawia swoje zamiary A zatem Kóves wciąż jeszcze - albo znowu - siedział na ławce i czuł w żyłach dobroczynne ciepło ostatniego łyka trunku z butelki pianisty.

- Jak długo tu zostaniemy? - spytał, a pianista odpowiedział tylko:

- Teraz już niedługo - ale wyglądało na to, że prawie wcale nie zwraca uwagi na Kúvesa. W świetle budzącego się dnia Kóves dokładnie widział jego twarz o rysach niezbyt zdecydowanych, choć żywą; jakiś nowy wyraz pojawił się na tej twarzy - wyraz roztargnienia, a jednocześnie niepokoju.

Ciężkie ciało również zmieniło pozycję: tułów zwrócony do tej pory w stronę Kóvesa pianista teraz odchylił do tyłu, nogi w błyszczących jak lakierki, staromodnie spiczastych butach wyciągnął przed siebie, ręce rozłożył na oparciu ławki - miał takie długie ramiona, że jedna jego dłoń zwisała za plecami Kóvesa na końcu oparcia - i było widać, że całą uwagę skupił na ulicy, jak gdyby czekał na kogoś, kto zaraz powinien się pojawić. I Kúvesa ogarnęło takie uczucie - znowu absurdatne, podobnie jak wczoraj wieczorem na lotnisku

- że on również czekał na to samo, i czeka nadal, na co czeka pianista - jakkolwiek nie wiedział, rzecz jasna, na co dokładnie czekają ani nawet czy w ogóle na coś czekają.

A zatem on również zmienił pozycję, wygodnie się wyciągnął, rozsiadł jak w domu, ich ramiona się splotły, ale oni - niczym zwierzęta zmuszone do szukania schronienia - pewnie wcale tego nie zauważyli. Być może dlatego, że oczy Kóvesa przywykły już do tego widoku, a może dlatego, że tymczasem zmienił się jego punkt widzenia, o świetle plac nie wydawał mu się już taki nędzny jak w nocy. Przeszkadzała

162

mu tylko trochę stercząca samotnie, osmolona ściana przeciwpożarowa - wyglądała tak, jakby huragan zmiotł dom, do którego należała. Nieco dalej ciągnęła się szeroka główna ulica, która miała w sobie coś znajomego, chociaż Kóvesa zmyliło pewnie słabe jeszcze światło poranka, bo kiedy się

lepiej przyjrzał, okazało się, że to jednak nie była ta ulica, którą znał, a w każdym razie do której przywykł jego wzrok i jego kroki. W pewnej chwili uwagę Kóvesa przykuły odgłosy krzątania, strzępy rozmów, zobaczył, jak przed spuszczoną metalową żaluzją gromadzą się ludzie, głównie kobiety, jeszcze niedbale ubrane, w szlafrokach, chustkach na głowie; tak wcześniej ustawiają się w kolejce; z pewnością po mleko - pomyślał Kóves, widząc w ich rękach dzbanki i butelki. Z innej strony pojawili się idący szybkim krokiem, patrzący spode łba pierwsi przechodnie; dla Kuvesa każdy z nich był niemy wyrzutem, machając teczkami lub torując sobie drogę rękami, zmierzali tam, gdzie z jakiegoś - dla nich zapewne oczywistego - powodu musieli się stawić. Zniszczone, przypominające pudełka tramwaje, głośno dzwoniąc, zaczęły przywozić i wywozić swoje, na razie jeszcze nieduże, ładunki złożone z ludzi, przejeżdżały samochody. Kóves z początku przyglądał się zdziwiony, ale prędko przyzwyczał się do ich kanciastych, topornych kształtów. Z potwornym klekotem na nierównym bruku ulicy pojawiły się teraz ciężarówki; dwie, jedna za drugą - Kóves musiał się trochę zagapić, bo dopiero po jakimś czasie zwrócił uwagę na ich osobliwą zawartość; siedzieli na nich ludzie, mężczyźni, kobiety, okazało się, że nawet dzieci. Ich tobołki, pakunki, tu i ówdzie jakiś mebel świadczyły o tym, że są to rodziny w trakcie przeprowadzki, może wyprowadzki - a więc tak czy inaczej wchodziła w grę jakaś zmiana, nowa sytuacja

163

życiowa - po nich jednak nie było widać śladu radości, podniecenia czy wręcz przeciwnie, zmartwienia, a nawet gniewu. W szarości świtu przed oczami Kóvesa przesuwały się nieruchome, od wczesnego wstania zmięte twarze, twarze ludzi, którzy obojętnie odwracają się plecami do tego, co za sobą zostawili. I pewnie dlatego, że byli w tak samo złym humorze jak ci, których wieźli, Kóves dopiero po pewnym czasie dostrzegł mężczyzn siedzących w kucki z tyłu samochodu, którzy między kolanami ściskali karabiny; po mundurach rozpoznał w nich - nie wierząc własnym oczom - celników; byli jednak gorzej umundurowani, Kuves ująłby to tak, że chyba biedniej od celników, którzy jego odprawiali.

Spojrzał na pianistę; ten jednak nie patrzył na niego; ukryty pod drzewem śledził ciężarówkę, ostrym, przenikliwym spojrzeniem, które sprawiło, że jego skądinąd ciasto-wata, nalana twarz teraz wyraźnie się skurczyła. Obserwował, jak się zbliżają; kiedy podjechały bliżej, dosłownie wspiął się na palce, żeby zajrzeć do środka; kiedy go mijaly, odprowadzał je wzrokiem i patrzył za nimi, dopóki nie stracił ich z oczu, dopóki nie zniknęły hen, za zakrętem.

Wtedy wolno, rozprostowując po kolei wszystkie członki, niczym dżin wydobywający się właśnie z butelki, podniósł się z ławki. Przeciągnął się, aż zatrzeszczało, jak pień drzewa rozpościerający swoje konary; teraz dopiero było widać, jaki z niego olbrzym, Kuves (też nie ułomek) wydał się przy nim karłem, kiedy - mimowolnie - wstał razem z nim.

- Możemy iść spać - pianista szeroko ziewnął - fajrant - Kóvesowi wydawało się, że słyszy w jego głosie jakieś ciche zadowolenie. Na próżno jednak szukał w nim zwykłej łagodności; pianista więcej nawet na niego nie spojrzał, jak ktoś, kto skończył służbę, podczas której z jakiegoś niejasnego powodu obowiązek nie pozwalał mu do tej pory odstępować Kuvesa na krok. Miał twarz zmęczoną, ściągniętą, szarą jak poranek - szarą jak prawda, Kóves przyłapał się na tej myśli. Nieco później (szli już ulicą, Kóves, jak to się mówi, nawet nie zauważył, że ruszyli) pianista dodał:

- No, dzisiaj już nie przyjdą; przychodzą zawsze o świcie.

- Zawsze? - spytał Kóves, prawdopodobnie tylko dlatego, żeby o coś spytać; był nieco zmieszany, poza tym musiał przyspieszyć kroku, bo pianaście chyba zaczęło się nagle spieszyć i nie przejmował się tym, że Kóves może nie nadążyć za jego długimi krokami.

- Nie wiedziałeś? - pianista spojrzał na niego przez ramię, z góry.

- Wiedzieć wiedziałem - powiedział Kóves, i jak gdyby odpowiadał na coś innego, na coś więcej niż to, o co go pytają, nieomal wykrzyknął: - Jakże miałbym nie wiedzieć, musiałem wiedzieć, jak mógłbym powiedzieć, że nie wiedziałem! - aż pianista zaskoczony spojrzał na niego. - Tylko może... jak by to powiedzieć... Tak; nie byłem na to przygotowany - dodał następnie, znacznie ciszej, jakkolwiek wciąż dosyć podenerwowany, ale już panując nad sobą; przechodnie i tak zwrócili na niego uwagę, lecz nie przystawali wiedzeni ciekawością, tylko raczej przyspieszali



kroku, wyraźnie bojąc się, że i tak niechęć mogą za dużo usłyszeć.

- A trzeba się przygotować - powiedział pianista, tym razem znowu serdeczniej spoglądając na Kóvesa, jak gdyby na nowo się z nim zaprzyjaźnił.

- No to teraz już rozumiem - powiedział Kóves. ;:

, - Co rozumiesz? s\*

164

165

- Tę ławkę. sVi

- To jedna z najlepszych ławek, jakie znam w mieście

- powiedział pianista.

- Z powodu tego drzewa uważasz ją za taką świetną

- pokiwał głową Kóves. - I dlatego, że i ja tam byłem - dodał po pewnym namyśle.

- Zgadłeś, we dwóch jest zabawniej - w tym momencie pianista był zupełnie taki jak dawniej, z szerokim uśmiechem na szerokiej twarzy, taki sam jak wtedy, gdy nocą zaopiekował się Kóvesem. - I bezpieczniej - dodał.

Kóves znów się nad tym zamyślił.

- Tego bym nie powiedział - stwierdził później.

- Przynajmniej tak się wydaje; chociaż to jedno mógłbyś przyznać - pianista błagalnie spojrzał na Kuvesa, jak ktoś, kto chce załagodzić sytuację.

- Żeby potem razem z tobą zabrali tego drugiego - wymknęło się Kóvesowi, zanim pomyślał o uprzejmości. - Dużo ławek znasz? - spytał następnie, żeby osłabić efekt swoich słów.

- Dużo - powiedział pianista - prawie wszystkie.

Szli już teraz w coraz większym tłoku, czasem musieli się przepchnąć przez tłum, kiedy indziej czerwone światło zagradzało im drogę.

- I sądzisz - Kóves w marszu odwrócił się teraz do pianisty całym ciałem, spoglądając na niego w górę jak na latarnię morską - sądzisz, że na ławce cię nie znajdą?

- A kto to powiedział? - odrzekł pianista. - Nie chcę tylko, żeby wyciągnęli mnie z łóżka.

- Co to za różnica? - spytał Kuves, a pianista przez jakiś czas nie odpowiadał; siedł w milczeniu obok Kóvesa, wydawał się zamyślony, jak gdyby pytanie zabiło mu ćwieka,

choć - pomyślał Kóves - jest mało prawdopodobne, żeby już wcześniej go sobie nie zadawał.

- Jak między szczurem i zającem - powiedział później pianista - być może to nieduża różnica, ale dla mnie zasadnicza.

- A dlaczego miałby cię wyciągnąć? - dopytywał się Kóves. - Z powodu numerów?

Ale pianista tylko uśmiechnął się niewyraźnie. Po czym:

- A czy to można wiedzieć dlaczego? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Nie, nie można - przyznał Kóves. Dotarli do jakiegoś dużego skrzyżowania; w pełnym świetle poranka Kóves rozejrzał się wkoło, bez specjalnej ciekawości, miał jednak wrażenie, że teraz już łatwo znajdzie drogę; ma jeszcze do domu spory kawałek. - A jednak... - powiedział i utknął, jakby szukał słów - jednak... myślę, że przesadzasz. - Pianista uśmiechnął się w milczeniu - był to uśmiech człowieka, który wie więcej niż to, czym chciałby się podzielić. I Kóves, jak gdyby pod wpływem tego uśmiechu, wybuchnął: - To po to żyjemy, żeby nie znaleźć się w charakterze ładunku na takiej ciężarówce?

- Po to - skinął głową pianista i, jakby chciał go uspokoić, lekko poklepał Kuvesa po karku. - Z czasem i tak się tam znajdziesz. A jeśli będziesz miał szczęście - dodał z wyrazem twarzy, który Kóves tym razem odebrał jako złośliwy, nieomal wrogi - to możesz nawet trafić na tył samochodu.

- Nie chcę takiego szczęścia - powiedział Kóves - nie chcę siedzieć ani z tyłu, ani w środku. - Jego zdenerwowanie w żaden sposób nie chciało minąć. - Sądzę - ciągnął - że wy tu wszyscy się mylicie. Postępujecie tak, jak gdyby istniały

166

167

tylko ławki i takie samochody... A przecież istnieje również coś innego...

- Co takiego?
- Nie wiem - i wyglądało na to, że Kóves rzeczywiście nie wiedział. Ale i tak nie przerwał: - Coś, co jest poza tym wszystkim. Albo przynajmniej gdzieś indziej. Coś - natrafił nagle na słowo, które go wyraźnie ucieszyło - coś, co jest nienaruszalne.
- A cóż to niby jest? - zapytał pianista sceptycznie, jakkolwiek nie bez pewnego zainteresowania.
- Nie wiem; sęk w tym, że nie wiem - powiedział Kóves. - Ale odszukam to - dodał prędko i chyba mimo woli, bo wydawało się, że własne słowa zaskoczyły go bardziej. - Tak
- powtórzył, jakby chciał przekonać pianistę lub może samego siebie - po to tu jestem, żeby to znaleźć.

Ale pianista teraz zatrzymał się i podał mu rękę.

- No to powodzenia - powiedział. - Ja tutaj skręcam, a ty idziesz dalej. Zajrzyj kiedyś wieczorem do lokalu. Nie martw się o pieniądze, ja stawiam. Jeśli mnie tam jeszcze zastaniesz

- dodał później, z ciepłym uśmiechem na dużej, pełnej twarzy.

Kóves obiecał, że go odwiedzi. Potem pianista skręcił w prawo, Kóves natomiast poszedł dalej prosto.

Mieszkanie

Kóves mieszkał na długiej, niczym szczególnym niewyróżniającej się, bocznej ulicy. O ile pamiętał - choć oczywiście możliwe, że źle pamiętał - w tej dzielnicy miasta niegdyś dosyć przyjemnie się mieszkało. Teraz jednak domy były zniszczone, uszkodzone, niektóre wręcz się waliły,

168

tu i ówdzie w pustce nad głową przechodnia zwisały resztki balkonu, eleganckiej ongiś, łukowatej konstrukcji, a napis na tablicy ostrzegał: grozi śmiercią lub kalectwem, ale było widać, że nikt się tym nie przejmuje; również Kóves, który na początku ostrożnie i posłusznie omijał oznaczone miejsca, szedł teraz nonszalancko i wyzywająco, nie zwracając uwagi na tablice, a później już nawet o nich nie pamiętał. W bramie uderzył go zapach stęchlizny, spośród płytek sztucznego marmuru, którymi wyłożona była klatka schodowa, jedynie kilka trzymało się jeszcze na swoim miejscu, winda nie działała, schody były wyszczerbione, niektórych brakowało, jak gdyby nocami wgryzały się w nie jakieś zwierzęta o stalowych zębach. Ponieważ za swoimi drzwiami usłyszał szmery - ruch, szybkie drobne kroki, ostry kobiecy głos, a także jakiś inny, chropowaty, trudny do zidentyfikowania - Kóves nawet nie próbował otworzyć ich kluczem - bo w kopercie, którą otrzymał od głównego celnika, znalazł klucz - lecz zadzwonił, żeby nikogo nie zaskoczyć.

Po chwili w drzwiach ukazała się kobieta po czterdziestce, raczej niska, w niechlujnych męskich spodniach i w jakiejś bluzce, na jej bladej, wąskiej twarzy malował się strach, który jednak zaraz zniknął, kiedy przyjrzała się Kóvesowi.

- A więc to pan - powiedziała, odsuwając się, żeby Kóves mógł się zmieścić obok niej w przedpokoju. - Już wczoraj czekaliśmy na pana.

- Na mnie? - zdziwił się Kóves.

- No, jeśli nawet nie dokładnie na pana, to...

- Kto przyszedł? - z kuchni spośród brzęku naczyń dobiegł teraz tamten chropawy głos, przypuszczalnie głosi wyrostka.

||'•'''

169

- Nikt, to tylko lokator - rzuciła kobieta, a potem znowu zwróciła się do Kóvesa. - A może nie jest pan lokatorem? - i znowu spojrzała na niego podejrzliwie, odsunęła się trochę do tyłu, jak gdyby nagle pożałowała, że lekkomyślnie wpuściła kogoś, kto teraz mógłby jej zrobić coś złego. Ale Kóves co rychlej ją uspokoił: - Ależ tak, jestem - i jeśli nawet czuł coś w rodzaju rozczarowania, mógł za to winić jedynie siebie; bo rano, na trzeźwo, nie myślał już chyba poważnie, że dostanie nieoceniony prezent w postaci samodzielnego mieszkania; i prawdopodobnie i tak zrobili dla niego więcej, niż mu się i ich zdaniem należało - zapewne jedynie obawa, że będą go musieli jako bezdomnego zaraz gdzieś deportować, skłoniła ich do tej troski. - Wczoraj - ciągnął - nie mogłem przyjść, bo przyjechałem w nocy... - Kóves w porę ugryzł się w język, o mały włos bezmyślnie zdradziłby swoje niejasne pochodzenie; tak więc jego zdanie pozostało niedokończone, na szczęście

pani domu pospieszyła mu z pomocą:

- Z prowincji?

- Z prowincji - szybko zgodził się Kóves.

- Od razu się domyśliłam - kobieta nawet nie starała się ukryć niezadowolenia. - Mam nadzieję, że nie będzie pan chciał sprowadzić tutaj rodziny, bo w takim razie...

Ale Kóves wtrącił:

- Jestem sam - kobieta zamilkła i po raz pierwszy uważniej spojrzała na Kóvesa, jak gdyby dzięki tym dwóm słowom - lub sposobowi, w jaki je wypowiedział - zyskał jej przychyłność.

- Umiesz grać w szachy? - rozległo się nagle tuż koło niego pytanie; zobaczył trzynasto-, czternastoletniego chłopca w okularach z grubymi szklami; ze sterczącymi włosami,

170

pulchną sylwetką i zaopatrzoną w podwójny podbródek, a jednak spiczastą twarzą przypominał Kóvesowi utuczonoego jeża; być może już wcześniej tu stał i śledził ich z otwartych drzwi kuchni, trzymając w ręku nadgryzioną kromkę chleba z masłem, za nim natomiast na kuchennym stole widać było dwie parujące filiżanki herbaty.

- Peter - odezwała się matka - daj spokój panu... - tu kobieta zawahała się, a Kúves właśnie chciał podać swoje nazwisko - w tym zamieszaniu zapomniał się przedstawić - ale kobieta ciągnęła dalej:

- Widzisz, że dopiero co przyjechał, na pewno jest zmęczony.

- Umiesz czy nie umiesz?! - dzieciak jakby nie słyszał upomnienia, a dziwnie surowy wyraz na jego twarzy kazał się Kóvesowi uśmiechnąć.

- No więc - powiedział - umiem. Oczywiście, nie bardzo dobrze, tylko tak sobie, jak to zwykle amator gra w szachy.

- Zobaczymy - dzieciak przygryzł wargę, jakby się nad czymś ważnym zastanawiał. - Zaraz przyniosę szachownicę! - oświadczył następnie i od razu pobiegł w kierunku oszklonych drzwi, zapewne do swojego pokoju.

Ale matka natychmiast pospieszyła za nim i udało jej się chwycić go za ramię.

- Nie słyszałeś, co powiedziałam? Skończ lepiej śniadanie, bo się spóźnisz do szkoły, a ja do biura!

- spierała się z nim. - Dla mojego syna - zwróciła się z przeproszającym uśmiechem do Kóvesa, jeszcze mocniej przytrzymując Pete-ra za ramię - zawsze na pierwszym planie jest zabawa, a nie...

- Kłamiesz! - syknął wściekle dzieciak, a jego zbielełe wargi i widoczne drżenie naprawdę przstraszyły Kúvesa.

- Peter! - powiedziała głębokim, stłumionym głosem kobieta, potrząsając nim z lekka, jakby go chciała obudzić.

171

I

i'

- Kłamiesz! - powtórzył chłopiec, ale chyba najgorsze miał już za sobą. - Sama najlepiej wiesz, że to nie zabawa! - z tymi słowami wyrwał się matce, pobiegł prosto do kuchni i zatrzasnął za sobą drzwi.

Pani domu wyglądała na zmieszaną.

- Nie wiem, co mu jest... - mruknęła, jak gdyby chciała się usprawiedliwić. - Jest taki nerwowo...

Na co Kóves powiedział:

- W dzisiejszych czasach to nic dziwnego - i wyglądało na to, że znalazł właściwe słowa, bo jakkolwiek kobieta wymijająco powiedziała tylko:

- Bardzo proszę, pokażę panu pański pokój - na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi, nieomal wdzięczności. Do pokoju Kóvesa wchodziło się z drugiej strony przedpokoju, prawie na wprost kuchni - nie był duży, ale do spania, a nawet do pomieszkania się nadawał, Kúves pamiętał, że niegdyś, za czasów jego dzieciństwa, takie pokoje nazywano „służbówką”. Najwidoczniej pomieszczenie zaprojektowano jako dosyć ciemne, ale ponieważ nie było za nim ściany przeciwpożarowej, na którą zwykle takie pokoje wychodzą - po prostu brakowało całego domu, jego miejsce znaczyła tylko kupka gruzu - więc ten pokój zalany był s'wiatłem, w oddali widać było podwórko, na którym panował gwar, a za nim wewnątrz innego domu, z korytarzami, klatką

schodową, oknami, tu i ówdzie z otwartymi drzwiami do kuchni i postaciami, które się tam krzątały - Kóves miał wrażenie, że ogląda wnętrze. Tapczan wydawał się wygodny - Kóves nieomal umierał z pragnienia, żeby go natychmiast wypróbować - poza tym w pokoju znalazło się jeszcze miejsce na rachityczną szafę, krzesło i stół, z tego ostatniego pani domu wydawała się bardzo dumna:

- Jeśli pan zechce, może pan nawet przy nim pracować - oczywiście, nie wiem, czym się pan zajmuje - spojrzała z ukosa na Kóvesa, i Kóves spostrzegł, że w tej ściągniętej niepokojem twarzy jasnyniebieskie oczy kobiety - jak spokojne jeziora, których się nikt nie spodziewa w spustoszonej kataklizmem okolicy - robią wrażenie zaskakująco czystych; tymczasem oczywiście zapomniał odpowiedzieć na postawione, a raczej może na niepostawione pytanie, toteż kobieta, która przez chwilę na próżno czekała, ciągnęła:

- Jako stół kreślarski, powiedzmy, byłby za mały, ale jakieś papiery na przykład z pewnością się na nim zmieszczą.

A ponieważ Kóves wciąż milczał - w końcu nie wiedział, do czego będzie używał tego stołu (do rysowania z pewnością nie, ale kto wie, co mu jeszcze przyszłość przyniesie)

- kobieta, nieco teraz rozczarowana, od razu dodała:

- No dobrze, to nie będę już panu przeszkadzać, poza tym nie mam czasu, muszę iść do biura, a pan też pewnie ma swoje sprawy...

- Chcę spać - Kóves przerwał jej potok słów.

- Spać? - jeziora w twarzy kobiety rozlały się szeroko.

- Spać - powiedział Kóves i widać było, że o niczym innym nie marzy, kobieta więc uśmiechnęła się.

- Oczywiście, przecież pan mówił, że całą noc był pan w podróży; tutaj znajdzie pan pościel - kobieta wskazała schowek w tapczanie - a na swoje rzeczy ma pan szafę.

- Nie mam rzeczy - powiedział Kóves.

- Nie ma pan? - kobieta była wprawdzie zaskoczona, ale nie do tego stopnia, żeby Kóves musiał - jakkolwiek się tego obawiał - wdawać się w tłumaczenia - widocznie jako gospodyni, u której ciągle zmieniają się lokatorzy, niejedno już widziała. - Nie ma pan nawet piżamy?.....

172

173

• - Nie mam - wyznał Kóves.

- Ale to przecież niemożliwe! - powiedziała z takim wzburzeniem, że Kóves pomyślał, iż zupełnie niezależnie od jego osoby, można by rzec, w obronie porządku świata, uważa za niemożliwe, żeby ktoś nie miał piżamy. - Dam panu piżamę - powiedziała podniecona, jak ktoś, kogo taka nieznośna sytuacja od razu skłania do czynu - sędzę, że piżama mojego męża będzie na pana w sam raz...

- Czy przypadkiem pani mąż... - zaczął pełen skrępowań Kóves.

Ale kobieta rzuciła tylko:

-Jestem wdową - i już jej nie było w pokoju, i zaraz była z powrotem, kładąc na tapczanie porządknie złożoną piżamę. - A - spytała - jak pan sobie wyobraża swój dalszy pobyt, skoro pan nie ma nawet bielizny na zmianę?

- Nie wiem - powiedział Kóves, jednocześnie, jak przez mgłę, przypomniał sobie swoją walizkę, ale ta myśl tylko przemknęła mu przez głowę. - Kupię sobie później.

- Akurat - powiedziała kobieta - kupi pan sobie - i krótko, nerwowo się roześmiała, jakby usłyszała jakiś żart - oczywiście, nic mi do tego, tak tylko spytałam... No, to dobrej nocy - powiedziała szybko, widząc, że Kóves zaczyna już zdejmować płaszcz - łazienka jest na prawo - odwróciła się jeszcze w drzwiach - oczywiście, ma pan prawo z niej korzystać.

Kóves słyszał jeszcze przez jakiś czas odgłosy dobiegające zza drzwi, na zmianę ostro i chropawo głos - czasami tylko nerwowy szept, pewnie znowu na siebie fukali, jak pozostawione same sobie koty - i właśnie przycisnął twarz do poduszki, kiedy na zewnątrz trzasnęły drzwi i zapanowała cisza. Kóves zaczął się teraz zapadać; nim zdążył usnąć,

174

już śnił; śniło mu się, że zabłąkał się w dziwnym życiu jakiegoś obcego człowieka, którego nie zna

i z którym nie ma nic wspólnego - ale jeszcze miał świadomość, że to tylko sen, że to przecież on śni i że pewnie nie śni mu się nic innego niż własne życie. Zanim na dobre usnął, czuł jeszcze, że dobywa się z niego głębokie westchnienie - czuł, że to westchnienie ulgi - twarz rozciągnęła mu się w szerokim uśmiechu, po czym wyszeptał do poduszki: „Nareszcie!”

## ROZDZIAŁ TRZECI

### Wypowiedzenie

Kóvesa obudził dzwonek, a ściślej fakt, że otwiera drzwi -widocznie niecierpliwe, to długie, to znów urywane dzwonki musiały wyciągnąć go z łóżka, zanim naprawdę się obudził, w przeciwnym razie pewnie by nie poszedł otworzyć drzwi, bo przecież jego - Kóvesa - nikt by tutaj nie szukał. Ale się mylił; w drzwiach stał listonosz i szukał właśnie „niejakiego Kóvesa”.

- To ja - zdumiał się Kóves.

- Mam list polecony dla pana - powiedział listonosz, a w jego głosie Kóves wyczuł pewną nutę przygany, jak gdyby otrzymanie listu poleconego nie należało tutaj do rzeczy chwalebnych, chociaż możliwe, że listonosz chciał go w ten sposób jedynie skarcić za to, że musiał wielokrotnie i nadaremnie dzwonić. - Tu pan podpisze - podsunął Kóvesowi jakiś zeszyt, zapewne księgę doręczeń, i Kóves już sięgał do wewnętrznej kieszeni, kiedy uświadomił sobie, w jakim stanie przyjmuje listonosza; prawdopodobnie rozczochrany, z twarzą zmiętą od snu, w cudzej piżamie - jeszcze ktoś sobie pomyśli, że wałkoni się tu przez całe przedpołudnie, jakkolwiek taki właśnie miał zamiar.

- Zaraz przyniosę coś do pisania - mruknął więc zmieszany, ale listonosz, zresztą bez słowa, jak ktoś, kto z góry

177

liczył się z takim obrotem sprawy, podał mu własny, trzymany w pogotowiu ołówek, jak gdyby do tej pory zwlekał tylko po to, żeby teraz nadać temu gestowi odpowiednie znaczenie i żeby się Kóves wreszcie zawstydził.

W swoim pokoju Kóves natychmiast otworzył list; informowano go, że redakcja gazety, w której dotąd pracował jako dziennikarz, niniejszym wymawia mu posadę i jakkolwiek w myśl takiego to a takiego paragrafu kodeksu pracy jeszcze przez dwa tygodnie będzie otrzymywał wynagrodzenie - które w dni robocze w godzinach urzędowania może Pan odebrać w naszej kasie - to na świadczenie przez niego pracy nie reflektują, poczynając od dzisiaj.

Kóves przeczytał list z mieszaniną zakłopotania, złości i żalu. Jak to? To życie tutaj zaczyna się od tego, że dostaje wypowiedzenie z pracy? Nie ma mowy. Kóves, rzecz jasna, nie pracował w gazecie, która wypowiedziała mu posadę; z drugiej jednak strony, co się tyczy pracy, to właśnie chętnie by popracował. Teraz, kiedy go stamtąd wyrzucili, Kóvesowi wydała się wcale atrakcyjna owa możliwość, która ledwie przed nim zamajaczyła, a już go od niej odcięto. Ale czy to aby na pewno szansa dla niego? Skąd ma wiedzieć? Może się o tym przekonać jedynie w praktyce; ale wówczas to już nie będzie szansa, tylko życie, jego życie. Kóvesa, jak się dobrze nad tym zastanowił, dziennikarstwo nie pociągało ani trochę, możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, że w ogóle się do tego zawodu nie nadaje. Dziennikarstwo jest - w swojej istocie - kłamstwem albo co najmniej szaloną lekkomyślnością; i jakkolwiek Kóves wcale nie był na tyle chełpliwy, żeby uważać się za takiego, co nie byłby w stanie kłamać, to jednak - miał wrażenie - nie każdemu kłamstwu potrafiłby sprostać; niektóre kłamstwa

178

przekraczają jego siły, inne zaś jego możliwości - Kóves powiedziałby raczej: jego talent. Z drugiej strony - bez wątplenia - znał się na pisaniu i wydaje się, że oni tutaj - oczywiście na swój sposób - potrafią to docenić; poza tym - jeśli nawet nie jest tu po to, żeby być dziennikarzem albo wykonywać jakies inne głupie zajęcie - to jednak musi z czegoś żyć, a dziennikarstwo, abstrahując od kłamstwa, jest wygodnym zajęciem, które zapewnia sporo wolnego czasu. A w końcu - zdecydował Kóves - jako punkt zaczepienia nie przychodzi do głowy mu nic innego niż to, co mu oferują: ten list zrobił z niego dziennikarza, a ściślej, dziennikarza, który dostał wypowiedzenie; tym tropem należy pójść - i Kóves od razu pobiegł do łazienki (cieplej wody, ku jego niemiłemu zaskoczeniu - choć oczywiście liczył się z tym - nie było), potem zaczął się szybko ubierać, żeby

czym prędzej znaleźć się w redakcji.

Zwycięstwa Kóvesa

Kiedy w pośpiechu wychodził z bramy, w ścisłym znaczeniu tego słowa potknął się o jakiegoś psa - był to mały zwierzak o krótkich nogach, długim tułowiu, płowy, z błyszczącym nosem, przypominał jamnika - który głośno zapiszczał z bólu, ale zamiast obszczekać Kóvesa, przyjaźnie machając ogonem, obwąchał mu buty, a potem usiłował wskoczyć na niego, opierając przednie łapy na nogawkach jego spodni, i z wywieszonym długim, zakręconym na końcu, czerwonym językiem tak <sup>^zttT^fi</sup>. na niego swoimi błyszczącymi oczami, że Kóves - chcąc przejednać zwierzaka - w biegu podrapał go za uchem. Potem odwrócił się, żeby pójść dalej - i o mały włos nie wpadł na ubranego z wyszukaną

179

elegancją, jakkolwiek w znoszone rzeczy, siwego, opalonego, krępego pana, który trzymał w ręku smycz i obrozę psa. - Pan również ma psa? - zagadnął Kóvesa z przyjaznym uśmiechem, i chociaż Kóves się spieszył, to osobliwość tego spotkania lub może jeszcze bardziej osobliwa myśl, że on, Kóves, może być właścicielem psa, kazała mu się jednak na chwilę zatrzymać.

- Nie, skądże - powiedział krótko.

- Na pewno jednak lubi pan zwierzęta, pies zaraz to wyczuje - ciągnął starszy pan z niezmaconą łagodnością.

- Oczywiście - powiedział Kúves - ale pan wybaczy - dodał - spieszę się.

- Mieszka pan w tym domu? - krępy mężczyzna, mimo że jego twarz nadal pozostała łagodna, zmierzył teraz Kóve-sa szybkim, przenikliwym spojrzeniem.

- Dopiero od niedawna - odpowiedział Kóves, przestę-pując już z nogi na nogę, i starszy pan dostrzegł zapewne jego zniecierpliwienie.

- Wobec tego z pewnością będę miał jeszcze przyjemność spotkać pana - powiedział starczym, drewnianym i nieco głucho brzmiącym głosem, puszczając go w końcu i staromodnie machając mu ręką na pożegnanie.

Kúves popędził do tramwaju - zbliżało się południe i być może spóźnił się już na „godziny urzędowania” podane w liście z wypowiedzeniem; bez trudu znalazł przystanek, jakkolwiek niedokładnie tam, gdzie go szukał, chodnikowa wysepka, która tu niegdyś była, zamieniła się teraz w stos szarej kostki brukowej, dobiegał stamtąd rytmiczny odgłos młota używanego przez powolnych robotników układających bruk - czyżby bomby ją zniszczyły? a może rozebrano ją, żeby zbudować barykadę, i teraz układają ją

180

na nowo? a może tylko poszerzają ulicę? - Kúves nie wiedział. Tramwaj - zaimprovizowany skład, każdy wagon z innej epoki, jak gdyby wyciągano je na łapu-capu i po ciemku z rozmaitych zakurzonych zajezdni - długo kazał na siebie czekać, wokół Kóvesa na chodniku zebrał się już spory tłum ludzi; na dodatek Kóves, który sądził, że powinien przepuścić tęą, obładowaną różnymi pakunkami i paczkami kobietę, potem - widocznie zaskoczony - nie odparł zdecydowanego pchnięcia łokciem, a następnie nie-maskowanego już nacisku, któremu towarzyszyły obelgi, nagle zorientował się, że został na lodzie; zabrakło mu nie tyle siły, ile woli, a ściślej, niezbędnego zapewne do tego, żeby chcieć, zapału, wyczucia własnego położenia, z którego rodzą się czyny i które pomogło mu przy wsiadaniu do drugiego tramwaju przezwyciężyć wszystkie trudności, przeciwstawić się nogom, łokciom i sprzysięgłej przeciw niemu woli.

Przy wejściu do domu prasy musiał stawić czoło kolejnym trudnościom; stojący w drzwiach celnik z kaburą w żaden sposób nie chciał go wpuścić do środka bez uprawniającej do tego przepustki - Kúves oczywiście nie mógł powiedzieć, że jest zaskoczony, w głębi ducha liczył się z tego rodzaju przeszkodą, ale wybiegł myślą naprzód, w swojej pogodnej naiwności widział się już od razu przy kasie - o której wystawienie powinien był poprosić w portierni znajdującej się opodal. Tutaj jednak wyszła na jaw jego zupełna nieznajomość własnej sytuacji, i nie chodziło wcale o sprawy drugorzędne; Kóves nie potrafił odpowiedzieć wprost na żadne pytanie portiera: ani na to, skąd przychodzi, ani na to, kogo szuka, ani na to, kim właściwie jest. - Dziennikarz? - spytano go.

181

- Tak - oznajmi! Kóves. - Chciałbym odebrać swoje pobory - tłumaczył.  
- Ma pan do odebrania honorarium?  
- Coś w tym rodzaju - powiedział Kóves. - Właściwie pensję - dodał, aby go, nie daj Boże, nie złapali na kłamstwie.  
- Pensję? - portier spojrział na niego z niedowierzaniem zza stołu, na którym stał telefon, leżały druki przepustek i jakaś lista zawierająca nazwiska. - A więc nie podjął pan jeszcze pensji?  
- Nie. Albowiem... - zaczął Kóves, ale portier mu przerwał:  
- Pracuje pan tutaj?  
- Oczywiście - szybko zapewnił go Kóves.  
- No to gdzie ma pan stałą przepustkę? - zabrzmiało następne, bardzo trudne pytanie; Kóves poczuł się jak w krzyżowym ogniu pytań; minęła prawie minuta, zanim wymyślił odpowiedź:  
- Byłem przez pewien czas za granicą - i okazało się, że to oświadczenie wywarło na portierze nieoczekiwane wrażenie.  
- Za granicą? A więc na ten czas zapewne pan ją zdał - powiedział, po raz pierwszy tym uprzejmym tonem, którym zawsze zdaniem Kóvesa powinien mówić portier. - Poproszę pańską legitymację - dodał z takim wyrazem twarzy, jakby się usprawiedliwiał z powodu tej kłopotliwej, ale nieuniknionej prośby, trzymając już w ręce wieczne pióro, żeby na podstawie legitymacji niezwłocznie wypisać przepustkę.  
Ale kiedy rzucił okiem na legitymację Kóvesa, na jego twarz zaraz powrócił wyraz nie tyle nawet podejrzliwości, ile wręcz urazy i surowej niechęci.

182

- Tymczasowego meldunku nie mogę uznać - odsunął od siebie legitymację, popchnął ją w kierunku Kóvesa, który jednak, nie uważając w żadnym razie sprawy za zamkniętą, nie godząc się na to, że wraz z dokumentem odsuwają na bok i jego samego, nie wziął jej i tak dokument pozostał na brzegu stołu.

- Chwilowo nie mam innej legitymacji - próbował przekonać portiera, chudego, drobnego człowieczka, który na pierwszy rzut oka nie miał żadnego defektu, ale czy to z rysów twarzy, czy może z powodu czegoś dziwnego w ruchach - Kóves nie potrafiłby tego sprecyzować - robił na nim wrażenie kaleki, co więcej, inwalidy wojennego, co było przypuszczeniem nad wyraz dowolnym, bo przecież kalektwu można ulec nie tylko na wojnie. I żeby dostarczyć wiarygodnego dowodu na swoje słowa, wyciągnął teraz i pokazał portierowi otrzymany rano list z wypowiedzeniem, który na szczęście włożył do kieszeni, kiedy wychodził z domu. - Proszę - powiedział - może pan zobaczyć, że nie kłamię; pracuję tutaj, jestem dziennikarzem i chcę odebrać swoje pobory.

Ale portier, kiedy z upartą, ściągniętą twarzą przebiegł wzrokiem list, powiedział tylko:

- A tak - niedwuznacznym tonem, i jeszcze bardziej niedwuznacznym gestem położył list na skraju stołu, obok leżącego już tam innego dokumentu Kóvesa. Po czym natychmiast zwrócił się do kolejnego interesanta; tymczasem bowiem w małym pokoju zebrał się już spory tłumek, mężczyźni i kobiety, i wszyscy chcieli dostać się do środka - Kóves do tej pory nawet ich nie zauważył, co najwyżej odczuwał ich obecność jako nacisk jakiegoś niemego ciężaru na swoje plecy, chociaż nikt go oczywiście nie

183

dotykał - z wyrażającego ulgę wyrazu ich twarzy dopiero teraz zrozumiał, jak niecierpliwie czekali, żeby ktoś wreszcie odebrał mu głos i położył kres jego jałowej walce.

Teraz już mechanizm dalej mógł się kręcić, wszystko toczyło się gładko: portier ostentacyjnie szedł na rękę tym, którzy - nie tak jak Kóves - mieli prawo do przepustki; jednych witał jak starych znajomych, w sprawie innych wykręcał jakiś numer telefoniczny, u jeszcze innych nawet takiej potrzeby nie było, bo figurowali na liście, na liście tych, których gdzieś tam na górze oczekiwano. Zapanowała jakaś wesoła ruchliwość, jakaś tajemnicza zgoda wokół Kóvesa i niejako przeciwko niemu - wrażenie to opierało się właściwie nie na faktach, było raczej stymulowane skrajnie teraz wyostrzoną wrażliwością Kóvesa. Jakkolwiek nikt już nie zwracał na niego uwagi, on sam czuł się tak, jakby wszyscy mu się przyglądali i jak gdyby wypełnienie każdej nowej przepustki służyło nie tyle załatwieniu petenta, ile dalszemu poniżaniu wyłącznie jego, Kóvesa. W każdym razie nie

ulegało wątpliwości: bez należytej woli i bez odpowiedniego wyrażenia owej woli, tak jak nie dostał się do tramwaju, tak i do domu prasy się nie dostanie. Tylko że teraz Kóves był w pewnym kłopotcie: nie wiedział, czego ma chcieć. Tego, czego trzeźwo myśląc, powinien był chcieć: dostać się do domu prasy, żeby odebrać pensję, Kóves już nie chciał, może nawet o tym zapomniał, i jeśli w ogóle chciał się tam dostać, to wyłącznie po to, żeby pokonać portiera i dać mu nauczkę. Ale i tego potrafił chcieć, dopiero narzuciwszy sobie pewną dyscyplinę; bo tym, czego chciał naprawdę, było zupełnie coś innego - chciał szturmem wdrzeć się do innego świata, zerwać z wszelkim trzeźwym myśleniem: chciał po prostu strzelić portiera w pysk, chciał poczuć,

184

jak ta twarz zmienia się w bezkształtną, papkowatą masę - tymczasem katował tylko siebie, bo wiedział, że tego nie zrobi, i to wcale nie z litości, poczucia dyscypliny czy ze strachu, tylko dlatego, że on, Kóves jest po prostu niezdolny do uderzenia kogoś w twarz.

Złość, którą teraz odczuwał już nie tyle wobec portiera, ile wobec samego siebie, no i pewien mętny przymus, może próżność, żeby jednak nie opuszczać pola walki bez słowa, bez śladu, jakby go tu nigdy nie było; to właśnie, a nie racjonalny gniew, kazało w końcu Kóvesowi wybuchnąć, kiedy wyszedł ostatni interesant, a następny jeszcze nie wszedł:

- A więc dobrze, nie chce mnie pan wpuścić, to nie, ale niech się pan nie powołuje na przepisy, tylko na swoją złą wolę! To jest moja legitymacja, nie mam innej, i bardzo by się pan zdziwił, gdyby pan wiedział, gdzie i od kogo ją dostałem! Ale oddam im ją i powiem, że pan jej nie przyjął, że nie przyjmuje pan legitymacji, którą oni wystawili! - krzyczał, i zaskoczony swoim nieomal przeraźliwym głosem, ciągnął dalej: - Pensję jednak tak czy inaczej muszę otrzymać, skoro nie mogę w kasie, to niech mi przyślą pocztą! Oczywiście dla firmy będą to tylko dodatkowe koszty i praca - no ale, niech pan będzie spokojny, dowiedzą się, komu to zawdzięczają: panu, bo przekracza pan swoje urzędowe kompetencje! - z tymi słowami wziął ze stołu swoje dokumenty i już kładł rękę na klamce, kiedy dobiegł go głos portiera:

- Niech pan zaczeka! - i Kóves niespiesznie, z ociąganiem, odwrócił się; a więc tak się tutaj osiąga cel, trzeba postawić wszystko na jedną kartę?

- Niech pan pokaże tę legitymację - zwrócił się do niego portier z jeszcze bardziej pośpym wyrazem twarzy,

185

to

którym teraz jednak próbował zamaskować wahanie.

Patrzył na zmianę to na Kóvesa, to na jego legitymację, jak gdyby porównywał, chociaż w dokumencie nie było zdjęcia; wykonał też taki gest, jakby chciał sięgnąć po telefon, ale się rozmyślił; chwycił nagle ołówek, dużymi, niezgrabnymi literami wypisał Kóvesowi przepustkę, szybko wyrwał ów świstek papieru z bloczka i podał mu; nie zamienili już ze sobą ani słowa, nie spojrzeli więcej na siebie, Kóves wziął papier i wyszedł z portierni.

Ciąg dalszy (nowe zwycięstwo)

Jadąc windą na górę - bezustannie krążący rząd otwar- I tych kabin: różaniec, nie: paternoster, przyszło nagle Kó- g vesowi do głowy potoczne określenie tego rodzaju windy - Kóves czuł się ocieężały, zmęczony, serce mu kołatało, powieki bezwolnie opadały, jak gdyby odniesione właśnie zwycięstwo wysssało z niego wszystkie siły - był też oczywiście niewyspany i zapomniał zjeść śniadanie. Czy teraz już zawsze tak będzie? Czy tutaj zawsze będzie musiał wydatkować z siebie tyle energii, płacić takim wysiłkiem i takimi emocjami, kiedy będzie chciał posunąć się naprzód choćby o krok? Jak wytrzyma to napięcie, a zwłaszcza ten brak orientacji; bo przecież dokąd tak naprawdę zmierza, gdzie jest to naprzód? A jednak, Kóves nie mógł zaprzeczyć, że jego nędzne zwycięstwo - nędzne właśnie dlatego, że uważa je za zwycięstwo - rozgrzewało go od środka, owo ciepło zaś odczuwał niczym aksamitne głaskanie; nie mógł też stłumić w sobie jakiejś cichej muzyki niejasnego zadowolenia, jak ktoś, kto nigdy się nie spodziewał, że odkryje w sobie ślepa, dziką siłę. Zapomniał nawet wysiąść

186

na odpowiednim piętrze - kasa, jak Kóves przeczytał na wywieszonej w holu na dole tablicy



informacyjnej, była na jednym z niższych pięter - nagle złapał się na tym, że jakiś napis każe mu wysiąść: musi wysiąść albo zachować spokój na poddaszu, gdzie winda wykona obrót, po czym ruszy z nim w dół; Kóves wołał wysiąść.

Wyglądało na to, że zamiast do kasy, trafił prosto do redakcji - skoro już tak trudno się tutaj dostać, to mogliby przynajmniej dopilnować, żeby człowiek rzeczywiście załatwił swoją sprawę, a nie szwendał się, gdzie mu się podoba, pomyślał Kóves ze złośliwym zadowoleniem, jakby odkrył szczelinę w wyzywająco doskonałej logice. Znajdował się w nieskończenie długim korytarzu, oświetlonym biało-niebieskimi, migającymi lampami, zza wielu otwartych drzwi dobiegał stuk maszyn do pisania, strzępy podenerwowanych lub dyktujących artykuł głosów, rozdzierające dzwonięcie telefonów, uderzył go w nos zapach świeżych odbitek drukarskich. Wtedy Kóvesa, zapewne z powodu zmęczenia, ogarnęło uczucie niepewności, poczuł zawrót głowy, jak ktoś, kto błąka się pośród nawracających sennych koszmarów. Ludzie, którzy mijali go albo szli z naprzeciwka, wydawali się Kóvesowi dziwni: jedni nosili trzewiki i wprost czuć było jeszcze od nich woń ziemi i obornika, inni mieli na sobie liche garnitury, na twarzy zaś wyraz zaszępienia, zmieszania bądź determinacji, w palcach, z żalobą za paznokciami, ściskali jakieś kartki papieru, i spotkał zaledwie kilku ludzi - chudych, łysiejących, w okularach, zarośniętych, spieszących się, z rozbieganymi oczami, przeważnie w koszuli, z papierosem w kąciku ust - którzy rzeczywiście wyglądali mu na dziennikarzy. W końcu korytarza dostrzegł drzwi z napisem: REDAKTOR NACZELNY

187

- SEKRETARIAT; nacisnął klamkę i znalazł się w przestronnym, jasnym pokoju, gdzieś w głębi słychać było maszynę do pisania, przy drzwiach zaś, za biurkiem, siedziała pulchna blondynka; jej mały zdecydowany podbródek, regularne rysy, staranny ubiór stanowiły dokładne przeciwieństwo tego wszystkiego, co Kóves do tej pory tutaj widział, w nos zaś uderzył go zapach dobrych perfum, który zachłannie wciągnął - po raz ostatni czuł coś takiego, kiedy był za granicą. Na pytanie sekretarki, co go sprowadza, oznajmił z miejsca, że chciałby rozmawiać z naczelnym.

- Kogo mam zapowiedzieć? - spytała sekretarka.

- Kóves - powiedział Kóves, a sekretarka zajrzała do notesu.

- Nie jest pan zapisany - powiedziała.

- Nie jestem - przyznał Kóves - a jednak chcę z nim rozmawiać.

- W jakiej sprawie? - spytała sekretarka, i Kóves - nie bez pewnej ostrej nuty w głosie - zauważył:

- Dostałem stąd wypowiedzenie.

- A tak - powiedziała sekretarka to samo co portier, ale nie tak jak on, patrząc na Kóvesa nie tyle karcąco, ile raczej z pewnym zainteresowaniem - to pan jest tym, który wrócił z zagranicy. Wiemy o tym - powiedziała, i tak jak zupełnie niezrozumiale jej twarz zapłonęła ciekawością, tak samo ciekawość z jej twarzy zniknęła - po czym poinformowała Kóvesa, że najpierw musi się porozumieć z naczelnym telefonicznie, naczelnym wyznaczy termin wizyty, który poda jej, sekretarce, a wtedy ona, sekretarka, powiadomi Kóvesa, jeśli ma telefon, to telefonicznie, jeśli nie, to listownie.

- W takim razie pewnie długo będę musiał czekać - zgadywał Kóves.

188

- Pewnie tak - przyznała sekretarka - ale taki jest tryb - dodając, że naczelnym jest w tym momencie, niestety, za-JCty.

- Czym? - spytał Kóves, a sekretarka popatrzyła na niego, jakby Kóves przybył nie z zagranicy, ale prosto z domu wariatów.

- Pracuje - powiedziała - i polecił, żeby nikt mu nie przeszkadzał.

- Dla mnie na pewno zrobi wyjątek - stwierdził Kóves i ruszył w kierunku obitych dermą drzwi; gdyby ta staranna izolacja, ze lśniącymi miedzianymi nitami pozostawiała jeszcze jakąkolwiek wątpliwość, to umieszczona na tapi-cerze drzwi imponująca tablica informowała: REDAKTOR NACZELNY; sekretarka wyskoczyła zza biurka, jakby ją osa użądliła.

- Chyba nie chce pan tam wejść?! - wrzasnęła na Kóvesa.

- Owszem, chcę - powiedział Kóves, nie zatrzymując się pomimo pewnych przeszkód, jako że

musiał najpierw wyminąć sekretarkę, która wyrosła teraz pomiędzy nim i drzwiami, żeby zagrozić mu drogę.

- Proszę natychmiast wyjść! - krzyknęła. - Niech pan się stąd wynosi! - widać było, że zupełnie straciła głowę; - Nie słyszy pan?! - i wyglądało na to, że Kóves rzeczywiście nie słyszy, bo choć uważał, żeby nie nastąpić sekretarce na nogę, parł naprzód, sekretarka zaś cofała się przed nim, chyba nie zechce się z nim bić ani nie sięgnie nagle po jakąś broń, martwił się w duchu Kóves. - Bez zapowiedzi nawet kierownicy działów nie mogą tu wchodzić... nawet redaktor odpowiedzialny! - krzyczała sekretarka, teraz już nawet rozkładając ramiona, jakby chciała Kóvesa objąć, chociaż tym rozpaczliwym i oczywiście daremnym gestem broniła

189

jedynie obitych tapicerką drzwi, jednocześnie zastawiając je biodrami. I Kóves wówczas znowu stał się świadkiem zwrotu, który tutaj - zawsze? czy tylko w chwili niepewności, a więc w rzadkich momentach, kiedy mechanizm z powodu jakiegoś defektu się zacinał? - nagradzał krańcowy upór, graniczący z groźbą. Bo na przerażonej twarzy nieomal już ukrzyżowanej na drzwiach sekretarki najpierw pojawiło się wahanie, potem zaś zrodzony w męce uprzejmy uśmiech; i jakby to już nie była ta osoba, która przed chwilą krzyczała, a nawet wrzeszczała na niego, głosem wprowadzie jeszcze zduszonym od wzburzenia, ale już łagodnym odezwała się do Kóvesa:

- Proszę spocząć na chwilę, zaraz pana zaanonsuję - i śmignęła za obite tapicerką drzwi, za którymi - jak Kúves zauważył - znajdowały się drugie drzwi.

Usiadł więc; nagle poczuł się spięty. Kóves uświadomił sobie, że to cisza - maszyna do pisania umilkła, maszyna, którą słyszał do tej pory bez przerwy, chociaż odbierał ją jak, powiedzmy, szum liści czy szmer ulewy, czyli że jej nie zauważał aż do teraz, gdy umilkła. I dobiegł jego uszu z tamtej strony jakiś cienki głosik - coś jakby stłumiony kobiecy chichot; właśnie chciał się odwrócić, kiedy znowu zjawiała się sekretarka i tym razem już z poprawnym, oficjalnym uśmiechem, jak gdyby przed chwilą nic nie zaszło, zwróciła się do niego:

- Pan pozwoli - i w tej samej chwili, może trochę gorliwiej niż poprzednio, znowu rozległ się stukot maszyny do pisania.

190

Ciąg dalszy (kolejne zwycięstwo)

Kiedy przekroczył podwójne drzwi, Kóves z początku niczego nie widział, a i potem jedynie coś niecoś; w jego i tak szczypiące od niewyspania oczy w ścisłym tego słowa znaczeniu wdarł się i zaczął je świdrować wpadający przez szerokie okno blask słońca, w którym, tuż za biurkiem, Kóves widział jakąś dziurę, lukę, jak gdyby wycięty w owym blasku ciemny kształt - można się było w nim dopatrzeć górnej części tułowia człowieka, z ramieniem, szyją i głową - zapewne redaktora naczelnego. Teraz cień powiększył się o pewien wyrostek, o wyciągniętą rękę, lecz - z powodu fałszywej perspektywy spowodowanej oświetleniem - Kúves w pierwszej chwili nie potrafiłby powiedzieć, jaki kierunek wskazuje.

- Proszę usiąść - usłyszał przyjemnie brzmiący, głęboki głos, chociaż ,może nieco zamglony, jak gdyby od nadużywania czy też nałogowego palenia. A ponieważ po swojej stronie biurka widział tylko jedno krzesło, usiadł na nim, choć krzesło to znajdowało się dokładnie na linii wpadających przez górną część okna ostrych promieni słonecznych, a nawet - jako że siadając, znalazł się nieco niżej - promienie świeciły mu teraz prosto w oczy; siedział więc dokładnie na wprost słońca, ale jednocześnie, rzecz jasna, na wprost redaktora naczelnego. A ponieważ nie wiedział, jak ma zacząć, wahał się, by ostatecznie powiedzieć zgodnie z prawdą:

- Musiałem do pana przyjść.

- Dobrze pan zrobił - zabrzmiało zza biurka. Zapłonął mały ogieniek, a zaraz potem zza niebieskiego, lekkiego obłoczka dymu, który szybko rozproszył się w słonecznym

191

świecie, Kóves usłyszał: - Moje drzwi dla każdego stoją otworem - i po usłyszeniu tego dźwięcznego oświadczenia cała droga przez mękę, jaką odbył do tego pokoju, całe pasmo cierpień i upokorzeń rozplynęło się niczym ów dym z papierosa, i Kóves złapał się na tym, że wypełnia go teraz jakieś niejasne poczucie wdzięczności, które zrodziło w nim nagły optymizm.

Zabrzmiało to również w jego głosie:

- Pan wybaczy, ale dostałem od państwa wypowiedzenie - powiedział lekko, tonem, jakiego używają mężczyźni, kiedy rozmawiają między sobą o czymś nieco absurdalnym.
- Wiem o tym - usłyszał. A potem: - W czym mogę panu pomóc?
- Nie mam na chleb - tłumaczył Kóves.
- Na chleb? - rozległ się głos, trochę - przynajmniej Kúves tak to odebrał - zaskoczony.
- Chcę przez to powiedzieć, że nie mam z czego żyć - jakkolwiek Kóvesa kępowały jego własne słowa, to wydawało się, że jeśli chce być zrozumiany, musi wyrażać się jasno.
- A więc o to chodzi - teraz w głosie pojawił się ton lekkiego zniecierpliwienia.
- Tak - powiedział Kóves - muszę przecież z czegoś żyć.
- To naturalne, że musi pan z czegoś żyć; wszyscy musimy - w trakcie wypowiedzania tych słów głowa mówiącego poruszyła się, a Kóves powoli zaczął już teraz dostrzegać wystającą brodę i zarys dużego, świadczącego o władczyim charakterze nosa. - Ale to w końcu nie jest zagadnienie pierwszorzędnej wagi.
- Staje się zagadnieniem pierwszorzędnej wagi, jak nie mamy z czego żyć - powiedział Kóves.

192

" - U nas każdy ma - Kóves tym razem usłyszał w głosie coś ostatecznego, jakiś ton nieznoszący sprzeciwu, jakby go odprawiano. - Co się zaś tyczy wypowiedzenia - odezwał się znowu głos, już trochę bardziej wylewnie - to rzetelnie to przemyślimy. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiemy, do czego mógłby się pan nam przydać. Aczkolwiek - tu głos jak gdyby się zawahał, ale potem ciągnął dalej - nie przeczę, że otrzymaliśmy dla pana poważną propozycję.

->kąd. - wyrwało się Kóvesowi pytanie, ale pewnie zbyt pochopne, bo nie otrzymał odpowiedzi.

- Nie znamy na przykład pańskiego dorobku - ciągnął naczelny. - PO2a tyrn5 Jak słyszC) ^^ dkz

^ by\_

wał pan za granicą; zapewne nie zna pan nawet linii naszego pisma.

- Przecież - powiedział Kóves - istnieje nie tylko Unia. Plsmie ~ Koves "^prawdę się ożywił - nie brakuje też

pracy innego rodzaju.

- Zaciekawia mnie pan - usłyszał głos naczelnego, a ta uwaga, niespecjalnie wroga, ale też nie za bardzo przyjazna, znowu zabiła Koyesa z tropu. - Co pan ma na myślp

- A coż mógłbym mieć? - Kóves próbował się skupić, zrodziło się w „im pewne podejrzenie, jakby obawiał się zasadzki. - Umiem - powiedział - zgrabnie formułować zdania. Umiem wymyślić ciekawą fabułę i zaopatrzyć ją W zaskakującą puentę... Może - dodał z niepewnym, przeprasającym uśmiechem, jak ktoś, kto nie chce zrobić wrażenia, że się przechwala - może nawet mam własny styl

- No tak - zabrzmiało krótko, a na twarzy otoczonej dochodzącymi spoza niej promieniami słońca Kúves nie dopatrywał się żadnego wyrazu. - A więc pana zdaniem praca dziennikarza - stwierdzał raczej, aniżeli pytał ów głos

193

- polega na formułowaniu zgrabnych zdań i wymyślaniu ostro spuentowanych historyjek...

- W każdym razie - i teraz zrodziła się w Kóvesu jakaś dziwna przekora, jak w kimś, kto ma rację i musi bronić swojego stanowiska - w każdym razie bez tego dziennikarstwo nie istnieje - i sam nie wiedział dlaczego, nagle przypomniał mu się pianista, jak mówił tamtej nocy o numerach.

- No tak - zabrzmiało, teraz nawet krócej i bardziej zdecydowanie niż poprzednio. Następnie, po chwili przerwy, Kóves usłyszał wyartykułowane wolno i dobitnie pytanie:

- A pańska wiara... pańskie przekonania? Nie ma pan własnych przekonań? - i Kóves nagle poczuł się tak, jakby mierzył głębokość przepaści, nad którą stoi - bez sensu, bo przecież lepiej, jeśli skoczy w nią z zamkniętymi oczami, skoro już musi skoczyć.

- Nie mam - powiedział. A potem nieomal wykrzyczał te słowa w głuchej ciszy, jaka zapadła: - Nie mam!... Jakże mógłbym mieć jakiegokolwiek przekonania, skoro jeszcze nigdy do niczego się nie przekonałem! Przecież życie nie jest źródłem wiary, życie jest... sam nie wiem, ale życie jest czymś innym...

Zaraz jednak mu przerwano:

- Pan nie zna naszego życia.
- Chciałbym pracować, a wtedy poznam - powiedział Kóves, teraz już cicho, nieomal błagalnie.
- No to niech pan pracuje! - zabrzmiał głos, jakby go zagrzewał.
- Ale przecież dostałem wypowiedzenie - poskarżył się Kóves, załamany.
- Pracować można wszędzie, nie tylko u nas - głos zagrzewał go dalej.

194

- Na niczym innym się nie znam - Kóves spuścił głowę, czuł, że zachowuje się jak żebrak.
- Nauczają pana; nasze fabryki z otwartymi ramionami czekają na tych, którzy chcą pracować! - rozległ się znowu głos, a Kóves uniósł głowę; zrozumiał i odebrał to jak wyrok, po którym poczuł spokojne, tępe zmęczenie, ale jednocześnie odzyskał swoją gorzką dumę.
- A więc do tego mnie przeznaczacie - powiedział wolno, prawie szeptem, na próżno szukając wzrokiem jakiegokolwiek, byle widocznego punktu oparcia w tej twarzy, którą dochodzące z tyłu ostre światło tym bardziej pograżało w mroku.
- My do niczego pana nie przeznaczamy - zabrzmiał głos - to tylko pana mylne przeświadczenie; sam pan musi znaleźć dla siebie możliwości. - Po czym, jak gdyby uznał, że dosyć pouczeń, głos naczelnego stał się cieplejszy, nieomal łagodny. - Niech pan pracuje, niech pan pozna życie, niech pan ma oczy i uszy otwarte, nabierze doświadczenia. I niech pan się nie czuje tak, jakbyśmy zrezygnowali z pana i z pańskiego talentu. Te drzwi - ramię wyciągnęło się i wskazało na coś za plecami Kuvesa, zapewne na drzwi - te drzwi kiedyś jeszcze, zobaczy pan, znowu otworzą się przed panem.
- Być może - Kóves podskoczył; wraz z nadzieją (jeśli to w ogóle była nadzieja) stracił również cierpliwość, cierpliwość do wszystkiego, co już go nie interesowało, bo nie wiązało go ani nie dawało mu poczucia wolności - być może, ale ja już nigdy więcej nie przekroczyć tego progu! Nagle znowu znalazł się na korytarzu, sam nie wiedział jak; i kiedy paternoster razem z nim zjeżdżał w dół, jego wzburzenie opadało, aż w końcu, bez widocznej przyczyny

195

albo jako przeciwwaga dla przeżytego tu napięcia, tak nieoczekiwanie, że niemal się tego przestraszył, ogarnęło go uczucie ulgi, przypominające nienazwane szczes'cie. Wszystko potoczyło się inaczej, niż tego chciał, a jednak - zapewne tylko w tym dziwnym nastroju, który zamazał w nim wszelkie proporcje - czuł, że wypełniła się jego wola. Jak gdyby stanął na wysokos'ci zadania, jak gdyby coś obronił - co takiego? Kóves znalazł to słowo: swój honor. Ale - spytał sam siebie zaskoczony, jak ktoś, kto natknął się na przeszkodę, której wcześniej nie dostrzegął - czymże jest jego honor?

Morza Połudnmwe

W kasie bez słowa wypłacili Kóvesowi jego pobory -śmieszna suma, rzecz jasna, Kóves nie orientował się jeszcze w tutejszych cenach, zapewne więc jego malkontenctwo wzięło się wyłącznie z obudzonego nagle instynktu zatrudnionego pracownika, z owego wiecznego apetytu, który każe owemu pracownikowi zawsze odbierać jako ochłap to, co mu rzucają, co jednak potem, mrużąc pod nosem, łyka, by znowu otworzyć usta po następny kęs, nie pytając, czy aby zapracował na to, co już dostał; co się tyczy Kóvesa, rzecz miała się dokładnie tak, zapłacili mu tylko za to, żeby przez dwa tygodnie nie plątał się pod nogami, nie zawracał głowy swoimi sprawami - kazali mu też pamiętać o podstemplowaniu przepustki, bez której nie mógłby przekroczyć bramy; kiedy wyszedł na korytarz, natknął się na mężczyznę, który - Kóves zapamiętał go, tuż przed nim w kasie odbierał pieniądze - teraz stał i przeliczał banknoty raz jeszcze, widać było, że on też nie jest zadowolony z sumy,

196

jaką otrzymał. Kiedy Kóves przechodził koło niego, nie podnosząc głowy, zapytał:

- Ciebie też wywalili?

« - Też - powiedział Kuves.

- Za co? - spytał tamten, raczej z roztargnienia chyba niż z ciekawości, wkładając tymczasem pieniądze do kieszeni.

- Nie wiem - wzruszył ramionami Kóves, trochę może poirytowany; czuł, że ma po dziurki w nosie swoich spraw. - Nawet nie było mnie tutaj - rzucił jednak tamtemu, żeby nie wyjść na mruka.  
- Aha - powiedział tamten, młody człowiek mniej więcej postury Kóvesa, którzy szedł już teraz powoli razem z nim w stronę windy - wysłali cię na prowincję, a jak wróciłeś, to czekało na ciebie wypowiedzenie, tak?  
- Tak - przyznał Kóves.  
- Zwykle tak robią - pokiwał głową. - Nam się jeszcze całkiem nieźle udało - dodał, gdy razem z Kóvesem wchodził do jednej z przesuwających się kabin windy, która teraz wraz z nimi zjeżdżała w dół.  
- A co - Kóvesa trochę to jednak zainteresowało - ciebie też wyrzucili?  
- Jakżeby inaczej - powiedział tamten.  
- A ciebie za co? - spytał Kóves.  
- Nie podoba im się moja gęba - teraz tamten wzruszył ramionami, tak samo jak wcześniej Kóves. Przeszli przez hol, potem oddali celnikowi przepustki, wyszli na ulicę, gdzie słońce, ruch, a nawet ta niemrawa, przypominająca raczej atmosferę małego miasteczka krzątania, ze swoją gnuśną obojętnością na wszystko, podziałały na Kóvesa prawdziwie dobroczynnie. - Te obecne zmiany... - dobiegł jego uszu głos, który wcześniej mu towarzyszył, Kúves

197

zaskoczony podniósł głowę; nieomal zapomniał już, że nie jest sam.

-Jakie zmiany? - spytał więc, raczej z uprzejmości, albowiem domyślał się odpowiedzi, dokładnie takiej, jaka zabrzmiała:

- A czy to można wiedzieć?

- Nie można - przytaknął Kóves, miał wrażenie, że mimo woli uczestniczy w jakimś modnym tutaj obrzędzie.

Nagle jednak przyszło mu coś do głowy - tym razem prawdziwe pytanie, dotyczące istoty rzeczy, które powinien był raczej skierować do siebie, a jednak zadał je temu drugiemu:

- I co teraz zrobisz?

- Co? - nowy znajomy Kóvesa lekko wzruszył ramionami. - Zjem obiad - i to samo przez się zrozumiałe oświadczenie jakoś tak podziałało na Kóvesa, że rozpogodził się i poczuł jak ktoś, kto po długim wygnaniu zaczyna z wolna powracać do świata ludzi. -Jeśli masz czas, to chodź ze mną - ciągnął nowy znajomy Kóvesa, Kóves zaś widział już teraz, że tamten ma ciemne włosy, wypukłe czoło, grubo ciosaną, a jednak całkiem miłą twarz, która, kiedy się uśmiechnie, wygląda tak, jakby się rozpadała na kawałki, jak gdyby spośród tych wcześniej stwardniałych rysów nagle wyjrzało dziecko.

- Pójdziemy do Mórza Południowych, tam zawsze można coś przekąsić - i jeśli wcześniej Kóves tylko się rozpogodził, to teraz ogarnęła go prawdziwa euforia, zrozumiał bowiem, że chodzi o jakąś restaurację, i zdał sobie sprawę, że właśnie tego pragnął: usiąść gdzieś w lokalu i beztrzesko jeść, pić - nawet gdyby to miało być ostatni raz w życiu - z jakimś dobrym znajomym.

- Czy to daleko? - niecierpliwził się.

198

- Nie byłeś jeszcze w Morzach Południowych? - jego nowy przyjaciel był naprawdę zaskoczony. - No, to czas, żebyś poznał tę knajpę - i ruszyli.

Zabawa na falach

Pełny żołądek, ugaszone alkoholem - jeśli nawet tylko słabym piwem podłej jakości - pragnienie, gęsty papierosowy dym, odgłosy wzbijające się ponad jednostajny szum i gwar panujący w Morzach Południowych zupełnie oszołomiły Kóvesa, miał wrażenie, że naprawdę kołysze się na grzbietach fal, beztrzesko i z dala od wszelkiej, odległej teraz i przymglonej twardej rzeczywistości. Kiedy wszedł tu przez staromodne, oszklone obrotowe drzwi, w pierwszej chwili wydało mu się, że zna to miejsce - tę ogromną niczym stajnia przestrzeń, składającą się z dwóch czy może więcej przechodnich sal; w każdym razie czas nie oszczędził również Mórza Południowych: aksamitne obicia były zniszczone, stojący samotnie na estradzie fortepian wydawał się zaniedbany, całość sprawiała wrażenie chylącej się ku upadkowi ni to restauracji, ni to kawiarni, czegoś w rodzaju

jaskini gry skrzyżowanej z domem dziennego pobytu, gdzie jego nowy przyjaciel, Sziklai - kiedy Kóves usłyszał to nazwisko, coś, jakieś niejasne wspomnienie, przemknęło mu przez głowę, pomyślał wtedy, że znalazł się w świecie, w którym terażniejszość wcale nie rysuje się wyraźniej niż wspomnienia - czuł się jak w domu, i Kóves zdał się bez reszty na jego inicjatywę, jak ktoś, kto - przynajmniej na jakiś czas - chce się uwolnić od balastu, którego nie może już dźwigać: od samego siebie. Znowu ogarnęło go takie zmęczenie, że rozwój wypadków śledził już tylko resztką świadomości,

199

niby ktoś postronny. Obserwował siebie samego, jak z początku szybkimi, zdecydowanymi krokami, potem zaś coraz bardziej się wahając, zmierza ku wnętrzu lokalu, wchodzi w tłum, bez wątpienia - Kóves miał takie wrażenie - kogoś szuka; potem zobaczył spieszącą ku nim, nie młodą ani nie starą kelnerkę, której czystej, dużej twarzy dwie głębokie bruzdy biegnące od nosa do brody nadawały jakiś tragiczny wyraz, który rażąco odbiegał od jej słów i swobodnego gestu, jakim wskazała im wolny, nakryty nieco podejrzanego koloru obrusem stół, mówiąc: - Kłapnijcie sobie, panowie redaktorzy - wyglądało więc na to, że dobrze zna Sziklaiego. A potem ich osobliwy dialog: Sziklai zamówił dla nich obu sznycel cielecy, kelnerka zaś spytała: - Czy lubią panowie na wpół wysmażone żyły? - Wówczas Sziklai poprosił o sznycel po wiedeńsku, kelnerka spuściła oczy, ściągnęła usta, i spytała go: - Proszę mi powiedzieć, tylko szczerze, kiedy i gdzie widział pan ostatnio sznycel po wiedeńsku? - Na co, wydawało się, że z gniewem, Sziklai zaczął się upierać: - Ale przecież jest tutaj, w karcie! - krzyczał.

- Oczywiście, że jest - odparła kelnerka - co by to była za karta dań bez sznycla po wiedeńsku? - Kóves odnosił wrażenie, że grają ze sobą w jakąś grę towarzyską, polegającą na przekomarzaniu się, której kres położyły dobiegające z sali wołania i nagłe zniecierpliwienie kelnerki: - Dość tego - powiedziała - czekają już na mnie i inni mili goście. Dostaniecie na obiad zapiekane kartofle! - i odeszła pośpiesznie, Sziklai zaś, ze swoimi nagle rozsypanymi w drobny mak rysami i przezierającym spoza nich uśmiechem małego chłopca, oświecił Kóvesa: - To Aliz, kelnerka - co Kóves pogodnie przyjął do wiadomości. Jego pogoda ducha przeszła następnie w prawdziwy entuzjazm, kiedy

okazało się, że zapiekane kartofle to tak naprawdę wcale nie zapiekane kartofle, albowiem widelec Kuvesa, badając grunt, natrafił pod zaciągniętymi jajkami kartoflami na piękny kawał mięsa, i Kuves już miał coś powiedzieć, ale widząc, jak Sziklai energicznie potrząsa głową, zrozumiał, że powinien milczeć - było jasne, że są w jakiś sposób uprzywilejowani. - Na Aliz zawsze możesz liczyć - to było wszystko, czego się dowiedział od Sziklaiego o kelnerce.

Nie tak jak o innych gościach, żywo gestykułujących w półmroku przy bliższych i dalszych stolikach, albo wręcz przeciwnie, apatycznych, pogrążonych w milczeniu, o których, jak się zdawało, Sziklai wie wszystko - i Kóves zapamiętał jedynie ułamek z tego, co mu o nich opowiadał. O łysym, tęgim człowieku, z twarzą chorobliwej barwy - na próżno wycierał ją raz po raz chusteczką wielkości prześcieradła - stale lśniąca od potu, którego stolik robił wrażenie jakiejś centrali, wciąż podchodzili do niego spieszący się ludzie, na chwilę przysiadali, potem podrywali się, podczas gdy inni zostawali na dłuższą wymianę myśli, a któremu Sziklai również się uklonił - łysy z kolei odkłonił mu się wesóło - Kóves dowiedział się, że to Niekoronowany - kto mu nadał taki przydomek, nie bardzo wiadomo, ale jego znaczenie łatwo objaśnić, bo ów człowiek jest tutaj nieko-ronowanym królem, połowa kawiarni dla niego pracuje, opowiadał Sziklai. - Jak to? - spytał Kóves. A tak to, że

- powiedział Sziklai - człowiek ów jest emerytowanym funkcjonariuszem służb, a kiedy Kuves spytał, jaką służbę pełnił przedtem, Sziklai odpowiedział mu pytaniem na pytanie:

- A jak myślisz? - i chociaż Kóves nic nie myślał, był po prostu zbyt leniwy, żeby cokolwiek o tym myśleć, to jednak, jak ktoś, kto rozumie, o co chodzi, powiedział:

200

201

- Aha - i wyglądało na to, że włas'nie takiej odpowiedzi od niego oczekiwano. Tak więc - ciągnął Sziklai - „w uznaniu poprzednich zasług” (Sziklai puścił oko do Kóvesa) Nieko-ronowany dostał

zezwole nie na to, żeby handlować na bazarach na prowincji chustami i szalami, które chętnie kupowały wiejskie kobiety, oraz żeby robić chłopom zdjęcia i potem je im sprzedawać. Pierwotnie zezwolenie opiewało na nazwisko Niekoronowanego i tylko jego upoważniało do handlu oraz robienia zdjęć. Ale zamówień był huk - chłopci, tacy przeważnie nieufni ludzie, opowiadał Sziklai, zachowują się doprawdy jak dzieci, kiedy ktoś im robi rodzinną fotografię, do tego stopnia, że zdarzało się, iż w aparacie nie było filmu (nie zawsze bowiem można kupić film) i pstrykano im zdjęcie pustym aparatem, pobierano uzgodnioną zaliczkę, potem oczywiście nigdy nie dostawali tego „zrobionego” zdjęcia, a nazwisko i adres, jaki zostawiał im fotograf, okazywały się, rzecz jasna, fałszywe - zresztą takiej ilości pracy jeden człowiek by nie podolał, poza tym Niekoronowany jest ciężko chory na cukrzycę i na serce. Mnóstwo ludzi natomiast „potrzebuje świstka papieru” - powiedział Sziklai. Zaciągają się więc na służbę do Niekoronowanego; on organizuje im, bo niby dlaczego miałyby nie organizować, urzędowe papiery, według których są pracownikami spółki użyteczności publicznej. A zatem nie można ich już pociągnąć do odpowiedzialności za bumelanctwo czy pasożytnictwo, z drugiej strony jego również nie można pociągnąć do odpowiedzialności za to, że zatrudnia, nie daj Boże, akwizytorów, że tworzy sieć o krajowym zasięgu. Bo, nieprawdaż, akwizytorów nikt, nawet Niekoronowany, nie mógłby zatrudniać, akwizytorzy z kolei nigdy nie mogliby wykonywać swojej pracy akwizytorów bez

odpowiednich papierów, które zaświadczają, iż nie są akwizytorami; obie strony są więc na siebie skazane - powiedział Sziklai - i ludzie szanują Niekoronowanego nie tylko jako swojego szefa, lecz również dobroczyńcę.

- A ten tam? - Kóves wskazał głową stolik pod oknem wychodzącym na ulicę, gdzie siedział mężczyzna z siwą grzywą; jego charakterystyczna twarz o nieregularnych rysach, nad którymi, jak się zdawało, z trudem panował, zdradzała niezwykle namiętność. Nosił okulary o podwójnych szklach, szkła zewnętrzne były ciemniejsze i podnoszone - Kóves wiedział o tym stąd, że właśnie były podniesione - i ze spuszczoną głową zagłębiał się w czynności, której z tego miejsca nie dało się zidentyfikować - Kóves wcale by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że pisze nuty albo maluje miniatury. Ale twarz Sziklaiego nieomal rozpadła się na kawałki, kiedy spojrzał w kierunku wskazanym przez Kóvesa: - To Pompadur - zaśmiał się. W wolnych chwilach on również pracuje dla Niekoronowanego. Na chusty dla wiejskich kobiet farbę nanosi się rozpylaczem, w czasie rozpylania zaś maszynę trzeba napędzać nogą, pompować, taką pracę wykonuje Pompadur, imię nadał mu Niekoronowany, który zresztą zna się na żartach i jest miłośnikiem teatru; jeśli bowiem chodzi o główne zajęcie Pompadura, to jest on statystą w teatrze naprzeciwno

- Kóves zdziwił się; pierwszy raz słyszał, że jest tu również teatr - dodatkowo natomiast podejmuje się naprawy zegarków. Na pewno i teraz naprawia komuś zegarek - często zresztą się zdarza, że rozłożonego zegarka nie potrafi potem złożyć i właściciel dostaje z powrotem wszystko osobno - cyferblat, metalową kopertę, drobne sprężyny i śrubki zawinięte starannie w papier; mimo to zawsze trafia mu się

202

203coś do reperowania, bo kiedy zegarkiem potrząśnie, przyłoży go do ucha, otworzy kopertę i zajrzy, używając podwójnych okularów, do wnętrza, to zawsze od nowa ludzie nabierają do niego zaufania; a w dodatku niedrogo bierze.

Jeśli chodzi o pewną kobietę, blondynkę - uderzające zjawisko, która, opierając interesującą na swój sposób twarz na palcach splecionych pod brodą, patrzyła pustym spojrzeniem przed siebie, na stole przed nią zaś stał nietknięty kieliszek palinki - to Kóves poznał jedynie przezwisko, pod którym znano ją w Morzach Południowych: Transcendentna Hetera; Sziklai natomiast zwrócił mu uwagę na dżentelmena o skroniach przyprószonych siwizną, opalonego, ubranego z krzykliwą elegancją, wspominając, że to wujek Andre, Chloroformiarz. - Jak to? - zaśmiał się Kóves, a Sziklai opowiedział mu, że kiedyś, kiedy jeszcze obce kraje łączyła sieć międzynarodowych pociągów, wujek Andre nawiązywał znajomość z bogatymi damami podróżującymi pierwszą klasą, w nocy przytykał im do twarzy watę nasączoną chloroformem i okradał je; wedle twierdzenia Sziklaiego wujek Andre nawet i dziś zna na pamięć rozkład jazdy pociągów ekspresowych na kontynencie -

jeśli kursują jeszcze ekspresy i obowiązują stare rozkłady jazdy - jakkolwiek jego samego „wiele razy już wycofywano z ruchu”, i to na długie lata. Z czego obecnie „trzyma fason”, o tym Sziklai wiedział tylko tyle, że to: - tajemnica -po chwili zaś dodał: - kobiety, tylko kobiety, nie może być inaczej.

Trafiali się oczywiście i inni goście, porządni ludzie, o których nic się nie da powiedzieć, i tacy, o których wprawdzie się da, ale Kóves tylko słuchał, co nie znaczy, że słyszał, a i o tym, co słyszał, nie był przekonany, że słyszy; wierzył

204

i nie wierzył - głosy, wrażenia i obrazy mieniły się jak mika, bezustannie falowały, to rozpraszały się, to zlewały na powrót; i zapewne źle rozumiano jego roztargnienie - co jednak było prawdziwym odkryciem, trochę smętnym, trochę melancholijnym, ale słodkim jak smak dawno minionego szczęścia - bo nagle poczuł, że ktoś klepie go po ramieniu i mówi: - No, niech pan nie spuszcza nosa na kwintę.

- Jakoś to będzie - i Sziklai, zamyślony, spojrział na Kóvesa. - Są dwie drogi - powiedział następnie - krótka i prosta, która wiedzie donikąd, oraz długa i kręta, o której nie wiadomo, dokąd prowadzi, ale idąc nią, człowiek przynajmniej ma wrażenie, że idzie. Trzeba by to było zanotować - dodał zaraz, nieco zafrasowany i podniecony jednocześnie.

- Po co? - spytał Kóves od niechcienia, jak ktoś, kto się obawia, że zburzą mu spokój, ale z bladym uśmiechem, jakby jeszcze nie stracił nadziei.

- Po to - powiedział Sziklai - że moim zdaniem, to dowcipne i da się wykorzystać w jakiejś sztuce.

- W jakiej sztuce? - Kóves niechętnie zadał to pytanie; być może miał nadzieję, że jak je zada, to tym samym odsunie je od siebie.

- No właśnie - powiedział Sziklai - moim zdaniem, należałoby napisać sztukę - i Kóvesowi zaczęła wracać trzeźwość myślenia, ale powoli, niczym trucizna sączona kropla po kropli.

- Jakiego rodzaju sztukę? - zainteresował się.

- To jeszcze trzeba przemyśleć - powiedział Sziklai, chociaż wydawało się, że już to przemyślał, bo natychmiast dodał: - Dramat to wprawdzie wdzięczna rzecz, ale trudna; jak się nie uda, od razu wychodzi szydło z worka.

205

Moim zdaniem, należałoby napisać komedię, to gwarantuje sukces.

- Sukces? - spytał Kóves niepewnie, jak ktoś, kto obraca w ustach jakieś dziwne, trudne do wymówienia słowo w obcym języku.

- Oczywiście - Sziklai spojrział na niego zniecierpliwiony - trzeba jakoś odnieść sukces. Sukces to jedyne wyjście.

- Z czego? - spytał Kóves, i Sziklai przez chwilę podejrzliwie wpatrywał się w jego twarz, jakby szukał w niej jakiejś tajemnicy.

- Masz dziwne poczucie humoru - powiedział następnie i wyraźnie poweselał, jak ktoś, kto dopiął swego - no, ale masz poczucie humoru. Ja nie mam. Przynajmniej kiedy piszę, to mi go jakoś brakuje. Natomiast - ciągnął, coraz uważniej przypatrując się Kóvesowi, a Kóves był coraz bardziej spięty, bo czuł w spojrzeniu Sziklaiego, że ten się czegoś od niego domaga, jeśli nie czegoś innego, to przynajmniej uwagi - ja natomiast od jakiegoś czasu studiuję dramaturgię. Można się tego nauczyć - Sziklai machnął ręką -to pestka, tylko że sam nie dam sobie rady z dialogami. Nawet nie mam jeszcze naprawdę dobrego pomysłu - ciągnął, a Kóves był coraz bardziej spięty, z trwogą przeczuwał, że powoli staje się uczestnikiem jakiegoś planu, który knują gdzieś z dala od niego, ale domagają się jego udziału, liczą na jego siły. - Stary - usłyszał tryumfalny okrzyk Sziklaiego - jesteście uratowani; napiszemy komedię! - i Kóves powiedział:

- Dobrze. - Potem, w odruchu samoobrony: - Ale nie teraz - i na tym stanęło; najpierw muszą uregulować swoje sprawy, Sziklai skinął na Aliz i wbrew protestom Kóvesa zapłacił rachunek, dorzucając sowity napiwek.

• - Co to, obrabowali panowie bank? - spytała Aliz, kelnerka, chowając pieniądze do kieszeni fartucha.



- Wspaniała postać - popatrzył za nią Sziklai, jakby już wszystko postrzegał przez pryzmat przyszłej komedii, ale potem twarz mu się zachmurzyła. - Tylko szkoda jej - dodał z żalem.
- Dlaczego? - spytał Kóves, i Sziklai rozejrzał się wkoło ostrożnie.
- Teraz go tutaj nie widzę - powiedział.
- Kogo? - zainteresował się Kúves.
- No... jak by to powiedzieć, jej faceta -" powiedział Sziklai.
- A kto to jest? - Kóves, sam nie wiedząc dlaczego, teraz był ciekaw odpowiedzi. Aliz, jak się wydaje, przykuła z lekka jego uwagę; ale Sziklai, wymijająco, powiedział tylko:
- Różne rzeczy o nim mówią. A potem - na twarzy Sziklaiego pojawił się wyraz melancholijnego zrozumienia - Aliz to też tylko kelnerka, a kelnerki zawsze muszą mieć kogoś, kogo mogą utrzymywać.
- No tak - powiedział Kóves - tak, słyszałem już o tym; a więc to zwyczajna historia - i ruszyli do wyjścia, a Sziklai kłaniał się to temu, to tamtemu towarzystwu przy stoliku. Na ulicy uścisnęli sobie ręce i umówili się, że w godzinach wieczornych z pewnością „wpadną na siebie”, jak to Sziklai określił, w Morzach Południowych, a nawet mogą u Aliz, którą Kóves również już zna, zostawić dla siebie wiadomość, i jak tylko uregulują swoje sprawy, natychmiast wezmą się do pisania komedii.
- Tymczasem pogłów się nad jakimś dobrym pomysłem - powiedział na pożegnanie Sziklai, i Kóves, z lekkim uśmiechem, który pewnie odnosił się do tego, że świeciło słońce,

206

207

i do bliskiej już samotności, której nagle zapragnął, odpowiedział:

- Spróbuję.

#### ROZDZIAŁ CZWARTY

r,\*

li , " f.X«

Dopełnienie formalności Gospodyni, dozorca

Kóves poszedł do urzędu, żeby załatwić tymczasowe zameldowanie i dostać odpowiedni dokument.

Weigan-dowa, gospodyni, już po raz drugi przypominała mu, żeby czym prędzej załatwić zameldowanie, jeśli nadal chce u niej mieszkać.

- Oczywiście, nie znam pańskich planów - podniosła na Kóvesa swoje czyste, niebieskie małe jeziora, Kóves niepewnie się uśmiechnął jak ktoś, kto o tych planach wie jeszcze mniej niż Weigandowa.

- Ależ tak - powiedział zatem - jestem bardzo zadowolony - jakby rzeczywiście był tutaj tylko dlatego, nie zaś z innych powodów, na co kobieta odrzekła:

- Cieszę się z tego - zbierając z obrusa jakąś niewidoczną nitkę czy okruch. Znajdowali się w niedużym pokoju Kóvesa - Kóves na próżno prosił, żeby Weigandowa usiadła na krześle, jedynym krześle, a więc nadal stała - z popołudnia zaczął się robić wieczór, ale nie nadeszła jeszcze pora na zapalenie światła, gospodyni właśnie przed chwilą zapukała do Kóvesa, Kóves z początku przestraszył się trochę, że to znowu chłopiec go nachodzi, zanim jednak powiedział: proszę, przyszło mu do głowy, że to raczej nie może być chłopiec, bo Peter nie miał zwyczaju pukać.

209

- Nie wspomniał pan - ciągnęła gospodyni - że jest pan dziennikarzem - w jej głosie krył się jakiś fałszywy wyrzut, a na bladej, trójkątnej twarzy pojawił się lękliwy uśmiech, jak gdyby miała przed sobą znanego człowieka, z którym należy rozmawiać ostrożnie, w białych rękawiczkach. Kóve-sa, który rzeczywiście nie wspominał o niczym takim, zaskoczył fakt, że kobieta jest tak dobrze poinformowana. Jak to? Tak szybko rozchodzą się tutaj wiadomości? Zamiast jednak poprosić o wyjaśnienie, uznał widać, że najpierw sam powinien coś wyjaśnić, jakby chodziło o jakieś nieprzyjemne nieporozumienie, nieomal oszczerstwo.

- Tak - powiedział - tylko że nie pracuję już w gazecie. - Potem, nie przejmując się, że sprawi kobiecie zawód - kto wie, może już była dumna z tego, że ma lokatora dziennikarza - prędko dodał: - Wylali mnie.

Ale nawet jeśli była zawiedziona, nie dała tego po sobie poznać; raczej sprawiała wrażenie, że poczuła ulgę, jej twarz przed chwilą jeszcze czujna i napięta, przybrała teraz wyraz zaskoczenia, choć jednocześnie stała się cieplejsza, i kobieta tonem, który Kuvesowi wydał się bardziej naturalny niż ten poprzedni, stwierdziła cicho:

- Słowem, wylali pana - i przekrzywając nieco głowę, z zainteresowaniem spojrzała na Kóvesa, a jako że była blondynką - przypuszczalnie farbowaną - przypominała teraz Kóvesowi kanarka. - Biedaku - dodała, Kóves uniósł brwi, jakby chciał zaprotestować, chociaż jeszcze nie wiedział, co chce powiedzieć. Tak więc pani domu odezwała się ponownie i teraz już konfidencjonalnie, jakby nie mieli przed sobą nic do ukrycia, a zarazem cicho, jak gdyby nie chciała, żeby inni słyszeli - chociaż oczywiście nikogo poza nimi nie było w pokoju - spytała: - A dlaczego?...

210

Kóves zaś odpowiedział:

- A czy to można wiedzieć? - i odpowiedź ta, jak się okazało, tym razem także zrobiła wrażenie. - Nie - odpowiedziała kobieta, opadając wolno na wcześniej zaoferowane, lecz wtedy odrzucone krzesło, z jej twarzy tymczasem zniknął jakikolwiek wyraz, jak gdyby nagle uświadomiła sobie, że jest beźmiernie zmęczona - nie można.

Przez chwilę milczeli. Żeby nie krępować kobiety, Kóves również usiadł, na łóżku, a Weigandowa, nie znajdując już na obrusie ani okruszka, ani nitki, ze spuszczoną głową bawiła się teraz frędzlami.

- Wie pan - odezwała się następnie tym głębokim głosem, który Kuves do tej pory raz tylko słyszał w rozmowie z nią, owego ranka, kiedy tu przybył - ja czasem mam wrażenie, że niczego już nie rozumiem - wolno podniosła głowę i spojrzała na Kóvesa, a jeziora, których człowiek nie spodziewałby się pośród zygzakowatych fałd twarzy, pociemniały teraz, jak gdyby odbijały się w nich czarne chmury. - Właściwie - ciągnęła - muszę pana przeprosić. - I biorąc milczenie Kóvesa za niezrozumienie czy też może oczekiwanie: - Z powodu mojego syna - dodała - na pewno jest dla pana uciążliwy. - Co tu dużo gadać, Kóves miał z chłopakiem problem; już pierwszego wieczoru - Kóves właśnie się kładł, od dwóch dni właściwie w ogóle nie spał - chłopak nagle otworzył drzwi, trzymając pod pachą szachownicę. - No, jestem! - oświadczył jak ktoś, kto z powodu rozlicznych, niecierpiących zwłoki zajęć dopiero teraz znalazł czas, ażeby wreszcie wywiązać się ze zobowiązania wobec lokatora, który już nie mógł się tego doczekać. Kóves na próżno szukał wymówki, na próżno powoływał

211

się na zmęczenie, brak ochoty - chłopak rozłożył szachownicę na jego tapczanie i zaczął rozstawiać pionki. - Czarne czy białe? - spojrzał surowo na Kóvesa zza swoich mieniących się okularów i zaraz odpowiedział za niego: - Białe, czyli ty zaczynasz. - Kóves zaczął więc, czekał na ruch przeciwnika, potem sam wykonywał ruch; prawie nie zwracał uwagi na szachownicę, jego ręka mechanicznie, można by rzec, niezależnie od niego przesuwiała pionki, wedle jakiejś strategii rodem ze snu, którą jego palce - jak się okazało - zapamiętały jeszcze z czasów, kiedy był małym chłopcem, bo przecież - Kuves, nieomal zdumiony, usmiechnął się w duchu na tę myśl - kiedyś on również, rzecz jasna, był dzieckiem; i podniósł głowę, dopiero słysząc jakiś syk - był to Peter, miał zaciśnięte usta, głowa mu drżała, w twarzy nie było ani kropli krwi. - Co za tani chwyt... co za tani chwyt... I ja dałem się na to nabrać! - syczał, patrząc na Kóvesa nienawistnym spojrzeniem zza swoich zaparowanych okularów. Potem: - Poddaję się! - i szachownica wyleciała w powietrze, pionki rozsypały się po podłodze, w pierwszym odruchu Kuves schylił się, żeby je pozbierać, dopiero po chwili przyszło mu do głowy, że ma do czynienia z dzieckiem, którego nie wolno rozpuszczać, raczej należy je skarcić. - Natychmiast pozbieraj to, co rozrzuciłeś! - powiedział więc, najtwardszym tonem, na jaki było go stać. Ale to napomnienie okazało się zbyteczne, bo chłopiec czołgał się już na czworakach po podłodze i po paru minutach Ko-ves znowu miał przed sobą szachownicę z poustawianymi pionkami. - Teraz sto razy cię pobiję! - oświadczył chłopak z zaciśniętymi zębami, jak gdyby szykował się nie do gry w szachy, lecz do zapasów. I z tymi słowami zaczął grę; w trakcie partii Kóves przysypiał, chłopak kopał go wtedy w kolano albo wrzeszczał: - Twój ruch! - od czasu do czasu Weigandowa wtykała głowę: - Gracie? - pytała niepewnie, po czym zniknęła; chłopak nie zwracał na nią uwagi, raz tylko zauważył, kiedy

zniknęła, nawet nie na użytek Kóvesa, raczej do siebie, wzburzony: - Najbardziej nie cierpię, kiedy mówi, że to gra! - Dlaczego - w Kóvesu obudziła się pewna ciekawość - czy to nie gra? - Nie! - krótko odparł dzieciak.

- A co? - chciał wiedzieć Kóves. - Może praca? - Zgadłeś!

- dzieciak spojrział teraz na Kóvesa nieomal z uznaniem.

- Chcę się wydostać z tego bagna! - dodał jeszcze, ale na tym poprzestał; z zagryzionymi wargami, z surowym wyrazem twarzy ważył kolejny ruch, przesunął pionek i krótko, sucho - jego głos zabrzmiał jak wystrzał pistoletu wycelowanego w Kóvesa - stwierdził: - Szach! - W końcu, kiedy wszystkie racjonalne argumenty okazały się daremne -na przykład że jest późno, że lokator może być zmęczony i przede wszystkim że już dawno minęła pora pójścia spać, bo przecież rano każdy ma swoją szkołę czy biuro - Weigandowa musiała dosłownie wywlec dzieciaka z pokoju Kuvesa, a Kuves długo jeszcze słyszał chropowaty, pełen urazy głos chłopca i głęboki, uspokajający go głos kobiety.

- Dziwny chłopiec - zauważył teraz Kóves.

- Tak, ale trzeba go zrozumieć - odpowiedź kobiety była szybka i jakby wyćwiczona, chyba nie po raz pierwszy jej używała i - Kóves odniósł takie wrażenie - jakby ciągle ją miała na podorędziu. - Nie jest mu łatwo - ciągnęła Weigandowa - i mnie też jest z nim ciężko. Jest właśnie w tym wieku, kiedy najbardziej potrzebuje ojca...

Umilkła, a Kóves pod wpływem jakiegoś przymusu, jak gdyby kazano mu coś powiedzieć, chociaż nie wiedział dokładnie co, powiedział:

212

213

- To prawda, dosyć wcześnie odszedł.

, Ale musiał wyrazić się niezrozumiale, bo Weigandowa spojrziała na niego zdziwiona.

- Kto taki? - spytała.

• - Miałem na myśli - Kóves ostrożnie dobierał słowa; zapuścił się na delikatny grunt, ale teraz już nie mógł się wycofać - miałem na myśli, że wcześniej została pani wdową...

- A tak - powiedziała. Przez chwilę milczała, po czym nagle rzuciła Kóvesowi w twarz: - Zabrali go i tam zginął! - i z podniesioną głową, nieomal wyzywająco, wpatrywała się w niego z jakąś dziwną przekorą, jakby cały swój ból składała u stóp Kóvesa i teraz czekała, aż on go podepcze.

Ale nic takiego się nie stało; Kóves parę razy wolno pokiwał głową, z pełnym zrozumieniem, nieco pochmurnym wyrazem twarzy, jak ktoś, kto oczywiście nie uważa, żeby to było w porządku, ale nie wydaje mu się też specjalnie niezwykle, że kogoś - używając słów Weigandowej - „zabrali” i że ten ktoś „zginął”, przy czym nie wyglądało na to, by oczekiwał dalszych wyjaśnień o szczegółach, zadowolając się w pełni tym, co usłyszał; spięta twarz kobiety powoli się rozluźniła, jak gdyby pod wpływem zmęczenia ciszą, która między nimi zapadła, czy też w kojącym poczuciu jakiegoś tajemniczego spisku, który zrodził się pomiędzy nimi wskutek ich milczenia.

- Tak - powtórzyła teraz już słabym głosem, trochę nawet obojętnie - zabrali go i zginął. Oto przyczyna wszystkiego. W żaden sposób nie może się z tym pogodzić.

- Jak to? - zainteresował się Kóves.

- Wstydzi się swojego ojca - powiedziała Weigandowa.

- Wstydzi się? - zdumiał się Kóves.

- Pyta, dlaczego na to pozwolił, dlaczego się dał - kobiecie drżały ręce, potrząsała głową, jakby bezustannie zmagając się z tym wymierzonym w siebie pytaniem, do którego przywykła już tak samo jak do swojej bezradności.

- To dziecinna argumentacja - uśmiechnął się Kóves.

- Dziecinna - powiedziała Weigandowa - ale to przecież jeszcze dziecko.

- Słusznie - zgodził się Kóves.

- Prawie nie znał ojca. I na próżno próbuję mu wytłumaczyć, że... - Weigandowa zamilkła, a małe, smutne jeziora wilgotno błyszczały w zimowym pejzażu jej twarzy. - Bo czy to w ogóle można wytłumaczyć? - spytała następnie, a Kuves przyznał:

- Z trudem.

- A zatem - powiedziała kobieta - może mój syn ma rację? Może to naprawdę wstyd?  
- Sądzę - Kóves namyślał się przez chwilę - sądzę, że tak właśnie jest. To wstydliva sprawa.  
Pomimo - dodał, wzruszając ramionami - że czasem nic się nie da zrobić; zabierają człowieka i człowiek ginie.

Znowu milczeli, po czym kobieta zawołała, znów tym głębokim głosem, który jednak zabrzmiał tak ostro jak struna, która za chwilę ma pęknąć:

- Te wieczne wyrzuty sumienia; wydać na świat dziecko!... Człowiek nigdy się ich nie pozbędzie! I to na taki świat...

- Świat - Kúves próbował ją pocieszyć - zawsze jest trudny.

Ale kobieta chyba go nie usłyszała.

- Czasem mam wrażenie, że za to mnie nienawidzi... że mi to wyrzuca - powiedziała. - I nie wiem - ciągnęła - nie

214

215

wiem, czy w gruncie rzeczy nie ma racji... Co go czeka? Co jeszcze będzie musiał przeżyć?

- A to... to, co mu sprawia taką szczególną przyjemność?

- spytał szybko Kóves - bo się bał, że kobieta zaraz wybuchnie płaczem.

- Ma pan na myśli szachy? - spytała Weigandowa.

- Chce brać udział w turniejach, chce być zawodnikiem.

- Zawodnikiem! To pięknie, pięknie - Kóves pokiwał głową z uznaniem, wyglądało na to, że najtrudniejsze mają za sobą, udało mu się skierować myśli kobiety z czczych dywagacji na jakiś pogodniejszy tor.

- Teraz też jest na treningu, szykują się do jakichś zawodów młodzieżowych - ciągnęła Weigandowa. - Mówi, że musi zdobyć mistrzostwo. Musi być wybitnym zawodnikiem, wybitnym, bardzo wybitnym - w głosie kobiety wyczuwało się, że teraz cytuje syna, był w tym pewien żartobliwy dystans, ale i skrywana powaga.

- Rozumiem - i Kóvesowi nagle przyszedł na myśl Sziklai, jakoś mimo woli przywołał jego słowa:

- Trzeba w czymś odnieść sukces.

- Tak - Weigandowa uśmiechnęła się tak, jak się uśmiechają matki na myśl o swoich ambitnych synach, z bardzo nieśmiałą nadzieją, ale też z pewną dumą.

- Sukces to jedyne wyjście - Kóves dobrze zapamiętał, co kiedyś powiedział mu Sziklai, tym bardziej że od tamtej pory słyszał to od niego wielokrotnie.

- No właśnie - przytaknęła kobieta. - Mówi, że ze swoją posturą w innych dziedzinach sportu nie ma szans. Widzi pan - dodała - potrafi ocenić sytuację... To w końcu też coś znaczy, prawda?

216

- Oczywiście! - powiedział Kóves. - Miejmy nadzieję - i tutaj on też się uśmiechnął, szeroko, można powiedzieć, jowialnie - miejmy nadzieję, że wyrośnie na mistrza!

Tymi słowami się pożegnali, Kóves wziął płaszcz, powiedział, że idzie do Mórzu Południowych na kolację; nazajutrz rano natomiast - po wysłuchaniu znajomych już odgłosów kłótni i głośnego trzaśnięcia drzwi wejściowych - wstał, nie zwlekając, i poszedł prosto do urzędu - zameldowanie wyglądało na prostą formalność, jego dane przepisano z jednego formularza na drugi i zadano mu tylko jedno pytanie, dotyczące tego, czego widać nie znaleziono w odpowiedniej rubryce:

- Miejsce pracy? - ale okazało się, że pytanie wcale nie było takie nieważne, jak mogłoby się wydawać, sądząc ze sposobu, w jaki mu je zadano, czyli mechanicznie, z góry niejako znając odpowiedź, która mogła się różnić jedynie w szczegółach; bo kiedy urzędniczka usłyszała odpowiedź:

- Nie mam - spojrzała na Kóvesa zza biurka z takim zdziwieniem, że wydawała się niemal przerażona.

- Nie pracuje pan? - spytała, a Kóves odpowiedział:

- Nie pracuję.

- Jak to możliwe? - ze zdumienia urzędniczka nieomal zapomniała na chwilę o swoim urzędowaniu, jej głos brzmiał jak głos człowieka, który interesuje się drugim człowiekiem, kiedy po

prostu jest czegoś ciekaw.

- Dostałem wypowiedzenie - powiedział Kóves, a urzędniczka wpatrywała się teraz w wypełniony już do połowy dokument, wyraźnie łamiąc sobie głowę, jakby natrafiła w swojej pracy na trudną przeszkodę. Następnie, strącając pióro, gwałtownie wstała, pospieszyła w kierunku jakiegoś biurka w głębi pokoju i zaczęła coś szeptać siedzącemu przy

217

nim mężczyźnie, ten również spojrzął zaskoczony najpierw na urzędniczkę, potem na czekającego w pewnej odległości od nich Kóvesa, w końcu podniósł się i razem z urzędniczką podszedł do niego.

- Nie ma pan miejsca pracy? - spytał, a jego groźnie ściągnięte brwi świadczyły o tym, że jest zły na Kóvesa; Kóves natomiast powtórzył:

- Nie mam.

- To z czego pan żyje? - zabrzmiało następne, bez wątpienia słuszne pytanie, Kóvesa mógłby jedynie zdziwić jego urażony ton, gdyby trzeźwo rzecz traktując, nie zdawał sobie sprawy, że przecież nie może oczekiwać, by się o niego troszczyli.

- Chwilowo jestem jeszcze w okresie wypowiedzenia - odrzekł zatem i jak gdyby wypowiedzenie stało się teraz dla niego powodem do wstydu, niejako usprawiedliwiając się, dodał: - Mam nadzieję, że niedługo znajdę pracę.

- My też mamy taką nadzieję - odpowiedziano mu bez życzliwości, za to z jakąś pełną rezerwy surowością, jak gdyby nadzieja, że nie będzie zmuszony do żebrania, by nie umrzeć z głodu, nie była dostatecznie przekonującym argumentem i trzeba mu to było dodatkowo wbijać do głowy. Niedługo potem Kóves zjawił się również u dozorca - oczywiście na to też należała Weigandowa; fakt, że Kóves jest już teraz stałym lokatorem, jej, a przez to i domu, należy zgłosić i zarejestrować u dozorca, zwróciła mu uwagę. A nawet - powiedziała - nie zaszkodziłoby, gdyby i prezes o tym wiedział; chociaż - i wyglądało na to, że w tym momencie Weigandowa nagle się rozmyśliła - to chyba również należałoby raczej scedować na dozorcę. - Kóves, który z tego wszystkiego zapamiętał tylko, że będzie miał o jedną

rzecz mniej do załatwienia, zapomniał spytać, co to za prezes i czemu prezesuje, chociaż w pierwszej chwili, kiedy kobieta o nim wspomniała, przemknęły mu przez myśl owe pytania. Dozorca mieszkał w głębi klatki schodowej, znajdowało się tu obok siebie dwoje drzwi i kiedy Kóves zbliżał się do nich, szukając wzrokiem jakiejś wskazówki, nieoczekiwanie jedne się otworzyły i ukazał się w nich krępy mężczyzna z gęstym, krótkim wąsem, w szarej roboczej bluzie i w nadających się raczej na podmokłe pole niż na miejski bruk wielkich butach, w które na chłopski sposób wcisnął nogawki spodni.

- Mnie pan szuka, panie Kóves? - spytał, a Kóves w jakimś nagłym porywie gniewu, który wywołały w nim te nastroszone wąsy, ten mięsisty nos, te gęste, zachodzące głęboko na czoło w postaci klina, siwiejące już włosy, ta bluza ze stójką i te ciężkie buciorzy - jakkolwiek to niedorzeczność, żeby przypadkowy wygląd zewnętrzny obcego człowieka tak bardzo wytrącił kogoś z równowagi - głosem ostrym jak brzytwa odpowiedział:

- Pana, jeśli pan jest dozorcą.

- Tak, to ja, któżby inny - zaśmiał się wesoło; dostrzegł jego widoczne wzburzenie czy nie dostrzegł, w każdym razie dozorca nie miał go Kóvesowi za złe. - Zapraszam, panie Kóves, zapraszam do środka! - szorstki, a jednak w jakiś sposób słodkawy głos podziałał na Kóvesa, jakby wdepnął w jakąś lepka papkę, która nagle zaczęła mu rosnać pod nogami i oblepiła go aż po czubek głowy, kiedy wszedł do czegoś w rodzaju mrocznego przedpokoju, wypełnionego zapachem kapusty i ciepłymi, gęstymi oparami - zza drzwi, zapewne do kuchni, słychać było jakieś człapanie, czasem brzęk ciężkich naczyń.

218

219

- Na pewno przyszedł pan po to, żebym wciągnął pana na listę - dozorca wyjął skądś spory szkolny zeszyt w twardej okładce, potem zapalił stojącą na stole małą lampkę z żółtym abażurem; jej słabe światło padało tylko na zeszyt, na krótkie palce dozorca i na brudny obrus, samo pomieszczenie

pogrążając w jeszcze większym mroku.

- Skąd pan wiedział, że to ja, zanim się panu przedstawiłem?! - Kóves dopiero teraz uświadomił sobie, jak nagle pojawił się dozorca. - Czekał pan na mnie? Śledził mnie pan zza drzwi? - i jego wzburzenie sięgnęło nieomal zenitu, kiedy podawał dozorczy otrzymany niedawno w urzędzie dokument, żeby przepisał z niego potrzebne dane i wciągnął go na listę.

- No, no, panie Kóves - w zrzędlwym głosie dozorczy słyhać było jakiś żartobliwy wyrzut, tymczasem mężczyzna włożył na nos duże okulary, które dziwnie zmieniły jego twarz (wydawało się, że doznał nagle jakiegoś obrażenia), i niewprawnymi palcami kreślił wielkie, toporne litery na kartce zeszytu podzielonej wzdłuż i wszerz liniami - pan daruje, ale muszę znać swoich lokatorów... A więc nie mamy miejsca pracy - na jego niskim czole zbiegły się zmarszczki, kiedy spojrział znad okularów na Kóvesa, Kóves nie odpowiedział, a dozorca, który właśnie wpisywał do zeszytu tę negatywną informację, jeszcze raz, teraz już tylko stwierdzając, wymamrotał pod nosem: - Nie mamy. - Następnie, odkładając ołówek i zamykając zeszyt, podjął przerwany wątek: - Przecież taka jest rola dozorczy... Za to mi płacą... - zdjął okulary, wstał, podał Kúvesowi dokumenty, a Kóves wziął je od niego. - Niedużo wprawdzie... Naprawdę trudno powiedzieć, żeby to była wysoka pensja... Ale nie narzekam... Człowiek robi dla lokatorów, co tylko w jego mocy...

220

- i z jego mrocznych słów w tym mrocznym pomieszczeniu, gdzie żarzyło się tylko spojrzenie dozorczy - Kóves odniósł wrażenie, że chciwie, nieomal rozkazująco: prawdopodobnie tylko napięte nerwy kazały mu je tak postrzegać, bo w rzeczywistości odbijało się w nim pewnie światło lampki palącej się słabo na stole - Kóves wyczytał jakieś żądanie, coraz bardziej natarczywe; żądanie, które szybko zrozumiał i któremu - tak postanowił - w żadnym razie nie ulegnie. Ale kiedy powziął to postanowienie, jego ręka - Kóves przyglądał się jej zaskoczony - uwolniła się, jakby wcale nie była jego ręką, sięgnęła do kieszeni, wygrzebała jakiś banknot i wcisnęła w rękę dozorczy, dozorca zaś, właściwie mimochodem, jak gdyby ten gest należał do ich rozmowy, wziął od niego ów banknot i wsunął do kieszeni szerokich spodni.

- Dziękuję, panie Kúves - w jego chropowatym głosie dźwięczała teraz nuta jakiejś pobłażliwej uprzejmości - naprawdę nie dlatego to powiedziałem. Ma pan ładne ubranie

- ożywił się po chwili - z porządnego materiału - i zanim Kóves zdążył się zorientować, już krótkimi, żółtymi palcami macał jego marynarkę. - Czy czasem nie zagraniczna?

- Owszem, zagraniczna - powiedział Kóves jak ktoś, kto mówi prawdę jedynie z pogardy.

- Dostaje pan może paczki z zagranicy? - zainteresował się dozorca, a Kóves, który tymczasem przyszedł do siebie, teraz już otwarcie odpowiedział ostrym tonem:

-Jak dostanę paczkę, i tak się pan o tym dowie od listonosza! - i ruszył w kierunku drzwi, kiedy dobiegła go pogodna odpowiedź dozorczy:

- No, no, panie Kóves, a nawet jak się dowiem? To przecież nie tajemnica! Czy może jednak? - usłyszał już prawie na schodach; kiedy szedł na górę, z wolna cichł za nim

221

chichot, on zaś niósł jeszcze ze sobą zapach kapusty na klapach chwalonej przed chwilą marynarki. Pan z pieskiem

Któregoś dnia w południe - a może już pod wieczór? - wygląda na to, że odkąd tu jest, ma pewne kłopoty z rachubą czasu, stary czas zostawił za sobą, a tutejszego jeszcze sobie nie przyswoił, tak więc godziny, pory dnia, a nawet nazwy dni były mu obojętne; to pewnie skutek gnuśnego trybu życia, to się od razu zmieni, jak tylko znajdzie pracę, która narzuci mu pewien rytm, porządek, chociaż, zamyślił się, czy wówczas nie będzie mu wszystko jedno właśnie dlatego? - wolnym krokiem ruszył w stronę Mórzu Południowych. Była prawdopodobnie niedziela, miasto ogarnął jakiś leniwy bezwład; tu i ówdzie można było usłyszeć nawet odgłosy wesołości, w senną ciszę wdzierał się dziecięcy gwar, z otwartych okien dobiegała skrzeczająca muzyka, rozchodziła się woń niedzielnych posiłków; tylko ruiny domów wydawały się smutniejsze niż zwykle - być może z braku odgłosów ciągłego walenia i widoku kręcących się robotników - robiły wrażenie, jakby nie mogły ani odzyskać dawnego wyglądu, ani się rozpaść i teraz już zawsze miały tak sterczeć, uparcie trwając w stanie permanentnego rozkładu - oczywiście jutro znowu rozlegnie się stukot

młotów, zaczną przyjeżdżać i wyjeżdżać ciężarówki, będzie słycać pokrzykiwania ludzi. Tego dnia już wczesnym rankiem przyszedł do jego pokoju Peter, Kuves był jeszcze w łóżku, chłopiec usiłował rozłożyć na kołdrze, na jego brzuchu, szachownicę, ale Kóves powiedział mu wprost, że nie ma ochoty grać. - Nie szkodzi - powiedział na to dzieciak - raz dałem ci się nabrać, ale nie masz pojęcia o szachach. Zresztą nie cierpię cię - dodał jeszcze od drzwi, Kóves miał tylko nadzieję, że w przyszłości ta nienawiść uchroni go od gry w szachy. Potem Kóves poszedł się przejść, rozejrzeć się po mieście - po drodze przegryzł coś w jakimś bufecie, coś, co właśnie było w sprzedaży, coś taniego, na stojąco - głównie oglądał wystawy, te, które nie były zabite deskami. To i owo już nabył - ale zakupy wcale nie szły tak łatwo, jak Kóves nie tyle sobie wyobrażał, ile pragnął; w większości sklepów panował ścisk, często zastawał kolejkę aż na ulicy, a kiedy wreszcie doszedł do lady, okazywało się, że musi kupić coś innego, niż planował, w najlepszym razie coś zbliżonego; na przykład zamiast piżamy nocną koszulę, i to też w większym rozmiarze, niż nosił, uszytą chyba z myślą o jakimś brzuchatym olbrzymie, Kuves nie cierpiał nocnych koszul i raczej gotów był spać nago, żeby móc w końcu oddać Weigandowej piżamę po mężu; nocną koszulę jednak - i to nawet nie jedną, lecz dwie, na zmianę - kupił, widząc jakąś nie do końca zrozumiałą radość sprzedawczyni, kiedy już-już chciał te koszule zostawić, z czego wysnuł wniosek, że nawet taka nocna koszula musi tutaj stanowić nie lada gratkę, nie byłoby więc mądrą rzeczą przepuścić okazję; w końcu wyszło na jaw, że Weigandowej wcale nie zależy na zwrocie piżamy, sama nie będzie jej używać, a na Petera jest jeszcze za duża. Był już na rogu, kiedy usłyszał sapanie i lekki stukot pazurków - a gdy się odwrócił, zobaczył, jak w jego kierunku leci, niczym rzucona z dużą siłą, podłużna, brązowa piłka, mały piesek, który szalał z radości, obwąchując go swoim lśniącem noskiem, wywieszonym językiem usiłując polizać mu rękę, wpatrując się w niego pełnymi wyczekiwa-

222

223

nia, błyszczącymi jak guziki oczkami; z daleka zaś" zabrzmiał drewniany - jak spróchniałe drewno - głos:

- Chodź tu zaraz, ty nicponiu! - Był to starszy pan i jego jamnik, na których Kóves kiedyś' już się natknął. - Co za obrzydliwy lizus z ciebie! - w zrzędzeniu starego było zdecydowanie więcej miłości niż nagany, tymczasem starszy pan schylił się i przypiął do obroży psa utrzymaną w rękę smycz.

- Jak raz kogoś' polubi, to już nie ma przed nim ucieczki

- ciągnął z pozoru karcąco, w rzeczywistości jednak ze słabo skrywaną dumą - chociaż rzadko zdarza się człowiek, którego polubi, zwłaszcza od pierwszego wejrzenia, może mi pan wierzyć, panie Kuves!

- Widzę, że już mnie pan zna - powiedział Kóves, nieco zaskoczony - a więc nie muszę się przedstawiać.

- Jakże miałbym nie znać - starszy pan pociągnął teraz mocno za koniec smyczy, którą pies nagle szarpnął, szykując się z podniesioną tylną nogą do obsikania s'ciany domu - w pewnym sensie to należy do moich obowiązków. Spokój już, ty! - skarcił psa, który znowu plątał się im jak szalony pod nogami. - Przecież to ja jestem prezesem - znowu odwrócił do Kuvesa pokrytą delikatnymi, białymi włosami głowę, opaloną, czerstwą twarz i łagodnie się us'miechnął.

- Aha - powiedział Kóves - rozumiem. Jakim prezesem? - i żeby pytanie zabrzmiało mniej obcesowo, żeby wydało się jeszcze bardziej rzucone mimochodem, Kóves schylił się, by pogłaskać psa, który z wdzięczności znowu zaczął na niego skakać.

- Takim, którego i pan na przykład wybrał - uśmiech starszego pana rozciągnął się teraz szeroko, nabierając tym razem jakiegoś fałszywego charakteru. Ale, panie Kóves

224

- powiedział następnie nieco ciszej, dyskretniej - nie czepiajmy się słów! - i Kóves, chyba nieco mniej nedorzecznie niż poprzednio, powtórzył:

- Rozumiem.

-Już raz się spotkaliśmy - ciągnął starszy pan - ale wtedy pan się spieszył.

- Miałem coś do załatwienia - tłumaczył się Kóves.  
- To zrozumiałe - uspokoił go starszek - ale może teraz ma pan trochę czasu. Jesteśmy na spacerze, dla zdrowia - spojrzał na psa, który po pierwszych atakach radości, jak się wydawało, nagle się nimi znudził, i naprężając smycz, podążał za jakimś zapachem, z nosem przy ziemi - jeśli ma pan ochotę, może pan się do nas przyłączyć. Jak się pan czuje w naszym domu? - spytał po chwili, a Kóves z lekkim półuśmiechem odpowiedział:

- Znakomicie - jak ktoś, kto mówi to, co mówi, a wy sobie to możecie rozumieć, jak chcecie.  
- To wspaniale! - powiedział starszy pan. - Weigandowa to dzielna, porządna kobieta, na lepszą kwaterę nie mógł pan trafić - popatrzył z ukosa na Kóvesa, ten zaś, ponieważ w pierwszej chwili nie wiedział, a ze zwróconej w jego stronę twarzy nie mógł wyczytać, czy powinien potwierdzić, czy też zaprzeczyć, milczał. - Słyszałem, że jest pan dziennikarzem - ciągnął stary. - Wiem, że chwilowo nie pracuje pan w gazecie - szybkim, categorycznym gestem, jak gdyby chciał uprzedzić to, co Kóves ma do powiedzenia, podniósł wolną rękę - drugą próbował utrzymać psa, który widząc wyłaniający się przed nimi mały skwer, od razu skierował się ku pasowi żółtej trawy. - Sądzę, że pańskie zdolności nie mają tu nic do rzeczy. W dzisiejszych czasach... - starszy pan w żaden sposób nie potrafił sobie dać rady z psem

225

wyrywającym się, wierzgającym już na dwóch łapach na końcu smyczy, schylił się więc i odpiął ją od obroży: - Zmiataj, biegnij i załatw swoje sprawy, ty nicponiu! - i dopiero potem wrócił do przerwane go zdania: - W dzisiejszych czasach - jego tryskająca zdrowiem, przed chwilą jeszcze pogodna twarz zasępiła się z lekka - niełatwo jest sprostać swemu zadaniu. Czy potrafiłby mi pan na przykład wytłumaczyć, panie Kóves - odwrócił się nagle do Kóvesa - dlaczego właśnie ja jestem prezesem? - a Kóves, który nie spodziewał się takiego pytania i nie umiałby na nie odpowiedzieć, trochę na wyczucie odparł:

- Widocznie ufają panu.

- Widocznie - przytaknął stary i zaplótłszy ręce za plecami, przemierzał wysypaną żwirem alejkę na skwerze - sam nie znajduję innego wytłumaczenia. Mnie ufają, ale służą komu innemu. Cóż robić - starszy pan rozłożył ręce - ludzie już tacy są. Walka się jeszcze nie skończyła, a już stają po stronie zwycięzcy; jakkolwiek - starszy pan zatrzymał się teraz i ostrzegawczo uniósł gruby palec wskazujący ze starannie wypielęgnowanym paznokciem - zwycięstwo jeszcze wcale nie jest pewne, a zdecyduje o nim to właśnie, że oni uważają je za ostateczne. To dziwna logika, panie Kóves, ale ja już jestem starszym człowiekiem i nie mnie nie dziwi

- kręcąc głową, znów ruszył, a Kóves mu towarzyszył; to, co usłyszał, było wprawdzie dosyć mętne, ale zaintrygowało go i właśnie formułował w duchu pewne pytanie, kiedy starszy pan - wykonując ostry obrót, który ostatecznie pozostał jedynie półobrotem, tak że Kóves czuł na sobie jego spojrzenie, chociaż w rzeczywistości tamten na niego nie patrzył - uprzedził go: - Był pan już u dozorczy? - jego ton był wprawdzie suchy, zdradzał jednak jakieś skrywane podniecenie.

226

- Byłem - powiedział Kóves.

- I nie powiedział panu, że i do mnie powinien pan przyjść? - w uśmiechu starszego pana nie było teraz zwykłej łagodności, wydawał się nieco strapiiony, usta lekko mu drżały, jak komuś, kto grzebie we własnych ranach.

- Nie. To znaczy... - i Kóvesowi przyszło nagle do głowy dziwne wahanie Weigandowej, kiedy wspominała tamtego dnia o prezesie, i jego własna wizyta u dozorczy, o której - sam nie wiedział dlaczego - myślał teraz nagle z pewnym zmieszaniem. - Jeśli czegoś zaniedbałem - powiedział - to proszę o wybaczenie.

- Zaniedbania - starszy pan zdawał się odzyskiwać swoją dawną, pogodną równowagę - nie pan się dopuścił. Niech pan patrzy - wskazał na środek skweru - ten zwierzak znowu znalazł sobie zabawę - i rzeczywiście, pies skakał teraz wokół nóg jakiegoś małego chłopca, a potem pędził po kamyczek, który dzieciak mu rzucał. - I to nie jest pierwsze zaniedbanie, którego się wobec mnie dopuszczono - dodał następnie; przecięli plac po przekątnej i ruszyli wzdłuż jego obwodu. - Jako prezes powinienem oczywiście zaprotestować. Tylko że, panie Kóves, ja się do tej roli zupełnie nie nadaję.



- Co też pan mówi - Kóves dodawał mu otuchy - nie dlatego przecież pana wybrali, że uznali, iż się pan nie nadaje... - powoli zaczynał rozumieć prezesa, a kiedy zrozumiał, smutek starego człowieka kazał mu się uśmiechnąć; a więc tylko o to chodzi, burza w szklance wody, pomyślał.  
- Ale to prawda - upierał się stary, rzucając od czasu do czasu zazdrosne spojrzenie na dokazującego w oddali psa. - Nie potrafię, dajmy na to, dochować tajemnicy. Nie jestem też w stanie zdobyć się na nieodzowną bezstronność;

227

dla mnie zawsze liczy się sympatia lub antypatia, tylko to się liczy, nic na to nie poradzę - rozłożył ręce. - Jeśli na przykład - ciągnął, zwalniając kroku i ścisząc nieco głos  
- przyjdzie do mnie dwóch ludzi, żeby wypytać mnie o kogoś, kogo uważam za sympatyczną osobę, nie jestem w stanie o tym nie mówić, chociaż wiem, że popełniam błąd, błąd w podwójnym znaczeniu: z jednej strony naruszam przepis o zachowaniu tajemnicy, z drugiej zaś staję się zależny od tego kogoś, kogo przestrzegam. - Zamilkł i ze zmarszczonym czołem, zafrasowaną, wyciągniętą twarzą wydawał się teraz dziwnie podobny do swojego psa. - Nie mam łatwego zadania, panie Kóves - westchnął później, a Kóves, mechanicznie raczej, tylko po to, żeby nie być nieuprzejmym, zauważył:

- Każdy, kto jest sumienny, ma trudne zadanie. Ale stary wprost uczeplił się tej uwagi:  
- Waśnie o to chodzi! O sumienność i o sympatię! Do tych dwóch ludzi, którzy przychodzą do mnie wypytywać o różne rzeczy - myślę, że u dozorczy też byli - wcale nie żywię sympatii, ale wiem, że łączy mnie z nimi poczucie obowiązku. Sympatią darzę natomiast tego, o kogo wypytują. Dobrze, już dobrze, tu jesteśmy, ty nicponiu! - zwrócił się do gnającego znowu w ich kierunku jamnika. - Nie chciałbym go mieć na sumieniu, gdyby znalazł się w niebezpieczeństwie - dodał jeszcze.  
- Moim zdaniem, ten ktoś może być panu tylko wdzięczny - powiedział Kóves - narzucona mu rola już go bezsprzecznie znudziła, ale moment nie wydawał mu się jeszcze stosowny, żeby się ze starym pożegnać.

- Wdzięczność! - starszy pan wznosił obie ręce do nieba. - Czy pan wie, ile ja zrobiłem dla ludzi?! I nigdy po to, żeby

228

byli mi wdzięczni, lecz po to, żeby móc spokojnie spać.

- Może właśnie temu zawdzięcza pan swój autorytet - uśmiechnął się Kóves, jak ktoś, kto zakończył rozmowę; stanął - co również starego zmusiło do zatrzymania się - i już miał do niego wyciągnąć rękę, kiedy - chyba nieoczekiwanie - coś mu jeszcze przyszło do głowy:

- A o co wypytywało tych dwóch ludzi? - spytał; jego uśmiech nie zniknął, jedynie zastygł, jak gdyby przez zapomnienie wciąż jeszcze miał go na twarzy.

- O to, co zwykle - wzruszył ramionami starszy pan. - Kędy ten ktoś wraca do domu, czy przyjmuje gości, czy ma posadę, czy już pracuje - stary znowu chciał ruszyć, ale ponieważ Kuves ani drgnął, stali nadal.

- Czy to byli celnicy? - spytał Kóves, i nie ulega wątpliwości, że głos mu się trochę załamał.

- Nie wiem, o czym pan mówi, panie Kóves - stary, nie przejmując się już Kóvesem, ruszył, a Kóves, jeśli chciał go słyszeć, musiał dotrzymać mu kroku. - Celnicy?... Nie nosili mundurów i nie wiem, dlaczego celnicy mieliby chodzić po domach w takiej sprawie. Widzi pan, jak bardzo panu ulegam - spojrzął z wyrzutem na Kóvesa - od razu rozmawiamy o takich rzeczach, o jakich nie powinniśmy rozmawiać, bo przecież jakżeby to mogli być celnicy i dlaczego mielibyśmy traktować ich z podejrzliwością albo, co gorsza - ze strachem, skoro jest to organ, które jedynie stoi na straży prawa?...

- Rozumiem - powiedział Kóves - i dziękuję panu, panie prezesie.

- Za co? - spytał, wyraźnie zaskoczony starszy pan. - Przecież nic nie powiedziałem! Ale widzę, że musi pan już

229

iść; nie zatrzymuję pana, my jeszcze trochę zostaniemy. Choć no tu, ty nicponiu! - przywołał psa, nawet nie podał Kóvesowi ręki, jakby nagle o nim zapomniał albo się na niego pogniewał.

Morza Południowe: pewna osobliwa znajomość Może przyszedł za wcześniej - była przecież

niedziela -bo nie znalazł w Morzach Południowych ani jednego wolnego stolika. Sziklaiego dostrzegł już wcześniej - ku jego niemałemu zaskoczeniu siedział przy stoliku jakiegoś człowieka o siwych wąsach, noszącego mundur, który nie był mundurem żołnierza ani policjanta, nie przypominał też munduru celnika, Kóves na próżno łamał sobie głowę, znał jeszcze najwyżej dwie formacje, których członkowie noszą mundury: kolejarzy i strażaków - w każdym razie nie wpadł na żaden inny pomysł, kiedy się do nich 7hi^, ale Sziklai jakby go nie poznawał i tylko głęboko pod stołem energicznie machał ręką, dając Kóvesowi do zrozumienia, żeby na razie tutaj nie siadał ani się z nim nie witał. W pomieszczeniu panował zwykły gwar, unosily się opary, przy stole Niekoronowanego było bardzo wesoło, przechodząc obok, Kóves - jak na stałego gościa przystało - lekko skinął głową, Niekoronowany zaś z szeroko rozstawionymi udami, w kamizelce rozpiętej na wielkim brzuchu, wciąż jeszcze rechocząc - widocznie opowiadano mu kawał albo jakąś zabawną historyjkę - z poufałą serdecznością zawołał do Kóvesa: - Dobry wieczór, redaktorku! - Przy jednym z oddalonych stolików, w opiętym, niemodnym ubraniu, w dziwnym, powiewającym krawacie, z przyklejonymi szykownymi wąsami - mogły być tylko przyklejone, bo jeszcze

230  
wczoraj nie miał w tym miejscu nawet zarostu - siedział Pompadur; prawdopodobnie trwała właśnie przerwa w teatrze między jednym a drugim aktem i w przebraniu, tak jak stał, wyskoczył na kielicha, czy też może dlatego, że miał coś ważnego do powiedzenia Transcendentnej Heterze, która z brodą opartą na rękach słuchała z obojętną miną, a jej pusty wzrok błędził gdzieś daleko, może w transcendencji, a może nigdzie - stały już przed nią trzy puste kieliszki po palince. Nieco dalej siedziało hałaśliwe towarzystwo: stały stolik muzyków, którzy - jak się Kóves dowiedział już dawniej od Sziklaiego - rozbiegną się wkrótce po nocnych lokalach rozrywkowych, gdzie grywają wieczorami. Właśnie tego dnia Kóves zauważył wśród nich jakąś górującą nad nimi postać, szeroką niczym księżyc w pełni twarz nad muszką w groszki; był to jego znajomy, pianista z baru; on także dostrzegł Kóvesa, wstał uradowany, żeby się z nim przywitać, Kóves również na chwilę odwrócił uwagę od Sziklaiego: - No - spytał pianista z baru, potężną, gładką ręką ściskając wyciągniętą do niego dłoń Kóvesa - znalazłeś już? - Co? - spytał Kóves, w pierwszej chwili nie wiedział, o co pianiście chodzi. - Mówiłeś, że czegoś szukasz. - A tak, oczywiście - powiedział Kóves, muzyk widocznie lepiej pamiętał jego słowa niż on sam. - Jeszcze nie - a pianista wydawał się zadowolony, jak ktoś, kto obawiał się czegoś wręcz przeciwnego i teraz doznał ulgi. - Skąd znasz Małego, pianistę? - spytał potem Sziklai, kiedy Kóves wrócił do ich stolika, a Kóves, uradowany, że wreszcie on może przekazać Sziklaiemu jakąś nowinę, opowiedział mu o ławce, o strachu pianisty. - Boi się?... Właśnie on?!... - twarda twarz Sziklaiego zaczęła się kawałek po kawałku rozpadać od szerokiego uśmiechu. - A co - spytał Kóves; zdziwienie Sziklaiego

231  
trochę go zmieszało - to takie nieprawdopodobne? - Jak myślisz - powiedział na to Sziklai - kim jest ktoś, kto gra w Błyszczącej Gwieździe? - Kóves odpowiedział: - Aha  
- Sziklai zaś: - No widzisz! - z pewną dydaktyczną wyższością, jak ktoś, kto zrobił porządek w myślowym chaosie Kóvesa. W „piekielku” - jak nazywano znajdującą się na samym końcu restauracji salkę z niskim sufitem, bez okien, oświetloną jedynie dosyć upiornym neonowym światłem -pośród zgiełku odbijającego się od ścian trwała gra w karty; pomiędzy stolikami chodził ze znudzonym uśmiechem światowca smukły, szpakowaty wujek Andre, Chlorofor-miarz, przystając od czasu do czasu za jakimś krzesłem i zaglądając w karty; Kóves już rozważał w duchu, czy nie wyjść i wrócić trochę później - ale na widok zbliżającej się Aliz postanowił w jej ręce złożyć swój los.

- Proszę za mną - powiedziała - posadzę pana koło swojego towarzysza życia - z tymi słowami ruszyła w kierunku narożnego stolika - był to właściwie stolik służbowy, zastawiony naczyniami, szklankami, sztućcami, Aliz stąd właśnie brała nakrycia - gdzie obok stosu talerzy, ze spuszczoną głową, jakby spał, siedział dobrze zbudowany mężczyzna, widać było tylko łysiejący czubek jego głowy. Aliz, za którą Kóves szedł w odległości paru kroków, stanęła teraz przed nim i przechylając się nad stołem, cicho wprawdzie, ale tak, że Kóves dobrze ją

słyszał, spytała:

- Rozmyślasz?... - na co mężczyzna powoli podniósł na Aliz wzrok, senne, ciężkie spojrzenie - i gdyby nie to spojrzenie pełne skargi, a jednak oskarżycielskie, cierpliwe, a jednak rozdrażnione i w ogóle jakieś chore, zmaczone - ta mięsista, jajowata twarz, którą Kóves, do tej pory wprowadzie tylko z daleka, widział już w Morzach Południowych wielo-

212

krotnie, robiłaby wrażenie raczej łagodnej, przyjaznej, rzecz by można, pogodnej.

- Posadzę tutaj pana redaktora - ciągnęła Aliz - nie będzie ci przeszkadzał. - Kóvesa zaskoczył głos kobiety; mogłoby się wydawać, że Aliz, wobec obcych, na przykład wobec niego, zawsze taka swobodna, akurat wobec „towarzysza życia” traciła całą odwagę. Tym bardziej zaskoczyła go wygłoszona szeptem uwaga, którą skierowała teraz do niego: - Niech go pan spróbuje trochę rozerwać - jakby powierzała jego opiece ciężko chorego, a Kóves, siadając przy stoliku - w tym momencie nie przyszło mu do głowy nic bardziej rozrywkowego - na wszelki wypadek przedstawił się, na co mężczyzna wysokim, donośnym głosem, niczym śpiewak operowy, również wymienił swoje nazwisko:

- Berg! - krótko, twardo, a jednak jakoś śpiewnie; Kóves oczywiście znał już to nazwisko, słyszał, jak je wspominano - jeśli w ogóle wspominano - wśród stałych gości Mórza Południowych, machając przy tym ręką i wymieniając ponad głową Aliz pełne współczucia spojrzenia. - Co będę dzisiaj jadł na kolację? - zwrócił się następnie do Aliz, dostosowując się wyraźnie do jej wcześniejszej prośby, z uśmiechem bardziej poufałym niż zwykle, gotowy do żartów; a kobieta natychmiast podjęła grę:

- Półmisek zimnych mięs - powiedziała.

- A co to takiego? - dopytywał się Kóves.

- Chleb ze smalcem i cebulą - odpowiedziała Aliz; a potem zwracając się do Berga, który nie wydawał się ani trochę rozbawiony, może nawet nie słyszał ich przekomarzania się - ze spuszczoną głową jakby znowu zapadł w drzemkę - ciszej, głosem, w którym było nieomal napięcie, spytała:

233

- Chcesz ptifurkę? - i Berg znowu podniósł na nią oskarżycielski wzrok.

- Dwie! - powiedział. Po czym kobieta oddaliła się, Berg zaś, odwracając się do Kóvesa - który teraz po raz pierwszy poczuł na sobie to raczej nieuważne, a jednak jakoś krępujące spojrzenie - zauważył: - Lubię słodycze! - metalicznym, rzeczowym głosem, w którym Kóves usłyszał jednak coś w rodzaju usprawiedliwienia.

- Sam czasem nimi nie gardzę - uznał za stosowne powiedzieć, głupio oczywiście - wyglądało na to, że i jemu udzieliło się niezrozumiałe zmieszanie Aliz.

Ale widać wzbudził tym niejaki zainteresowanie Berga:

- Jest pan dziennikarzem? - spytał.

- Tak - powiedział Kóves. - Ale mnie wylali - dodał zaraz, jak gdyby uprzedzając ewentualne nieporozumienie.

- No proszę - zauważył Berg - a dlaczego? Na co Kóves:

- A czy to można wiedzieć? - uśmiechnął się.

- Można - odpowiedział zdecydowanie swoim wysokim głosem Berg, a Kóves, którego wyraźnie zaskoczyła ta jakże niezwykła tutaj odpowiedź, wrzuszając ramionami, powiedział z nieco wymuszoną lekkością:

- Wygląda więc na to, że pan wie więcej niż ja, bo ja naprawdę nie wiem.

- Jak to pan nie wie - powiedział Berg, jak ktoś, kogo irytuje sprzeciw - to przecież wie każdy; najwyżej udaje, że nie wie - i w Kóvesu nagle obudziło się odległe wspomnienie: jak gdyby słyszał już tutaj coś podobnego.

Ale na pewien czas ich rozmowa została przerwana: wróciła Aliz. Przed Bergiem postawiła ptifurki, Kóves nato-

miast dostał kotlet siekany z kartoflami i ogórkiem oraz dwa duże kawałki mięsa, Aliz widocznie uznała, że Kóves za niewielkie pieniądze do syta się tym naje. I jakkolwiek nie omieszkął uśmiechnąć się z wdzięcznością, to nie mógł się już doczekać, kiedy znowu zostaną sami.

- Zdaje się - zapytał - pana też wyrzucili? - bo nagle sobie przypomniał, że chyba słyszał coś takiego o Bergu, oczywiście nie pamiętał dokładnie, bo w Morzach Południowych, jak Kóves zdążył zauważyć, o każdym wiedzano wszystko i o nikim nie wiedzano niczego.

Ale okazało się, że i Berg będzie mu dłużny dokładne wyjaśnienie:

- Można i tak powiedzieć - odparł tylko, ugryź z wierzchu jedną, oblaną różowym lukrem ptifurkę, spód odłożył na talerzyk.

- I - chociaż nie miał tego w zwyczaju, Kóves tym razem jakoś nie chciał ustąpić - czy wie pan, dlaczego?

- Jakże miałbym nie wiedzieć - powiedział Berg chłodno, zdecydowanie, a nawet lekko marszcząc brwi, jak ktoś, kogo niecierpliwi to, że Kóves nie może pojąć. - Bo okazało się, że się nie nadaje.

- Do czego? - spytał Kóves, który tymczasem również zabrał się do jedzenia.

- Do tego, do czego byłem upatrzony - Berg ugryź drugą, oblaną czekoladą ptifurkę - oczywiście nie była to czekolada, tylko jakaś czekoladopodobna masa.

- A do czego był pan upatrzony? - skonsternowany Kóves bez wahania przejął osobliwe słownictwo Berga.

- Do tego, do czego się nadaje - zabrzmiała odpowiedź, tak samo naturalnie jak poprzednia.

- Ale - drażył dalej Kóves - do czego się pan nadaje?

234

235

- Widzi pan - twarz Berga przybrała teraz wyraz zadumy, nie patrzył na Kóvesa, jak gdyby rozmawiał nie z nim, tylko z samym sobą - to właśnie jest pytanie. Prawdopodobnie do wszystkiego. A ściślej, do czegokolwiek. Wszystko jedno. Przypuszczalnie bałem się spróbować - i jak gdyby wrócił do rzeczywistości, Berg szukał teraz czegoś na stole, póki nie natknął się na serwetki i nie wytarł w jedną z nich pewnie lepkich od lukru palców. - A teraz to już nigdy się nie wyjaśni - ciągnął tymczasem - bo zostałem wykluczony z obszaru decyzji.

- Jak to? - spytał Kóves.

- Tak to - powiedział Berg - że uznałem fakty, a fakty uznały mnie.

Usłyszeli brzęk naczyń: to Aliz wzięła parę sztućców i talerzy ze stosu na ich stole, Berg przymknął oczy, wyglądał tak, jakby krzątająca kobieta i towarzyszący temu hałas sprawiała mu nieomal fizyczny ból, Kuves skorzystał z okazji, żeby poprosić Aliz o szklankę piwa, kobieta zaś, przechylając się nad stołem i sylabizując, jakby mówiła do głuchoniemego, spytała Berga:

- Nie chce ci się pić? - Berg potrząsnął przecząco głową, mając nadal przymknięte oczy, z udręczonym, a zarazem jakoś po dziecięcemu błagalnym wyrazem twarzy podniósł tylko do góry dwa palce, Aliz wahała się chwilę. - Czy to nie za dużo? - spytała następnie, na co Berg schował kciuk i teraz trzymał w górze, prosząco, już tylko palec wskazujący. - Dobrze - powiedziała po pewnym namyśle kobieta - ale niech to będzie ostatnia, bo będziesz miał kłopoty z żołądkiem - i szybko odeszła. Kóves natomiast, który już nie mógł się doczekać, żeby wygłosić swoją uwagę, mógł to wreszcie zrobić:

236

- To bardzo interesująco brzmi, ale niezupełnie rozumiem.

- Co takiego? - Berg otworzył oczy; widać było, że już zapomniał, o czym wcześniej rozmawiali.

- Co pan rozumie przez to - niecierpliwił się Kóves - że również fakty uznały pana?

- Tak powiedziałem? - spytał Berg.

- Tak - ponaglał go Kóves, jak dziecko, które czeka na dalszy ciąg bajki.

- Tylko tyle - powiedział Berg, i tym razem uśmiechnął się, jak gdyby uśmiechem chciał złagodzić swoje słowa - że jestem już jak ów człowiek, który skosztował octu.

- Nie wiem - niecierpliwość Kóvesa zaczynała powoli przechodzić w irytację - nie wiem, o kim pan mówi.

- Nieważne - powiedział Berg - o kim ja mówię, lecz co ten ktoś powiedział.

- No - dopytywał się Kóves - a co powiedział?

- To, że się dokonało - uśmiechnął się Berg, Kóves zaś, w którym ów napawający się jego pomieszanym uśmiechem, ta zagadkowa, szamańska mowa zmiotły resztki uprzejmości, teraz już nie

kryjąc wzburzenia, zaatakował:

- Możliwe, że ten ktoś rzeczywiście to powiedział, pan jednak, proszę wybaczyć, siedzi tu sobie wygodnie, w fotelu, w kawiarni, i nie próbuje octu, tylko zajada ptifurki, na dodatek, jak widzę, z wielkim apetytem.

Berga jednak wzburzenie Kóvesa - jeśli w ogóle je zauważył - wcale nie wyprowadziło z równowagi.

- Nie mnie proszę o to winić - powiedział nieomal pojednawczo - wygląda na to, że o mnie zapomnieli.

- Kto taki? - Kóves odzyskał panowanie na sobą, po wzburzeniu pozostał w nim już tylko pewien cichy opór, ów

237

opór domagał się jednak jakiegoś rozładowania. Ale pytanie zostało skwitowane ciszą i Kóves już nie spodziewał się odpowiedzi - wolno skończył kolację, czekał tylko na zamówione piwo - kiedy niespodziewanie, metalicznym głosem, jak u tenora, ze spuszczoną głową, tak że Kóves prawie nie widział jego twarzy, Berg zaczął jednak mówić:

- W tym pokoju - mówił - w którym co jakiś czas przeglądają listę i dochodzą do mojego nazwiska, dosyć szybko, bo przecież moje nazwisko zaczyna się na B, ktoś wykrzyknął: „A ten ciągle tu jest?! Załatwmy go wreszcie!”. Na co jego kolega z pokoju tylko machnął ręką i powiedział: „Po co?! Sam niedługo wykituje!” - po czym nagle podniósł głowę, ale nie patrzył na Kóvesa, lecz na

talerzyk, który Aliz przed nim postawiła, tym razem z oblaną białym lukrem ptifurką; Kóves również dostał swoje piwo, które natychmiast wypił. I czy to dlatego, że alkohol uderzył mu do głowy, czy też - niejako wbrew temu, co zamierzał - że dojrzało w nim i domagało się zadania do pytanie, uśmiechając się jak ktoś, kto oczywiście tylko dla żartu podejmuje grę, spytał:

- A jak pan myśli, jaką decyzję podjęliby w tym pokoju, gdyby o mnie chodziło?

- Widzi pan, to jest powszechne błędne mniemanie - Berg również się uśmiechnął, teraz nagle opadła z niego cała obcość, czy też może owa obcość wydała się Kóvesowi nagle znajoma, ogarnęło go bowiem dziwne, może fałszywe wrażenie, że Berg również pochodzi z zagranicy, kto wie, może jest jego starszym ziomkiem, który trafił tutaj wcześniej i dlatego jest lepiej zorientowany. - Zdecydować - ciągnął Berg - musi pan sam, tutaj jedynie dają po temu okazję, a potem w owym pokoju przyjmują pańską decyzję do wiadomości.

- I myśli pan - obraz, który Berg kreślił przed jego oczami, wydawał mu się dosyć nieprawdopodobny, ale może przez to, że był taki żywy, działał jednak na wyobraźnię - myśli pan, że rzeczywiście istnieje taki pokój?

- Możliwe, że w rzeczywistości nie istnieje - Berg, jak gdyby w roztargnieniu, wzruszył ramionami - ale istnieje taka możliwość. I na tym polega problem, że a nuż istnieje, a do tego niepewność, czy naprawdę istnieje; to wystarczy.

- Do czego? - spytał Kóves.

\*1;

- Do tego, żeby wypełnić każde życie.

4 Ale Kóvesa nie zadowolili ta odpowiedź.

- Dla mnie - powiedział - to nie wystarczy. - I po krótkiej chwili cicho, zwracając ku Bergowi zamyśloną i bezradną twarz, zauważył: - I nie widzę tutaj niczego, co byłoby zgodne z jakimś planem.

- To właśnie jest zgodne z planem - odpowiedział natychmiast Berg, twarz mu lekko zadrżała, jakby się poczuł dotknięty wątpliwościami Kóvesa.

Ale Kóves postanowił, że nie da się tak łatwo przekonać.

- To - spytał - że nie widzę w tym planu, czy to, że plan nie istnieje? - I odpowiedź Berga:

- Jedno i drugie - wzmogła tylko jego niezadowolenie.

- To zaledwie przypuszczenie - powiedział - puste słowa, nie ma żadnego dowodu. Czegoś tutaj brakuje... - Kóves szukał słów. - Tak - powiedział następnie - brakuje tutaj życia.

- Życia? - Teraz Berg wydawał się zaskoczony. - A co to takiego? - spytał, i Kóves szczerze, cicho wyznał:

- Nie wiem. - Ale zaraz dodał: - Może tylko tyle, że żyjemy. - I ponieważ dostrzegł kątem oka, że człowiek

238

239

w mundurze włas'nie żegna się z Sziklaim i wychodzi, a Sziklai już szuka go wzrokiem, nagle wstał od stolika.

- Do widzenia! - powiedział, a Berg bez słowa skinął głową - widać było, że nie zamierza go zatrzymywać - pospieszył więc do Sziklaiego i zrobiło mu się ciepło na sercu, kiedy zobaczył, jak twarz przyjaciela marszczy się charakterystycznie i rozpada na kawałki pod wpływem śmiechu.

- Zostałem strażakiem! - przekazał mu nowinę.

- Jak to? - Kóves też się rozes'miał, a Sziklai wyjas'nił, że „facet”, z którym przed chwilą „pertraktował”, jest zastępcą komendanta straży pożarnej w mies'cie i on, Sziklai, znał go już dawniej.

- Kiedy jeszcze pracowałem w gazecie, wys'wiadczyłem mu parę razy przysługę - powiedział. - A teraz - ciągnął Sziklai - w straży pożarnej nagle się obudzili i stwierdzili, że zawód strażaka to w gruncie rzeczy wymagające odwagi, ryzykowne i bohaterskie zajęcie, z czego nie tylko szersza publiczność, ale nawet sami strażacy nie zdają sobie dostatecznie jasno sprawy; tylko gaszą pożary i, można by rzec, właściwie nie wiedzą, co robią. Słowem, używając liter, słów i wszelkich form umysłowego oddziaływania, należy obudzić w nich szacunek dla samych siebie, dla nich zas' powszechny szacunek, na co w dodatku mogą przeznaczyć pokaźną sumę pieniędzy, jeżeli znajdą odpowiedniego fachowca.

- I ty nim będziesz? - zainteresował się Kóves.

- A któż by inny?! - śmiał się Sziklai. - Jestem do tego stworzony.

Facet - opowiadał - zaferował mu stopień porucznika, ale mundur będzie musiał nosić wyłącznie przy jakichś oficjalnych okazjach i od święta.

- Mam wrażenie - zamyślił się - że nadarzyłem mu się w samą porę. Dlaczego? - spytał Kóves.

- Bo mnie wyrzucili i nie mam innych możliwości - tłumaczył Sziklai. - Nie rozumiesz? - spojrzał na Kóvesa, a Kó-ves przyznał:

- Niezupełnie.

- Akurat uwierzę! - zirytował się Sziklai. - Potrzebna im reklama, są na nią pieniądze, pieniędzy jest jak lodu, ale on nie może się do nich dostać bezpośrednio; no to co mu pozostało?

- Aha - powiedział na wszelki wypadek Kóves, i:

- No widzisz! - Sziklai dał wreszcie za wygraną. - Teraz już tylko dla ciebie musimy coś znaleźć - ciągnął.

- Ja - powiedział Kóves - jutro zaczynam pracę.

- Gdzie? - zdziwił się Sziklai, a Kóves odpowiedział:

- Gdziekolwiek - i opowiedział, że dwóch ludzi wypytywało o niego. - To byli celnicy - dodał, a Sziklai podrapał się w głowę.

- Ooo! - jego twarz wykrzywił grymas. - Spróbujmy jeszcze pomyśleć - zaproponował, ale Kóves stwierdził:

- Tu nie ma nad czym myśleć - co wprawdzie niechętnie, ale i Sziklai przyznał.

- Boję się tylko - powiedział zmartwiony - że znikniesz, że jeszcze mi gdzieś przepadniesz. - I jak gdyby uśmiech Kuvesa, z jakim przyjął jego słowa, ugruntował w nim tę obawę, krzyknął: - A co będzie z komedią?! - Ale z twarzy Kuvesa teraz też nie wyczytał widocznie żadnej zachęty, bo: -Ja nie zapomnę o tobie, prędzej czy później na pewno coś ci znajdę - zapewnił go szybko, gorączkowo. Kóves podziękował, umówili się, że „cokolwiek by się zdarzyło”, spotkają

240

241

się potem tutaj, w Morzach Południowych, po czym Kóves pożegnał się - jutro, powiedział, musi wcześniej wstać -zapłacił Aliz za kolację, przy wyjściu na chwilę się zatrzymał, bo obrotowe drzwi właśnie się obracały i wyszedł z nich Mały, pianista, który szerokim, pełnym przesady gestem pozdrowił Kóvesa.

- Dzisiaj - spytał Kuves, kiedy odwzajemnił powitanie

- na której ławce spędzasz noc?

- Na żadnej - powiedział pianista; wydawał się bardziej zaniedbany niż zwykle, jego twarz błyszczała od potu, nie miał swojej muszki w groszki, Kóves poczuł od niego kwaśną woń alkoholu.
- Już się nie boisz - spytał Kóves - że cię zabiorą?
- Ależ boję się - odpowiedział muzyk - tylko jeszcze bardziej się boję, że dostanę reumatyzmu! - i z otwartymi ustami, długo, gromko zaczął się śmiać z własnego dowcipu
- jeśli to rzeczywiście był dowcip, a nie poważna uwaga - jak gdyby nigdy nie miał zamiaru przestać, Kóves spostrzegł, że między jego długimi zębami zieją szczyrby; trochę spóźniona obserwacja - ocenił Kóves - bo przecież spędził kiedyś w towarzystwie pianisty prawie całą noc.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### Poranne intermezzo

Pewnego ranka, kiedy Kóves w pośpiechu zamknął za sobą drzwi mieszkania - w rzeczywistości był to raczej świt, Kóves pracował teraz w fabryce wyrobów metalowych, fabryka znajdowała się daleko i powinien był wcześniej wychodzić z domu, niż wychodził - niezwykle hałas zatrzymał go na klatce schodowej, która o tej porze była na ogół cicha. Ostre dźwięki, przypominające wybuchy, rozsadały ściany - było to niewinne ujadanie psa i zapewne tylko akustyka klatki czyniła z tego taki nieznośny harmider: na podeście schodów piętro wyżej pojawiła się ogorzała twarz, otoczona śnieżnobiałymi włosami. W pierwszym odruchu Kóves - prawdopodobnie wskutek ciągłego pośpiechu, który z wolna czyni człowieka ślepym na otoczenie i w każdej sprawie, obojętnie jakiej natury, każe mu widzieć wyłącznie przeszkodę - poczuł niechęć: będzie musiał na wymianę czczych uprzejmości tracić czas, którego ma tak mało. Ale nawet teraz ubiór staruszka kazał mu się nieomal uśmiechnąć: chociaż zapowiadał się niemiłosierny upał, co dawało się odczuć nawet na tej zamkniętej klatce schodowej, starszy pan miał na sobie ciężkie juchtowe buty, grube wełniane skarpety, bryczesy i prochowiec, ramiona uginały mu się pod ciężarem ogromnego plecaka, w jednej ręce

243

trzymał ciężką walizkę, drugą zaś przyciskał do piersi psa - dostrzegłszy Kóvesa, jamnik natychmiast znowu zaczął szczeleć, jego ogon, ten pełen zapału rzecznik psiej radości, stukał bez ustanku o drelich płaszcz. Kóves, mając na końcu języka jakieś zdawkowe powitanie, zrobił właśnie krok do przodu, kiedy dwóch innych ludzi przyciągnęło jego uwagę. Szli za starym, ale byli młodzi, też mieli w ręku po walizce, nie były to jednak w żadnym razie ich własne walizki, tylko starego - rodzaj toreb podróży, wytartych po bokach, Kúvesowi rzuciły się w oczy różnokolorowe naklejki, na jednej rozpoznał spienione morze i taras z parasolkami jakiegoś kurortu - było widać, że mu pomagają, tworzyli zwartą grupę, Kóves mógłby ich nawet wziąć za tragarzy starego, gdyby, rzecz jasna, nie widział, że są w mundurach, z bronią u boku.

Było już za późno na to, by Kóves udał, że nic nie widzi, czy też kręcąc z dezaprobatą głową i dając jednak w ten sposób wyraz swoim uczuciom, zbiegł przed nimi po schodach; nie mógł się też cofnąć do mieszkania - co zresztą, kiedy przemknęło mu przez myśl, uznał za niestosowne - właściwsze słowo w pierwszej chwili nie przyszło mu do głowy; no i oczywiście paraliżujący wpływ zaskoczenia sprawił, że stał nieruchomo tam, gdzie właśnie stał.

Stary, który najpierw, jak się wydawało, chciał go minąć bez słowa - i tak by było najlepiej; Kóves wówczas, nie tracąc czasu, mógłby zaraz za nimi puścić się pędem i jak to się mówi, w nieprzytomnym pośpiechu wybiec z bramy i pognać do tramwaju - nagle się zatrzymał i jak gdyby się tłumacząc, a jednocześnie - chociaż prawdopodobnie Kóvesowi tylko się tak zdawało - niejako się usprawiedliwiając, a zarazem wzywając Kóvesa na świadka, drewnianym głosem, który teraz był jeszcze bardziej drewniany niż zwykle, powiedział:

- A więc tak się rzeczy mają, panie Kóves.

Kóves właśnie chciał o coś zapytać - oczywiście nie wiedział o co, bo przecież tu już nie było miejsca na pytania, mógł co najwyżej życzyć starymu szczęścia, gdyby to nie zabrzmiało absurdalnie; ale zamiast niego jeden z celników przerwał ciszę, Kóves nie zapamiętał dokładnie jego słów, ale sprowadzały się mniej więcej do tego, żeby stary tutaj nie „sterczał”, tylko „wreszcie się ruszył”. Nawet podniósł wolną rękę i Kóves teraz naprawdę się przeraził, że będzie, nie daj

Boże, biernym świadkiem przemocy, a to - przynajmniej w tej chwili miał takie wrażenie - byłoby już ponad jego siły.

Ale nic się nie wydarzyło, stary natomiast, jak ktoś, kto naraz zdał sobie sprawę z siły kryjącej się we własnej bezbronności, niezmiernie ciągnął:

- Na szczęście pozwolili mi zabrać ze sobą psa - i cierpko się uśmiechnął, jak ktoś, kto już niczego więcej nie spodziewa się od życia, ale i za to jest wdzięczny losowi. Pies, jakby czuł, że o nim mowa, zaczął się wiercić na ręku starego i szczekając, zeskoczył na ziemię, wyrwał się do Kuvesa, celnicy zaczęli się niecierpliwić - może bali się, że szczekanie wywabi z mieszkań innych lokatorów, no i prawdopodobnie niezupełnie zgodne było z przepisami to, że jak służący noszą za starym jego walizki: zapewne tylko pośpiech skłonił ich do tego, bo przecież kto wie, jaką mieli za sobą noc, ile pracy i kto ich popędzał - drugi celnik teraz z irytacją, którą, mogłoby się wydawać, własna bezsilność wymuszona obecnością Kóvesa wzmagala jeszcze bardziej, upomniał starego, że nie wolno mu rozmawiać; pierwszy

244

245

zaś, jak gdyby dla podkreślenia słów tamtego, zwrócił się do Kóvesa:

- A pan kim jest? - i Kóves z lekka zadrżał; nagle poczuł obawę, że brak przezorności może go wpędzić w kłopoty, jakkolwiek nie wiedział, jakiej nieprzezorności się dopuścił, poza tym oczywiście, że jest tutaj.

I jak ktoś, w kim złość z powodu tego, że się przestraszył, bierze górę nad samym strachem, tak odciął się celnikowi, że sam nie wiedział, czy atakuje, czy się broni, czy też po prostu mówi prawdę:

- A kim miałbym być? Nikim! - I już-już miał dodać: jedynie przypadek sprawił, że właśnie wyszedł z mieszkania, ale to - chociaż w pełni odpowiadało prawdzie - z jakiegoś niejasnego powodu odczułby jako zdradę wobec starego: to tak jakby powiedział, że on, Kuves, nie ma nic wspólnego z tym wszystkim, co zresztą znowu było prawdą, oczywiście.

A zatem powiedział:

- Jestem Kóves. - I z pewnym wyrzutem, ostro dodał:

- Robotnik - jakkolwiek sam może nie wiedział, co zawiera i do kogo dokładnie odnosi się ów wyrzut, tamci jednak prawdopodobnie nawet tego nie zauważyli.

Potem Kóves jeszcze długie minuty zwlekał na schodach, niepewnie grzebiąc po kieszeniach, jak gdyby szukał w nich czegoś, czego w żaden sposób nie mógł znaleźć

- może papierosów, chociaż ostatnio nie palił - tymczasem całą klatkę wokół niego wypełniły ciche szmery: Kuvesowi zdawało się - ale możliwe, że była to tylko gra wyobraźni - że jego uszu dobiega cichy zgrzyt kluczy obracających się w zamku, ostrożne zamykanie wizjerów w drzwiach, po chwili usłyszał z ulicy tępy stuk walizek, które wrzucono

246

na jakąś platformę; potem zawarczał motor ciężarówki

- i Kóves wreszcie mógł zbiec po schodach i przemknąć przez bramę, ostrożnie, żeby dozorca go nie zauważył i nie pomyślał sobie, że coś widział.

Wypadek. Przyjaciółka

Tego ranka Kóves sam przemierzał drogę od tramwaju do fabryki, w bramie główny portier spojrzał na niego surowo, jakby widział go po raz pierwszy - co oczywiście mogło się zdarzyć; w fabryce pracowało wielu robotników - zapytał go, kogo szuka, a Kóves, być może w tej nedorzeczej nadziei, że przemknie obok niego niepostrzeżenie, rzucił w biegu od niechcenia:

- Robotnik z warsztatu maszynowego - i okazał portierowi trzymaną w dłoni przepustkę ze zdjęciem, którą niedawno mu wydano.

- Słowem, spóźnił się pan - stwierdził portier, zagrządzając Kóvesowi drogę i odbierając mu dokument, żeby spisać z niego dane do meldunku o spóźnieniu Kóvesa, a Kuves, który wiedział, że spóźnienie jest tutaj traktowane bardzo poważnie, rzec by można, poważniej niż sama praca

- jak gdyby wyciągano z tego wnioski dotyczące ogólnej gotowości lub jej braku - bez wielkiego przekonania próbował argumentować:



- Ale nie bardzo - czym jedynie skłonił portiera do spojrzenia na zegarek.  
- Trzy minuty - powiedział, wszedł do swojej oszklonej kabiny i usiadł tam przy biurku, a Kóves, który stał nadal w drzwiach i opierał się o framugę, jakby już był zmęczony, bardzo zmęczony, chociaż dzień się dopiero zaczynał,

247

I

raczej pełen niepokoju niż nadziei, że rzuci portiera na kalana, zauważył jeszcze:

- To nie moja wina - ale zaraz tego pożałował, bo na pytanie portiera:

- A czyja? - nie był już w stanie odpowiedzieć w sposób, który by rozwiał wszelkie wątpliwości.

Fakt, że Kóves w tym momencie po prostu nie potrafiłby powiedzieć, kto jest winien temu, że się spóźnił: najbardziej pewnie on sam, bo przecież - patrząc z punktu widzenia portiera - on, Kóves, bez wątpienia powinien był rozepchnąć stojących mu na drodze ludzi, nieważne, czy uprzejmie, czy też nieuprzejmie, powołując się na to, że musi być punktualny, powinien zostawić ich tam, przedrzeć się przez nich i ruszyć do fabryki; jak się nad tym głębiej zastanowić, to portier przecież nie może brać pod uwagę uczuć, które się w nim kłębiły i które zatrzymały go jednak na klatce schodowej. Ale jeszcze bardziej zgnębiło Kóvesa to, iż miał wrażenie, że nie może wyłożyć swoich argumentów, po prostu nie jest w stanie opowiedzieć portierowi, co się rano zdarzyło, a przynajmniej jak się zdarzyło - tutaj, przy biurku portiera, gdzie wszystko wymaga od niego racjonalności i wyłuszczenia istoty rzeczy, Kóves nagle stwierdził, że ta historia jest po prostu nie do opowiedzenia. A gdyby mimo to z nią wystąpił, prawdopodobnie by się zaplątał, musiałby dodać rozmaite dygresje, a wtedy wyszłyby na jaw jego uczucia - te uczucia Kóves zobaczył teraz tak, jakby to nie jego uczucia opadły go niczym jakaś złośliwa zgraja tylko po to, żeby go uczynić współnikiem przestępstwa, chociaż Kóves oczywiście niczego złego nie zrobił, poza tym, że się spóźnił - w końcu więc wołał powiedzieć:

248

- Miałem kłopoty z komunikacją - na szczęście portier nie zauważył jego zmieszania - prawdopodobnie z góry domyślał się odpowiedzi, słyszał już wiele podobnych wymówek - skończył teraz pisanie i wstał zza biurka.

- Z tym się zawsze należy liczyć. Na drugi raz niech pan wyjdzie pół godziny wcześniej - poradził Kuvesowi, oddając mu dokument.

Niedługo potem Kóves stał przy warsztacie i usiłował spiłować powierzchnię jakiejś metalowej sztaby, piłowanie, jak się wydawało, było najważniejszą czynnością towarzyszącą profesji ślusarza - Kóves bowiem zatrudnił się w fabryce jako ślusarz, chociaż, rzecz jasna, nie był ślusarzem i nawet nie chciał nim być, skoro już miał być robotnikiem; oczywiście dopóki nie zetknął się z rzeczywistością, Kuves miał na ten temat własne wyobrażenia. Oczywiście duszy widział dużą, przestronną, czystą halę, przy jednym ze stojących w niej stołów, w dobrze oświetlonym miejscu, widział siebie: być może w białym fartuchu, otoczony drobnymi narzędziami, małutkimi, precyzyjnymi instrumentami, ewentualnie z lupą na oku - na to zapewne miał wpływ obraz Pompadura, którego tak często widywał w tej roli w Morzach Południowych - montuje małą konstrukcję, która potem porusza się, tyka, buczy lub brzęczy. Ale jak się okazało, o takiej pracy na próżno marzył, w mieście znajdowały się same fabryki metalowe, fabryka metalowa zżera siły, zawsze są tam więc wolne miejsca, w urzędzie pracy poradzono Kóvesowi, żeby został ślusarzem maszynowym. Kuves wahał się, skoro już ślusarzem, to dlaczego maszynowym, dlaczego nie po prostu ślusarzem, takim, co to - wedle wyobrażeń Kóvesa - robi kłódki, klucze, zamki i tym podobne, wyobrażał też sobie, jak kiedyś wybierze się

249

na dłuższy spacer po mies'cie i zaglądając do bram albo idąc jakimś korytarzem, będzie odczuwał skromną wewnętrzną satysfakcję, że ten czy ów zamek albo kłódkę zrobił on, że przedmioty te, nawet jeśli anonimowe, noszą jednak na sobie ślad jego ręki. O ślusarstwie maszynowym natomiast Kóves nic nie wiedział, może jedynie tyle, ile kiedyś dawno - Kóvesowi wydawało się, że bardzo dawno, był wtedy małym dzieckiem - dowiedział się na jakimś dworcu kolejowym; niesłychanie interesowały go wówczas lokomotywy, a na dworcu dwóch czarnych ludzi - wszystko mieli czarne:

ubrania, narzędzia, twarze i ręce - wielkim młotem opukiwało koła lokomotywy, Kóves zapytał wtedy tego, kto mu towarzyszył - było to zapewne któreś z rodziców, ojciec lub matka - kim oni są, i otrzymał odpowiedź: to ślusarze maszynowi; od tamtej pory, ilekroć przychodzili mu na myśl - rzecz jasna, bardzo rzadko przychodzili mu na myśl

- Kóves widział ślusarzy maszynowych jako takie właśnie na poły baśniowe potwory, coś pośredniego między olbrzymem i diabłem. Ale szybko się okazało, że w urzędzie zatrudnienia oferują Kóvesowi tylko tę jedną możliwość

- od pierwszej chwili dobrze mu radząc, żeby z niej skorzystał, co odebrał raczej jako rozkaz, musiał tylko podpisać jakiś papier, który - ku zdumieniu Kóvesa - był już gotowy, czekał na niego wypełniony, jakby w urzędzie z góry liczyli się z jego przyjściem: oczywiście mógł to być standardowy formularz, w który wpisuje się później konkretne dane - w pierwszej chwili Kóves nie bardzo się orientował, co przed nim kładą, po czym znowu zabierają. Na końcu jeszcze nieśmiało zaprotestował, wytaczając argument, że zupełnie się na tym nie zna; nie szkodzi, odpowiedziano mu, w ciągu sześciu tygodni nauczą pana. Kóves wyszedł z biura

z mieszanymi uczuciami - nazajutrz wcześniej rano miał się już stawić w fabryce - nie bardzo wierzył, że w ciągu sześciu tygodni zdoła się nauczyć wszystkich tajników tego chyba niełatwego zawodu, poza tym dręczyła go obawa, że może będzie musiał terminować razem z uczniami przyuczonymi do zawodu.

Na szczęście mowy o tym nie było, wokół Kóvesa uczyli się ślusarstwa sami dorośli, z takich czy innych względów - to przeważnie nie było do końca jasne, a dopytywanie się, na co zresztą Kóves nie miał ochoty ani czasu, nie było chyba dobrze widziane - w każdym razie obok Kóvesa piłował coś miły z wyglądu mężczyzna z cienkim wąsem, skupiony na pracy i milczący, w koszuli i takiej - oczywiście już bardzo zniszczonej - czapce z daszkiem, jaką Kóves mógłby spotkać co najwyżej za granicą, gdyby się przypadkowo interesował sportami hippicznymi, w rękawiczkach zrobionych z czegoś, w czym ktoś, kto się na tym rozumiał, pomimo zniszczenia, brudu i dziur mógł rozpoznać irchę. Wyrzucili go skądś? Czy może ciąży na nim jakaś wina - jak i na Kóvesu, przypuszczalnie - jest ślusarzem maszynowym za karę czy wręcz przeciwnie, dlatego że został ulaskawiony? A może miał pierwotnie taki zawód, który już dzisiaj nie jest potrzebny, jak na przykład ów szlifierz pracujący nieco dalej, powolny, tęgawy człowiek, do którego bardziej zaufani koledzy zwracali się czasem, co Kóves słyszał na własne uszy, „panie radco”? - Kóves nie wiedział.

Ale byli tu rozmaici ludzie, zagadkowi i prości, o dobrej prezencji i niechlujni, co więcej, prymitywni; zdarzały się nawet kobiety ślusarze maszynowi - na przykład z drugiej strony obok Kóvesa pracowała dziewczyna, w dodatku bardzo dzielnie sobie poczynała, Kóves spoglądał czasem

250

251

z zazdrością, choć jednocześnie z uśmiechem i uznaniem, jak od zapału, z jakim piłuje, trzęsie się całe jej giętkie ciało, jak chustka na głowie zsuwa się jej do połowy mocnych, czarnych, oleiście lśniących włosów, jak nad górną wargą połyskują perłowo kropelki potu - dziewczyna czasami chwytala jego spojrzenie, z początku nieśmiało, potem coraz śmieiej uśmiechała się do niego, a ostatnio nawet rzucała Kóvesowi jakieś słowo, Kóves, wprawdzie z pewnym roztargnieniem, ale jednak jak ktoś, kto przyjmuje wyzwanie, przekomarzał się z nią. Kiedy indziej jego wzrok padał na dwóch jednakowych mężczyzn - oczywiście nie byli jednakowi, tylko Kóves tak ich postrzegał - w każdym razie obaj byli krępi i łysiejący, obydwaj nosili nowiutkie niebieskie kombinezony, co w oczach Kuvesa nadawało im jakiś zewnętrzny wyraz determinacji - byli niczym świeżej daty pokutnicy, którzy wkładają habity, ale z przyzwyczajenia szyją je jeszcze u swojego starego krawca - piłowali sumiennie, pojawiali się rano, znikali wieczorem, nie odzywali się ani do innych, ani do siebie, Kóves słyszał, że dostali skądś wypowiedzenie, ale uważają to za pomyłkę i pracując jako ślusarze, czekają teraz, żeby pomyłka się wyjaśniła, są tacy powściągliwi, ponieważ boją się, że może dojść do jakiejś nowej pomyłki wobec nich albo że, nie daj Boże, oni sami popełnią jakąś pomyłkę.

Słowem, Kóves dawał sobie radę - miał trochę takie wrażenie, jakby go tu w ogóle nie było albo

jakby to nie był on - pogodnie zdumienie budził w nim fakt, że ma swoje drobne, sekretne radości z tego robotniczego życia: przerwa na obiad, koniec zmiany, a także dobrze wykonana, pożyteczna praca, nawet jeśli ta ostatnia nie była wolna od problemów, jako że - co tu dużo gadać - Kóves nie bardzo

252

sobie radził z pilnikiem, nigdy by nie uwierzył - i pod tym względem jego pobyt tutaj okazał się pouczający - że nieskazitelne wygładzenie pilnikiem jakiegoś kawałka metalu aż tak bardzo przekracza jego możliwości. Kóves już nieomal za punkt honoru uważał to piłowanie, doszedł do tego, że nawet mu się śniło - stał wyprostowany przy imadle, a spod jego pilnika pośród skrzypienia i furczenia leciały opiłki, ale wszystko na próżno: majster - tęgawy, jasnowłosy mężczyzna, który życzliwie, chociaż nieco apatycznie chodził pomiędzy zgarbionymi nad imadłami ludźmi i cierpliwym, choć niezdradzającym wielkiej wiary w powodzenie gestem poprawiał niekiedy ułożenie czyjegoś łokcia lub ręki, w przypadku Kóvesa również - małym, przypominającym szubienicę przyrządem pomiarowym zawsze wykrywał na kawałku metalu, który Kóves z taką wściekłą starannością obrabiał, jakąś wypukłość czy nierówność, ubytek albo krzywiznę. Na pocieszenie Kóves celował w wierceni: to mu dobrze szło, można powiedzieć, znakomicie, nigdy nie złamał - jak inni - wiertła; ufny w swoje siły zabierał się też do cięcia blachy - właśnie dzisiaj po południu mieli to ćwiczyć, przy urządzeniu do cięcia blachy przed Kóvesem znalazł się gentelman-rider, po Kóvesu zaś miała przyjść kolej na dziewczynę, dziewczyna, uśmiechając się, coś do niego powiedziała - Kóves nie zrozumiał: brzmiało to jak zachęta, może dodawała mu otuchy, a może go przynagliła - w każdym razie Kóves rzucił jej jakąś lekką ripostę, jednocześnie układając blachę, po czym pełen wiary w siebie pociągnął za uchwyt ostrza, usłyszał krzyk i ze zdziwieniem zobaczył jeszcze przerażoną twarz dziewczyny - dopiero potem poczuł, że coś ciepłego oblepia mu czoło: prawdopodobnie

253

źle stanął przy maszynie i gdy ją obrócił ku sobie, koniec długiego metalowego uchwytu uderzył go w głowę.

To, co się potem działo z nim i wokół niego, Kóves śledził już tylko z bezwolnym roztargnieniem, jak ktoś, kto złożył broń i pozwala, żeby go niosły - oczywiście niezbyt ważne - wydarzenia. W powstałym wokół niego zgiełku wyraźnie słyszał przerażony, a jednak nieomal chełpliwy krzyk dziewczyny: „To z mojego powodu, z mojego powodu do tego doszło, po co go popędzałam!"; potem opadła mu na czoło jakaś biała chusta, która zapewne również należała do dziewczyny. Kóves ową chustę dokumentnie zakrwawił; następnie ułożono go na jakiejś ławce, żeby przestał krwawić, potem jednak kazano mu z niej wstać, bo zdecydowano, że trzeba Kóvesa zaprowadzić do zakładowego lekarza. Wśród tych, którzy go prowadzili, o ile dobrze pamiętał, nie widział już dziewczyny, której szukał, żeby jej oddać chustkę; ale nie widząc jej, włożył chustkę do kieszeni, chociaż pewnie w ten sposób upaprał sobie kieszeń. Szli przez rozmaite podwórka i w końcu dotarli do izby przyjęć; lekarz zakładowy stwierdził, że poza strachem - jakkolwiek ani trochę się nie przestraszył - Kóves niczego poważnego nie doznał; wówczas ci, którzy mu towarzyszyli - wyglądało na to, że nieco rozczarowani - zostawili Kóvesa z doktorem i pracującą wraz z nim pielęgniarką. Ci kilkoma szybkimi, wprawnymi ruchami wykonali na głowie Kóvesa parę zabiegów - Kóves czuł ostry zapach środków odkażających i lekki ból - w wyniku których na jego czole, bezpośrednio pod włosami, energicznie ucięty i nie za duży, znalazł się plaster. Lekarz powiedział Kóvesowi, że „połączył brzegi" rany, i wolno, dobitnie, żeby nawet taki prosty robotnik jak on zrozumiał i wziął to sobie do serca,

254

pouczył, że nie wolno mu ruszać plastra i za trzy dni ma przyjść na zmianę opatrunku. Jutro zresztą - dodał jeszcze - może stawić się w pracy, jego rana nie kwalifikuje go do zwolnienia lekarskiego. Następne pół godziny Kóves przeleżał na kozetce w pokoju lekarskim - a kiedy owo pół godziny upłynęło, skończyła się również zmiana.

Kóves jednak wrócił do przebieralni, po części dlatego, żeby się przebrać, głównie jednak po to, żeby nie ominął go prysznic - w fabrycznej łazience co dzień mógł się wykapać, czasem, gdy

ogarniało go zniechęcenie, myślał sobie, że choćby po to - dla prysznic - warto się było tutaj zatrudnić; teraz jednak musiał trochę przekrzywić głowę, żeby ciepła woda nie zalała rany. Kiedy się ubierał, kilku kolegów poklepało go serdecznie po plecach - po czym Kóves wmieszał się w tłum wylewający się z fabryki.

W bramie znalazła się obok niego dziewczyna, a może była przy nim już wcześniej: Kóves nie wiedział. Wszystko, co stało się z nimi potem, przyjął bez specjalnego zdziwienia, aprobaty czy niechęci, jak dobrze zorganizowany i rozumiały sam przez się proces, jak fakt, co do którego dawno zapadła decyzja, a oni muszą go już tylko uznać, podporządkować mu się, chociaż oczywiście trochę zależało także od nich, ale co do tego Kóves mógł się jednak mylić. Zaczęło się od jakiejś rozmowy, od przekomarzania się - Kóves najlepiej pamiętał pierwsze zdanie dziewczyny: „Jaki ładny plaster!"; potem jakoś żadne z nich nie wsiadło do tramwaju, błakali się po przedmieściu, po zupełnie Kóvesowi nieznaney okolicy, dotarli do jakiegoś lasu czy parku i Kuves nagle uświadomił sobie, że spaceruje w cieniu drzew jakąś aleją z dobrze zbudowaną, czarnowłosą dziewczyną i z dużego oddalenia, nieco zaskoczony,

255

ale z pobłażliwym uśmiechem obserwuje, jak dzieje się z nim coś dziwnego i obcego, a mianowicie, on, Kóves, spaceruje jakąś aleją w cieniu drzew z dobrze zbudowaną, czarnowłosą dziewczyną. Ogarnął go mroczny niepokój, być może przecucie bliskiego niebezpieczeństwa, ale gorącymi falami pulsowała w nim również przekora, żeby się nie bronić, żeby wystawić się na zgubę.

- Nie musisz iść do domu? - spytała dziewczyna, a Ko-ves, jakby się ocknął ze snu, powtórzył pytanie:

- Do domu? - jak ktoś, kogo zaskoczył smak tego słowa i myśl, że on, Kóves miałby iść do jakiegoś domu. - Nie

- powiedział następnie, i dziewczyna, odwracając wzrok i kierując pytanie jak gdyby nie do Kóvesa, lecz do drzew rosnących przy drodze:

- Nie masz żony? - spytała; widocznie to wszędzie i w każdym czasie tak samo interesuje dziewczyny.

- Nie mam - odpowiedział, i dziewczyna teraz umilkła, jak gdyby chciała na jakiś czas pozostawić Kuvesa z jego odpowiedzią.

Nieco później powiedziała:

- Jest jeszcze za wcześnie.

- Na co? - spytał Kuves.

- Żebyśmy poszli do mnie - odpowiedziała dziewczyna, obietnica kryjąca się w jej słowach była na tyle odległa, by Kuves zyskał na czasie, z drugiej zaś strony na tyle podniecająca, by jednak stracił spokój i przystąpił do działania

- czuł, że jego ramię unosi się i oplata plecy dziewczyny.

Potem Kóves zapamiętał jakąś gospodę - coś w rodzaju ogródka piwnego, gdzie rzępoliła licha orkiestra, przy jednych stolikach ludzie w koszulach, z czerwonymi twarzami, pokrzykiwali wyzywająco, przy innych siedziały rodziny

256

grubasów, uroczyście, sztywno, bez słowa, jakby zastygłe w swoim nieodwołalnym trwaniu w tym miejscu. Kóves - który właśnie teraz poczuł rwący ból głowy, co zapewne spowodowało jego lekkie roztargnienie - tutaj dowiedział się, że dziewczyna trafiła do miasta skądś z daleka i wbrew woli rodziców, którzy przeznaczyli ją do nędznego chłopskiego życia, jakie sami wiedli, ona jednak uciekła od nich i od czekającej ją marnej przyszłości i zatrudniła się w fabryce.

- Gdzieś - powiedziała - trzeba zacząć, no nie? - i Kuves żywo przytaknął, jakkolwiek każdy ruch głową sprawiał mu ból. Potem wsiedli do rozklekotanego tramwaju, który wywiózł ich jeszcze dalej z miasta, gdzie wreszcie wysiedli, dziewczyna poprowadziła Kóvesa pomiędzy nowo wybudowanymi, niedużymi domami, które jednak - może z powodu pozostałych po budowie desek, zwalów ziemi, niezasypanych dołów - w niepewnym świetle rzadko ustawionych lamp wyglądały jak ruiny; weszli do jakiejś bramy, poszli na górę ciemnymi schodami, dziewczyna po omacku

otworzyła kluczem jakieś drzwi, w przedpokoju nakazała Kóvesowi, żeby był cicho, co on - chociaż dokładnie nie wiedział dlaczego - przyjął jako rzecz zrozumiałą sama przez się, jak gdyby tam, gdzie teraz zmierzali z dziewczyną, inaczej niż skradając się, nie można było dotrzeć. W końcu wśliznęli się do małego pokoju w głębi korytarza, dziewczyna zapaliła stojącą na stole lampę przykrytą różowym abażurem, i Kóves omiół wzrokiem przedmioty, które wypełniały pokój, nadając mu jakiś skończony w każdym calu charakter: pęknięte lustro, niedomykająca się szafę, szydełkowe serwetki, uśmiechniętego gumowego psa z wywieszonym językiem, leżącego pod abażurem,

257

wstydliwie rozciągnięty w mrocznym kącie pokoju sznur, na którym wisiała para pończoch i kilka sztuk bielizny, sztuczne kwiaty w wyszczerbionym wazonie, krzesło, stół, a przede wszystkim skrzypiące potem niemożliwie, ale dosyć szerokie łóżko na sprężynach; i w nos uderzył go zapach nędzy, czystos'ci, jakiejś taniej wody kwiatowej i zapach i przygody, chociaż odniósł wrażenie, że pośród tych wszystkich trwałych zapachów ten jeden jest ulotny.

Potem Kóves złapał się już tylko na tym, że kocha się z dziewczyną - wbrew wszystkiemu, w czym kazali mu tutaj uczestniczyć, ale nie mogli przecież sprawić, by zapomniał, że on, Kóves, jest mężczyzną. Teraz nagle z całą siłą uświadomił sobie swoje pierwotne, niedające się ugasić pragnienie: chciał schłodzić płonący członek - lecz trafił na gorącą lawę, która go tylko jeszcze bardziej rozpałała, a dziewczyna, najpierw szeptem, później półgłosem zachęcała go, żeby nie przestawał, Kóves, w którym po pierwszej półgodzinie zapomnienia obudziła się nagle opiekuńcza troska, spytał dziewczynę:

- Nie boisz się, że zajdziesz w ciążę?

Ale spojrzenie dziewczyny raczej jego samego przstraszyło.

- Czego mam się bać?... - spytała, ale zaraz umilkła, bo usłyszała jakiś szmer - który uszedł uwagi Kóvesa - nakazała mu ciszę, szybko wyskoczyła z łóżka, jej ciało migotało bielą przed oczami Kóvesa, kiedy schylała się to tu, to tam, szukając w pośpiechu jakiejś części ubrania, którą następnie narzuciła na ramiona i wybiegła z pokoju, ale zwinne nogi zaraz przyniosły ją z powrotem, jakby nie chciała nazbyt długo pozostawić Kóvesa samego, żeby nie ogarnęła go w łóżku samotność, poczucie absurdu i strach, bez

258

skrepowania zrzuciła z siebie szlafroczek, przechyliła się nad Kóvesem i zgasła lampę, a potem z bezgraniczną ufnością, która nieco zdumiała Kóvesa - odebrał ją jak jakiś taktowny zamach - ale jednocześnie go rozbroiła, zwinęła się przy nim w kłębek na łóżku.

- To była ciocia - usłyszał głos dziewczyny w ciemności.

- Jaka ciocia? - spytał Kóves.

- Ciocia - powtórzyła dziewczyna.

||-|||\*  
||-||

- Aha - wymamrotał Kóves.

- Chciało jej się pić - powiedziała dziewczyna, a po chwili dodała: - Ma raka. Umrze - głos dziewczyny brzmiał pewnie, wręcz optymistycznie, słysząc go, Kóves z lekka zadrzał, sam nie wiedział dlaczego. Ale dziewczyna, jak gdyby chciała szybko wbić się klinem pomiędzy Kóvesa i pytania, którymi czuła się osaczona, teraz mocno przytuliła się do niego. - Nie bój się; już zasnęła. Nie będzie nam więcej przeszkadzać - szepnęła, i po chwili nieśmiałego wahania Kóves z wdzięcznością poczuł, że powoli znowu zaczyna płonąć.

Koves zostaje wezwany. A potem zmuszony jest pogodzić się z sytuacją

Kóves został wezwany - właśnie piłował w najlepsze, kiedy majster podszedł do niego i powiedział, że ma się pilnie stawić w biurze. Kóvesowi od razu przyszło do głowy jego poranne spóźnienie i jakkolwiek majster polecił mu, żeby natychmiast zostawił robotę i szedł, bo na niego czekają, Kóves, który w końcu był tu jedynie robotnikiem -i wiele niżej nie mógł już spaść, choć tylko dzięki temu właśnie wywalczył sobie wolność, nawet jeśli polegała ona

259

tylko na tym, że nie miał już nic do stracenia - pomyślał sobie, że zdąży jeszcze wysłuchać nagany. A więc najpierw starannie odłożył pilnik, otrzepał opiłki, kilkoma zamaszystymi ruchami - które

podpatrzył u pracujących obok niego prawdziwych s'lusarzy - wytarł ręce w nasączoną smarem szmatę i dopiero potem, kiedy uporał się z tymi ważniejszymi rzeczami, ruszył mocnym, nieco kołyszącym się krokiem do biura, na pytające spojrzenie dziewczyny odpowiadając jedynie zmrużeniem oczu - Kóves od tamtej pory nocował parę razy u dziewczyny, doszedł nawet do tego, że razem jedli s'niadanie w maciupenkiej kuchni, a potem razem wychodzili do fabryki, krótki odcinek drogi od tramwaju do fabryki metalowej dziewczyna chciała przemierzać, trzymając go za rękę, ale Kóves przeważnie znajdował jakiś' pretekst - na przykład musiał koniecznie wytrzeć sobie nos - żeby cofnąć rękę z dłoni dziewczyny. Tymczasem dowiedział się również, że ciocia - której na szczęście nigdy nie musiał oglądać - była jakąś' daleką krewną dziewczyny, adoptowała ją, dziewczyna zaś" się nią opiekuje, a po jej s'mierci załatwi sobie od władz większy pokój, ten, w którym teraz mieszka ciocia, włas'ciwie to mogłaby nawet załatwić sobie całe mieszkanie, a w każdym razie jej szansę byłyby większe, gdyby miała rodzinę, zwłaszcza gdyby miała dziecko - Kóves przytakiwał z aprobatą, słuchając planów dziewczyny, zawsze jednak jak ktoś' życzliwy, ale postronny, kto, jeśli nawet nie jest mu obojętne życie dziewczyny, to w żaden sposób nie czuje się jego uczestnikiem; ale - jak się zdawało - nie zniechęcało to dziewczyny, która jedynie us'miechała się, słuchając Kóvesa, jakby wiedziała coś', czego on nie wie. Poprzedniej nocy Kóves nie spędził z dziewczyną, wymówił się koniecznością odwiedzenia wujka;

260

ale bezsennie wiercił się w łóżku i złapał się na tym, że brakuje mu dziewczyny. Tak: skoro już jest robotnikiem, to - na to wygląda - potrzebna mu żona, ale - przyszło Kuvesowi do głowy - fakt posiadania żony na zawsze uczyni go robotnikiem, jakkolwiek to oczywis'cie żadna różnica, bo przecież i tak nim jest - miotając się w półs'nie, Kóves nie wiedział już, jak włas'ciwie stoją jego sprawy. W końcu wyjdzie na to, że dziewczyna ma rację: jeśli zda się biernie na rozwój wypadków, czas niepostrzeżenie zwiąże go z jej życiem, to z kolei z fabryką i z awansem, razem będą czekali na śmierć chorej na raka ciotki, a tymczasem zaczną im się rodzić dzieci.

Kóves musiał odszukać dział spedycji - chciał z nim rozmawiać kierownik działu - jakiś czas błądził niepewnie po korytarzach, kiedy wreszcie zobaczył ludzi dźwigających ciężkie skrzynie, które ostrożnie przenosili przez drzwi, ale siedząca w pokoju urzędniczka -spytawszy najpierw Kuve-sa, czy nie jest szoferem ciężarówki, i dowiedziawszy się, że nie - poinformowała go, że źle trafił, bo tu jest dział transportu, spedycja zaś - powiedziała - to co innego, Kóves przeprosił i powiedział, że nie wiedział o tym.

- Nie? - zdziwiła się urzędniczka. - No to jeszcze się pan dowie - i z tymi słowami wskazała mu drogę, po czym Kóves w innym korytarzu, a nawet na innym piętrze dostrzegł wreszcie na jakichś drzwiach napis „Spedycja”, pod nim zaś mniejszymi literami było napisane: „Sprawy celne - Sprawy personalne - Zasiłki macierzyńskie”. Kóves, trochę jeszcze zdziwiony - zwłaszcza „zasiłkami macierzyńskimi” - wszedł do stosunkowo skromnego pokoju biurowego, gdzie oprócz - jak zwykle - urzędniczki znajdował się jeszcze jakiś człowiek wyglądający na ślusarza, który z rękami

261

w kieszeniach, wyraźnie zniecierpliwiony przemierzał pokój wzdłuż i wszerz - oczywiście kiedy lepiej się przyjrzał, Kóves zauważył, że jedynie ubiór czyni z niego ślusarza, a ściślej, rozpięta, bładoniebieska robocza bluza i płócienna czapka z daszkiem, którą - nie wiedzieć czemu - w upale i w zamkniętym pokoju miał na głowie, pod kurtką bowiem nosił białą koszulę i krawat i mimo wystających spod czapki gęstych, siwych włosów miał twarz młodzieńczą, choć już nieco obwisła i pooraną zmarszczkami; na widok wchodzącego Kuvesa jego żywe niebieskie oczy zabłyśły.

- Kóves?! - wykrzyknął, a kiedy Koves przytaknął, nieomal go zaatakował: - Gdzie się pan tak długo podzie-wał?!... - na co Kóves, jak to prosty robotnik, jedynie wzruszył ramionami: przyszedł, bo mu kazano, a teraz tu jest i czeka, co będzie dalej. - No, niech pan wejdzie, proszę - wydawało się, że nieco ochłonał, uprzejmym gestem zaprosił Kóvesa do bocznego pokoju, gdzie na drzwiach widniał napis „Kierownik działu”, następnie starannie je zamknął, wskazał Kuvesowi krzesło, sam natomiast usiadł za biurkiem, dokładnie naprzeciwko Kóvesa. Przez pewien czas milczał, szukał czegoś wzrokiem pośród piętrzących się na biurku papierów i akt, brał to jeden, to drugi, oglądał,

po czym niezadowolony odkładał: - No - odezwał się w końcu nieco roztargniony, jednakże, ku zdziwieniu Kóve-sa, tonem bez wątpienia przyjaznym, jeśli nie wręcz poufałym - jak się pan u nas czuje?

Kóves, który w pierwszej chwili nie wiedział, czy brzmiającą w pytaniu serdeczność wziąć za pomyłkę, czy dopatrywać się w niej podstępu, a nawet czy w ogóle samo pytanie potraktować poważnie, zwlekał chwile z odpowie-

262

dzia, jak ktoś, kto chciałby pominąć takie formalności i od razu przejść do rzeczy.

Ale że nic się nie wydarzyło - człowiek wciąż grzebał w papierach i chyba czekał na odpowiedź -

Kóves powiedział:

- Wyśmienicie - żeby nic nie powiedzieć, ale jednak przerwać ciszę.

- Wyśmienicie! - człowiek powtórzył za Kóvesem, naśladowując nawet jego tonację, wyciągnął przy tym jakąś szufladę i przechylił się, żeby do niej zajrzeć. - Nawet nie wiedziałem, że tak dobrze być u nas ślusarzem - na co Kuves zamilkł ostatecznie. - Jest pan sprytny... - ciągnął ów człowiek, ze złością zatraskując szufladę, po czym znowu się wyprostował. - Bardzo sprytny... - i nagle jego twarz się rozpromieniła, jakkolwiek tylko mimochodem i tylko na chwilę: prawdopodobnie, jednak na biurku, a nie w szufladzie, znalazł w końcu dokument, którego szukał, i bez reszty się w nim zagłębił. - Z pana wykształceniem... - wymruczał.

- Z pańską wiedzą...

Jak ktoś, kto nagle przestał robić dwie rzeczy naraz i teraz już całą uwagę pragnie poświęcić wyłącznie Kóvesowi, wałną dłonią w papier, po czym przenikliwie popatrzył na Kuvesa swoimi niebieskimi oczami.

- Jak długo jeszcze zamierza się pan tutaj objąć?

- nieomal na niego krzyknął. - Wydawało się panu, że się pan przed nami ukryje?! Niech pan szczerze powie: jest pan z tego tutaj zadowolony?! - i Kóves, który coraz bardziej zaskoczony wiercił się na krześle, teraz naprawdę się zdumiał. Jak to? Żarty sobie z niego stroją? Zewsząd go wyrzucają, byli skłonni przyjąć go jedynie do fabryki, na stare lata musiał zostać czeladnikiem ślusarskim, a teraz jeszcze mu

263

to wypominają, jakby to on sam chciał zostać ślusarzem? Jakby się nie ugiął przed koniecznością, jakby tu przyszedł nie dlatego, że gdzie indziej pójść nie mógł? I oto nagle zachowują się tak, jak gdyby on, Kóves, spośród wielu nieprzebranych wprost możliwości, jakie mu się pchały w ręce, wybrał właśnie tę jedną, najgorszą, i na dodatek z własnej woli, dla kaprysu? Jakżeby mógł być zadowolony?... Kóves do tej pory wcale się nad tym nie zastanawiał, właściwie nawet o tym nie pomyślał - bo przecież nie po to tu przyszedł, żeby być zadowolonym - a teraz, jeśli nawet niezupełnie poważnie, to jednak pytają go o to, a nawet oczekują odpowiedzi - którą oczywiście pozostanie im dłużny - Kóves miał wrażenie, jakby cały czas, który tu spędził, był jednym jedynym dniem, wprawdzie z porankami i nocami, ale jednak tym samym dniem, długim, monotonnym i zawsze rozgrywającym się w szarych barwach zmierzchu, który opiłowywał swoim pilnikiem, niczym kawałek niezniszczalnego żelaza, odczuwając na przemian nudę i złudną ulgę, kiedy kończyła się zmiana, od czasu do czasu mogąc się z tego wszystkiego wyłączyć dzięki dziewczynie, za co jednak musiał płacić uczuciem przywiązania. Kóves myślał, że już tak spędzi resztę życia - w rzeczywistości może nawet tak nie myślał, w rzeczywistości zapewne myślał, że jedynie chwilowo musi tak żyć, dziś, jutro, no, może jeszcze pojutrze, bo przecież tak się żyć nie da, chociaż, przyszło Kóvesowi do głowy, czyż człowiek nie żyje tak, jak nie da się żyć, i czy potem nie okazuje się, że to jednak było jego życie? - w każdym razie w pewnym szczególnym sensie Kóves był bezsprzecznie spokojny i teraz, kiedy kierownik działu zaczął dobierać się do jego spokoju podobnie jak wcześniej do jego papierów i podawać go

264

w wątpliwość, w Kóvesu zrodziło się niejasne podejrzenie, że w tym spokoju właśnie do pewnego stopnia się odnalazł, być może bardziej niż w czymkolwiek innym do tej pory.

Teraz więc ostro, chłodno, jak ktoś, komu wzburzenie kazało zapomnieć o tym, że jest ślusarzem,

zapytał:

- A co, może ma pan dla mnie coś lepszego?

Ale kierownik działu nie wydawał się ani trochę dotknięty sposobem bycia Kóvesa.

- Mam - uśmiechnął się - przecież dlatego pana wezwałem. - I rzucając szybkie spojrzenie na coś, co leżało pod jego na wpół uniesioną dłonią, którą wciąż trzymał na tym z takim trudem odnalezionym papierze: - Jest pan dziennikarzem - ciągnął. - Od jutra będzie pan pracował w dziale prasowym naszego ministerstwa, czyli w dziale prasowym Ministerstwa Produkcji - i być może, zanim jeszcze to wypowiedział, a Kóves usłyszał, już wyrwało się Kóvesowi, surowo i ostro, jakby jego życie było zagrożone:

-Nie!

- Nie? - kierownik działu przechylił się nad biurkiem w kierunku Kóvesa, jego twarz nieoczekiwanie nabrzmiała i obwisła, usta się rozchyliły, a oczy niepewnie spoglądały na niego spod czapki. - Co to znaczy: nie? - spytał, a Kúves, który wyraźnie odzyskał już równowagę, co zresztą, jak się zdawało, umacniało raczej jego determinację, niż ją łagodziło, powtórzył:

- Nie - jak ktoś, kto broni czegoś rzeczywistego przed czymś urojonym. I żeby mimo wszystko nie wydać się jakimś nieokrzesanym prostakiem, z którym nawet nie można porozmawiać, niejako tłumacząc się, dodał: - Nie nadaję się do tego.

265

- Oczywiście, że nie - tymczasem kierownik działu również zdążył ochłonąć i teraz wyraźnie zdobywał się na największą cierpliwość, na jaką było go stać, żeby wyjaśnić Kóvesowi niektóre rzeczy: - Oczywiście, że się pan nie nadaje, zdajemy sobie z tego sprawę. - Zrobił małą przerwę, przez twarz przemknął mu wyraz troski, po czym, jak gdyby uporawszy się z wątpliwościami, wolno podniósł wzrok i utkwiał wprost w Kóvesu swoje niebieskie spojrzenie: - Właśnie dlatego tam pana posyłamy - ciągnął dalej - żeby zaczął się pan nadawać - i teraz Kóves pochylił się do przodu zaskoczony.

- Jak mogę zacząć nadawać się do czegoś, do czego się nie nadaję?! - wykrzyknął, a kierownik działu uśmiechnął się, widząc jego zdumienie.

- No, niech pan już przestanie się zachowywać jak dziecko - uspokajał Kóvesa. - Skąd pan może wiedzieć, do czego się pan nadaje, a do czego nie?

- A kto ma to wiedzieć, jak nie ja - krzychał coraz głośniejszym głosem - może wy?! - i wyglądało na to, że w zdenerwowaniu mechanicznie przejął od kierownika działu liczbę mnogą, w której tamten mówił o sobie, jakkolwiek, rzecz jasna, siedział za biurkiem, naprzeciwko niego, sam.

- Oczywiście - oczy kierownika działu zrobiły się okrągłe, a lewa brew podskoczyła niemal na środek czoła na myśl o takiej niewiedzy. - Niech pan posłucha - w jego głosie brzmiała teraz nieoczekiwana łagodność, wolną rękę, tę, która nie spoczywała na dokumencie, wyciągnął do przodu, a Kóves odniósł wrażenie, że kierownik działu chce delikatnie ująć jego dłoń, oczywiście padł tylko ofiarą gry wyobraźni, bo i odległość była za duża, nic takiego się więc nie stało - widzi pan, ja, siedząc na tym miejscu, mógłbym

266

panu dużo, bardzo dużo o tym opowiedzieć. Bo któż tak naprawdę może wiedzieć o sobie, do czego się nadaje, a do czego nie? Przez ile prób musimy przejść, zanim okaże się, kim jesteśmy? -

Kierownik działu zapalał się coraz bardziej, poprzez bladą skórę widać było, jak coraz szybciej krąży w nim krew. - O panu - i wyciągniętą przed chwilą do przodu rękę uniósł teraz niczym kielich wysoko nad głowę - zdecydowano tam, na górze: a zatem co pan sobie wyobraża, że sprzeciwi się pan tej decyzji?

- Mimo wszystko chodzi przecież o mnie - wtrącił Kúves, jeśli nawet trochę mniej pewny, to jednak wcale nieprze-konany, zaintrygowało go raczej tylko to, co powiedział kierownik działu, który teraz znowu wydawał się zdziwiony:

- O pana? A kto tu mówi o panu? Jaką rolę pan sobie przypisuje?! Pan ma się tylko dostosować! - I z rozplamioną twarzą, jak ktoś, kto już nie jest w stanie zapanować nad sobą, wykrzyknął: - Sługami jesteśmy, sługami, wszyscy! Ja jestem sługą i pan jest sługą; czyż jest coś bardziej wzniosłego, coś bardziej cudownego niż służba?



, - Komu służymy? - złapał go za słowo Kóves.

; - Pewnej wyższej koncepcji - brzmiała odpowiedź.

!J - Co to za koncepcja? - spytał szybko Kóves, jak gdyby miał nadzieję, że teraz wreszcie czegoś się dowie.

Ale musiał się z tym pytaniem pośpieszyć, bo kierownik działu wpatrywał się w niego bez słowa, jak ktoś, kto nie wierzy własnym uszom, po czym znowu spojrzął na dokument, na którym trzymał rękę.

- Oczywiście - odezwał się w końcu - pan wrócił z zagranicy. - Dał jednak Kóvesowi odpowiedź na jego pytanie, chociaż już znacznie bardziej suchym tonem: - Chodzi o ustawiczne doskonalenie się.

»ją in^n. |«, > , ' ,

267

i

- A na czym to polega? - Kóves, jakby zaakceptował już, że jest dziennikarzem, drażył temat.

- Na tym, że bezustannie wystawiamy ludzi na próbę

- kierownik działu ruchem ręki dał znać, że wyczerpali temat i że wracają do konkretów. - Miał pan szczęście - powiedział - że zwrócono na pana uwagę - i wydawało się, że jego słowa nagle otrzeźwiły Kóvesa.

- Nie chcę takiego szczęścia - powiedział równie upartym, suchym tonem, mając wrażenie, że już to komuś tutaj mówił, choć wówczas chyba trochę mniej bronił się przed swoim szczęściem niż teraz. - Chcę być robotnikiem

- ciągnął - dobrym robotnikiem: skoro się na czymś znam, to... - wahał się chwilę, ale potem widać zdecydował, że niewiele ryzykuje, jeśli odkryje karty: - to nie możecie mnie tak traktować, jakby moje zdanie się nie liczyło.

Ale kierownik działu wyraźnie docenił jego otwartość, wykazał bowiem maksimum dobrej woli i odezwał się ciepło:

- Dobry robotnik - powiedział - nigdy z pana nie będzie. Albo pan stąd odejdzie, albo marnie skończy; przecież nawet nie nauczył się pan piłować. - Umilkł, z lekko przekrzywioną głową obserwował Kóvesa, po czym, jak gdyby równoważąc przyjaznym uśmiechem swoją twardą wypowiedź: - Właściwie to moglibyśmy dać panu wypowiedzenie

- ciągnął - bo przecież nie jest pan w stanie spełnić wymogów. Ale - dodał pośpiesznie - my oczywiście wolelibyśmy, żeby pan z własnej woli przyjął naszą propozycję - i Kóves nagle poczuł bezmiernie zmęczenie, które w gruncie rzeczy nie opuszczało go, odkąd tutaj przybył.

Zamienili jeszcze parę słów - Kóves chyba nawet coś podpisał - a potem już złapał się na tym, że - jak tyle razy,

268

odkąd tu jest - znowu wychodzi chwiejnym krokiem z jakiegoś pokoju biurowego, nie wiedząc nic ponad to, co wiedział, kiedy tu wchodził, i z pewnym zawstydzeniem myśli o spojrzeniu dziewczyny, błagalnym, potem nierozumiejącym, a w końcu na pewno osłupiałym, kiedy będzie się pakował i bez słowa opuści fabrykę.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W załamaniu światła w Morzach Południowych

Tego wieczoru Kóves znowu zjawił się w Morzach Południowych, przeszedł przez obrotowe drzwi i pośpieszył prosto do stolika Szikłaiego, który siedział tam, gdzie siedział, kiedy się ostatnio widzieli, i teraz na jego widok tak się rozpromienił, że od szerokiego uśmiechu jego twarda twarz rozprysnęła się na kawałeczki, jak gdyby od tamtej pory czekał tylko na przyjście Kóvesa.

- Co to ma znaczyć: „moje zdolności literackie”?! - natarł na niego Kóves i nie czekając na zaproszenie, opadł na krzesło, Szikłaiemu zaś, który zapewne oczekiwał serdeczniejszego powitania, nieco stężał uśmiech na twarzy.

- A co by miało znaczyć?... Nie rozumiem... - wymamrotał, wciąż jeszcze ciesząc się ze spotkania, ale już z wyrazem pewnego rozczarowania na twarzy, kiedy Kóves opowiedział, co mu się przydarzyło przed południem:

W fabryce wydali mu papiery i kazali się z nimi zgłosić w dziale prasowym Ministerstwa

Produkcji, i to niezwłocznie, żeby nie stracił - sporej - reszty dnia pracy i żeby, jeśli uznają to za stosowne, od razu przydzielili go w ministerstwie do odpowiednich zadań. Kuves gnał od tramwaju do tramwaju - ministerstwo znajdowało się bowiem w centrum miasta, fabryka natomiast daleko, na peryferiach - jak

271

gdyby złożono w jego ręce jakieś niezwykle delikatne mienie publiczne, a mianowicie jego czas, który nienaruszony musi dostarczyć do punktu docelowego, uważając zwłaszcza, żeby nie uszczknąć z niego czegoś dla siebie. Miał uczucie nieomal posłannictwa, jakby to nie on sam przybywał, czy też on, ale niejako w delegacji, reprezentując samego siebie: ów dystans pomógł mu pokonać przeszkody, z którymi jak zwykle musiał się zmagać w portierni, żeby otrzymać odpowiedni papier, torujący mu drogę pomiędzy dwoma celnikami do głównego wejścia. Kóves zdyszany biegał po schodach, po korytarzach, aż wreszcie znalazł dział prasowy, gdzie okazało się, że musi poczekać, ponieważ szef właśnie zajęty jest czymś innym. - Rozmawia z kolejnym przewodniczącym Komisji Nadzoru - zdradziła mu sekretarka, miotająca się pomiędzy maszyną do pisania a dzwoniącymi telefonami, tonem poufnym, gdy tylko dowiedziała się od Kuvesa, że to Kóves i z czym przychodzi. - Ach tak - zauważył na to Kóves, nieco jeszcze otumaniony, jego twarz jednak z wolna zaczęła odzyskiwać rozumny wyraz, jakby otrzeźwiał z odurzenia, i wiedziony jakimś pierwotnym instynktem, który obudził nagle jego prawdziwą naturę, lenistwo, rozsiadł się natychmiast na najwygodniejszym, jak można było mniemać, krześle w pokoju. Teraz jednak ani mu w głowie, uśmiechnął się w duchu Kóves, rzucać się na obite tapicerką drzwi; a jeśli nawet, bo przecież jednak przyszło mu to do głowy, to w żadnym razie z zamiarem działania, co najwyżej, żeby wskrzesić boleśnie piękne wspomnienie samego siebie. O, jakież był jeszcze wtedy po dziecięcemu naiwny! - pomyślał Kuves jak ktoś, kto błąka się myślą po dawno minionych czasach. Kiedy to się zdarzyło? Wczoraj? Czy dwadzieścia lat temu? Odkąd tu przybył,

272

zawsze miał pewien problem z czasem; dopóki w nim egzystował, wydawał mu się nieskończony, ale kiedy myślał o nim jak o przeszłości, ten czas kurczył się, zanikał, wydawał się niczym, dałby się właściwie sprowadzić do jednej godziny, takiej - przyszło Kóvesowi do głowy - godziny o zmierzchu, przed kolacją, kiedy człowiek nie ma już nic do roboty i jest mu właściwie wszystko jedno, godziny jakiegoś innego, prawdziwego, bardziej skondensowanego, by tak rzec, życia, i w końcu - przemknęło Kuvesowi przez myśl - jest to być może czas życia całego pokolenia, jego życia, o którym będzie mógł potem pomyśleć, patrząc z dystansu, że mógł być je właściwie załatwić w ciągu jednej godziny, bo reszta to była tylko strata czasu, trudne warunki życiowe, walka - nawet nie bardzo wiadomo o co. W tym jednak momencie Kóves pewnie by tego nie powiedział, był bowiem skupiony właśnie na walce, na zmaganiu się, jakkolwiek nie znał dokładnie i nawet się nie domyślał obiektu tej walki, nie mówiąc o celu - możliwe, rzecz jasna, że teraz również, jak zwykle, był tylko zmęczony, że umysł, pełen luk, przedstawiał mu jako walkę jedynie jego własne wyczerpanie, dręczącą go nudę. - Możliwe, błędził myślami Kóves, choć nie uszło jego uwagi to, że zza obitych tapicerką drzwi wyszła jakaś kobieta, a w ślad za nią mężczyzna, i że zmiierzają przez pokój wprost do drzwi wiodących na korytarz - Kóves zauważył, że była to atrakcyjna kobieta, która z uwagi na włosy i prawdopodobnie również strój skojarzyła mu się przelotnie z żółto-rdzawo-brązowym dojrzałym kasztanem, mężczyzna natomiast, drobny wypiełgnowany człowiek z wąsami, żywo gestykulując, usiłował jej coś wytłumaczyć, zatrzymać idącą bez słowa i nieoglądającą się za siebie kobietę, w butonierce miał jakiś biały przedmiot

273

i jakkolwiek to nieprawdopodobne, wyglądało na to, że tkwił tam kwiat - Kóves nadal patrzył na wpółotwarte wewnętrzne drzwi, czekając na szefa działu prasowego i kolejnego przewodniczącego Komisji Nadzoru, których, nie wiadomo dlaczego, Kóves wyobrażał sobie jako zażywnych, łysych lub siwych jegomości. Ale chyba się mylił: kiedy bowiem odprowadził kobietę do drzwi, ubrany z wyszukaną elegancją człowieczek zawrócił, a następnie spojrzawszy roztargnionym i zagniewanym, jak się zdawało, wzrokiem najpierw na Kóvesa, potem na sekretarkę, która teraz cicho, pośpiesznie opowiadała mu o Kóvesu, mówiąc, że to Kóves, „nowy współpracownik”, na co mężczyzna,

któremu przebiegło przez twarz jakieś bolesne drżenie, poprosił Kóvesa „o jeszcze trochę cierpliwości”, po czym zniknął za obitymi drzwiami - a więc jednak Kuves widział szefa działu prasowego, kobieta zatem, która właśnie wyszła, mogła być jedynie kolejnym przewodniczącym Komisji Nadzoru. Po chwili na biurku sekretarki zadzwonił telefon, Kóves spojrzał na sekretarkę, sekretarka zaś na Kuvesa - Kóves wstał z krzesła i pospieszył w kierunku obitych tapicerką drzwi z pogodnym, a jednocześnie budzącym w nim pewien opór uczuciem, że „porozumieli się spojrzeniem”. Szef działu prasowego, teraz już z zupełnie opanowanym wyrazem twarzy, niezwykle uprzejmie poprosił Kóvesa o zajęcie miejsca i - tymczasem Kóves stwierdził, że naprawdę nosi w butonierce kwiat, w dodatku biały goździk - powiedział mu - czego Kóves słuchał z pewnymi, w pełni uzasadnionymi wątpliwościami - że cieszy się, iż może go powitać w gronie współpracowników. Powiedział, żeby Kóves spokojnie załatwiał swoje sprawy personalne związane z posadą - pomoże mu w tym sekretarka - a stanowisko zdąży objąć jutro: - My tutaj przygotowujemy przedruki dla prasy - powiedział, i bolesny uśmiech pojawił się na jego twarzy, Kóves zaś w pierwszej chwili pomyślał, że może boli go słowo „przedruki”, może uważa je za deprecjonujące; ale chyba się mylił, bo szef działu prasowego na podłużnej, przeciętej brązowym wąsem twarzy stale miał jakiś skrywany smutek, który jednak, przynajmniej w tej niemej formie, czasami ujawniał, kiedy indziej zaś melancholijnie się uśmiechał, również wtedy, kiedy ciągnął: - Ale co ci to będę tłumaczył, właśnie tobie, słyszałem przecież o twoich wybitnych zdolnościach literackich - na co Kóves podniósł głowę jak ktoś, kogo nagle wyrrywają z długiego, spokojnego snu przerażającą wiadomością. - O moich zdolnościach literackich? - przeraził się. - Od kogo? - spytał. I jakkolwiek szef działu prasowego, tym razem zastępując swój bolesny uśmiech uśmiechem tajemniczym, powiedział tylko tyle: - Od naszego wspólnego znajomego: więcej nie zdradzę... - on, Kóves, natychmiast domyślił się, o kogo chodzi.

- Czyżbyś się z tego nie cieszył? - śmiał się teraz Szik-lai, a Kóves, czy to dlatego, że chciał uniknąć odpowiedzi wprost, czy może raczej był ciekaw czegoś innego:

- A więc znasz go? - spytał.

- Jasne, że znam - odpowiedział Sziklai, unosząc brwi, jakby się dziwił, że Kuves jest taki nieorientowany. - Jednak... - ciągnął, ale przerwał w pół zdania, żeby zamówić z okazji spotkania dwa piwa, nie - „dwa głębsze”, u spieszącej do ich stolika Aliz, która również wyrażała radość, zauważając, że „już bardzo nam było brak pana redaktora”: -Jednak - podjął wątek Sziklai - jak sądzisz, w jaki sposób trafiłeś z tej morderczej harówki na taką znakomitą posadę?

... A:

274

275

- W jaki sposób? - spytał Kóves z ciekawością, jak ktoś jednak, kto ma złe przecucia.

- W taki, że ja ci ją załatwiłem - oświecił go Sziklai.

- Ty? - zdumiał się Kuves. - A wiec to nie było odgórne zarządzenie? - wyrwało mu się jak dziecku, które chcąc zaspokoić ciekawość, zaczyna rozmontowywać lalkę, żeby zobaczyć, co jej w brzuchu gada; a skoro już zaczął, to opowiedział Sziklaiemu i o tym, w jaki sposób zwalniali go z fabryki - Sziklai zaśmiewał się tak, że aż mu łza pociekła i zatrzymała się, lśniąc, w siateczce zmarszczek w kącie oka.

- Odgórne zarządzenie?... - dusił się ze śmiechu. - No oczywiście, że to było odgórne zarządzenie; ja zarządziłem - uspokoił się w końcu, dodając, że szef działu prasowego to jego „dawny partner w interesach”. Zna go jeszcze z czasów, kiedy był dziennikarzem, ale będąc w straży, znowu „nawiązał z nim kontakt”, powiedział, a Kuves w tym miejscu wtrącił pytanie, no właśnie, a jak się Sziklaiemu powodzi u strażaków, na co Sziklai z wyższos'cią machnął ręką:

- Świetnie. Jedzą mi z ręki.

Teraz - ciągnął - straż pożarna jest jednym z najpoważniejszych klientów Ministerstwa Produkcji, zamawia w nim samochody, węże, sikawki, drabiny pożarnicze, hełmy i takie tam, w dużych ilościach, i oczywiście - jak to zwykle bywa - dostarczany towar nie zawsze spełnia wymagania, a wtedy ze strony straży pożarnej on, Sziklai, ma za zadanie grozić upublicznieniem sprawy, „kiedy po innej linii również toczą się pertraktacje”, natomiast ze strony ministerstwa zadaniem szefa

działu prasowego jest odwozić Sziklaiego od tego zamiaru, wpływać na niego rozmaitymi obietnicami, i obydwaj zwykle znajdują ze sobą wspólny język.

- Rozumiesz przecież - Sziklai mrugnął porozumiewawczo do Kóvesa.

- Jasne - szybko przytaknął Kóves, żeby nie przerywać Sziklaiemu, bo w sporach między strażą pożarną a ministerstwem interesowały go teraz najbardziej jego własne sprawy.

- No więc - ciągnął Sziklai - przy okazji jednej z takich rozmów okazało się, że w dziale prasowym mają wakat, a choć zapewnienie go nie jest sprawą bardzo pilną, to jednak, gdyby Sziklai znał jakiegoś kandydata, szef działu prasowego chętnie rozważy, czy tego kogoś nie zatrudnić - nie musi chyba dodawać, powiedział Sziklai, że natychmiast „skorzystał z okazji”.

- Przecież powiedziałem, że nie zapomnę o tobie, że na pewno coś ci znajdę! - Tylko nie wiedział, uprzedził pytanie Kóvesa, gdzie ma go szukać, bo nie zna jego adresu. - Ale, stary, dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych! - Kóves skwapliwie przytaknął, szczegóły odkładając na później, żeby tylko nie przerywać Sziklaiemu; bo Kóves zapomniał go nawet poinformować, karcąc go dalej Sziklai, gdzie pracuje. Ale ustalić jego miejsce pracy wcale nie było tak trudno, jak by się Kóvesowi mogło wydawać - ciągnął - po prostu włożył swój oficerski mundur strażaka, poszedł do urzędu zatrudnienia i zasięgnął informacji, czy nie zatrudnił się przypadkiem gdzieś w jego rewirze osobnik nazwiskiem Kóves, którym z pewnych względów straż pożarna się interesuje - oczywiście natychmiast byli do jego dyspozycji. Jego samego jednak, Kóvesa, Sziklai na razie nie chciał o tym informować.

- Tak dziwnie się ostatnio zachowywałeś, że się bałem: a nuż staniesz na drodze własnemu szczęściu! - A więc podał szefowi działu prasowego nazwisko Kuvesa i jego

276

277

miejsce pracy, szef zaś „nadał sprawie oficjalny bieg” i sprawa, wędrując z działu do działu, dotarła do fabryki metalowej już jako kategoriyczne odgórne zarządzenie. - Teraz już rozumiesz? - spytał Sziklai i:

- Jasne - odpowiedział Kóves, z bladym usmiechem, jak ktoś, kogo wprowadzie trochę oszukano, mimo to jednak nie jest zupełnie nieczuły na humorystyczny aspekt całej sprawy. Potem Sziklai jeszcze raz kazał Kuvesowi powtórzyć słowa kierownika działu spedycji, wszystko, co tamten mówił

o jakiejś wyższej koncepcji, ustawicznym doskonaleniu się

i o wystawianiu ludzi na próbę, o całej sytuacji, o tym, jak siedzieli naprzeciwko siebie i poważnie dyskutowali, gdy tymczasem on, Sziklai, i szef działu prasowego dawno już między sobą wszystko obgadali i zorganizowali, i znowu śmiał się z tego tak, jakby pierwszy raz słyszał tę historię.

- Widzisz, stary, to właśnie prawdziwie komediowa sytuacja! - wyciągnął wniosek na użytek ich obu, podnosząc w górę palec wskazujący.

J Literatura. Wystawianie na próbę, ciężkie próby

Pewnego wieczoru Kóves natknął się na Weigandową, gospodynię, a ściślej mówiąc, właśnie wychodził, był już w przedpokoju, kiedy otworzyły się drzwi od kuchni i kobieta zatrzymała go, żeby się wytłumaczyć z porannych wydarzeń, a Kóves - z ręką na klamce - w pierwszej chwili nawet nie pamiętał, co się rano zdarzyło, miał ciężki dzień w ministerstwie - dopiero potem uświadomił sobie fakty. Oczywiście znowu chodziło o chłopca, o Petera - a w gruncie rzeczy może raczej o to, że obecnie, odkąd został pracownikiem ministerstwa, Kóves nabrał zwyczajów świadczących o tym, że lubi sobie dogadzać, i tak na przykład naszła go ochota - co być może zaszczerpiła mu jeszcze dziewczyna - żeby, zanim wyjdzie z domu, zjeść śniadanie, poprzedniego wieczoru nawet kupił sobie w tym celu herbatę, choć nie była to prawdziwa herbata, herbata z herbaty, a przynajmniej nie taki rodzaj herbaty, której zapach, niczym aromat wspomnienia, w chwili zakupu Kóves nieomal czuł, dolatujący z głębi jakichś odległych, może nawet nieistniejących czasów. Następnego ranka zjawił się w kuchni z herbatą - widocznie zapomniał, że teraz nie wstaje już o świcie, jak wtedy, kiedy jeszcze chodził do fabryki, a więc zastał w kuchni domowników, właśnie przy śniadaniu,

i mrużąc pod nosem jakieś usprawiedliwienie, chciał się zaraz wycofać - w duchu zrezygnował już

ze swojego pierwotnego zamiaru, kiedy bowiem wyobrażał sobie, że je śniadanie, to nie przyszło mu do głowy, że może jeść nie sam, tylko w rodzinnym gronie - ale Weigandową tak protestowała, tak go serdecznie zapraszała, zrobiła miejsce na kuchence dla jego herbaty, że Kóves właściwie nie mógł się już wycofać, nie obrażając jej. W końcu zjedli śniadanie w atmosferze pełnej napięcia, Peter zaś, obok którego stała na stole szachownica, składana, kieszonkowa, z otworami na pionki, i który w jednej ręce trzymał nadgryzioną kromkę chleba, drugą zaś przedstawiał figury szachowe, tylko po to od czasu do czasu podnosił na nich wzrok, żeby zasygnalizować, jak bardzo mu przeszkadzają - Kóves jednak zauważył, że za grubymi szklami okularów małe oczy chłopca są zupełnie czerwone z przemęczenia czy też z niewyspania, a może z obu tych powodów - tak więc Weigandową wkrótce umilkła i jedynie szeptem proponowała Kóvesowi to cukier, to gliniasty chleb, w końcu już tylko za plecami

278

279

chłopca pokazywała mu na migi, że jej przykro, sygnalizowała swoją bezsilność, Kóvesowi zaś chciało się śmiać, bo sytuacja wyglądała tak, jakby to oni oboje byli dziećmi, które terroryzuje kapryśnym, autorytarnym sposobem bycia surowy pan domu - głowa rodziny.

- Nie wytrzymam z nim - skarżyła się teraz Weigandowa, rozłożyła, po czym opuściła bezradnie ręce, przekrzywiła nieco głowę, jej blada, trójkątna twarz zadrżała, jeziorka oczu zaś utraciły blask. - Odkąd zaczął się ten turniej szachowy, po prostu nie mogę z nim wytrzymać - powtórzyła kobieta, spoglądając na Kovesa, który ostatnio próbował czasami w domu opracowywać swoje ministerialne materiały prasowe (w związku z czym zaczął jednak używać stołu, który w dniu, kiedy tu przybył - jakkolwiek dawno, Kóves dobrze to pamiętał - pani domu z taką dumą polecała jego uwadze), choć zdarzyło mu się kiedyś cisnąć ze złości ołówkiem, do tego stopnia przeszkadzał mu nieustanny harmi-der wszczynany przez matkę i syna, przenikający bez przerwy do jego pokoju, zwłaszcza przeraźliwie piskliwy głos chłopca, niczym gwizd pary pod ciśnieniem; chociaż kto wie, czy w głębi duszy Kóves nie cieszył się jednak z tego, że mu przeszkodzili, i czy całym swoim wzburzeniem, gestem, którym cisnął ołówek, i gniewnym poderwaniem się od stołu nie chciał przypadkiem sam przed sobą ukryć ulgi, jakiej doznał, i potwierdzić - że kiedy zaczyna pisać, to od razu, jak się zdążył przekonać, wikła się w całą sieć niejasnych i niedających się wyjaśnić sprzeczności.

- Może gra mu nie idzie? - zainteresował się teraz Koves, z odrobiną Schadenfreude, nie mógł zaprzeczyć.

- Nie tak, jakby chciał - kobieta ciągle potrząsała głową, jak gdyby sygnalizując, że uważa własne słowa za nie-

280

odpowiednie: - Podobno nic jeszcze nie jest przesądzone, ale jedna partia skończyła się remisem i teraz sprawą życia i śmierci jest dla niego wygranie następnej partii... - kobieta umilkła, jej jeziorka niepewnie szukały wzroku Kóvesa.

- Sprawą życia i śmierci? - z pogodnym zdumieniem Kóves uniósł brwi.

- Tak mówi - poskarżyła się kobieta - kiedy o tym rozmawia, trochę się uspokaja.

- To dziecinada - uśmiechnął się Kóves.

- Dziecinada - powiedziała kobieta - ale to przecież jeszcze dziecko. - Kóves odniósł wrażenie, że powtarzają jakąś dawno odbytą rozmowę.

- No - położył więc kres tej wymianie zdań - skoro to dla niego takie ważne, na pewno wygra - i jeśli nawet na schodach opadły go wątpliwości, czy aby dobrał odpowiednie słowa, żeby kobietę pocieszyć, to spieszył się już do Mórz Południowych, trochę po to, żeby zjeść kolację, trochę zaś z obowiązku, żeby razem z Sziklaim dalej zastanawiać się nad komedią - co się bowiem tego tyczy, ich dotychczasowe główkowanie nie było specjalnie owocne, pisanie komedii, przynajmniej dla Kóvesa, okazało się pracą nad wyraz żmudną i przygnębiającą. Jak kiedyś, kiedy ich przyjaźń była jeszcze niezobowiązująca i nie kładły się na niej cieniem żadne wspólne interesy, tak i teraz Kóves z Sziklaim co wieczór siadywali przy tym samym stoliku w Morzach Południowych, przekomarzali się z Aliz - chociaż nie pozostawała im dłużna w swoich ciętych ripostach, to jednak obecnie

zdawało się, że kosztują kelnerkę sporo wysiłku, również bruzdy wokół jej ust wydawały się głębsze, Kóves czasami miał na końcu języka pytanie o jej „towarzysza życia”,  
281

ostatnio w ogóle nie widywał Berga w restauracji, ale jakoś nigdy nie zadał tego pytania, raz krepowała go obecność Sziklaiego, kiedy indziej okazała mu się niestosowna, a nawet, kto wie, może lękał się odpowiedzi - i zabawiali się nawzajem historyjkami dotyczącymi straży pożarnej albo ministerstwa, podrzucali sobie z jakiegoś gościa czy towarzystwa; ale na ich dobry humor od pierwszej chwili rzucała cień czekająca ich praca nad komedią.

- No - zasępnął się na przykład w pewnej chwili, z dawna wprawdzie oczekiwanej, kiedy jednak przychodziła, to nieoczekiwanej, Sziklai - myślałeś nad tym?!...

- Jasne - zbierał się wówczas w sobie Kóves, jak ktoś, kto nie może się doczekać podzielenia się z kimś innym myślami, które wprost cisną mu się na usta.

- I? - Sziklai ze stanowczym wyrazem twarzy patrzył na Kóvesa, jakby go chciał rozliczyć. - Masz jakiś pomysł?

- Trzeba wyjść od miłości - oznajmił zdecydowanie Kóves.

- Dobrze - zgodził się Sziklai - wyjdźmy od miłości. No więc?

- Jest pewien chłopiec i pewna dziewczyna - zaczął niepewnie Kóves, jak ktoś, kto czuje, że na dużo więcej w tej chwili go nie stać, i obawia się - w tym wypadku słusznie - że Sziklaiego to w żadnym razie nie usatysfakcjonuje.

- I co się z nimi dzieje - usłyszał zaraz jego niecierpliwy głos - co im stoi na drodze do szczęścia?

A ponieważ Kóves milczał, złożył to na karb namysłu, w rzeczywistości jednak spochmurniał, robiąc wrażenie kogoś, w kim budzą się zbrodnicze instynkty, skierowane przeciwko owej parze zakochanych z wyobraźni, którą trzeba w komedii doholować do przystani szczęścia.

!|! - Słowem, nie masz pomysłu - podsumował Sziklai i zadowolił się dalszym, pełnym poczucia winy milczeniem Kóvesa. - No dobrze, już dobrze, nie spuszczaamy nosa na kwintę - złagodniał po chwili. - Powinniśmy wymyślić jakąś zgrabną, historię - stwierdził później.

- To prawda - zgodził się Kóves.

- Spróbujmy pomyśleć - inicjował Sziklai, i w takich momentach zapadała pomiędzy nimi dłuższa, zbawienna cisza, a Kóves musiał jedynie uważać na to, żeby do końca zachować, niczym teatralną maskę, stosowny do sytuacji, pełen poczucia wyższości, pogodnie zamyślony, a zarazem wyczekująco komunikatywny wyraz twarzy, robiąc wrażenie, że odezwie się, jak tylko zrodzi mu się w mózgu jakiś genialny pomysł, co wydaje się już teraz wyłącznie kwestią minut. Jednakże jego uwaga, jego spojrzenie w takich chwilach swobodnie błądziło po sali restauracyjnej, chodziło własnymi drogami, zatrzymywało się to na jakimś stoliku, to na jakiejś twarzy - oto opodał, nad opróżnionymi z pa-linki kieliszkami, opierając brodę na splecionych, ugiętych w przegubach dłoniach, z pustym spojrzeniem, które jakby spoczywało na Kóvesu, siedziała Transcendentna Hete-ra; patrzyła i nie widziała. Czy rzeczywiście nie widziała? Kóves, nieco zmieszany, odwrócił od niej wzrok - w rzeczywistości łączyła go z Transcendentną kłopotliwa przygoda, za którą jednak mógł winić wyłącznie siebie, no, może jeszcze dziewczynę z fabryki. Co tu dużo gadać, w Kóvesu raz po raz odzywało wspomnienie dziewczyny, która nie tylko zaszczepiła mu ochotę na śniadania, lecz również obudziła w nim dziką bestię węszącą łup - tak, Kóves czasem pragnął kobiecego ciepła, ale nie w abstrakcyjnym, lecz w bardzo praktycznym, namacalnym sensie tego słowa:

282

283

Kóves pragnął ciepła kobiecego ciała, kobiecej aksamitności, kobiecej śliskości, niekoniecznie w wydaniu dziewczyny

- którą oczywiście mógł odszukać i przebłagać, gdyby tylko nie uznał tego za zbyt wysoką cenę - pragnienie Kóvesa było bezprzedmiotowe, ściślej biorąc, bezosobowe, a jeszcze ściślej, Kóves pragnął kobiety, ale nie jakiejś określonej kobiety, niewykluczone, że to pragnienie czy raczej udreka

- myślał Kóves - kiedyś jeszcze sprowadzi na niego nieszczęście. Być może nad tym właśnie

rozmyślał - tego wieczoru Sziklai wyszedł wcześniej, mówiąc, że nazajutrz musi rano wstać, bo w straży pożarnej odbędą się ćwiczenia, Kuves natomiast siedział jeszcze czas jakiś przy piwie - i wtedy zauważył, że Transcendentna najpierw spojrzeniem, potem zaś nawet lekkim drgnieniem ramion, ruchem rąk jakby mu coś komunikowała - kiedy jednak Kóves, z nieco podstępny uśmiechem, który niczym dywan trawy rozłożył przed swoją palącą go pożądlivością, wstał i podszedł do stolika kobiety, ta nagle wydała się oburzona. - Co pan sobie wyobraża?! - spytała stłumionym, nieco skrzekliwym głosem. - Tak po prostu podchodzi pan i siada przy moim stoliku?! - zmuszając tym również Kóvesa do pewnej, niechętnie praktykowanej zadziorności. - A ma pani coś przeciwko temu? - spytał wyzywająco. W gruncie rzeczy nie miała, Kóves więc usiadł, zamówił parę razy palinkę, trochę się wstawił, cierpliwie wysłuchał nieco nieskładnych dywagacji kobiety o tym, że świat - włącznie z nimi obojgiem -nie istnieje, istnienie odbywa się gdzieś indziej, ten świat stanowi jedynie przeszkodę dla istnienia, a więc trzeba to przerwać, bo to nie rzeczywistość, lecz jedynie pozór, z biegiem czasu Kóves - alkohol widocznie zaostrzył mu dowcip - zauważył, że za palinkę trzeba jednak zapłacić

284

naprawdę, kobieta na to ostro się roześmiała i po koleżeńsku położyła na udzie Kóvesa ciepłą, suchą dłoń. Jakkolwiek bliska obecność kobiety znacznie złagodziła palącą udrekę Kóvesa - jak gdyby perspektywa, że jego pragnienie nabierze nagle realnych kształtów, podziałała nie tyle jako bodziec, ile jako przeszkoda - to jednak chyba intrygujący kontrast pomiędzy jej blond włosami i łagodnie zarysowaną brodą a zdecydowanym, odważnym nosem skłoniły Kóvesa do tego, żeby pójść z kobietą, pojechać nocnym tramwajem, a następnie przemierzyć parę ulic aż do jej mieszkania. Pokój również znajdował się w głębi korytarza, jak wszystkie pokoje, które Kóves odwiedzał tutaj prywatnie, wprawdzie nie nakazano mu ciszy, ale w dusznym mroku przedpokoju i tak czuł obecność śpiących gdzieś obok ludzi - a kiedy wszedł do pokoju, wprost zamarł z przerażenia: albowiem w półmroku świtu, jaki tu panował (później odkrył, że tajemnicze oświetlenie pokój zawdzięczał lampie ulicznej znajdującej się naprzeciwko), patrzyły na niego zewsząd błyszczące, fosforyzujące oczy, Kóvesowi zdawało się, że słyszy ciężkie dyszenie tych istot, dopóki owego wyobrazonego dźwięku nie zastąpił wysoki śmiech Transcendentnej. - Przestraszyłeś się?! - dusząc się ze śmiechu, przysiadła na niezastłanym do końca łóżku. - To oczy lalek - powiedziała następnie i wyglądało na to, że jej niepohamowaną wesołość zastąpił nagle bezdenny smutek. - Naprawdę - poskarżyła się dziwnie cienkim, dziecięcym głosem - ciocia robi oczy do lalek... - i Kóves dopiero teraz dostrzegł leżące na podłodze, na półkach, na stole ślepe lalki i szmaciane misie. - Dla tego paskudnego, grubego wujka... - ciągnęła kobieta, a jej usta ułożyły się w podkówkę. - Dla Nie-koronowanego... Znasz go? - spojrzała z łóżka na Kóvesa,

285

jej wilgotne oczy w otoczeniu tylu martwych szklanych oczu wydawały się szczególnie wymowne. - Jasne - odpowiedział Kóves. - No to chodź bliżej - zagaworzyła kobieta, a kiedy Kóves usłuchał, podobnie jak w restauracji, znowu poczuł na swoim udzie jej gorącą rękę, tylko że teraz trochę wyżej. - Gdzie jest łazienka? - zainteresował się Kóves, chyba żeby zyskać na czasie, choć oczywiście nie wiedział, co mu to da. - Po co ci teraz łazienka? - widać było, że Transcendentna nie ma specjalnej ochoty go puścić, ale ponieważ Kóves - również dla siebie samego zupełnie niezrozumiale - uczeplił się tego jak pijany płotu, znowu z lekka skrzeczącym głosem zirytowana rzuciła: - No to idź! Trafisz! - W łazience, w tej pułapce z ręcznikami, szklankami do mycia zębów, poplamionym lustrem - zdaje się, że Kóves faktycznie wypił więcej, niż należało - rozważał, czy zamknąć drzwi i spędzić tutaj noc, czy raczej niepostrzeżenie wymknąć się z mieszkania; w końcu jak skruszony dezertier wrócił do pokoju, gdzie równy, trochę świszczący oddech kobiety - w odbitym świetle, które sączyło się przez okno, Kóves widział jedynie zarys jej ciała rozciągniętego na łóżku - zdradzał, że tymczasem - prawdopodobnie tak jak stała, w ubraniu - zasnęła. Kóves odczekał jeszcze chwilę, żeby się obudziła - chociaż prawdą jest, że poza czekaniem nic w tym celu nie zrobił - potem otrzeźwiawszy, z lekka urażony, choć z niejakim poczuciem ulgi, zarazem jednak zawstydzony, jak ktoś, kto nie miał dość siły, żeby pozwolić sobie na chwilę słabości, i w końcu niczym skąpiec zachował coś, co należało roztrwonić, cicho opuścił mieszkanie - a nazajutrz

wydawało się, że Transcendentna niczego nie pamięta: stały przed nią jak zwykle kieliszki palinki, ona sama zaś, ze wzrokiem utkwionym

286

gdzieś w dal, słuchała nachylonego ku jej twarzy Pompa-dura, który z rozwianą grzywą białych włosów, wyraźnie zaaferowany, opowiadał jej jakąś historię, a ostrożne powitanie Kuvesa odwzajemniła jedynie przelotnym, roztargnionym i pozbawionym jakichkolwiek pretensji skinieniem głowy. Również stolik muzyków Kóves jedynie omiół spojrzeniem, kiedy, można by rzec, z przyzwyczajenia, przypadkowo spojrzął w tamtą stronę, szukając swego starego przyjaciela, pianisty, którego od tamtej pory, to znaczy od kiedy natknął się tu raz na niego w drzwiach obrotowych, wcale nie widywał. Pewnego wieczoru - tego wieczoru Sziklai akurat się spóźnił - Kóves dłużej już nie mogąc pohamować ciekawości, wstał ze swojego miejsca, podszedł do stolika muzyków i przeprosiwszy za kłopot, spytał łysogo człowieka o twarzy z lekka nabrzmiałej, który miał wory pod oczami - Kóvesowi obilo się o uszy, że gra na jakimś instrumencie dętym, bodajże na saksofonie - czy nie wie czegoś o pianistcie. Ale ku wielkiemu zaskoczeniu Kuvesa saksofonista wyglądał tak, jakby się nawet nie domyślał, o kogo Kóves pyta, jakkolwiek trudno było nie zapamiętać właśnie pianisty, w dodatku Kóves wielokrotnie widywał go rozmawiającego w dobrej komitywie z saksofonistą, z czego wnosił, że są przyjaciółmi, a przynajmniej bliskimi znajomymi. - Gra w Błyszczącej Gwieździe... - próbował mu przypomnieć Kuves. - W Błyszczącej Gwieździe?!... - zdumiał się saksofonista. - Przecież tam nie ma pianisty, w Błyszczącej Gwieździe gra orkiestra smyczkowa Tango! -1 jak gdyby uprzedzając ewentualne pytanie Kuvesa: - Czy w Błyszczącej Gwieździe mają pianistę? - zwrócił się do swojego sąsiada, człowieka o ciemnych włosach, kościstej, ogolonej twarzy z niebieskawym śladem zarostu, pachnącego

287

pomadą, który zdumiał się tak samo jak przed chwilą saksofonista: - Ależ skąd!... W Błyszczącej Gwieździe grywa orkiestra smyczkowa Tango - powiedział, patrząc na Kóvesa nieomal ze złością. - No widzi pan!... - odezwał się saksofonista, jak ktoś, kto w ten sposób ostatecznie rozstrzyga sprawę, Kóves szybko podziękował za informacje i wrócił na swoje miejsce, widział jeszcze, jak człowiek o niebieskiej twarzy mówi coś poirytowany do saksofonisty, ten zaś rozkłada ręce, ściąga usta i kręci głową, najwidoczniej tłumacząc się z czegoś, Kóves miał wrażenie, że z powodu jego namolności. Po chwili koło stolika Kóvesa przeszedł w wytwornym, ciemnym garniturze Chloroformiarz, wujek Andre, lekko skłaniając srebrzystą głowę na powitanie, po czym, jak ktoś, komu nagle przyszło coś na myśl, zatrzymał się i z uśmiechem światowca, który jakoś dziwnie kontrastował z jego ściszym konfidencjonalnie głosem, powiedział: - Słyszałem, że przed chwilą pytał pan o Małego, pianistę. - Tak - zdumiał się Kóves: nie pamiętał, żeby widział gdzieś w pobliżu wujka Andre, kiedy rozmawiał z muzykami, ale możliwe, rzecz jasna, że nie rozglądał się dostatecznie uważnie - wie pan może coś o nim? - spytał. - Owszem, był moim bardzo dobrym przyjacielem - wujek Andre skinął mu głową i chociaż nie odpowiedział dokładnie na to, o co pytał, to jednak widząc jego oddalające się szczupłe plecy, Kóves czuł, że otrzymał dokładną odpowiedź i teraz może już tylko mieć nadzieję, że wszystko potoczyło się po myśli pianisty, czyli że nie wyciągnięto go z łóżka.

Słowem, wątków i fabulek - wystarczyło się tylko rozejrzeć wokół - Kóvesowi by nie zabrakło; niektóre z nich opowiadał Sziklaiemu, trochę wtedy sobie plotkowali,

288

w atmosferze pełnego zrozumienia, zapominając nieomal, po co tu tak naprawdę siedzą, dopóki Sziklai znowu nie wypalił:

- No, ale wróćmy do komedii!

- Wróćmy! - przyznawał mu rację Kóves, ponownie przybierając nadgorliwy wyraz twarzy.

- Wymyślmy przynajmniej jakąś fajną dziewczynę! - zachęcał go Sziklai i tłumaczył: mając dobrą rolę kobiecą, autor komedii, można powiedzieć, ma już „wygraną bitwę”. Dziewczyna, zdaniem Sziklaiego, powinna być nieco postrzelona, ale pełna wdzięku, „nieznośnie kapryśna i zarazem pociągająca, godna uwielbienia”: ale wówczas przeważnie robiło się już późno, a zatem dziewczynę, jak mówił Sziklai, „odkładali na jutro”, kiedy - zapewniali się wzajemnie, już po



wyjściu z obrotowych drzwi, pośród ciemnej i niemej nocy - znowu spotkają się tutaj, w Morzach Południowych.

Ciąg dalszy

\*

Już lepiej radził sobie Kóves z literaturą w ministerstwie, choć niekoniecznie w ramach swoich ścisłych kompetencji; nie potrzebował zresztą do wykonywania swojej pracy żadnych literackich zdolności, a jakiego w ogóle przygotowania potrzebował, tego w gruncie rzeczy Kuvesowi nigdy nie udało się ustalić. Pierwsze swoje dni w ministerstwie spędził prawie wyłącznie na czytaniu, mianowicie na czytaniu tekstów swojego kolegi, innego pracownika, a ściślej - bo tak dokładnie nazywało się to stanowisko - głównego współpracownika, albowiem szef działu prasowego z nieco bolesnym uśmiechem i kwiatem w butonierce, tym razem

289

niebieskim, wyraził opinie, że te utwory najlepiej wprowadzą Kóvesa w czekający go zakres obowiązków, a zarazem stanowią wzór do naśladowania, mógłby powiedzieć

- i tutaj wzrok szefa poszukał wzroku sekretarki, jak gdyby tych dwoje wiedziało coś, w co Kóves nie był jeszcze wprowadzony - mógłby powiedzieć, że są wzorem wprost idealnym. Tak więc Kóves zaczął czytać owe teksty, robiące wrażenie ni to meldunku, ni doniesienia, a czasem jakiejś rozprawia; wszystkie zaczynały się tak, jak gdyby chciały

o czymś niezwłocznie powiadomić świat zewnętrzny, o jakiejś informacji, wydarzeniu, o czymś chyba, co należało wiedzieć, o czym jednak w trakcie pisania autor albo zapomniał, albo czego Kóves po prostu kompletnie nie rozumiał, tym bardziej że jego wzrok zaraz po przeczytaniu pierwszych zdań zaczynał się ślizgać po wersach, coraz niżej i niżej, dopóki nie ześliznął się poza kartkę papieru, i Kóves

- przerażony - nagle łapał się na tym, że zapadł w drzemkę. Poza tym, przynajmniej tak się Kuvesowi zdawało, ów główny współpracownik - zresztą człowiek w podeszłym wieku, łysiejący - zapewne już we wczesnym dzieciństwie zaczął pisać i od tamtej pory pisze nieustannie, bo kopie jego dzieł spięte spinaczami zapełniały całe półki, szafy i szuflady, a kiedy udręczony wzrok Kuvesa przypadkowo spoczął na sekretarce, żeby wytchnąć przez chwilę, sekretarka zaraz się podrywała i nieproszona kładła na biurku Kóvesa wciąż nowe i nowe stosy tekstów głównego współpracownika, by potem pośpiesznie znowu zasiąść do maszyny, na której właśnie albo pisała to, co jej dyktował główny współpracownik, albo przepisywała jeden z jego tekstów, który dał jej do przepisania na czysto. Oczywiście to, co przeczytał, odcisnęło jakiś ślad na Kóvesu, pozostawiło

290

w nim jakieś niejasne, ale przynajmniej spójne wrażenie, przywodzące mu na myśl słowa Sziklaiego, które usłyszał od niego tego wieczoru, kiedy Sziklai „został strażakiem”. W gruncie rzeczy - wydawało się Kóvesowi - tutaj również chodziło o to samo, oczywiście z pewnymi modyfikacjami: o to mianowicie, że w Ministerstwie Produkcji jak gdyby właśnie się obudzili i stwierdzili, że produkcja wcale nie jest tą naturalną działalnością, za którą, jak się wydaje, przez długi czas ją uważano, lecz nadzwyczajnym i heroicznym przedsięwzięciem, wręcz powołaniem, z czego nie tylko szersza publiczność, ale nawet sami robotnicy nie zdają sobie dostatecznie jasno sprawy, tylko wykonują swoją pracę i można by rzec, właściwie nie wiedzą, co robią, zadaniem głównego współpracownika więc - czyli teraz już również jego zadaniem, uświadomił sobie z przerażeniem Kóves - jest obudzenie w nich szacunku dla samych siebie oraz powszechnego szacunku dla nich.

Prawda jest taka, że pewnego dnia Kóves zdał sobie sprawę, iż teraz już nie tylko czyta, ale i pisze doniesienia, meldunki i rozprawki głównego współpracownika - czy z powodzeniem, o tym Kóves wcale nie był przekonany, jako że przeważnie nie rozumiał - a więc nie mógł również ocenić - sformułowań, które własną ręką, a nawet niejako własną głową, napisał. Do Kóvesa, jak również do głównego współpracownika, do samego szefa działu prasowego lub do sekretarki bezustannie napływały meldunki, o których Kóvesa, jeśli temat owych meldunków dotyczył zakresu jego kompetencji - a mogłoby się zdawać, że zakres kompetencji Kóvesa poza Kóvesem znał dokładnie każdy - niezwłocznie powiadamiano. Kóves musiał się wówczas udać na miejsce - przeważnie do jednej z fabryk metalowych -

żeby na własne oczy przekonać się o wiarygodności takiego meldunku, dotyczącego zwykle jakiegoś wynalazku, osiągnięcia w pracy, ewentualnie nowszych dokonań jakiejś ważnej osoby związanej z produkcją, żeby obejrzeć rezultat, po czym go opisać - a ściślej, opisać to, co powinien był opisać, ale co do tego jednak Kúves nigdy nie miał jasności. Pół biedy, gdyby miał opisać wynalazek, wydawało się z początku Kúvesowi: wynalazek to w końcu fakt, konkret, jego sens nie podlega dyskusji, można go łatwo przedstawić, jeśli człowiek przekona się o tym, że istnieje, i zrozumie jego działanie, istotę. Tylko że - Kúves powoli musiał to sobie uświadomić - wcale nie wystarczy, żeby on się przekonał o prawdziwości jakiegoś faktu, który to fakt zresztą nie odpowiada czasami wymaganiom, a nawet żądaniom, stawianym tutaj temu faktowi - faktom w ogóle; nie, fakt

- dowiedział się Kúves - to nie jest coś, czym można by się było zadowolić, na czym można by poprzestać, i jakkolwiek w biurze prasowym Kúves dużo słyszał o wadze faktów, to szybko się zorientował, że sam fakt nie jest taki ważny, znacznie ważniejsze jest, jak on widzi fakty, a ściślej, jak powinien je widzieć, co więcej, jaki fakt w ogóle postrzega jako fakt: i Kúves przeważnie w tym miejscu gubił wątek, tracił kontrolę nad tym, co czyta. Z tymi tekstami było trochę tak jak z piłowaniem w fabryce; zadanie wydawało się Kúvesowi proste, dokładał również starań, i prośbę, nie potrafił zrobić tego, co przypuszczalnie głębsi od niego

- na przykład jakaś dziewczyna, jakiś główny współpracownik - wykonywali z łatwością. Sytuację Kúvesa pogarszał również fakt, że w fabryce miał majstra, który za pomocą swojego przyrzędu przynajmniej pokazał mu zawsze, jak, w czym i jak duży błąd popełnił, w ministerstwie natomiast był zdany wyłącznie na siebie: szef działu prasowego okazywał mu takie ślepe zaufanie, że narażenie go na szwank swoimi wątpliwościami i pytaniami Kúves uważał za ryzykowne, a zarazem za skrajnie głupie, główny współpracownik natomiast prawie nie zwracał uwagi na Kúvesa, błędził spojrzeniem gdzieś nad jego głową nawet wówczas, kiedy musiał - bardzo rzadko - zamienić z nim parę słów, jak gdyby uważał Kúvesa za jakieś przejściowe zjawisko, któremu nie warto poświęcać uwagi.

Tak więc Kúves żył w bezustannej, dręczącej niepewności: nieomal codziennie sporządzał dłuższy lub krótszy tekst, w którym starał się tak powiązać ze sobą zdania, żeby zachować ich znaczący, jak mu się wydawało, walor niejasności, pod tym względem, tak jak tylko potrafił, stosował się do wzoru dostarczonego przez głównego współpracownika, to znaczy tak długo poprawiał te teksty, aż w końcu sam ich nie rozumiał, bo dopóki je rozumiał, widział, że nie mają żadnego sensu, nie mogą więc być dobre, a ściślej, nie mogą odpowiadać temu celowi, o którym oczywiście - i może w tym właśnie tkwił problem - Kúves nie miał bladego pojęcia; kiedy jednak były gotowe, nie potrafił rozstrzygnąć, czy w końcu służą owemu celowi, bo swojego tekstu już nie rozumiał, a tym bardziej nie wiedział, jakemu celowi służy. Tak więc kiedy pewnego popołudnia szef działu prasowego - który właśnie wrócił do biura, skąd mniej więcej godzinę wcześniej w wielkim pośpiechu wyszedł, rzucając w biegu sekretarce, że w niezwykle ważnej bądź szczególnie pilnej sprawie można go znaleźć w biurze kolejnego przewodniczącego Komisji Nadzoru, gdzie ma ważną naradę - stanął za plecami Kúvesa, przyglądając się, jak ten się biedzi z bieżącą redakcją tekstu, Kúves wzdygnął się, jakby wybiła dla

292

293

niego godzina prawdy. I kiedy szef położył mu rękę na ramieniu i bezsprzecznie łagodnym głosem powiedział:

- Chciałbym, żebyś na chwilę pofatygował się do mnie do pokoju - Kúves wstał od biurka jak ktoś, kto po wielu stresach po prostu doznał ulgi, że może wreszcie usłyszeć wyrok.

Ale szef działu prasowego przyjaźnie wskazał mu krzesło stojące przed jego biurkiem, zanim wszakże zadośćuczynił temu niememu zaproszeniu, Kúves, niczym umierający, który ostatkiem sił usiłuje sprostać swoim doczesnym obowiązkom, położył na biurku szefa tekst, nad którym tego dnia pracował.

Szef cofnął się.

- Co to jest? - zapytał.

- To zupełnie nowa metoda produkcji - zaczął nieco żalobnym głosem Kúves - która...

Ale szef zaraz mu przerwał:

- Akurat!... - wrzucając tekst Kóvesa do szuflady biurka. A potem, na widok jego zdziwienia, uśmiechnął się lekko, przechylił nad biurkiem i niczym dobry kumpel, ściszone głosem, mrużąc porozumiewawczo oko, zapytał:

- Nowa metoda produkcji? A kogo interesują takie głupstwa?! - Kóves, który w pierwszej chwili nie wiedział, co ma zrobić z twarzą, z tym gołym, wymykającym się spod kontroli i ciągle wiodącym go do zguby przedmiotem - najchętniej schowałby go do kieszeni albo za pazuchę, żeby później ukradkiem wyrzucić gdzieś na ulicy, tak jak człowiek, któ-ry pozbywa się jakichś wstydlivych, niewygodnych rzeczy - niepewnie się uśmiechnął, na wszelki wypadek jednak zmarszczył też brwi, gotowy w każdej chwili święcie się oburzyć.

294 Ale szef teraz oparł się na krzesło, poprawił krawat, po czym z odrobinę bolesnym uśmiechem, przekrzywiając nieco głowę, powiedział:

.... - Chciałbym ci przeczytać pewien wiersz.

i - Wiersz? - zdumiał się Kóves.

!u I, niejako smakując zaskoczenie Kóvesa:

! - Sam go napisałem - uśmiechnął się szef, wyciągając tymczasem z wewnętrznej kieszeni marynarki, tego dnia znowu ozdobionej białym kwiatem o drobnych płatkach, złożoną we czworo kartkę papieru, i - ku przerażeniu Kóvesa - zaczął ją wolno rozkładać.

Przełom. Namietność. Otrzeźwienie

Pewnego ranka - a może raczej już przedpołudnia - Kóves wyszedł z domu i pogwizdując - jakkolwiek nie miał do tego żadnego powodu: było pochmurno, wiał zimny wiatr, na ulicach osiadał pył pochodzący z trwających tu bezustannie budów, które jednak na pierwszy rzut oka przysparzały miastu jedynie ruin, rusztowań i rozmaitych innych przeszkód, zmieszany z jakąś cierpką wonią, jak gdyby, co przecież nie jest wykluczone, zbliżała się jesień, Kóves prawie nie pamiętał, a może nigdy nie przeżył takiej prawdziwej jesieni w żółtych i szkarłatnych barwach, przywodzących na myśl obraz trzaskającego na kominku ognia, i zrodziło się w nim kapryśne pragnienie posiadania lekkiego, a jednak ciepłego płaszcza, w którym postawiłby teraz kołnierz i ukrył w nim brodę - a zatem, pogwizdując, ruszył do pracy, w kierunku Ministerstwa Produkcji. Co tu dużo gadać, dziś rano Kóves nie będzie specjalnie punktualny - wczoraj wieczorem z Sziklaim trochę za długo snuli

295

intrygę swojej przyszłej, wciąż jeszcze rodzącej się w bólach komedii i żeby przewietrzyć trochę głowę, Kóves poszedł pieszo przez miasto pogrążone w nocnej ciszy, którą tylko czasami przerywał jakiś' nieoczekiwany zgrzyt, szmer lub jęk, niczym dochodzące zza ciemnych okien strzępy wspólnego, niespokojnego snu mieszkańców; późno więc znalazł się w łóżku i po prostu zaspał - ale dzięki zażyłym stosunkom z szefem Kúves, i słusznie, czuł się w sytuacji do pewnego stopnia uprzywilejowanej, jak ktoś', komu nie od razu zetną głowę, jeśli dopuści się przewinienia, byle oczywiście nie przesadził. Albowiem, chociaż Kóves kiepsko znał się na poezji - wierszy, abstrahując od pewnego, widocznie kryzysowego roku we wczesnym dzieciństwie, Kóves nigdy nie pisał ani tym bardziej nie czytał - szef, jak się okazało, zaufał jego ocenie, bo po pierwszym razie w zasadzie regularnie czytywał mu swoje wiersze, a wczoraj po południu również opowiadanie czy też, jak to sam określił: „raczej prozą napisaną balladę”. Co tu dużo gadać, opinia Kóvesa zazwyczaj brzmiała przychylnie: jak się orientował, wiersze szefa były przeważnie utworami lirycznymi - ich treści Kóves na ogół nie rozumiał, były albo za krótkie, a więc zanim skupił na nich uwagę, już się kończyły, albo za długie, i nim sformułował swój sąd, falujący, melodyjny głos szefa i dźwięczne rymy zdążyły wprawić go w przyjemne odrętwienie - tak więc potem z czystym sumieniem mógł chwalić ich tajemniczość, posępną nastrojowość, zagadkową atmosferę itd. Regularne, można powiedzieć, maniackalne powtarzanie pewnych obrazów w wierszach mimo to rzuciło się Kóvesowi w oczy, na przykład taki kwiat, zwykle „purpurowy”, o „mięśistym kielichu”, który „chciwie spija” „drżącą” na nim rosę czy krople deszczu, albo, dajmy na to,

fontanna, której strumienie, to nieprzepracie, to znów tęczo i kto wie jak jeszcze, ale zawsze deszczem, rosą, mgłą i wszelkiej maści wilgotnością wypełniającą wiersz, na końcu „wystrzeliwują” w górę. Trudno zaprzeczyć, słuchanie wierszy, zwłaszcza zaś ich omawianie (a ściślej, chwalenie) oznaczało dla Kuvesa nieco więcej pracy - szef zawsze po godzinach prosił go do swojego pokoju na jeszcze jedną „krótką rozmowę”, wtedy już ani główny współpracownik, ani sekretarka nie mogli im przeszkadzać, nie musieli się też obawiać, że przeszkodzi im coś niespodziewanego - ale w końcu mające podstawy czy też bezpodstawne, w każdym razie bezwarunkowe, jak się wydawało, zaufanie szefa dodało Kóvesowi odwagi, swoje służbowe teksty kładł teraz na jego biurku pewniejszym gestem i jeśli nawet dalszy los jego pism ciągle był mu nieznany, to być może - pomyślał raz z pewną pogodną wyższością Kóves - idący kiedyś w jego ślady nowicjusze będą się z nich uczyć, tak jak on uczył się od głównego współpracownika. Tym bardziej się więc zdziwił, kiedy wchodząc dziś rano do pokoju, zastał tam szefa, głównego współpracownika i sekretarkę - stali zbici w grupkę, jakby tego dnia nie mieli nic innego do roboty niż na przykład czekać na jego przyście - i kiedy zamiast oczekiwanego dzień dobry na jego wypowiedziane z szerokim uśmiechem dzień dobry nastąpiła kilkusekundowa cisza, którą w końcu przerwało pytanie szefa skierowane do Kóvesa:

- Która godzina?

Kóves, w przybliżeniu i teraz już nie bez pewnych złych przeczuc, odpowiedział, na co szef- dziś rano znowu z białym kwiatem w butonierce - zadał mu następne pytanie: .<

296

297

- O której zaczynamy pracę? - a Kóves - cóż innego mógł zrobić - podał jakiś wcześniejszy o mniej więcej półtorej godziny termin.

- Gdzie byłeś do tej pory? - brzmiało kolejne pytanie szefa, a Kóves, któremu oczywiście nie raz już się zdarzyło, że oficjalnie szedł do jakiejś fabryki, w rzeczywistości zaś przywłaszczał sobie ten czas, wykorzystując go na spanie, na powłóczenie się lub na inne prywatne sprawy, i nikt mu tego dotychczas nie wypominał, a już na pewno nie szef, odpowiedział, że w związku z pewnym niezwykle ważnym osiągnięciem produkcyjnym z samego rana musiał iść do jednej fabryki, a ściślej, powinien był tam pójść, z pewnych względów jednak, bardzo ważnych względów, bo właściwie to stan jego zdrowia - rano bowiem obudził się i poczuł zawroty głowy i skurcze żołądka, miał też gorączkę - mu w tym przeszkodził.

- A teraz już lepiej się czujesz? - spytał szef, i po chwili wahania Kóves stwierdził, że jeśli nie w pełni dobrze, to w porównaniu z tym, co było przedtem, lepiej.

- W takim razie - szef wyciągnął schowaną dotąd za plecami rękę, w której ścisnął plik papierów: Kóves, jeśli tylko się nie mylił, z przerażeniem rozpoznał swoje teksty, wszystkie te liczne, bardzo liczne prace, które, odkąd się tu znalazł, pisał i przekazywał szefowi - spróbuj z tej makulatury zrobić publikacje, z których będzie pożytek! - z tymi słowami cały ten pakiet cisnął na biurko Kóvesa (Kóves bowiem miał tutaj, w ministerstwie, własne biurko), ale albo zrobił to zbyt gwałtownie, albo z premedytacją upuścił - zanim go położył - ów plik papierów, bo niespięte kartki fruwały teraz, krążyły w powietrzu po całym pokoju, tak że Kóves musiał je dosłownie gonić i zbierać po jednej sztuce.

4

W tym czasie szef wyszedł do kolejnego przewodniczącego Komisji Nadzoru, w celu omówienia czegoś ważnego - jak to rzucił w przelocie sekretarce, również główny współpracownik zakomunikował sekretarce, że na niego z kolei czekają w pewnej fabryce lokomotyw, w niecierpiącej zwłoki sprawie, a Kóves, który od pewnego czasu siedział już przy biurku i patrzył na piętrzące się na nim w nieładzie papiery, nagle poczuł coś intrygującego tuż nad karkiem - nie było to dotknięcie, tylko jakiś powiew, ciepły, upojny i pachnący, coś jak przecucie bliskości kobiecego ciała, Kóves wahał się tylko przez chwilę - nie było to nawet wahanie, tylko ostrożne, jeszcze pełne niedowierzania przyjęcie do wiadomości - po czym podniósł rękę i chociaż nie odwrócił się za siebie, z niezawodną precyzją chwycił zdobycz: małą, delikatną dłoń, którą pośród osobliwych, dla jego własnych uszu również obcych dźwięków przypominających czkawkę - wydaje się, że

niepojęte zachowanie szefa trochę jednak stargało mu nerwy - zaczął nie całować, lecz raczej szarpać, rozrywać, niczym głodne zwierzę nieoczekiwany łup. I kiedy jego szyję od tyłu oplótł lekkie ramię, a do karku przylgnął gładki, ciepły, pulsujący ciężar, Kóves niejako przez włosy czuł, jak w kobiecej piersi powstają dźwięki i jak wznoszą się, łaskoczącymi drgnieniami coraz wyżej i wyżej.

- Mój biedaku!... - powiedziała, czy raczej szepnęła pełnym uczucia, głębokim głosem sekretarka. Potem Kúves musiał jeszcze sporo czasu spędzić w biurze, zanim po południu objął wreszcie to ukrywające się dotąd za zasłoną milczącej pracowitości stworzenie, które w myślach porównywał czasem do zgrabnej, zwinnej wiewiórki i które jednym gestem tak bardzo przerosło to

298

299

bezpretensjonalne porównanie, że Kóves cały dzień dziwił się własnej dotychczasowej ślepcie; nic innego z tego dnia nie zapamiętał - może jeszcze tylko ów dłużyący się czas, kiedy usiłowali raczej unikać aniżeli szukać swojego wzroku, jak ludzie, którzy w jednej zasadniczej sprawie już się porozumieli i teraz najważniejsze dla nich jest to, żeby w trakcie tych jałowych godzin, dopóki nie nadejdzie ich własna godzina, chronić się nawzajem, uśmierzać potęgującą się aż do bólu niecierpliwość, bo przecież prawie nie zdarzało im się być sam na sam, a jeśli nawet byli, to nie czuli się sami. Tak więc zanim znowu mógł ją objąć - co zdarzyło się w jakiejś bocznej uliczce, w którą, wracając z ministerstwa, skręcili każde osobno i którą, z dala od siebie, jak obcy, przeszli szybko do końca, aż wreszcie kobieta rozejrzała się uważnie, potem zwolniła kroku i pozwoliła Kóvesowi iść koło siebie - trzymane na wodzy uczucie nieomal wystygło i umarło w nich, niczym zdrętwiały członek.

- Mam pokój, niedaleko - powiedział Kúves nieomal pośpiesznie.

- W takim razie chodźmy do mnie, ja mam mieszkanie - odpowiedziała sekretarka mniej więcej takim głosem, jaki Kóves wielokrotnie słyszał, kiedy telefonowała w sprawach służbowych.

Ale kiedy zamknęli za sobą drzwi, zostało im tylko tyle czasu, żeby w pośpiechu uwolnić się z ubrania, na to zaś, żeby postać łóżko, już im czasu nie starczyło; padli na wzorzysty, zniszczony dywan, w gorączce, dysząc, krzycząc boleśnie, jak ludzie, którzy od stuleci, nie, od tysiącleci, czekają na siebie, cierpliwie znosząc to czekanie, jednakże pod ciosami, jakie spadają na ich ciało i duszę, w tajemnicy, by nie rzec, podstępnie, żywią szaloną nadzieję, że ich udrękę - raz, jeden, jedyny raz - pozwoli im potem zapomnieć rozkosz albo że kiedyś cała ich udręka zamieni się w rozkosz i będą wtedy krzyczeli jak na torturach, bo przecież w całym swoim życiu zawsze, ale to zawsze uczyli się tylko krzyczeć z bólu.

A zatem, co się tyczy owego dnia i nocy, która po nim nastąpiła, Kóves wprawdzie dokładnie pamiętał słowa, nastroje, dotknięcia, rozmaite sytuacje, znacznie gorzej natomiast ich kolejność i wzajemne powiązania.

- A właściwie co między wami zaszło? - spytała dziewczyna: czy to jednak było w biurze, na ulicy czy już w łóżku, tego Kúves nie wiedział - bo potem rozłożyli jednak łóżko i rzucili się na nie w półmroku, niczym w jakąś fosę okalającą zamek lub w wyściełane poduszkami kazamaty, byli tutaj całkowicie bezpieczni, chronieni przed światem zewnętrznym, na którym, konwulsyjnie raz po raz spleceni, mogli wziąć odwet za doznane krzywdy. - Zaufał ci? Dopuścił cię do swoich tajemnic?

- Jakich tajemnic? - spytał Kóves.

- Tak właśnie robi - powiedziała dziewczyna. - Najpierw odkrywa przed tobą duszę, a potem cię morduje.

- Przeczytał mi tylko swoje opowiadanie - zaprotestował Kóves.

- O czym było?

- Jakieś głupstwa. Nawet nie sposób tego opowiedzieć - Kúves wzruszył ramionami.

- Spróbuj - poprosiła dziewczyna, i Kóves spróbował. Oczywiście nie szło mu łatwo, bo wtedy nie uważał, teraz więc nie bardzo pamiętał; najżywiej - co bardzo rozbawiło dziewczynę, w jej rozbawieniu jednak, o ile się nie mylił, Kóves dostrzegł cię zniecierpliwienia, żeby nie powiedzieć,

300

301

niechęci - potrafił odmalować własne przerażenie, kiedy to poprzedniego dnia po południu, w sprawie dla Kóvesa nie-budzącej wątpliwości, szef wezwał go do swojego pokoju, ale zamiast złożonej we czworo kartki papieru, tym razem wyjął z szuflady cały plik kartek. - Napisałem opowiadanie

- oznajmił Kóvesowi skromnie, choć z nieco wyzywającym uśmiechem. - Aaa, opowiadanie! - ucieszył się, w rzeczywistości zaś, rzecz jasna, przeraził Kóves. - Czy też - skorygował swoje wcześniejsze słowa z lekką zadumą szef - nazwałbym to raczej balladą, tak, to prozą napisana ballada.

- Potem Kóves opowiedział dziewczynie, jak szef włożył swoje rzadko używane okulary, wyciągając ręce i potrząsając nimi kilka razy, poprawił rękawy koszuli, widać podwinął mu się mankiet, wygładził kartki, rzucił jeszcze badawcze spojrzenie na Kóvesa, odchrząknął, a potem wreszcie przystąpił do czytania pełnym uczucia, namaszczonym głosem

- on zaś, Kóves, który nabrał już dostatecznej wprawy i wiedział, jak wejść w rolę uważnego słuchacza, usiadł w taki sposób, żeby jego łokcie spoczywały na oparciu fotela, dłonie natomiast znajdowały się pod brodą w pobliżu ust

- w ten sposób niepostrzeżenie mógł ukryć ziewanie - i skupił się na śledzeniu ilości kartek leżących przed szefem, a jednocześnie w napięciu myślał o obietnicy danej Sziklaie-mu, że tego wieczoru wcześniej niż zwykle spotka się z nim w Morzach Południowych. Tak więc zarówno tytuł, jak i początkowe wersy opowiadania przegapił - pamiętał jedynie, że historia rozgrywała się w jakimś bliżej nieokreślonym czasie, w zupełnie fantastycznej scenerii, i że napisana była jakimś z lekka archaicznym, karkołomnym, a nawet jego zdaniem niepoprawnym językiem. W skrócie chodziło o to, że szef działu prasowego, a właściwie nie szef, tylko podmiot

302

opowiadania, jakiś „wędrowiec” - próbował sobie przypomnieć Kóves - który błąka się po pustkowiu, nagle natyka się na jakąś wieżę (dlaczego właśnie na wieżę i co to za wieża, niech go sekretarka nie pyta, bo to się nigdy nie wyjaśniło, powiedział Kóves), w wieży widzi cudowną kobietę (co więcej, prawdopodobnie śpiew kobiety zwiabił go do owej wieży - przypomniał sobie Kóves), która teraz schodzi na dół i prowadzi go do ogrodu - jakkolwiek do tej pory nie wiedzieliśmy oczywiście, że w pobliżu w ogóle znajduje się jakiś ogród. Tutaj następuje opis ogrodu, bogaty, można powiedzieć, zmysłowo bujny, opowiadał Kóves, krzewy na trawnikach, małe jezioro, purpurowe kwiaty o mięsistych kielichach, które łąpczywie spijają drżące na nich krople rosy, następnie pojawia się również fontanna, śmiało strzelająca w górę strumieniami wody. I kiedy kobieta prowadzi wędrowca po ścieżkach ogrodu, szef, to znaczy wędrowiec - którego jednak Kóves nie potrafił sobie wyobrazić inaczej pośród tych ogrodowych dekoracji niż tylko jako drobnego, starannie ubranego szefa działu prasowego, w jakimś dziwnym kostiumie - spostrzega, że kobieta ma na przegubach i kostkach ciężkie kajdany. Wędrowiec obiecuje kobiecie, że ją od nich uwolni, ale ona krótko i zwięźle odpowiada mu tylko: „Lubię kajdany”. Potem siadają pod jakąś południową rośliną - w tym momencie jej dźwięcznej, pięknej nazwy Kóves nie jest w stanie sobie przypomnieć, może to była magnolia, a może eukaliptus - wschodzi księżyc i w jego świetle szef spostrzega, że ramiona i piersi kobiety - widać tymczasem jakoś opadło z niej ubranie - oznaczone są szramami, bliznami, śladami razów bata. „Lubisz bat?” - pyta szef kobietę, która jednak milczy i zagadkowo patrzy na niego głębokim spojrzeniem,

303

które jest jak „woda w ciemnej studni” - zacytował Kóves. Szefa ogarnia jakieś złe przeczucie; tylko że teraz odczuwa również litość, współczuje kobiecie, co zresztą nie jest w pełni adekwatnym określeniem, w każdym razie traci zdolność trzeźwej oceny sytuacji: zaczyna całować rany kobiety, która, na swój zagadkowy sposób, wstaje, bierze szefa za rękę, prowadzi z powrotem do podnóża wieży i tam, na zalanym światłem księżyca trawniku, poddaje się jego namiętności. Tutaj nastąpiły pewne szczegóły - Kóves miał wrażenie, że szef, to znaczy wędrowiec, zamiast oczekiwanego spełnienia, przeżył raczej pewne rozczarowanie, jak gdyby niedosyt budziło w nim nie dość przekonujące oddanie kobiety; zarówno to, jak i jego złe przeczucia zyskują wkrótce ponure

wyjaśnienie. Rozlega się bowiem straszliwy krzyk i w bramie wiodącej do wieży ukazuje się potężnie zbudowany, ciemnowłosy młodzieniec, z pejcem w rękę - jest panem tego domu i kobiety; traf chciał, że widział wszystko z góry, przez jedno z okien wieży. Teraz uważaj - Kuves żartobliwie przestrzegł dziewczynę - nastąpią przykre sceny zdrady, okrucieństwa i rozpasania. Pan wieży szczerze „sługi i psy” na szefa działu prasowego. Kobieta błaga o litość, najpierw dla ich obojga, ale kiedy mężczyzna sięga po bat, zapominając o szefie, już tylko dla siebie; wtedy mężczyzna podnosi i przytula do piersi kobietę. Szef, który tymczasem walczy „ze sługami i psami”, widzi teraz spojrzenie kobiety, z którego wyczytuje politowanie i jeszcze coś: „ukradkową rozkosz”. W tym momencie szefa opuszczają siły, poddaje się „sługom i psom”. Może nawet umiera - przynajmniej kobieta i mężczyzna tak myślą. Ale on widzi i słyszy. Widzi uśmiech kobiety, ruch jej ręki głaszczącej ramię mężczyzny, jego muskularną pierś, a nawet bat, słyszy jej

304

głos wychwalający siłę mężczyzny, i widzi mężczyznę, który z posepnym zachwytem patrzy na zwłoki szefa i na swoją żywą kobietę. Kobieta natomiast w napięciu odwzajemnia spojrzenie mężczyzny. Ponura para pada teraz na ziemię i próbuje się kochać na trawniku lśniącym srebrzyście w blasku księżyca, tuż obok zwłok szefa. Ale na próżno mężczyzna się stara; na próżno kobieta wypróbowała na nim wszystkie fortele i sekrety miłości, jakie właśnie przed chwilą podpatrzyła u niego, szefa; w końcu więc wstają z trawnika, zawstydzeni i załamani, w oczach mają łzy. „Nawet i teraz nie?...” - cicho pyta kobieta. „Nawet i teraz” - odpowiada ze spuszczoną głową młodzieniec. W poczuciu klęski i gniewie znowu chce podnieść na nią bat, ale kobieta jednym ruchem wytrąca mu go z ręki. Zdejmuje z siebie kajdany i skuwa nimi młodzieńca. Co więcej, mniejszy łańcuch przeciąga mu przez nos, wargi i uszy. Młodzieniec wszystko to znosi posłusznie, w milczeniu, jak ktoś, kto został pokonany. Następnie, biorąc w rękę łańcuchy, kobieta prowadzi młodzieńca do wieży i leżący bez życia szef słyszy z góry, z okna młodzieńca, chrzęst żelaza - prawdopodobnie został przykuty do ściany.

Kóves, który od jakiegoś czasu robił coraz dłuższe przerwy w opowiadaniu, teraz w ogóle umilkł, a nawet może na chwilę się zdrzemnął, bo ocknął się, słysząc ponaglący głos dziewczyny:

- I?... - i Kóves odpowiedział, że to w zasadzie koniec historii. Młodzieniec został zakuty w kajdany, kobieta wchodzi na górę, a szef słyszy, że znowu z wieży rozlega się jej śpiew: no proszę, ta kobieta nigdy nie sypia, myśli przerażony, przyspieszając kroku - tymczasem bowiem zdążył się jakoś pozbierać, odwracając uwagę „sług i psów”, uciekł

305

i teraz „brocząc z ran”, znowu chodzi tam po jałowym pustkowiu, wreszcie jednak wolny.

- Wolny! - nieoczekiwany, nazbyt ostry okrzyk sekretarki otrzeźwił Kóvesa, nieomal przstraszył. - A to nędznik!... Nigdy się nie uwolni - dodała z goryczą, a Kuves, którego znowu zaczęła zawodzić logika - przyjemnie nasycone zmysły domagały się od jego mózgu odpoczynku, snu, głębokiego, nieświadomego snu, jak po alkoholu -i który w pierwszej chwili nie wiedział, czy kończy się wieczór, czy może już wstaje za oknem różowy świt, z trudem poruszając językiem, spytał:

- Od czego? Kto taki?

- To ty naprawdę nic nie wiesz? - spytała sekretarka, i wyglądało na to, że faktycznie Kóves nic, ale to nic, nie wie. - Kolejny przewodniczący Komisji Nadzoru!... Ta kurwa!... - głos sekretarki zabrzmiał przeraźliwie, jak syrena alarmowa w nocy, Kóves poczuł na palcach gorące, mokre dotknięcie twarzy dziewczyny - widocznie w ciemności na chwilę wtuliła czoło i zażawione oczy w dłoń Kóvesa, ale zaraz podniosła głowę dzikim ruchem, jak gdyby chciała drażnić ją ból odrzucić gdzieś daleko, potrząsała głową, a jej rozsypane włosy jedwabście, pachnąco muskały ramię Kóvesa.

- Odkąd u nas pracujesz - powiedziała zdławionym głosem, jak ktoś, kto przęłyka łzy - chodzisz pomiędzy nami, jakbyś do nas nie należał, jakbyś był obcy: tak rano powiedział szef i ja też to mówię.

- Nic na to nie poradzę - wymamrotał Kóves. I jak ktoś, komu zbliżający się sen czy jakiś inny rodzaj odurzenia rozwiązuje język, bez skrepowania, z pogodną determinacją dodał: - Nie interesujecie mnie.

- Wierzę. Nie ma w nas nic interesującego - usłyszał cichy, gorzki głos dziewczyny i chociaż dziewczyna teraz - wyglądało na to, że już od dawien dawna - bez słowa i bez ruchu leżała koło niego, Kóves, jeśli nawet jeszcze nie w pełni przyszedł do siebie, to jednak nie zasnął; pod wpływem jakiegoś impulsu wyciągnął rękę i szukał, dopóki nie poczuł pod palcami gładkiej, z początku stawiającej pewien opór, a potem coraz bardziej uległej, cieplej kobiecej skóry, i jakby to jego głaskanie podziało również na struny głosowe, dziewczyna zaczęła cicho mówić:

- Kolejny przewodniczący Komisji Nadzoru... Prawda, że myślałeś, że to tylko jakaś tymczasowa funkcja, trwa, dopóki nie przyjdzie kolej na kogoś innego: prawda, że, sądząc z nazwy, mogłeś tak myśleć?

- Tak - zgodził się Kóves, a nawet skinął głową, pewnie zbyt mocno, bo było ciemno i dziewczyna chyba tego nie widziała.

- Otóż nie! - krzyknęła dziewczyna, z gorzkim poczuciem tryumfu negując twierdzenie Kuvesa: - Nic podobnego! Cały czas to ona jest kolejnym przewodniczącym Komisji Nadzoru, trzeba trafić, że zawsze ona jest kolejna, ona, ona i nikt inny, i tak od lat, i pewnie zawsze tak będzie!... Któż bowiem mógłby się sprzeciwić jej mężowi?

- A kim jest jej mąż? - spytał Kuves, raczej tylko po to, żeby przerwać ciszę, potwierdzić swoją obecność, aniżeli z ciekawości.

- Sekretarzem ministra - rzuciła dziewczyna z tą samą goryczą - która jednak zabrzmiała tryumfalnie, bo tyle było w niej radości, że może go oświecić - co przed chwilą.

- To i jakiś minister tu jest? - zdziwił się Kóves, ale dziewczyna, jak się okazało, tym razem straciła cierpliwość: ||•,,|||

- Chyba nie pytasz poważnie - powiedziała - bo przecież w każdym pokoju wisi jego zdjęcie, u nas również, na dodatek dokładnie nad twoją głową - Kóves, który oczywiście pamiętał te zdjęcia, wydawały mu się bowiem znamienne, to samą twarz widział też - jak przez mgłę, jak twarze, które człowiek widuje przelotnie w pewnych miejscach i o pewnym czasie, ale nigdy nie pamięta ich samych, tylko owe miejsca i czas; Kóves miał wrażenie, że dziewczyna źle zrozumiała jego pytanie, sam już zresztą nie bardzo wiedział, jakie wątpliwości chciał w nim wyrazić, żeby jednak nie stracić autorytetu, zauważył:

- To jeszcze nie dowodzi jego istnienia.

- O - szydziła dziewczyna - słowem, nie wierzysz, potrzebne ci dowody, bo jak nie żywisz podejrzeń, czujesz się głupcem i może nawet chełpisz się tym swoim sceptycyzmem, a tymczasem nie masz pojęcia o tym, co się naprawdę dzieje, o niczym nie masz pojęcia!

Tak więc Kóves, jak ktoś, kogo zawstydzono, umilkł i bez słowa słuchał płynnego głosu dziewczyny, jej gładko toczących się słów, niczym odśnieżającego i nużącego zarazem szmeru ciepłego deszczu.

- Minister - czy istnieje? Czy jest realny? I to jak bardzo! A jeszcze bardziej realna jest jego władza, w ogóle władza. Ta nić, która wszystkich oplata, wszystkich wikła. Być może zdarzają się tacy, których nie wikła, a nawet tacy, którzy jej nie widzą - na przykład Kóves jest jednym z takich niewielu, on się nawet nie domyśla jej istnienia. I wcale nie dlatego, że taka z niego ciamajda: ona, sekretarka, przez jakiś czas mu się przyglądała i przekonała się, że wcale nie jest ciamaj-dą. O co w takim razie Kóvesowi chodzi? - sekretarka zastanawiała się nad tym od dawna i musi przyznać, że do dziś

nie wie. Zachodzi oczywiście pytanie, czy można tak żyć, a przynajmniej jak długo, tak poza kręgiem, trzymając się z boku. Nie ulega wątpliwości, że daleko Kóves w ten sposób nie zajedzie, ale może przynajmniej ochroni swoją wewnętrzną niezależność - i w tym momencie sekretarka, macając przez chwilę w ciemności, przycisnęła palce do ust Kuvesa, jak gdyby z jego oddechu chciała wywnioskować, czy z powodu jej cierpkich słów za chwilę nie wybuchnie. Bo przecież - mówiła dziewczyna - jest w tej niezależności coś pociągającego, trudno zaprzeczyć - czy potrzeba innych dowodów niż ten, że Kóves właśnie leży w jej łóżku? Prawda, że nie. Kóves



prawdopodobnie nawet się nie domyśla, jaka ona jest słaba, jak bardzo zdana na łaskę innych, jaka bezbronna, jak łatwo ją zranić. Dziś rano, kiedy „spotkało go to upokorzenie”, do czego zresztą wcześniej czy później musiało dojść i wszyscy o tym wiedzieli, wszyscy na to czekali, oczywiście z wyjątkiem Kóvesa, no więc dzisiaj rano, kiedy w końcu zdarzyło się to, co musiało się zdarzyć, ona, sekretarka, poczuła jednak prawdziwy, w ścisłym tego słowa znaczeniu fizyczny ból i jakkolwiek to się może wydawać dziwne, ów ból podpowiedział jej, co ma właściwie sądzić o Kóvesu.

- Co? - spytał Kóves ostrym, ironicznym tonem, jak ktoś, kto z góry sobie nie życzy nawet nie opinii dziewczyny, lecz tego, żeby w ogóle cokolwiek o nim myślała, i dziewczyna dopiero po krótkiej chwili odpowiedziała, jak gdyby chciała odczekać, aż wrogi ton Kóvesa rozplynie się gdzieś, zniknie w najdalszych kątach pokoju.

- To, że jesteś niewinny - powiedziała.

- Jak to?! - odpalił z miejsca Kóves. - Myślisz, że jak ktoś nie popełnił grzechu, to zaraz jest niewinny?

309

- Skądże - odpowiedziała dziewczyna - przecież już samo to, jak żyjesz, jest dostatecznie wielkim grzechem: twoja niewinność jest niewinnością dziecka, to nieświadomość, niewiedza - i Kóves tym razem zamilkł, jakby szukał kontrargumentów, ale trwało to tak długo, aż sam poczuł, że wszelkie zaprzeczanie nie ma chyba sensu. Bo przecież - ciągnęła dziewczyna - Kóves nawet tego nie wie, że jego sytuacja... - tutaj dziewczyna na chwilę się zawahała, jakby szukała odpowiedniego wyrażenia, którym mogłaby uświadomić Kóvesowi jego sytuację - że jego sytuacja jest nad wyraz krucha, delikatna, najbardziej niepewna w całym dziale, że jest jedynym, bez którego śmiało można się obejść. Bo, prawda, szef - wyliczała dziewczyna - jest niezbędny, nie tylko dlatego, że jest szefem, lecz dlatego że to on pisze ministrowi przemówienia - nie zdziwiłaby się, gdyby Kóves i tego nie wiedział, gdyby nie słyszał, jak minister przemawia - gdyby nawet nie wiedział, iż minister od czasu do czasu wygłasza przemówienie. No więc przemówienia ministra powinien właściwie pisać mu jego sekretarz, on jednak każe je pisać szefowi działu prasowego: dział prasowy, choć, rzecz jasna, głośno się tego nie mówi, istnieje w zasadzie tylko w tym celu - oczywiście zdarza się również, że trzeba przygotować jakiś materiał dla prasy, ale to robi główny współpracownik. A więc on też jest niezbędny, bo, bądźmy szczerzy, Kóves niewiele zrobił, żeby główny współpracownik stał się zbędny. Co się zaś tyczy jej, sekretarki, to sekretarka w dziale zawsze jest potrzebna, ale to czyni niezbędnym tylko sam etat, nie zaś jej osobę, a ona nie wątpi, że „jest ktoś, kto by się chętnie jej pozbył” - nie dociekajmy teraz przyczyny - gdyby... no więc gdyby rzeczy nie miały się tak, jak się mają, to znaczy, że tak naprawdę

to ona pisze przemówienia ministra. Ona wie, że Kóves robi teraz po ciemku pełną powątpiewania minę, ale niech Kóves jej uwierzy, że to nie jest wielka sztuka, że przemówienia ministra pisze się zawsze na jedno kopyto - rzecz jasna, trzeba znać to kopyto, a więc byle kto nie mógłby tego robić - jest to mniej więcej coś takiego jak wypełnianie rubryk gotowego formularza. Oczywiście, to nie oznacza, że przemówienie od razu jest gotowe, sekretarka przygotowuje jedynie „wersję podstawową”, czyli „gromadzi, systematyzuje i szkicuje materiał”; następnie daje to szefowi, który nanosi swoje uwagi, na podstawie jego uwag sekretarka ponownie formułuje tekst i znowu daje szefowi, który wszelkie, wciąż jeszcze niezbędne poprawki nanosi już teraz własnoręcznie, a potem przekazuje materiał sekretarzowi ministra. Ten również studiuje całość, również nanosi uwagi, oddaje tekst szefowi działu prasowego, szef z powrotem sekretarce, od niej zaś tekst znowu wędruje w górę, na krótszy lub dłuższy czas niekiedy gdzieś utknie, krąży pomiędzy sekretarzem i szefem działu prasowego niczym drgająca igła kompasu, potem w końcu dociera do ministra, i bywa, że znowu rusza z powrotem, w dół, a potem znowu w górę... W tym momencie dziewczyna się roześmiała, schrypniętym głosem, jak gdyby tej sprawy nigdy dotąd nie śmiała widzieć tak, jak widzi ją teraz, w ciemności: jako bezcelowe i śmieszne bieganie po drabinie służbowej drogi, co jednak jutro, w dziennym świetle, znowu zobaczy w aurze nieodwołalnej powagi, bo tak trzeba, bo tak chce to widzieć, podobnie jak wstając ze zmiętej pościeli, w której się kochali, włoży na siebie ubranie, przybierze inne oblicze, nieskazitelny pancerz sekretarki - i jej nagie ciało teraz przylgnęło

do Kóvesa, jak gdyby to, z czego zdała sobie sprawę, obudziło

310

311

w niej palącą żądzą, którą szybko, szybko, tracąc oddech, musi natychmiast ugasić. Słowem - ciągnęła później - ich troje wykonuje całą pracę działu, Kóvesa natomiast przyjęto tylko dlatego, że akurat trzeba było komuś pójść na rękę, o ile sekretarka pamięta, to chyba straży pożarnej.

- Tak, straży pożarnej - potwierdził Kóves.

- A jednak nie zrobiłeś nic, żeby umocnić swoją pozycję - skarciła go dziewczyna.

- A co miałem zrobić? - spytał Kúves jak ktoś, w kim jednak w końcu rodzi się pewna ciekawość dla własnych spraw, spóźniona oczywiście i niezachłanna, nie taka, żeby go skłonić do czynu, po prostu gnuśna ciekawość człowieka pogodzonego z sytuacją.

- Trzeba było mieć oczy otwarte i spróbować rozeznąć się w powiązaniach władzy! - oświeciła go dziewczyna.

- Akurat - mruknął Kúves, jak ktoś, kogo takie zadanie nawet po czasie, nawet jeśli go nie wykonał, napawa niechęcią. - I co bym przez to zyskał? - zainteresował się jednak. Na przykład - odpowiedziała dziewczyna - zrozumiałby nowelę szefa. Wiedziałby to, co wszyscy wiedzą, że między szefem a sekretarzem toczy się walka o władzę, a także kto jest narzędziem owej rywalizacji. Jest ciekawa, czy przynajmniej to jedno Kóves wie - ale oczywiście nie wie. No więc jest nią wielce szanowny kolejny przewodniczący Komisji Nadzoru, a zarazem żona sekretarza ministra, ta kurwa, tak, ona - to przez nią trzymają się nawzajem w garści, to jej ciało, w ścisłym tego słowa znaczeniu, służy im jako narzędzie walki. Oczywiście, przynajmniej na pozór, sytuacja sekretarza jest bez porównania korzystniejsza, zarówno jako męża tej kobiety, jak i sekretarza ministra, który szefa działu prasowego najchętniej po prostu by rozdeptał, startł w pył - ale, i o tym wszyscy troje dobrze wiedzą, właśnie dlatego, że mógłby, jednak tego nie robi. Ona, sekretarka, domyśla się, jaką minę robi teraz w ciemności Kóves: minę nie wiedzącego, nieświadomego, bo on tego nie rozumie, jego umysł pracuje inaczej - ona, sekretarka, nie mówi tego lekceważąco, wręcz przeciwnie, mówi z uznaniem, pod pewnym względem wręcz z podziwem dla sposobu rozumowania Kóvesa - ale cóż robić, taka jest władza, tak działa, jeśli nie można jej sprawować, przestaje być władzą. Och, co Kóves może o tym wiedzieć - nic, a nawet mniej niż nic. Na przykład pewnego pięknego dnia szef działu prasowego dostaje od kobiety oschły, bezlitosny list, w którym z nim zrywa, depreczując wszystkie łączące ich uczucia. Szef nie wie, co się stało, całymi dniami, bladej jak śmierć, snuje się po biurze, nie jest w stanie ukryć bólu, twarz raz po raz wykrzywia mu grymas cierpienia, poniżenia, czeka na jej telefon, próbuje dodzwonić się do kobiety, ale jej nie zastaje, mówią, że jej nie ma, pod pretekstem choroby może przez wiele dni nie pokaże się w ministerstwie; dopóki, powiedzmy, po tygodniu, znowu nie zadzwoni telefon albo nie przyjdzie list i kobieta - na przykład - donosi w nim, że każde słowo poprzedniego listu było dyktowane przez jej męża, sekretarza, który wpadł na jakiś trop - jakiś papier, który ją zdradził, albo dotarli do jego uszu jakieś nowe plotki - i ona, kobieta, napisała ów list pod przymusem, pod straszną presją, napisała, co jej dyktowano, wyłącznie po to, żeby odsunąć chwilowe zagrożenie, ale każde słowo było dla niej prawdziwą torturą. No tak, ale tymczasem szef również przeżywał tortury; chociaż nie był to pierwszy taki wypadek - och, gdzie tam pierwszy, nawet nie drugi - on jednak uwierzył

312

313

w każde słowo owego listu, wyobrażał już sobie, że go zdradzili, opuścili, a nawet uknuli przeciwko niemu spisek, i teraz w każdej chwili może na niego spaść gniew i zemsta sekretarza; wyobrażał ich sobie w małżeńskim łóżu, jak szukając nowych podniet, rozmawiają o nim i jak w szczytowym, momencie uniesienia może nawet hańbią jego imię; co więcej - i chociaż nie wierzył w to na poważnie, mimo że takich przykładów akurat nie brakuje - wyobrażał sobie, że go zabijają, tak, nawet bawił się tą myślą, z prawdziwą rozkoszą przedstawiał sobie scenę, kiedy sekretarz wraca do domu z rękami unurzanymi w jego krwi, wyznaje żonie zbrodnię, a kobieta mówi na to jedynie: dziękuję. - Tak, wymyśla takie rzeczy, i człowiekowi serce się kraje, naprawdę żal patrzeć,

jak się męczy, jak się zadrecza. Taki się czasem wydaje załamany, tak potrzebuje pomocy, że człowiek nie wie doprawdy, co ma w pierwszej chwili zrobić, żeby go pocieszyć, podnieść na duchu, jakkolwiek... jakkolwiek to tylko władza, teatr władzy, nic więcej. Tak ten mechanizm działa, takie są jego prawidła, tak wygląda władza, jak się jej używa, i ona, sekretarka, jest strasznie ciekawa, czy szef działu prasowego naprawdę kocha żonę sekretarza ministra, jak to sobie ona sama może wyobraza, czy też - jak ona, sekretarka, w wyniku wielogodzinnych rozmyślań i nieprzespanych nocy sądzi - osoba tej kobiety jest dla niego jedynie łupem. Bo cóż warta byłaby dla niego owa kobieta, gdyby nie musiał jej wydierać sekretarzowi ministra; a dla sekretarza ministra cóż warta byłaby własna żona, gdyby jej ciągle nie podejrzewał, nie przyłapywał na kłamstwie, gdyby nie mógł jej wciąż od nowa rzucać sobie do stóp, jak skamlącego psa, i gdyby przy tej okazji nie dokładał również szefowi działu prasowego; a kobieta - cóż dla niej znaczyłoby

314

to wszystko, gdyby nie czuła, że ma władzę nad dwoma mężczyznami; i oto tych troje tak się już zaplątało, że nie wiedzą, kto nad kim panuje, kto jest na górze, a kto na dole i po co to wszystko robią, no ale robią, bo kiedyś zaczęli i teraz nie mogą już postępować inaczej...

Tak się więc rzeczy mają i bez wątpienia traci na tym ktoś, kto tego nie wie, kto da się zwieść pozorom, słowom szefa, kto, nie przymierzając jak... no, jak Kóves, z tą całą nowelą.

- Pewnie wyraziłeś o niej swoją opinię - spytała, czy raczej stwierdziła dziewczyna.

- Oczywiście - odpowiedział Kóves, przecież szef tego od niego oczekiwał, po to przeczytał mu swoje opowiadanie.

- I co powiedziałaś? - chciała wiedzieć dziewczyna, a Kúves, który, jak się okazało, już nie bardzo pamiętał, odpowiedział, że coś bez znaczenia, na dobrą sprawę same banały, zwykle w takich razach komplementy, że interesujące, że oryginalne i takie tam.

- Nic innego? - powątpiewała dziewczyna.

- Ależ tak - wyglądało na to, że Kóvesowi pamięć nagle się poprawiła - powiedziałem mu, że uważam to opowiadanie za historię symboliczną, przeziiera jednak przez nią prawda osobistego przeżycia.

- No widzisz - w tryumfalnym głosie dziewczyny była sama łagodność, samo pocieszenie. - Mógł pomyśleć, że znasz jego tajemnicę i że teraz ostatecznie jest zdany na twoją łaskę i niełaskę, że jego los jest w twoich rękach - dziewczyna mówiła tonem wręcz pieszczotliwym, jej ręka w ciemności odnalazła twarz Kovesa i pogłaskała ją, niczym twarz małego chłopca. - No proszę, oto skutki niewiedzy - karciała go.

315

- Tak - powiedział Kóves - wygląda na to, że ja nie jestem nim zainteresowany w tym stopniu co ty

- w tym momencie ręka zatrzymała się na jego twarzy, potem cofnęła, jak gdyby wraz z tą uwagą Kóves postawił się poza ich wspólnymi zmartwieniami, poza faktem ich podległości, jak gdyby wszedł na osobną ścieżkę i w ten sposób być może uraził dziewczynę. - Ileż ty o nim wiesz - ciągnął jednak, a w jego głosie kryło się już nie zdziwienie, ale wręcz podziw - znasz go tak, jak człowiek może znać jedynie swojego oprawcę - dodał.

- Mojego oprawcę?... Skąd ci coś takiego przyszło do głowy? Jak śmiesz coś takiego mówić? -

spytała dziewczyna zaskoczona, wprost obrażona, jak można się poczuć obrażonym chyba tylko prawdą. - A gdyby nawet tak było? - powiedziała później z tą swobodną, można by rzec, pogardliwą poufałością, jaką, na to wyglądało, zaszczyliły w niej minione intymne godziny - Może mam się z tym pogodzić?! Mam pozwolić, żeby mnie kopano, deptano?

Ale to prawdopodobnie zdarzyło się już rano, kiedy wraz z nastaniem dnia wszystko wracało na swoje miejsce, wracał porządek, który ich rozdzielił i wkrótce każe im zająć swoje miejsca, daleko od siebie, oni zaś już teraz obco, nieomal wrogo mierzyli się wzrokiem, w trzeźwiącym porannym świetle niejako likwidując swoje z góry skazane na niepowodzenie przedsięwzięcie - przynajmniej tak jakoś odczuwał to Kóves, zamroczony jeszcze nagłym zbudzeniem i pośpiesznym ubieraniem się, gdy tymczasem dziewczyna, już w sukni bez zarzutu, świeża, spowita obłóczkiem perfum, promieniejąca i chłodna, stała przed nim niczym (przyszło Kóvesowi do głowy, którą rozsadał ból) wyciąg-

nięty miecz i ponagliła go: niech się rusza, niech wychodzi, szybciej, żeby nie zjawili się w ministerstwie jednocześnie.

- Jesteś strasznie ambitna - powiedział, czy raczej poskarżył się Kóves, szukając jeszcze jakiejś ostatniej części garderoby, może płaszcz, a może krawata - zżera cię ambicja. Czego ty właściwie chcesz? - spytał, nie tyle z ciekawości, ile raczej po to, by wypełnić dźwiękami niezręczną ciszę, zanim skończy się ubierać.

Ale dziewczyna chyba źle go zrozumiała, bo odpowiedziała mu, wzburzona, poufale i pogardliwie, jak poprzednio:

- Jego - powiedziała - chcę jego, z powrotem - i nagle odwróciła się do Kóvesa plecami, Kóves odniósł wrażenie, że drżą jej ramiona, po chwili usłyszał zdławiony i natychmiast powstrzymany szloch. Kiedy jednak próbował się zbliżyć: - Nie dotykaj mnie! - krzyknęła dziewczyna, i: - Ruszaj, idź już! - dodała z nagłym gniewem, na co Kóves, miał wrażenie, nie zasłużył, bo przecież nie zrobił dziewczynie krzywdy, a jeśli nawet zrobił, to nie chciał tego. - Nie myśl sobie, że wparaduję z tobą pod rękę do ministerstwa, gdzie czeka na ciebie wypowiedzenie!

- Wypowiedzenie? - zdumiał się Kóves, oczywiście nie sama wiadomość go zaskoczyła, tylko to, że się jej nie spodziewał: w tym miejscu, w tym czasie i w tych okolicznościach. - Skąd wiesz? - spytał trochę później, i oczywiście nie miał najmniejszego zamiaru ruszyć się z miejsca.

- Wczoraj rano przepisywałam je na maszynie - dziewczyna odwróciła się teraz do Kóvesa, głos jej złągodniał, a na twarzy pojawiło się nieomal zażenowanie i współczucie.

Wkrótce Kóves znalazł się na obcej klatce schodowej, potem na ulicy, gdzie przez parę chwil zastanawiał się, dokąd właściwie ma teraz pójść.

## ROZDZIAŁ

### Zmiana kierunku

Niedługo potem - w każdym razie było już przedpołudnie, dochodziła dziesiąta - Kóves stał na jakiejś innej klatce schodowej i - tak jak mu powiedziano - zadzwonił raz, potem dwa razy, a w końcu trzy razy do drzwi bez tabliczki z nazwiskiem lokatora, poobijanych i zniszczonych, pamiętających jednak lepsze czasy, za którymi teraz słychać było niechętny ruch i w uchylonym okienku wizjera ukazała się łysa na czubku, jajowata głowa, mięsista twarz, ponuro spoglądająca para oczu, a potem rozległ się metaliczny, wysoki, podobny nieomal do trąbki głos:

- To pan?!... - zdumiał się Berg. Potem zazgrzytał klucz, zamek ustąpił, i Kóves znalazł się w mrocznym pomieszczeniu - czymś w rodzaju przedpokoju, zaraz uderzył barkiem o jedną z dwóch pokracznych szaf różnych rozmiarów - skąd następnie przez otwarte oszklone drzwi wszedł dalej, do nieco większego i jaśniejszego pokoju. Na pierwszy rzut oka pokój wydawał się dziwny, a jego dziwność nie brała się z tego, że na podłodze leżały, służące widocznie jako dywan, dwa niebieskie koce - jeden ciemniejszy i jeden jaśniejszy, że stały tam dwa wyplatane i przy drewnianych ramach nieco wystrzępione fotele oraz taki sam taboret, ani ze stojących przy ścianie, zapadniętych pośrodku dwóch mebli

do siedzenia i leżenia, czegoś w rodzaju reklamery, tylko raczej z jakiegoś braku; dopiero potem Kóves zauważył, że brakowało chyba stołu, który teraz dostrzegł koło kaflowego pieca w kącie w głębi pokoju, na stole zaś stała wysłużona lampa, leżało mnóstwo zapisanych kartek, zatemperowane i niezatemperowane ołówki, czerwona temperówka oraz mała metalowa taca, a na niej gęsiego, jakby maszerowały wprost w kierunku pieca, ptifurki - jedna z zielonym lukrem, jedna z białym, jedna z różowym i jedna z czekoladowym, jak również szklanka wody, w przesmyku zaś pomiędzy kaflowym piecem a stołem znajdował się drugi wyplatany taboret, prawdopodobnie ten, z którego Berg się podniósł, kiedy Kóves zadzwonił.

- Czemu zawdzięczam... Jak pan wpadł na to, żeby... Skąd pan wie, jak należy dzwonić? - Berg z trudem powstrzymał się od dalszych pytań, wyraźnie nie był zachwycony, że musi przyjąć gościa.

- Stąd, skąd mam również adres - uśmiechnął się niepewnie, nieomal przepraszająco Kóves.

- A więc przychodzi pan z Mórz Południowych? - spytał Berg.

- Stamtąd - potwierdził Kóves, wciąż jeszcze trochę niepewnie, jakby sam się temu dziwił. Bo rano wprawdzie z mieszkania sekretarki ruszył do Ministerstwa Produkcji -tak na wszelki wypadek, choćby po to, żeby odebrać wypowiedzenie - ale po drodze widocznie zmienił zdanie, ponieważ niedługo potem złapał się na tym, że siedzi w Morzach Południowych i zamawia u Aliz jakieś wystawne śniadanie. Od słowa do słowa, i nagle Kóvesowi - może z powodu niewyspania, w głowie bowiem wciąż jeszcze miał zamęt: przeżycia ostatniej nocy i nieuporządkowane myśli, nieuwaga

320

zatem mogła być powodem, że nagle po prostu wypsnęło mu się pytanie, z którym nosił się od dawna, a mianowicie: -Jak się miewa pani towarzysz życia? - na co Aliz odpowiedziała, że jeśli naprawdę jest tego ciekaw, niech go odwiedzi.

- Gdzie? - spytał Kóves, chyba mniej zdziwiony, niżby to wynikało z okoliczności. - W domu - odpowiedziała Aliz, tak naturalnie, jak gdyby Kóves był ich serdecznym przyjacielem, stałym bywalcem, z jej spojrzenia Kuves wyczytał coś w rodzaju niemego błagania. Potem pamiętał jeszcze, że Aliz długo mu się skarżyła, opowiadała, że Berg od tygodni, a może nawet już od miesięcy, nie rusza się z domu i gdyby ona, Aliz, nie przyniosła i nie postawiła przed nim obiadu i kolacji, to na pewno by nie jadł i nawet by nie zauważył, że nie je, tylko po prostu umarłby z głodu; że nadaremnie mówi mu, aby czasem gdzieś wyszedł, poszedł do kawiarni, aby nie patrzył ciągle na te same cztery ściany, ale wszystko na próżno, z Bergiem nie ma żadnej rozmowy, ciągle tylko myśli. - Nad czym? - spytał Kóves. - Nad swoją pracą - odpowiedziała wymijająco kelnerka, z jakąś niepojętą troską wobec obcej sobie działalności, co Kuvesowi w pierwszej chwili przywiodło na myśl niepokój Weigandowej, kiedy skarżyła mu się na syna. A na jego powątpiewające pytanie: - Czego oczekuje po tej wizycie? - z uśmiechem, w którym była jakaś niejasna nadzieja, kelnerka odpowiedziała jedynie:

- Tak mu się z panem dobrze rozmawiało... - i oto Kóves był w mieszkaniu Berga.

- Martwią się o pana - powiedział więc teraz, może trochę tytułem usprawiedliwienia, z nikłym uśmiechem, jak ktoś, kto jedynie wiernie powtarza wiadomość o owym martwieniu się, czyni to jednak z należytą powagą, jakby spełniał misję. •!»|

321

Ale wyglądało na to, że Berga nie da się tak łatwo zwieść.

- Być może martwią się o mnie - powiedział dźwięcznym głosem - ale pana nie sprowadziło tutaj owo martwienie się.

- Nie - przyznał Kóves, po czym jak ktoś, kto krępuje się szczerego wyznania: - Bezradność - dodał z nieco wymuszonym uśmiechem. - Nie przeszkadzam? - spytał następnie.

- Widzi pan - Berg ponuro spojrzał na stół - pracuję - po czym kładąc dłoń na leżących tam papierach niczym na jakimś niespokojnym zwierzęciu, wyminął stół i ciężkim, jakkolwiek niepozobawionym proporcji ciałem opadł na taboret, zawieszając przelotnie, chociaż surowo i skrupulatnie, jak strażnik na więźniach, wzrok na pufkach.

- Pan pisze?... - spytał Kóves po chwili, z jakimś mimowolnym taktownym współczuciem, rozkładając przy tym ręce i z lekka ściągając usta.

- Piszę - powiedział Berg, przyznając to gniewnie, jakby go ktoś przyłapał na słabości, którą sam potępia.

- Co? - drażył dalej Kóves po kolejnej chwili ciszy, którą niejako darował rozmówcy, a Berg, zdziwiony, podniósł swój ciężki wzrok, patrząc gdzieś poprzez Kuvesa.

- Co?... - powtórzył niczym echo jego pytanie, jak gdyby po raz pierwszy teraz o tym pomyślał. - Pismo - powiedział następnie, i tym razem na Kóvesa przyszła kolej, żeby się zdziwić.

- Co pan przez to rozumie? - spytał.

- A co miałbym rozumieć? - Berg z jakąś pogodną bezradnością parę razy wzruszył ramionami, nagle przestał robić wrażenie człowieka, który zdobywa się na wysiłek, jak gdyby obecność Kóvesa już go nie krępowała. - Człowiek

322

- ciągnął - zawsze pisze pismo, albo przynajmniej powinien je zawsze pisać, skoro pisze.
- Dobrze - chociaż Berg, jak widać, zapomniał mu zaproponować, żeby usiadł, Kuves opadł jednak na fotel stojący naprzeciwko Berga, ale trochę na ukos, ostrożnie rozprostowując wystające z drewnianej ramy i kłujące w udo kawałki wikliny - w takim razie inaczej zadam to pytanie: o czym jest pańskie pismo?
- O łasce - odpowiedział Berg natychmiast, bez chwili wahania.
- Rozumiem - powiedział Kóves, jakkolwiek niewiele chyba zrozumiał, bo zaraz potem spytał: - Co pan rozumie przez łaskę?
- To, co konieczne - brzmiała odpowiedź, równie szybka, jak ta przed chwilą.
- A co jest konieczne? - indagował dalej Kóves, jakby uznał, że chwila jest sprzyjająca i trzeba ją wykorzystać

Ale:

- Znowu pan źle stawia pytanie - machnął Berg, a jego ręka, niczym nieodwołalna decyzja, spadła nagle na ptifurki robiąc wśród nich wyrwę; spojrzeniem badawczo omiatał stół: zapewne szukał serwetki - kto wie, może w pierwszym odruchu sądził, że jest w Morzach Południowych - której oczywiście nie znalazł, a więc jedynie pocierając o siebie lepkie zapewne koniuszki palców, mógł je wytrzeć. - Należałoby raczej zapytać: co nie jest konieczne.
- No więc - Kóves niejako zastosował się do wskazówki Berga i niczym zagadkę zadał mu pytanie: - Co nie jest konieczne?
- Życie - odpowiedział Berg z lodowatym uśmiechem wokół ust, jakby miał za sobą jakiś bezwzględny, dokonany

323

z bezlitosną determinacją czyn; chociaż - Kóves również mógł o tym zas'wiadczyć - unicestwił tylko jedną pti-furkę.

- Nigdy jeszcze od nikogo żyjącego nie słyszałem, żeby zadał pytanie, czy to, że żyje, jest konieczne - zaproponował Kóves, być może ostrzej niż zamierzał.
- To, że nie stawia się takiego pytania, nie znaczy jeszcze, że samo pytanie nie jest pytaniem - wzruszył ramionami Berg.
- Może - zamyślił się Kóves - lepiej zrozumiałbym, co pan mówi, gdybym poznał to, co pan pisze.
- Nie wydaje mi się, bo niby jak miałby pan to poznać?! - powiedział Berg z powątpiewaniem.
- Mam pomysł - spróbował ostrożnie Kóves. - Mógłby mi pan to przeczytać - wykrztusił następnie, po czym na dłuższą chwilę zapadła cisza.
- Prawdę mówiąc - odezwał się w końcu Berg - właśnie do tego się szykowałem, kiedy pan zadzwonił. Albowiem - zawahał się - albowiem - ciągnął mimo wszystko - skończyłem pewien ustęp i ja... no więc, a zresztą wszystko mi jedno, co pan sobie o tym pomyśli!... lubię głośno poćwiczyć dykcję. Ale nie byłem przygotowany na to - dodał - że będę miał słuchacza...
- Może tak będzie bardziej naturalnie - zastanawiał się Kóves.
- Co pan przez to rozumie? - tym razem Berg nie rozumiał.
- To, że skoro już pan pisze - próbował tłumaczyć się Kóves - to jest naturalne, że... Słowem - uśmiechnął się, zachęcając Berga - to naturalne, że artysta ma publiczność...

Ale wydaje się, że popełnił błąd, bo twarz Berga spo-chmurniała, jak gdyby ta zachęta raczej odebrała mu ochotę do występu.

- Naturalny instynkt, który sprawia, że człowiek jest aktorem, wcale nie jest już taki naturalny - wymamrotał. Kóves nic na to nie odpowiedział, Berg natomiast zabrał się do jakichś drobnych porządków na stole, których celu Kóves z początku się nie domyślał, wkrótce jednak już wiedział: trwały przygotowania do czytania, nadal więc milczał. Wreszcie odezwał się Berg, ale wcale nie dlatego, że zaczął czytać.
- Chce pan ptifurkę? - spytał nieoczekiwanie, głosem trochę drżącym od tremy, nieomal posepnie.
- Dziękuję - Kóves odmówił - dopiero co jadłem śniadanie.

Wówczas, jak się zdawało, zaczął toczyć ze sobą walkę, w końcu wypił tylko łyk wody, po czym, nie zwracając już więcej uwagi na Kóvesa, dźwięcznym głosem, dobitnie, zrozumiale zaczął czytać,

poczynając od nieco zaskakującego, można powiedzieć uderzającego tytułu:

„Ja, kat...

Pisanie, Panie i Panowie, owo osobliwe i niewytłumaczalne pragnienie, żeby nadać formę i wyraz temu, czym jest nasze życie, to wielka, ale niebezpieczna pokusa. Mglistej tajemnicy naszego życia i tak nie wyjasnimy, lepiej więc byśmy zrobili, stojąc skromnie z boku i milcząc. A jednak coś nas ciągnie w światła rampy, chcemy skupić na sobie powszechną uwagę, niczym żądny sławy lichy aktor chcemy schować do kieszeni trochę uznania i odrobinę zrozu-

324

325

f

mienia. Ale cóż to zmieni we wszystkim, co już się zdarzyło i co jeszcze musi nastąpić? Mam nadzieję, że udzieli mi Państwo swojej łaskawej zgody, abym od takich właśnie myśli rozpoczął swoją książkę. Książkę, która zawierać będzie prawdziwą historię mojego życia - a w każdym razie wiarygodną historię pewnego interesującego i pouczającego życia. Oczywiście każde życie jest prawdziwe i pouczające. Ale nie każdemu życiu jest dane, by ktoś zaprezentował je światu w formie przemyślanej analizy i pogłębionego uogólnienia. Ja zaś tak właśnie będę mówił o swoim życiu - takie postanowienie podjąłem w ciągu tych jałowych dni, kiedy po raz pierwszy zrodził się we mnie pomysł, a właściwie przymus napisania tej książki, chociaż jeszcze się opierałem i walczyłem z pokusą. Upłynął mi na tym cały tydzień, cały cenny tydzień, którego nie sposób już odzyskać - teraz, kiedy już ostatecznie się zdecydowałem, zacząłem szanować czas, bo mam go tak mało. Ten tydzień - tak się składa, że zeszyły tydzień, jako że dzisiaj mamy poniedziałek - był zatem tygodniem podejmowania decyzji i wraz z bólami porodowymi wniósł do mojego życia pewne urozmaicenie. Ale żeby rozpocząć pracę, potrzebowałem być może owego tygodnia głębokich rozterek i wewnętrznych zmagania, tygodnia, który wydobył mnie z apatii ostatnich miesięcy i lat; i może mój wewnętrzny sprzeciw wobec pisania był jedynie naturalnym odruchem samoobronnym, pragnieniem ochrony bezpiecznej i na swój sposób wygodnej postawy duchowej przed przymusem ekspresji, który - można by rzec, wbrew mojej woli - każe mi wszystkiemu, co się już raz zdarzyło, przyjrzeć się od nowa i przeżyć to w ostrych i świeżych barwach, w wysokiej temperaturze

326

emocjonalnej - intensywniej niż w rzeczywistości. I to jest właśnie to, co powyżej nazwałem wielką i niebezpieczną pokusą.

A jednak, proszę, wziąłem się do pisania. Czuję się trochę tak, jakbym wszystko zaczynał od początku, jakkolwiek nie posuwam się naprzód, tylko kroczę raz przebytą drogą, wprawdzie podniecony, jakbym zaczynał od nowa, ale też pogodzony z tym, że niczego nie mogę już zmienić - mój tekst zresztą nie rości sobie pretensji do rozróżniania pomiędzy zdarzyło się i tak się zdarzyło, a więc do moralnej oceny rzeczywistości, ma być jedynie rodzajem nieodpowiedzialnej peregrynacji, jak pierwsza lepsza powieść. Muszę jednak powiedzieć, że ambitna przekora, którą budzi we mnie właśnie owa niezmiennosc rzeczy, znaczy dla mnie dużo więcej niż bodaj chwila poważnego rozpatrywania innego rodzaju możliwości, innego wariantu mojego życia. Nie, nie mam wcale ochoty zmieniać rzeczy, które się dokonały - i to z pozoru nonszalanckie wyrażenie jest w tym wypadku bardzo precyzyjne: bo właśnie nie mam na to ochoty. Oglądanie się wstecz to nie jest dla mnie jakaś wielka radość: moje życie nie jest pełne radości, ale jest załatwione i rozwiązane, a nawet jest to wzorowo rozwiązane życie. Takie życie, o którym warto mówić - przynajmniej ja mam takie wrażenie, chociaż prawo do ostatecznej decyzji w tej kwestii bez wątpienia należy do Czytelnika. Ponieważ, Panie i Panowie, abyśmy mogli mówić o naszym życiu, musimy umieć docenić swój los, z dziecięcym zdumieniem pochylić się nad drogą życiową, którą przebyliśmy. Moja książka jest owocem owego zdumienia, owego odzyskanego w ciągu spokojnych miesięcy zatrzymania i aresztu dziecięcego zadziwienia tym, co było moim życiem i co teraz,

327

w pełnym melancholii okresie niewoli oddziałuje na mnie z takim nieodpartym urokiem

obcości.....

Niechaj więc będą mu dzięki.

Chyba nie ma potrzeby podawania dokładnej daty; w każdym razie jest jesień, niebo od czasu do czasu pokrywają szare chmury, jak na to wskazuje skrawek horyzontu, który widać z małego okna mojego pokoiku, a mówiąc trafniej i ściślej - z celi, mojego przymusowego miejsca odosobnienia, i ów ołowiany świt znakomicie pasuje do mojego stanu ducha, do nastroju rozmarzenia. Jestem w tej dobrej sytuacji, że nie muszę, co więcej, po prostu mi nie wolno wychodzić na ulicę, bo przecież właśnie dlatego, żebym nie wychodził, jestem tu zamknięty, trzymany pod ścisłym nadzorem, który miłosiernie - jakkolwiek mając na celu ukaranie mnie - zdejmuje ze mnie odpowiedzialność za moje dalsze losy. Przynajmniej ja tak właśnie pojmuję swoją obecną sytuację życiową i głęboko bym ubolewał, gdyby - z owym upartym zaślepieniem i żalonym niezrozumieniem, tak zasmuczająco charakterystycznym dla świata - złożono to na karb mojej nikczemności.

A więc, skoro z taką miłosierną surowością odcięto mnie od świata - deszczowej pogody nigdy nie znosiłem, a zwłaszcza wiatru, tego przenikliwego, wilgotnego wiatru, który jest jednym z przekleństw naszego pełnego przeciągów miasta, zawsze czułem się nim przybity i podminowany - w swojej przyjemnie ogrzewanej celi, bez niemiłego wpływu czynników zewnętrznych, mogę się swobodnie oddać takiemu spędzaniu czasu, jakie lubię, mogę sobie wedle uznania rzucić na papier to, co akurat uważam za stosowne i potrzebne - i co działa na mnie odświeżająco po

protokołowanych przesłuchaniach i rozprawach sądowych, gdzie mogę tylko odpowiadać na to, o co mnie pytają i gdzie mogę się zaprezentować tylko w takim świetle, jakie mi narzuca. To próżność - powiedzą Państwo i oczywiście będą mieli Państwo rację, ale nie do końca, jak to zwykle bywa. Bo moim zdaniem, jako że przy okazji jestem człowiekiem ducha i kultury, a może nawet nie przy okazji, bo przecież po zakończeniu dotychczasowej drogi życiowej wracam oto do zajęć umysłowych; a więc moim zdaniem na pewno zasługuje na uwagę ten, kto chce się pokazać w pełniejszym świetle, aby uzupełnić - zawsze jednostronny - obraz, jaki świat sobie stworzył, postrzegając go powierzchownie; takiego dążenia nie można po prostu zbyć jednym karcącym słowem i w zaślepieniu go zlekceważyć. W każdym razie pocieszające jest to, że mam jeszcze czas i okazję, żeby się poświęcić zaspokojeniu tej swojej późnej i na pewno zaskakującej potrzeby - co świadczy o przewadze więzień cywilizowanych nad naszymi więzieniami, które, by tak rzec, miały same wady.

Z góry proszę o wybaczenie, że w dalszym ciągu swojego wystąpienia przybliżać będę własny wizerunek nieco kapryśnie, może nieco chaotycznie - przeplatając główny wątek dywagacjami, które jednak wydają mi się konieczne, ostatecznie bowiem należą do mojego obrazu - bo jakkolwiek jestem człowiekiem ducha i kultury, to nie jestem literatem, przynajmniej w praktycznym tego słowa znaczeniu nim nie jestem. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak zdać się na otrzymany od natury talent, wycucie formy i szczególną wrażliwość na zjawiska życia, słowem, na przyrodzoną mi i przyswojoną własną kulturę. A to przecież niemało: bo - skoro, jak mówię, nie jestem literatem - w dziedzinie tego rodzaju wyznań, tekstów autobiograficznych, jako

328

329

debiutant mam do dyspozycji wspaniałe wzorce, urzekające przykłady bardziej oświeconych epok czy wręcz epoki oświecenia albo choćby przykłady wielkich pokutników i wyznawców wiary, i nawet jeśli tych wzorców nie doścignę, to czuję się powołany do czerpania odwagi z ich wycienionej precyzji, z ich heroicznej szczerości, z ich wielkich starań, by stanowić naukę i pocieszenie. Mają Państwo prawo, kiedy wspominam te wzniosłe przykłady, z dezaprobatą kręcić głową, karcąc mnie za zuchwały brak taktu i przypisując mi bezwstydną brak zahamowań, z jakim ośmielałem się nawiązywać do wspomnianych wyżej czyniących dobro, pożytecznych jednostek ja, element przestępczy, jak to z mojego dotychczasowego wykładu wynika; gdyby jeszcze Państwo wiedzieli, kim naprawdę jestem, chociaż w tytule swojej książki już na to wskazałem. I gdyby w dodatku znali Państwo moje nazwisko, to słusznie osławione nazwisko, które w jednym z poniższych akapitów odsłonię przed Czytelnikiem! Nie miałbym nic na swoją obronę wobec takich zarzutów, mógłbym tylko z goryczą znowu stwierdzić, że świat większy nacisk kładzie na niezłomność swoich



moralnych wyobrażeń niż na przyjęcie do wiadomości prawdy; że skłania się raczej ku osądzeniu niż ocenianiu; że zamiast wejrzeć w istotę rzeczy, woli załatwić sprawę paroma utartymi banałami. Ja natomiast, który stanę przed trybunałem obciążony śmiercią 30 000 ludzi, jestem w stanie wznieść się ponad swój los i ku swojemu miłemu zaskoczeniu - a zapewne również ku zaskoczeniu świata - czuję w sobie jeszcze tyle odpowiedzialnego zainteresowania życiem, by nie wahać się swoich ostatnich dni, ostatnich godzin spędzić na moralizowaniu -niech Państwo sami przyznają, że nie bez talentu i wcale

zręcznie. I jeśli nawet nie mogę żądać, by mnie Państwo, wbrew swemu przekonaniu, uważali przede wszystkim za moralistę, to niech przynajmniej poświęcą Państwo temu zjawisku tyle uwagi i otwartości, na ile zasługuje. Bo oto okazuje się, że również w swoim specyficznym zawodzie byłem w stanie zachować pierwotne, oparte na wychowaniu, na wpojonej mi duchowej i umysłowej kulturze przekonania, jak gdyby nic się nie stało, to znaczy jak gdyby to wszystko, co się stało, stało się mimochodem, na marginesie, bez mojej pełnej wiedzy i zaangażowania, więcej, właściwie bez mojej zgody, jakby wynikało jedynie ze stwierdzenia faktu, że muszę, że nie mogę się sprzeciwić nałożonemu na mnie obowiązкови, narzuconemu mi porządkowi, swojemu określönemu gdzieś wyżej zadaniu, nawet jeśli stało ono w tak rażącej sprzeczności z moimi poglądami i skłonnościami.

Czy uwierzą Państwo, że ten fakt, którego odsłonięcie zapewne ściągnie na moją głowę jedynie nowe gromy, wzbudzi powszechne przerażenie i oburzenie, zamiast skłonić Państwa do okazania mi nieco więcej współczucia (zyskanie współczucia nie jest zresztą moim celem; w ogóle nie mam w związku z Państwem żadnego celu): otóż czy uwierzą Państwo, że ten fakt przede wszystkim dla mnie samego nie jest żadnym pocieszeniem, że przysparza mi więcej goryczy, dni i nocy strawionych na rozmyślaniach aniżeli pociechy płynącej z cichej satysfakcji, że mam taki stały charakter? Niech mi Państwo wierzą, że zrobiłem wszystko, że w czasie wykonywania swojego specyficznego zawodu wykorzystałem każdą okazję, by schamieć, by stać się prostakiem, zwierzęco niewrażliwym, stępiönym jak neandertalczyk - ale niestety, nie udało mi się. Moja kultura duchowa jest na to

330

331

zbyt subtelna, mój umysł za bardzo wykształcony, a spustoszenia, jakich w nim dokonano, do czego później, z konieczności dostosowania się - i może z pewnej ciekawości, pragnienia poznania - przyczyniłem się sam, nie potrafiły naruszyć zasadniczych, ukształtowanych już cech mojego charakteru; i w końcu ów charakter, rozumnie godząc się z okolicznościami, przystał jedynie na pozory, jakkolwiek owe pozory czasami paskudnie mieszały się z rzeczywistością. Teraz więc stoję tutaj - ściślej, siedzę - obarczony konsekwencjami tego wszystkiego, i coraz częściej odczuwam potrzebę przedstawienia owej pozornej rzeczywistości, to znaczy potrzebę przedstawienia pełniejszego obrazu samego siebie, uzupełniając wiedzę o moich czynach, jest to zatem - uważam - niezwykle godna uwagi potrzeba, którą wcześniej wprowadzili Państwo próżnością, ale chyba muszą Państwo przyznać, że ze społecznego punktu widzenia jest to najbardziej korzystna, zbawienna wręcz forma próżności.

I w ten oto sposób dotarłem do punktu, w którym znowu z dezaprobatą kręca Państwo głową, i do Waszych małostkowych zastrzeżeń. Ośmielę się bowiem zapytać: dlaczego odkryciu się człowieka - który spenetrował pewne otchłanie życia i gotów jest bez żadnego mizdrzenia się oddać światu do dyspozycji wnioski, jakie z tego wyciągnął - należałoby zdaniem Państwa przypisać mniejszą wartość aniżeli świadectwu kogoś, kto poruszał się w obszarze mniej szkodliwych skrajności, zakładając, że ten pierwszy pojmuje i interpretuje swoje życie na tej samej płaszczyźnie moralnej i ma w sobie tyle ludzkiej odwagi i żywotnej siły twórczej, by przerzucić pomost ku temu, co ogólne, co powszechne - nawet jeśli artystyczne ujęcie i forma pozostawiają to

332

i owo do życzenia, co wynika z braku wprawy autora i niedostatku czasu? Jednakże Państwo protestują przeciwko wysłuchaniu mnie właśnie w imię moralności, jakbym stracił do tego prawo, jakbym był kimś, kogo można jedynie przesłuchać, a nie wysłuchać, jakbym nie był godzien

Waszego współczucia i jakbym nie mógł służyć żadną pożyteczną nową informacją, żadnym wnioskiem, który pobudza do refleksji. Bo chyba nie pomylę się, jeśli stwierdzę, że w głośnych wyznaniach pociąga Państwa nie ich skrajna osobliwość i skrajna indywidualność, lecz raczej to, co w krańcowej nawet skrajności wspólne, powszechne, co i Państwa dotyczy i co, szczęśliwi, odkrywają Państwo na przykład w słowach pewnego dżentelmena o wrażliwej duszy, potrafiącego ją wyrazić i posiadającego żywą wyobraźnię, w ogóle dżentelmena w każdym calu, którego wyniósł na szczyty jego talent i jego nieszkodliwość i który wspaniale zaspokaja Państwa marzenia, jakie snujecie o sobie samych. Ze mną natomiast pod żadnym pozorem nie chcą Państwo mieć nic wspólnego; najchętniej widzielibyście we mnie bestię, osobliwe dzikie zwierzę, a w każdym razie kogoś takiego, kto jest zupełnie obcy Waszej naturze, z kim niemożliwy jest żaden żywy kontakt; uspokaja Was to, że pozorna rzeczywistość stworzona przez moje czyny w pełni usprawiedliwia takie przypuszczenia, a Wy wcale nie jesteście ciekawi pełniejszego obrazu rzeczywistości - rozumiem to Wasze dążenie, ośmielam się jednak zauważyć, że nie jest ono niczym innym niż mamieniem samych siebie, co Państwu nie przystoi. A teraz, choć skromnie, to zdecydowanie oznajmię swoje prawo do bycia człowiekiem, swój związek z tym, co powszechne, mimo że nie chcecie o mnie słyszeć, w imię moralności odwracacie

333

ode mnie wzrok, żebym przypadkiem nie zmusił Was do odrobiny zrozumienia, współczucia - czyli do tego, byście dostrzegli we mnie jakąś, choćby najmniejszą, cząstkę samych siebie.

Sądzę, że już wiem: Państwo boją się moich wyznań. To mnie jednak nie interesuje i nie tylko nie każe mi się cofnąć, ale wręcz przeciwnie, podnieca mnie i dopinguje. Znam ten strach, który już samo nasze pojawienie się - w wysokich butach, z pistoletem u pasa - nasze nieodparcie przerażające pojawienie się wzbudzało w ludziach, strach, który - wbrew ich woli - mieszał się z jakąś przyprawiającą o mdłości, oporną rozkoszą, tym większą, że właśnie ich woli przeciwną - o, znam to uczucie, to ono popchnęło mnie do zawodu i potem, niejako z zemsty za samego siebie, z coraz większą namiętnością ścigałem je, drżąc z pragnienia, ażeby i inni przeżywali to samo, żeby ich również opętało, żeby głęboko wżarło im się w duszę i żeby rozpałiło w nich tę lubieżną wolność, tę nienawistną, niszczącą duszę rozkosz, jaką przeżywają w swoim strachu: powiadam, znam ten strach, który tym razem nie poprzez swoje rzeczywiste, ale magiczne pojawienie się, to znaczy poprzez ukazanie siebie w słowach, w języku, pragnę zaszczepić Państwu, abyście wyciągnęli z tego naukę moralną.

I to jest ten punkt, w którym czuję, zdecydowanie czuję, że nie mam powodu rumienić się za swoje przedsięwzięcie przed wspomnianymi wyżej istotami czyniącymi dobro; że pod względem owej dobroczynności moje odsłonięcie się w niczym nie ustępuje podobnym ich gestom, przy założeniu oczywiście, że będą mieli Państwo odwagę, przyglądając się mojej skrajnie indywidualnej drodze życiowej, odkryć, co dla Państwa jest we mnie dobroczynne. A jest to

334

przede wszystkim fakt, że swoją drogę przebyłem ja, a nie Państwo.

Czuję, że to sformułowanie jest trochę niejasne i może stać się źródłem nieporozumień, co z kolei może doprowadzić do tego, że Państwo świadomie przystaną na nieporozumienie. Muszę mówić jasno, jak do ludzi, którzy stawiają sobie za cel zwalczanie upartego oporu świata wobec prawd bezwzględnych. Ale dlaczego właściwie miałbym owijać rzecz w bawełnę? Moja dobroczynność kryje się właśnie w bezwzględności - kryje się, dopóki jej bezwzględnie nie wydobędę na światło dzienne - w mojej bezwzględności, na którą wszyscy liczyliśmy, jak się później okaże. A więc co to ja chciałem powiedzieć? Nic ponadto, że w moim skrajnie zdziaczałym losie powinni Państwo odnaleźć swoje zbawienie, jako że mógł to być również los Państwa, i że przeżyłem go nie wbrew Państwu, lecz zamiast Państwa.

Teraz, kiedy wypowiedziałem te słowa - najpierw wypowiedziałem je w duchu, potem zapisałem, a następnie z upodobaniem znowu głośno wypowiedziałem, co zalecałbym również Czytelnikowi - ogarnia mnie niesłychane podniecenie, ponieważ czuję, że udało mi się wreszcie uchwycić istotę kłębiących się we mnie myśli i emocji, a nawet istotę mojego losu, istotę uczucia, które w zasadniczy sposób określiło moją drogę życiową, uczyniło mnie tak wrażliwym na wolę

otaczającego mnie świata i które jest tak charakterystyczne dla mojego intymnego kontaktu ze światem. No, to ostatnie zdanie kazała mi wypowiedzieć właśnie ta moja szczególna wrażliwość. Tak: kiedy popełniłem swój decydujący czyn - pierwsze morderstwo - który potem okazał się nieodwołalnym wyborem, tylko dlatego że się

335

zdarzył i że mógł się zdarzyć, czyli że otworzyła się taka możliwość i że w gruncie rzeczy żadna inna możliwość się nie otworzyła; kiedy zatem swój decydujący czyn popełniłem pod wpływem zewnętrznego przymusu, ten zewnętrzny przymus - jak później zobaczycie - wcale nie istniał; tylko się we mnie po prostu nagromadził, stał się przymusem wewnętrznym, czyli powrócił do swojej pierwotnej formy. Bo zewnętrzny przymus jest jedynie przymusem drugorzędny, niczym innym, jak projekcją rzeczywistej woli, która staje się rzeczywista, jeśli rzeczywistość jej sprzyja. I luźne nitki takiego zewnętrznego przymusu, które nie są więzami rzeczywistej woli, świat mógłby z łatwością rozerwać. Ale nie, świat nic nie zrobił; z tłumionym podnieceniem czekał na rozwój wydarzeń, chciał zobaczyć, co się stanie, żeby potem poczuć na ten widok wstręt i zgrozę - na widok samego siebie. Kiedy ruszyłem swoją drogą życia i konsekwentnie ją przemierzyłem, nie stało się nic ponad to, że dzięki swojej niezwyklej wrażliwości zrozumiałem wolę świata, wolę Państwa - Waszą wolę powstała wbrew Waszemu sumieniu - i dzięki temu, że moje czyny, moja droga życiowa była rzeczywista, zbawiłem Was i zwróciłem Wam Wasze sumienie. Państwo jednak - ze znamienne dla świata niekon\*sekwencją - nie chcą o tym słyszeć i im wyraźniej dostrzegają Państwo istniejący między nami związek, tym gwałtowniej będą go Państwo negować, mnie zaś tym bardziej nienawidzić. Ja jednak nie ustąpię; i jak dyrygent, który po koncercie szerokim gestem wskazuje na orkiestrę, podkreślając, że źródła sukcesu należy szukać we wspólnym wysiłku, tak i ja wskażę na Państwa - ale oczywiście Państwo będą wiedzieli, że w gruncie rzeczy to mnie powinni Państwo klaskać, czyli że to mnie powinni Państwo powiesić.

336

I w gruncie rzeczy tak powinno być; w tej grze przeznaczyli mi Państwo rolę, którą, jeśli nawet z pewnym ociąganiem i bez specjalnej ochoty, to jednak przyjąłem, ponieważ - o czym już wspominałem - mam wyjątkowe wyczucie obrzędowych gier; i nic by mnie bardziej nie dotknęło niż oskarżenie o to, że psuję takie wyrafinowane zabawy, do czego, jak mniemam, po zapoznaniu się z moim osiągnięciem nie będą mieli Państwo powodów. Wzdragam się tylko przed jednym: żeby moralnego spokoju, o którym świadczy każde moje słowo, nie próbowali Państwo zrzucić na karb zepsucia, ponieważ nie chodzi o nic innego, jak o rzeczywisty spokój ducha.

Już słyszę Państwa pytania: Jak to? Chyba nikt nie chce tu głosić pochwały drogi życiowej, która w taki uderzający sposób zakpiła sobie z powszechnie przyjętych zasad, która w swoim łajdactwie tak dalece odbiegła od norm tworzących podstawę świata, że skończyła się przed trybunałem? Ale taki właśnie mam zamiar. Bo jeśli bym tego nie zrobił, to wprowadziłbym w błąd Czytelnika, który nigdy by nie zrozumiał tej szczególnej łaski, jaka przypadła mi w udziale.

Tak, powiedziałem - łaski. Bo to jest łaska, jeśli ktoś może spojrzeć wstecz na swoje życie ze spokojem - jest wprawdzie wypalony i zmęczony, niesłuchanie zmęczony, ale odczuwa spokój, i już samo to jest zwycięstwem. Muszę bowiem wyznać, że smuci mnie, ale i śmieszy, dążenie świata - wynikające po części z głupoty, po części zaś z tendencyjnego uprzedzenia - żeby moją drogę życiową uważać za fiasko, przede wszystkim w praktyczno-moralnym sensie, i żeby ten pogląd próbować narzucić i mnie w atmosferze ważniackiej wrzawy. Jednocześnie wyczuwam w tym

337

•If

nachalnym usiłowaniu jakiegoś gorącego pragnienia; jakiegoś ponaglącego, ale w gruncie rzeczy bezradnego błagania, jak gdyby ode mnie, od moich niecierpliwie i z troską oczekiwanych słów zależało, czy świat odzyska swoją dziecięcą wiarę w ideały. Wszystko obraca się wokół jednego zagadnienia, co do którego świat wykazuje teraz niezwykłą dla siebie, subtelną zdolność rozróżniania: a mianowicie, czy czuję się winien. Bo że jestem winien, o tym już zdecydowano, w przeciwnym razie nie byłbym tutaj, zamknięty i poddawany przesłuchaniom.

Ale przecież nie to jest ważne - i ku mojemu największemu zdumieniu ci, którzy podjęli się roli

moich sędziów, poszli dobrym tropem, robiąc rozróżnienie pomiędzy winą i poczuciem winy. Bo moralny sens wyroku, katharsis tak ważne dla każdego wyroku, jeśli wydający go ma przekonanie, że stoi na gruncie moralności, zależy wyłącznie ode mnie - ja zdecyduję, czy się ostanie, czy padnie - od tego, czy przypieczętuję go swoim poczuciem winy, czy przepoję go duchem i nadam mu ideowy wymiar. Z jakimż współczuciem, z jakimż politowaniem - i z jakąż pogardą - patrzę na to żalosne oczekiwanie, na ten postulat, który świat zgłasza pod moim adresem, zdradzając tym samym, jak niepewny jest grunt, na którym opiera się jego moralna równowaga!

A więc nie ja jestem tym, który psuje zabawę: to Państwo psują zabawę. Państwo, odpychając mnie od siebie, nie chcąc nawet słyszeć o cichej zgodzie, jaka między nami panuje, kręcąc nosem na myśl o takiej możliwości, chcąc teraz widzieć mój los, za wspólną zgodą ukształtowany tak, jak został ukształtowany, jedynie jako obcy los skrajnie zdziżalej jednostki, która nie ma nic wspólnego z tym, co

wspólne, której najlepiej by się było czym prędzej pozbyć i szybko o niej zapomnieć, kiedy już obowiązkowo doznają Państwo wstrząsu.

Muszą Państwo przyznać: mam obowiązek protestować przeciwko takiemu fałszywemu rozwiązaniu - mam taki obowiązek, z jednej strony jako bezwzględny bliźni, który chce Państwa zmusić do refleksji, z drugiej zaś żeby obronić swoją godność, bo godność ta nie może znieść, by ją Państwo tak obłudnie wykorzystywali do osiągnięcia taniego duchowego spokoju.

Jeśli będą Państwo skłonni wejrzeć w siebie głębiej, to mnie Państwo zrozumieją. Ponieważ - Panie i Panowie! - my tutaj, w tym świecie jesteśmy na siebie bez reszty skazani w naszym bolesnym braterstwie; wszystko, co się tu dzieje, nabiera takiego znaczenia, że nie jesteśmy już w stanie rozerwać tego na strzępy, unicestwić, wyprzeć się tego przed sobą nawzajem. Musimy wziąć odpowiedzialność za siebie wzajemnie i za nasze historie - i nawet w najbardziej skrajnym wypadku nie pozostaje nam nic innego niż zastanowić się; jak w danej sytuacji sami byśmy próbowali uniknąć wpadki, nawet zupełnie niewinnej. I jeśli tak właśnie będą Państwo podchodzić do tego, co Państwu poniżej opowiem, to obie strony: Państwo i ja, dobrze na tym wyjdą - chociaż w końcu doprawdy nie wiem, czy pod tym względem łatwiej będzie Państwu, którzy będziecie dalej żyli z brzemieniem mojego losu, czy też mnie, którego, jak można oczekiwać, wyeliminujecie ze swojego kręgu, uwalniając tym samym miłosiernie od dalszego życia. W każdym razie znajduję ukojenie w myśli, że mój pisany z pewną oświatową tendencją życiorys stanowi zarazem słodką zemstę na świecie za mój los - na świecie, który nań pozwolił, który ścierpiął

338

339

ten los, a więc go pragnął - powiadam, słodką zemstę; i między innymi właśnie dlatego usiłowałem tak starannie przygotować wasze dusze, żebyście tę zemstę pojęli".

Argumenty, kontrargumenty; i pewna smutna konkluzja

Berg wypuścił z ręki na stół ostatnią kartkę papieru i spojrzał na Kóvesa, który teraz zmienił pozycję na trzeszczącym, niewygodnym fotelu - podczas czytania nie śmiał się poruszyć - i głosem pełnym oczekiwania, w napięciu, spytał:

- I?... - jak ktoś, kto nie pragnie wytchnienia, tylko natychmiast oczekuje dalszego ciągu.

Berg jednak rozłożył ręce.

- Koniec - uśmiechnął się.

-Jak to?! - zdumiał się Kóves. - Przecież na dobrą sprawę nawet pan nie zaczął!

- Gwoli ścisłości: usłyszał pan wstęp - objaśnił go Berg.

- Doszedłem do tego punktu, reszta jeszcze przede mną.

- Czyli wszystko! - Kóves wydawał się rozczarowany, a nawet zły. - Do tej pory słyszałem same kaznodziejskie popisy, masę stwierdzeń, w które albo uwierzę, albo nie, ponieważ... - Kóves szukał słowa, i wydaje się, nie na darmo przeszedł twardą szkołę Sziklaiego - ...ponieważ nie są podparte żadną akcją! - sformułował w końcu zarzut, a to, co powiedział, nie było wcale delikatne, Berg na chwilę jakby spochmurniał, ale chyba dostrzegł, że zniecierpliwienie Kóvesa wypływa w gruncie rzeczy z tego, że tekst mu się podobał albo przynajmniej wzbudził jego zainteresowanie.

- Niech pan chociaż z grubsza opowie, jaka jest fabuła

- domagał się Kóves. - A w ogóle kto jest tym człowiekiem? Kto posłużył panu za wzór?  
 - A któż miałby mi posłużyć, obcy? - odpowiedział pytaniem na pytanie Berg.  
 - Chce pan powiedzieć - nie dowierzał Kóves - że tym człowiekiem jest pan?  
 - Powiedzmy, że to jedna z moich możliwości - odpowiedział Berg. - Jedna z możliwych dróg łaski.

- A jakie inne drogi wchodzą jeszcze w rachubę? - chciał wiedzieć Kóves.

- Droga ofiary - brzmiała odpowiedź. i-

- I jaka jeszcze?... - naciskał Kóves. Na co jednak Berg odpowiedział:

- Tutaj tylko te dwie drogi są dane. - Nastąpiła krótka pauza, ręka Berga z wahaniem, niczym ręka ślepca, wyciągnęła się po ptifurkę, natrafiła na ciasteczko z zielonym lukrem, chwyciła je, potem odłożyła i podniosła czekoladowe, ale zaraz i to odłożyła, szybko, z determinacją, jak gdyby stosując się do solennego przyrzeczenia, o którym sobie nagle przypomniała.

- A pisanie? - odezwał się znów Kóves. - Czy pisanie to nie jest łaska?

- Nie - wysoki głos Berga zabrzmiał jak krótkie szczeknięcie.

- A zatem co?

I- - Zwlekanie. Wybieg. Obchodzenie - wyliczał Berg.

\* Odraczenie, oczywiście niemożliwe, wyboru łaski.

j - A zatem - spytał Kóves - jest pan katem czy ofiarą?

- Jednym i drugim - odpowiedział Berg, nieco zniecierpliwionym tonem, jak ktoś, kto musi objaśniać rzeczy |d dawna wiadome. Jego spojrzenie wędrowało po stole,

341

dopóki nie natrafiło na jakąś kartkę, którą wyjął teraz spośród papierów. - „Może - czytał z niej - byłoby dobrze na zmianę być katem i ofiarą”. - Berg odłożył kartkę i znowu spojrzał na Kóvesa. - Tak mówi pismo, a ja jestem tym, który spełnia jego przesłanie - powiedział.

- Co to za pismo? - zainteresował się Kóves. - Pan to napisał?

- Nie - odpowiedział Berg. - Kędy to napisano, jeszcze nie nastał czas. Czas - i swoim metalicznym głosem nadał temu słowu melodię, raczej je wyśpiewał, niż wypowiedział

- czas jest właśnie teraz.

Zamilkł, oparł się plecami o kaflowy piec, ręce, być może po to, żeby nie drżały, skrzyżował na piersi, spuścił głowę. Nieco później jednak znowu przemówił, ze spuszczoną głową, jak gdyby wcale nie zwracał się do Kóvesa, podobnie jak wtedy, kiedy poznali się w Morzach Południowych:

- Długo człowiek był zbędny, ale wolny. Od niego zależało, czy doprosi się tego, co konieczne, czyli łaski, bo przecież, jak już mówiłem, to jedno i to samo. Teraz jednak

- podniósł głos - człowiek jest tylko zbędny i swoją zbędność może odkupić jedynie przez służbę.

- Jaką służbę? - spytał Kóves, robiąc krótką przerwę, bo uznał, że tak wypada.

- Służbę dla porządku - Berg znowu podniósł na niego wzrok.

- Jakiego porządku? - Kóves nieco nieśmiało zadał następne pytanie - obawiał się, że Berg będzie miał dosyć rozmowy, nie mógł jednak przepuścić okazji, żeby się czegoś dowiedzieć.

Ale odpowiedź nadeszła, choć była zabarwiona lekką nutą gniewu:

342

- To zupełnie obojętne, wystarczy, że chodzi o porządek. - Berg znowu czegoś szukał, i tym razem wziął do ręki jakiś zabazgrany karteluszek. - Oto - powiedział - kilka słów, które nie znalazły się we wstępie, ale koniecznie muszą znaleźć się gdzieś w tekście - i zaczął czytać: - „Ponieważ, Panie i Panowie, wymogi życia wykraczają daleko poza granice moralnej wydolności człowieka, to uwierzcie mi, że tylko porządek, tylko ujęcie owych wymogów w zgrabny system może człowieka zbawić...”

Wyglądało na to, że teraz Kóves stracił cierpliwość:

- Ciągłe używa pan określeń - i nie czekał, aż Berg zawiesi głos - których nigdy nie słyszałem.

„Moralna wydolność”! - wykrzyknął. - Co pan rozumie przez moralność?

- Poczucie grzechu - odpowiedział Berg.

- Grzech! - unosił się dalej Kóves. - Co to jest grzech?

- Człowiek - powiedział Berg z chłodnym uśmiechem.
- Człowiek! - powtórzył jak echo Kuves. - A co jest grzechem człowieka?
- ; - Ze się go oskarża - powiedział Berg.
- Ale o co się go oskarża? - upierał się Kuves.
- O to, że jest grzeszny.
- Ale na czym polega jego grzech? - Kóves nie ustępował.
- Na tym, że się go oskarża - i jakkolwiek zatoczyli pełne koło, Kóves krzyknął, jak gdyby sądził, że mimo wszystko można się z niego wyrwać:
- Ale po co to robić?
- Co takiego? - spytał Berg.
- Po co oskarżać człowieka! - i na mięsistych wargach Berga znowu pojawił się zimny, błady uśmiech:

343

- Żeby zrozumiał swoją zbędność, a zrozumiawszy, wyzuty ze wszystkiego, żeby zapragnął łaski.
- Rozumiem - Kóves umilkł na pewien czas, chociaż ta odpowiedź, jak się zdaje, wcale go nie usatysfakcjonowała. A potem nagle spytał: - Czy istnieje jakiś inny świat poza tym, w którym żyjemy?
- Jakże mógłby istnieć?! - Berg wydawał się naprawdę dotknięty. - Nie wolno mu istnieć - dodał następnie surowo, jakby zabraniał.
- Dlaczego nie? - zainteresował się Kóves.
- Bo to by nas do reszty ograbiło. Nawet naszą zbędność uczyniłoby zbędną.
- A zatem - Kóves postawił teraz to pytanie - do kogo mówi pański „kat”? - i widać tym razem dotknął Berga do żywego, bo ten dopiero po długiej i ciężkiej wewnętrznej walce zdecydował się na odpowiedź:
- Jeśli się nawet wydaje, że w trakcie pisania powstaje jakiś inny świat, to wydaje się tak jedynie z powodu przeklętych praw gatunku, z powodu przeklętych wymogów tej gry, z powodu przeklętego wymogu ironii... A może się tak wydawać również tylko dlatego, że ten inny świat nie istnieje - powiedział w końcu.
- W naszych nadziejach powinien jednak istnieć - zabrzmiał nieśmiały kontrargument Kóvesa.
- Nie może istnieć, bo nie mamy w czym pokładać nadziei - uciął zaraz Berg.
- A jednak pan pisze - zgłosił swoje wątpliwości Kóves.
- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytał Berg.
- Ze jednak ma pan nadzieję - stwierdził Kóves.
- A zatem - i wokół ust Berga pojawił się teraz błady, pełen urazy uśmiech - oskarża mnie pan o oszustwo?

344

- "- Nazbyt wąsko określa pan granice - Kuves usiłował uniknąć odpowiedzi wprost. - Czegoś - wahał się - brakuje w pańskiej konstrukcji...
- Tak - w spojrzeniu Berga błysnęło szyderstwo - wiem, co pan teraz powie: że brakuje życia.
- Właśnie - przytaknął Kóves. - Mówi pan o porządku i myli go pan z życiem.
- Porządek - odezwał się Berg - to teren, to pole walki, na którym rozgrywa się życie.
- Być może; ale to jednak nie jest samo życie - kontr-argumentował Kuves. - Bo wyklucza pan przypadek i każdą inną szansę...
- Szansę? - zdumiał się Berg. - Co pan ma na myśli? - uśmiechnął się, jak się człowiek uśmiecha do dziecka.
- Nie wiem - Kóves był skrępowany i prawdopodobnie rzeczywiście nie wiedział, chociaż ta rozmowa przypominała mu pewną bardzo dawną rozmowę, którą prowadził z kimś innym wkrótce po przybyciu tutaj, a więc można by rzec, u zarania życia, w trakcie której wytaczał podobne argumenty: widać niewiele się od tamtej pory nauczył. - Mówi pan tak - odezwał się po chwili, w swojej bezsilności, ale zarazem w poczuciu, że ma rację, trochę rozdrażniony - jakbyśmy wszyscy znaleźli się w impasie, a tymczasem, jak widzę, pan się jakoś wcale nieźle wykaraskał.
- Twarde słowa - Berg był zaskoczony. - Proszę o dowody - zażądał następnie ponuro.

Ale wyglądało na to, że Kóves nie skorzysta z okazji:

- Co to jest ten... - spytał zamyślony - ten decydujący, pierwszy czyn, który, o ile dobrze pamiętam, popełnia pański bohater, wprowadzając pod presją zewnętrzną, ale jednak w sytuacji, kiedy ów przymus zewnętrzny nie istnieje?

345

- Tak - otrząsnął się Berg, który myślami błądził gdzieś daleko - to decydujący, mógłbym powiedzieć, chemicznie czysty element konstrukcji. Ale co to za czyn, tego jeszcze dokładnie nie wiem, to jeszcze - machnął ręką - muszę wymyślić.

- W takim razie - był ciekaw Kuves - skąd pan wie, że w ogóle go popełni?

- Musi go popełnić, bo przecież mówię, że konstrukcja jest gotowa - zniecierpliwił się Berg. - Początek i koniec już mam, nie widzę jeszcze tylko dostatecznie jasno drogi, która je łączy.

- Tak - skinął głową Kóves - a ta droga to właśnie życie. - Następnie, uśmiechając się, jak gdyby dopiero teraz je zauważył, powiedział: - Ma pan świeże ptifurki.

- Sam pan widzi - powiedział Berg nieco stłumionym głosem, zatapiając spojrzenie w Kuvesu - staram się zapanować nad tą słabością.

- Owszem - pośpiesznie przyznał Kóves - widzę. - A potem naraz złapał się na tym, że pyta: - A miłość... - i na chwilę utknął, jak gdyby teraz, kiedy już miał to za sobą, sam zaskoczony ujrzał w słowie, które mu się wymknęło, przeszkodę, która wydawała się nie do pokonania - czy miłość to nie jest łaska? - zadał jednak to pytanie.

Ale tym razem chyba naruszył jakąś tajemniczą granicę, bo na twarzy Berga odbiły się emocje tak silne, że Kóves naprawdę się przestraszył.

- A co ja mam z tym wspólnego?! - zagrmiał i nieomal wyskoczył zza stołu. - Nawet jeśli jest to łaska, to nie moja, ja co najwyżej jestem jej ofiarą... Tak - ciągnął - toleruję mnie takiego, jaki jestem - przecież pan widzi, jaki jestem - i dzięki opiece, a nawet pod pretekstem opieki, no więc

346

śmiało mogę powiedzieć, że tyranizują mnie, chociaż na pewno przeżywają to jako cierpienie...

- Dlaczego jako cierpienie? - w Kóvesu nad przerażeniem, że aż tak wytrącił Berga z równowagi, wzięła górę ciekawość.

- Bo tyran zawsze cierpi - fakt, że mógł wyłuszczyć swoje argumenty, trochę jednak Berga uspokajał. - Cierpi - ciągnął - z jednej strony sam z siebie, z drugiej zaś z powodu niespełnionej ambicji: jako że nigdy nie zapanuje bez reszty nad innymi - bo to jest niemożliwe, przecież zawsze znajdzie się jakieś schronienie, w ostateczności obłęd lub śmierć - i tak w końcu zwraca się przeciwko sobie. Wie pan, czasami sobie myślę, że męczennik jest najdoskonalszym tyranem. A przynajmniej to najczystsza forma tyranii, przed którą wszyscy chylą czoła... - Na jakiś czas pograżył się w myślach. - O - wykrzyknął potem nieoczekiwanie, porażająco, a w jego głosie brzmiała taka skarga, że Kóves, nieco zawstydzony i przejęty, spuścił głowę - jakie to straszne! Miłość, tak, pragniemy miłości, pragniemy być kochani, ale jednocześnie jakżeż to nas poniża! Jakimż tryumfem jest miłość! Jaką tyranią! I jaką niewolą!... Wiecznie gryzie sumienie, niczym hańba najbardziej krwawej zbrodni...

Po pierwszym, przeraźliwym okrzyku głos Berga schodził w coraz niższe rejestry, jego ostatnich słów Kóves właściwie nie rozumiał, Berg później coś jeszcze szeptał, czego jednak Kóves w ogóle już nie słyszał. Po pewnym czasie, kiedy już nie mógł być posądzony o brak taktu, Kóves ostrożnie wstał, wspomniawszy, że jest bardzo zmęczony, prawie nie spał tej nocy - co w końcu było prawdą, swojego wyczerpania też zresztą nie przywołał w charakterze czezej wymówki - toteż zmuszony jest się pożegnać; Berg spojrzał

347

na niego tak, jakby dopiero teraz spostrzegł, że ciągle tu jeszcze jest. Następnie również wstał, z niezwykłą uprzejmością - co sprawiło, że Kóves się zmieszał, ponieważ odniósł wrażenie, że w Bergu coś pękło, bo pochylił się, skurczył, w dodatku tego nie dostrzegając, tylko na jego twarzy pojawiło się jakieś skrępowanie i nieśmiałość, rzec by można, pokora - odprowadził Kuvesa do drzwi i tam, chyba niezupełnie jasno wyrażając swoje myśli - o ile jego myśli dotyczyły Kóvesa i słów, które do niego skierował - powiedział:

- Zawsze chętnie będę do pana dyspozycji - po czym Kóves, ku swojej wielkiej uldze, trudno zaprzeczyć, znowu znalazł się na zewnątrz, najpierw na klatce schodowej, potem na ulicy. Pieszo ruszył do domu - świeże powietrze mu nie zaszkodzi, w domu natomiast wreszcie się wyśpi: skoro już dostał wypowiedzenie, to przynajmniej nacieszy się odzyskaną wolnością - i wyglądało na to, że jego umysł wciąż jeszcze pochłonięty był rozmową z Bergiem, bo kiedy dotarł w pobliże domu, spostrzegł już tylko, że stoi w samym środku podnieconego zbiegowiska. Musiał się przepychać głównie wśród starców, kobiet i chorych - którzy nie mieli nic do roboty albo mieli czas z powodu swojego defektu - żeby dotrzeć do bramy, a ze słów, jakie wokół niego krążyły, zarejestrował tylko te, które powtarzano najczęściej: „na żyrandolu”, „koniec sznura”, „trzeba było wyważyć drzwi”, „potworność”, „zadzwonili po nią do biura” - słyszał zewsząd, tymczasem zauważył, że przed bramą stoi ciemny, kanciasty samochód, potem z domu wyszło dwóch mężczyzn, w czapkach i jakichś nieokreślonych bliżej uniformach, na noszach, które teraz wsuwali do skrzyni z tyłu wozu, leżała jakaś postać spowita od stóp do głów

w rodzaj prześcieradła, nie większa niż ciało nastoletniego chłopca. W tej samej chwili nienaturalnie ostry, urwany nagle krzyk rozdarł ciszę, która zapadła tuż przedtem jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, potem w drzwiach pojawiła się Weigandowa i Kóvesowi - oczywiście tylko z powodu wyczerpania, no i zaskoczenia - wydawało się, że to nie Weigandowa, lecz coś lub ktoś krzyczy przez jej gardło, porusza jej głowę i rękami, jakaś obca istota, która teraz w niej zamieszkała i której kobieta z przerażającą i niepojętą uległością poddała się bez reszty: był to niezmierny ból.

348

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kuwes wraca. Zmiany. Topielec

Pewnego pięknego dnia Kóves znowu pojawił się w Morzach Południowych - od dawna, od bardzo dawna już tam nie zachodził: Kóves był żołnierzem, swego czasu razem z wypowiedzeniem z ministerstwa otrzymał pocztą wezwanie, żeby natychmiast zgłosił się w celu odbycia zaległej służby wojskowej, która potem Kóvesa wciągnęła, pochłonęła, dopóki sam nie miał jej dosyć i pewnego ranka - kiedy właśnie trwało uroczyste odczytywanie dziennego rozkazu -nieomal przewracając krzesło i dwóch towarzyszy broni, zwałił się z hukiem na podłogę i przez wiele następných dni nie był skłonny dojsć do siebie, na próżno go karcono, karano, przemawiano mu do sumienia, stawiano pod pręgierzem, i tak w końcu trafił do szpitala, gdzie otaczały go podejrzliwe twarze cksxTy, brano go w krzyżowy ogień pytań, pobierano mu krew, opukiwano kończyny, wbijano igłę w kręgosłup, i kiedy Kóves już zaczął się obawiać zdemaskowania i związanych z tym niewesołych konsekwencji, nagle i nieoczekiwanie, tak że nawet nie zdążył się zdziwić, chociaż miałby ku temu powody, zwolniono go, bo jakieś badanie wykazało, że ma jedno udo prawie o dwa centymetry chudsze od drugiego, a więc, chociaż o tym nie wie, cierpi prawdopodobnie na zanik mięśnia - kiedy Kóves

351

opowiadał mu o tym zdarzeniu, twarz Sziklaiego nieomal rozpadła się na kawałki, tak się z tego uśmieł:

- Nie mogli się, stary, doczekać, kiedy się wreszcie ciebie pozbędą! - klepnął Kóvesa w rzczone udo, a ów szczęśliwy obrót sprawy potrafił wyjaśnić „jedynie zmianami, które nastąpiły”.

- Co to za zmiany? - zdziwił się Kóves, który oczywiście o niczym nie wiedział, bo przecież w ostatnich czasach zajmowało go zupełnie coś innego.

Ale i Sziklai nie okazał się lepiej zorientowany od niego:

- A czy to można wiedzieć?! - odparł, jakby wytykał Kóvesowi nietakt, Kóves zaś, któremu to pytanie przywiodło na pamięć dawne czasy - po raz pierwszy, odkąd opuścił szpital i zwolnili go z wojska - poczuł się tak, jakby znalazł się w domu.

- W każdym razie skądinąd wiatr wieje - ciągnął Sziklai, unosząc się do połowy w krzesle i rozglądając badawczo po sali, jakby kogoś szukał. - Spójrz tylko tam - wskazał głową stół w głębi - znasz tego jegomościa, który siedzi na honorowym miejscu? - Kóves spojrział w tamtym kierunku i zobaczył starzejącego się, tęgiego mężczyznę z wysuniętą do przodu brodą, dużym,



znamionującym stanowczość nosem, który w innych okolicznościach mógłby wydawać się władczy, i odniósł wrażenie, że już go gdzieś widział, musiał jednak odczekać, póki Sziklai go nie oświeci:

- Jak to, nie poznajesz naszego wszechwładnego redaktora naczelnego? - i uświadamiając to sobie nagle, Kóves poczuł, jak powracają do niego udreki pewnej dawno, dawno minionej epoki, które tymczasem zdążyły się stać nieomal pogodnym wspomnieniem - teraz już Kúvesowi zdawało się, że poznaje również dwóch krępych, łysiejących

mężczyzn, którzy siedzieli po bokach redaktora naczelnego: wyglądali jak produkt fabryczny - byli jednakowi, oczywiście Kóves wcale nie był tego pewien, bo stół stał daleko i w półmroku łatwo można się było pomylić.

- Dostał wypowiedzenie - uśmiechnął się Sziklai.

- Wypowiedzenie?... - zdumiał się Kóves.

- Owszem: takie teraz przyszedły czasy - Sziklai znowu wygodnie usadowił się w krześle. Jego też odszukali - opowiadał później - i zaproponowali mu, żeby wrócił do dziennikarstwa, w dodatku jako kierownik działu, bo okazało się, że to, co swego czasu z nim zrobiono, stało w jaskrawej sprzeczności nie tylko z prawem, ale również ze zdrowym rozsądkiem, bo przecież Sziklai był jednym z najlepszych pracowników pisma.

- Trochę późno się obudzili - Sziklai wzruszył ramionami - byłbym głupi, gdybym wrócił do dziennikarstwa, skoro tak znakomicie urządziłem się w straży pożarnej. - Kóvesa natomiast, dodał pośpiesznie, na pewno chętnie przyjęliby z powrotem i on, Sziklai, poczynił już pewne kroki w tym kierunku i...

Ale Kóves wykonał na krześle taki ruch, jakby go ktoś nagle dźgnął nożem.

- Nie wrócę do gazety! - zaprotestował, i wydawało się, że dręczą go senne koszmary.

- A może - zainteresował się Sziklai - masz już jakąś inną posadę?

- Nie pójdę na posadę! - oświadczył Kóves z taką determinacją i chłodem, jakby się wypowiadał nie w swoim imieniu, lecz w imieniu kogoś innego, komu trafiły się znacznie ważniejsze, znacznie pilniejsze zajęcia, nie może więc tracić bezcennego czasu na jakiejś posadzie.

352

353

- To z czego będziesz żył? - był ciekaw Sziklai.

- Nie wiem - powiedział Kóves, tym razem z poważną troską w głosie: wyglądało na to, że dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak trudną i ostateczną decyzję podejmuje, miał zresztą wrażenie, że to nie on ją podejmuje, lecz narzuca mu ją jakaś siła z zewnątrz, wydawało się również, że na konsekwencje owej decyzji on sam w tym momencie jest chyba jeszcze bardziej nieprzygotowany niż Sziklai, który już zdążył ocenić je z praktycznego punktu widzenia i stwierdził, że Kóves jakoś wyżyje, nawet jeśli nie pójdzie na posadę. W gazecie, sądził, tylko się ucieszą, jeśli Kóves - jak to się mówi - „nie wystąpi wobec nich z roszczeniami”, i mając to na względzie, na pewno zaproponują mu - i tu on, Sziklai, również będzie miał „coś do powiedzenia” - zatrudnienie w charakterze „pracownika nieetatowego” i jeśli Kóves okaże się zręczny i pracowity, to nawet co tydzień „może u nich zamieścić artykuł”.

- Poza tym - uśmiechnął się Sziklai - oczywiście i Podium Strażaków czeka na ciebie, stary, z otwartymi ramionami - i opowiedział pogodnie zamyślonemu Kóvesowi, że kiedy Kóves był w wojsku, on, Sziklai, „też się nie lenił”. Wprawdzie nie od razu i nie bez rozmaitych trudności, ale udało mu się wytłumaczyć „kierownictwu”, że zamiast własnego amatorskiego zespołu teatralnego straż pożarna powinna postawić na ogólnie znanych i lubianych zawodowych aktorów, którzy znacznie skuteczniej będą popularyzować tę instytucję, jeśli tylko uda się ich pozyskać i przekonać, żeby przynajmniej co któryś wieczór oddawali swój talent w służbę straży pożarnej. Tylko że od zawodowych aktorów nie można wymagać, żeby „grali byle co”: należy więc również pozyskać zawodowych pisarzy i - podobnie

354

jak aktorów - przekonać ich, aby i oni oddali swój czas i swoje zdolności do dyspozycji straży pożarnej i żeby, czy to czerpiąc z problematyki pożarnictwa, czy przynajmniej jakoś do niej

nawiązując, stworzyli od czasu do czasu program na swoim wysokim, profesjonalnym poziomie, zrećnie i efektownie mieszając elementy tragizmu i komizmu. Następnie, skoro już mowa o profesjonalistach, nie należy zapominać o należnych im, zwyczajowych honorariach, co więcej - jako że mają być pozyskani do wykonywania pewnych nadzwyczajnych, można powiedzieć, specjalnych zadań - nie zaszkodziłoby owe zwyczajowe honoraria trochę podnieść. Tak więc powstało Podium Strażaków, mały, objazdowy zespół teatralny, który odwiedza zarówno miasta, jak i wsie i co drugi miesiąc przedstawia nowy program, na ogół złożony z „konferansjerki” i z mniejszej lub większej liczby „scen”.

- Konferansjerkę zawsze ja piszę - zastrzegł Sziklai z nieubłaganym wyrazem twarzy, jakby się bał, że Kóves mu tego zabroni - poza tym jedną ze scen również piszę ja, jedną mój szef, zastępca komendanta... Ponieważ obecnie on też odkrył w sobie talent pisarski... Rozumiesz... - mrugnął do Kóvesa. - ...Jedną będziesz pisał ty, a nawet możemy jeszcze jedną pisać na spółkę, pod wspólnym nazwiskiem

- oczywiście, stary, wszystkie trzy będziemy pisali razem.

- Tak więc z owych scen i artykułów prasowych Kóves - jeśli nie będzie miał wielkich wymagań - wyżyje, zanim, rzecz jasna, powstanie komedia, a wtedy jako ludzi sukcesu nie będą ich już nękać kłopoty materialne - zachęcał go Sziklai i podniósł rękę, żeby przywołać do stolika Aliz: chciał pewnie, żeby oblali swoje plany jakimś lepszym trunkiem - ale zamiast Aliz przydreptał jak kaczka kelner o nalanej twarzy,

355

z platfusem i wielkim brzuszyskiem, Aliz bowiem, ku wielkiej goryczy wszystkich stałych gości Mórza Południowych, pewnego pięknego dnia zniknęła z kawiarni.

- Gdzie się podziała?... - zdumiał się Kóves, ale na próżno pytał o to zarówno Sziklaiego, jak i później innych gości. Z dnia na dzień zwołniła się, zniknęła i do tej pory nikogo nie zatrudniono na jej miejsce: z całą pewnością stoi za tym ten podejrzany, antypatyczny i zdziwaczały facet, którego również nie widziano od tamtej pory, a dla którego Aliz trwoni niepotrzebnie czas, sympatię i prawdopodobnie pieniądze - tyle mniej więcej udało mu się dowiedzieć, ale kiedy gruntowniej poszperał, okazało się, że wszystko to tylko przypuszczenia, a pewne jest jedno: nie ma już Aliz w Morzach Południowych.

Natomiast inna postać, która swego czasu zniknęła, chociaż kiedyś bywała tu często, teraz nagle, podobnie jak Kóves, pojawiła się znowu. Zmieniła się - co do tego wszyscy byli zgodni - twarz jej się wyciągnęła, a jednocześnie jakoś skurczyła, trochę postarzała, ale była to jednak ta sama twarz, która znad muszki w nieokreślonym kolorze również i teraz patrzyła na wszystkich z wysokości latarni morskiej: był to Mały, pianista, którego pojawienie się, jak ze zdziwieniem zauważył Kóves, wcale nie wywołało ogólnej radości, lecz raczej konsternację. Zaszumiało w Morzach Południowych jak w skalnej gardzieli podczas nagłego przypływu; pochylały się plecy, głowy to podnosiły się, to zapadały, na przemian, niczym fale, ale - na przykład od stolika muzyków - tylko kilka osób wstało, żeby go powitać, a i to z pewnym wahaniem, z jakimś ostrożnym, krzywym uśmiechem na twarzy, inni zaś, jak gdyby nigdy nic, kontynuowali przerwane na chwilę rozmowy - zwłaszcza pewne

356

I

liczne męskie towarzystwo, którego członkowie nosili czarne fraki, pod spodem zaś mieli przewiązane w pasie czerwone jedwabne chusty: była to orkiestra smyczkowa Tango - póki nie zgrzytnęło jakieś odsunięte krzesło, z takim hałasem, jakby to było nie krzesło, lecz tron, i póki podtrzymywany pod pachy przez pomocne, energiczne ręce nie podniósł się z niego Niekoronowany, który rozkładając swoje pulchne, krótkie ramiona, sapiąc i pocąc się, objął go, a ściślej, rzucił się na szyję zaskoczonemu muzykowi; i jakkolwiek uścisk tych dwóch grubych mężczyzn - jednego małego i jednego olbrzyma - przedstawiał osobliwy widok, to stali goście Mórza Południowych musieli dostrzec w tym geście Niekoronowanego coś w rodzaju uroczystej deklaracji, przyzwolenia, a nawet zaproszenia, bo jak na komendę wszyscy naraz poderwali się, żeby uściskać pianistę, potrząsnąć jego dłonią albo chociaż dotknąć skrawka ubrania, żeby

przekazywać go sobie z rąk do rąk, fetować i wypytywać o jego cierpienia.

Potem zaś pianista stał się ośrodkiem nieustających, gorących dyskusji - Kóves patrzył zdumiony, ile emocji, napięcia, napiętości nieulokowanych w żadnym konkretnym obiekcie kłębiło się w Morzach Południowych, dotąd jedynie amorficznie, niczym dym z papierosa, teraz nagle wokół Małego; jak pianista, niczym magnes, ściągnął je wszystkie i jak bulgotały, tworząc wir, gorące potyczki słowne, wybuchy rozgoryczenia, a nawet mętne oskarżenia i ledwie zawoalowane wzajemne pogroźki. Zdarzało się, że z braku argumentów, albo po prostu ze znużenia argumentami, gardłowym głosem wykrzykiwano już tylko krótkie hasła od stolika do stolika - bo muzycy teraz rozdzielili się na dwa stoliki: przy jednym siedzieli stronnicy Małego,

357

przy drugim jego przeciwnicy, przede wszystkim, rzecz jasna, orkiestra smyczkowa Tango, aczkolwiek zdarzali się i tacy, którzy dzisiaj siadali przy jednym, jutro zaś przy drugim stoliku, a nawet tacy, co w ogóle nie siadali, tylko biegali pomiędzy dwoma stolikami, być może niezdolni do dokonania wyboru, a może w charakterze mediatorów, usiłując pogodzić obie strony, lub wręcz przeciwnie, podsycając wzajemne urazy, któż to może wiedzieć - takie miarowe, dobitne hasła, jak na przykład: „Mały do fortepianu!”, na które padał odzew: „Precz z szantażem!”, chociaż Mały wcale nie zamierzał zasiąść przy fortepianie, w rzeczywistości nie było więc mowy o szantażu, co powoli, przynajmniej dla Kóvesa, stawało się jasne. Dyskusje merytoryczne, najcięższe argumenty rozbrzmiewały oczywiście przy stoliku Niekoronowanego, Kóves, jakkolwiek słyszał tylko ich strzępy, zrozumiał, że chodzi o to, iż Małemu, którego w wyniku znanych wszystkim - a ściślej, nikomu bliżej nieznanym, chociaż dla wszystkich oczywistych - zmian z dnia na dzień puszczono do domu z prac polowych, gdzie został wywieziony, co więcej, ową wywózkę nagle uznano za „pozbawioną wszelkich podstaw prawnych”, posady jednak - „forte pianu, od którego go zabrano” - nie zwrócono: chodziło więc o to, czy Mały ma się zadowolić tym, co akurat uda mu się załatwić, to znaczy, czy ma się pogodzić z faktem, że przyjdzie mu grać w jakiejś spelunie, czy też ma bezkompromisowo zabiegać - „jeśli się nie da inaczej, to na drodze procesu sądowego” - o przywrócenie go na dawne miejsce, które obecnie bezprawnie okupuje orkiestra smyczkowa Tango. Powoli, panowie, podniósł ostrzegawczo palec wskazujący pewien starszy, ubrany w skórzany płaszcz prze-

358

kupień - wśród malarzy chust, handlarzy, fotografów i zatrudnionych w różnym innym charakterze pracowników Niekoronowanego, jak się teraz nagle okazało, zdarzali się również niewykonujący, rzecz jasna, obecnie swojego wyuczonego zawodu adwokaci, prawnicy - powoli, napominał z uśmiechem przekupień w skórzanym płaszczu:

- Nie używajmy pochopnie takich słów, panowie, zamiast „okupuje” powiedzmy raczej... „korzysta aktualnie z prawa własności”, bo to sformułowanie obiektywnie opisuje stan faktyczny - z czym kierownik orkiestry smyczkowej Tango, mężczyzna o płonących oczach i lśniących, czarnych włosach przylizanych do skroni, z miejsca się zgodził. Orkiestra Tango, wywodził z pałającym wzrokiem, młóćąc powietrze kościstymi, żółtymi palcami, których krótko obcięte paznokcie miały kształt łopaty, zapewne od gry na jakimś instrumencie smyczkowym - i zaręcza, że ten pogląd podzielają wszyscy członkowie orkiestry, oczywiście może się tylko cieszyć, że położono kres niegodnemu traktowaniu „kolegi muzyka”, w dodatku „kolegi muzyka o takiej wiedzy i doświadczeniu”; niech mu jednak wolno będzie zapytać, „dlaczego ciąga się teraz w charakterze kozła ofiarnego Bogu ducha winną orkiestrę”, której „grzech” polega jedynie na tym, że „ma zgodnie z prawem zawartą umowę” z tym lokalem rozrywkowym, której, to prawda, nie zamierza rozwiązywać przed „prawnie” określonym terminem. Na co padła uwaga, że skoro orkiestra smyczkowa Tango naprawdę tak się cieszy z tego, że artysta, „bez przesady można powiedzieć, wybitny artysta”, odzyskał wolność, to zamiast ciągle mówić o „stosunku pracy na podstawie zgodnie z prawem zawartej umowy”, niech się odwoła raczej do „moralnego obowiązku” i ustąpi miejsca

359

temu, komu się to miejsce „naprawdę należy”. Teraz jednak z ogólnego zamieszania, jakie powstało

po tych słowach, znowu podniósł się palec wskazujący, a jego właściciel, mający już swoje lata przekupień, zauważył, że chociaż nie chciałby, żeby ktokolwiek uważał go za osobę „obojętną na kwestie moralne”, to jednak nie na miejscu byłoby wekslować tę dyskusję „wyłącznie na płaszczyznę moralną”, ponieważ:

- Nie zapominajmy, panowie, że wprawdzie „obowiązek moralny” to obowiązek moralny, ale przez to jeszcze nie staje się pojęciem prawnym - przypomniał dowcipnie, z lekkim uśmiechem towarzystwu przy stoliku.

Ale jego słowa, jak się okazało, nie odniosły skutku, dyskusja nieuchronnie zesłała na płaszczyznę moralną i toczyła się wyłącznie na niej, powoływano się na „cierpienia Małego”, na co w odpowiedzi z początku mówiono o „niewinnej orkiestrze” oraz o „zgodnej z prawem umowie o pracę”, później zaś, w rewanżu, pojawiło się oskarżenie o „szantaż”, a z wrzawy, jaka potem zapanowała, uszu Kóvesa dobiegło również słowo „zemsta” - i to, ku jego zaskoczeniu i zażenowaniu, prawdopodobnie z ust saksofonisty, który miał wory pod oczami i - jak zauważył nieco skonsternowany Kóves - razem z wiecznie pachnącym pomadą muzykiem o niebieskiej od zarostu twarzy najgłośniej występował w obronie pianisty; to właśnie ich - Kóves pamiętał tę bardzo dawno toczoną i niefortunną rozmowę - wypytywał o los Małego, teraz jednak chyba nie ośmieliłby się im przypomnieć tamtego incydentu, wcale też, rzecz jasna, nie miał na to ochoty. Ale o tym, że sam pianista ma również jakąś, w dodatku zupełnie odmienną od innych, opinię o własnej sprawie,

Kóves dowiedział się dopiero któregoś dnia późnym wieczorem, kiedy - kawiarnia już prawie opustoszała, snuło się po niej tylko kilku muzyków, którzy nazajutrz mieli wolne, kilku niepoprawnych stałych bywalców, no i Kuves - Sziklaiego nie było tego dnia w Morzach Południowych, Podium Strażaka miało właśnie premierę nowego programu na prowincji - pianista, z opróżnionym do połowy kieliszkiem koniaku w rękę, na który - znacznie wcześniej - zaprosił go Niekoronowany, podszedł do stolika Kuvesa i zapytał:

- Pozwolisz? - i oczywiście Kuves z radością wskazał miejsce muzykowi, którego - przemknęło mu przez myśl - właściwie od wielu już dni nie widywał w kawiarni, chociaż emocje, jakie wzbudził, właśnie w tych dniach sięgnęły zenitu, jak gdyby nieobecność obiektu owych sporów nie tylko nie przeszkadzała dyskutantom, ale wręcz przeciwnie, jakby uznali ją za warunek swobodnej dyskusji.

- Co oni wiedzą?! - powiedział teraz pianista do Kuvesa z pobłażająco pogardliwym uśmiechem, wskazując niezdecydowanie głową na przestrzeń pomiędzy prawie opustoszałymi stolikami, i opowiedział mu, jak musiał pracować na wsi. Kopał kartofle, karmił świnię. - Wstawałem o takiej porze, o jakiej wcześniej kładłem się spać... Mógłbym ci o tym opowiedzieć, ale po co? - ciągnął. - Mam dobrą kondycję fizyczną, wytrzymałem. - Później w komendanturze dowiedzieli się, że jest zawodowym muzykiem: wtedy komendanci polecili mu, żeby coś zagrał. Na początku znaleźli dla niego jakieś skrzypce - ulubiony instrument komendanta, chciał posłuchać na skrzypcach swoich ulubionych melodii - i wręcz rozżalili się na niego, że nie potrafi grać na tym instrumencie, nawet zaczęli wątpić,

360

361

czy może być muzykiem ktoś, kto nie umie grać na skrzypcach. W końcu zorganizowali jakiś fortepian - w rzeczywistości jakieś rozstrojone pianino - i musiał na nim grać. W nagrodę dostawał dodatkową porcję jedzenia, miał pewne przywileje, no i wlewano w niego kwaśne wino, którym upijali się komendanci. Potem grywał również na wiejskich zabawach, raz nawet zdarzyło się, że musiał towarzyszyć jakiejś domorosłej orkiestrze, która mordowała swoje skrzypce i oboje - można sobie wyobrazić. Po stokroć przeklinał siebie za to, że przyznał się do tego, że jest muzykiem - lepiej już było karmić świnię, uczciwiej.

- I teraz mam zaczynać wszystko od nowa?!... - pianista uśmiechnął się niepewnie, z wahaniem. - Kiedyś - zamyślił się - kiedy zdarzało się, że dwa dni nie grałem, czułem mrowienie, swędziały mnie ręce, nieomal wychodziłem ze skóry. A teraz?... Nawet nie chcę oglądać fortepianu.

Wypaliłem się, kolego. Tutaj - i zgiętym środkowym palcem ostrożnie, wsłuchując się, popukał się w pierś, niczym w zamkniętą bramę, do której od dłuższego czasu puka i prosi, żeby go wpuścili -

tu w środku nie ma już muzyki...

- i Kóves na próżno pocieszał go, że jak wypocznie, jak wróci do normalnego trybu życia, to sam zobaczy, znowu nabierze chęci do grania, ale muzyk z powątpiewaniem, smutno kręcił głową. Stałych gości Mórz Południowych zajmowała ostatnio również inna historia, dyskutowano o niej bez przerwy, nie wywoływała jednak konfliktów, raczej pogodny uśmiech. Kóves od Sziklaiego dowiedział się, dlaczego nie widuje ostatnio Pompadura i dlaczego tak rzadko pojawia się Transcendentna, a nawet jeśli się pojawia, to nie jak zwykle pośród kieliszków palinki, lecz zupełnie trzeźwa, zamiast

362

spoglądać jak dotąd wzrokiem rozmarzonym, spojrzenie ma ostre, trochę zgorzkniałe, jak ktoś, kogo z długiego snu wyrwała nagle twarda rzeczywistość, zawsze się spieszy, zawsze obładowana pakunkami, siatami, czego przedtem nigdy nie miała w zwyczaju.

- Piecze, sprząta, gotuje - śmiał się Sziklai.

- Jak to? - zdziwił się Kúves, i Sziklai, który - przynajmniej dopóki „sprawy nie przybrały tragicznego obrotu”

- wiedział wszystko „z pierwszej ręki” - to znaczy od samego Pompadura, któremu ostatnio załatwił regularne występy w Podium Strażaków - opowiedział Kóvesowi: teraz, kiedy „zaczęło mu się lepiej powodzić”, Pompadur zebrał się na odwagę i poprosił Transcendentną o rękę, kobieta jednak na myśl o tym, że ma być w nieistniejącym świecie nieistniejącą żoną pewnego nieistniejącego człowieka, który nawet nie jest aktorem, tylko zegarmistrzem, a jako zegarmistrz też zajmuje się raczej zapalniczkami, tak się oburzyła, że oznajmiła, iż nie chce więcej widzieć Pompadura. Czas płynął, a Transcendentna wydawała się niewzruszona, Sziklaiemu, który „próbował mediować”, oświadczyła bez ogródek: „po prostu nie rozumie, jak ich stosunki mogły ulec takiej degeneracji”; Pompadur z kolei skarżył się Sziklaiemu, że ta kobieta jest jego „ostatnim porywem” i jeśli jej nie zdobędzie, to „jego życie straci sens”. W końcu napisał do kobiety list, prosząc ją o „jedno jedyne, ostatnie spotkanie”. Kobieta zgodziła się w umówionym dniu go odwiedzić, Pompadur natomiast zmajstrował na tę okazję z rozmaitych drutów, pasów i zwykłych baterii konstrukcję, którą przywiązał sobie mocno do ciała, pod marynarką

- konstrukcja ta miała w chwili, kiedy się obejmą, wybuchnąć, żeby „oboje zginęli”. Tymczasem albo jakiś błąd

363

zakradł się do obliczeń, albo sama konstrukcja była niedoskonała, albo też zadziałały oba te czynniki: nie wiadomo, czy Transcendentna wywinęła się z jego objęć, zanim Pompadur zdołał uruchomić urządzenie, czy ładunek był za słaby, czy też zabrakło do detonacji uwzględnionych przez Pompadura w obliczeniach „dwóch splecionych uściskiem ciał”, fakt faktem, że Pompadur sam padł ofiarą wybuchu, doznając pewnych obrażeń klatki piersiowej, paru oparzeń, no i szoku. Transcendentna natychmiast pobiegła po lekarza, wezwała pogotowie i Pompadur, który - powiedział Sziklai - jak zwykle, tak i tym razem przesadził z środkami wyrazu i zemdłał, trafił do szpitala i jakkolwiek jego rany szybko się zagoiły, to przy okazji znaleziono u niego chorobę żołądka, no i teraz Transcendentna regularnie go odwiedza i nosi mu jedzenie, ponieważ lekarze zalecili dietę.

- Jak to się skończy? - zaśmiali się zarówno Kóves, jak i Sziklai, który powiedział:

- Myślę, że tak samo jak nasza komedia: happy endem

- bo faktycznie, po tylu perypetiach odkładana i rozpoczynana na nowo komedia zaczęła wreszcie nabierać kształtu, nad dialogami Kóves pracował przeważnie w Morzach Południowych, żeby przynajmniej kiedy pisze komedię, nie towarzyszył mu przygnębiający widok żałoby, którym od samobójstwa syna Weigandowa nieustannie go raziła

- oczy kobiety od dawna już nie były jak kryształowe jeziorka, którymi wydały mu się niegdyś, pokrywała je teraz wieczna kaszowata zmarzlina, a co noc do uszu Kóvesa dobiegało zza ściany tłumione łkanie. Wobec tego łatwiej przychodziło mu pisanie komedii w kawiarnianym zgielku niż samotnie w pokoju, gdzie ciągle groziło mu niebezpieczeństwo, że jego uwaga rozproszy się i wymknie spod kontroli:

a wtedy zupełnie obce postaci tłoczyły mu się na scenie, na przykład pewien starszy pan, ściskający pod pachą pieska, w drugiej zaś ręce trzymający walizkę; czasem łamał sobie głowę nad postacią zabawną, podniecającą, kapryśną i prześliczną panią z komedii, a tu nagle wpychały się na jej miejsce inne dziewczyny, ale one nie miały tych cech, kojarzyły mu się co najwyżej z nędzą - na przykład dziewczyna z fabryki, która czekała na śmierć chorej na raka ciotki i która, kto wie, może ciągle na nią czeka. Nasuwały mu się na myśl obrazy, kłębiły się wokół niego wspomnienia, wyłącznie takie wspomnienia i takie obrazy, które nie miały czego szukać w komedii i które - myślał Kóves - prawdopodobnie wcale nie przychodziłyby mu już do głowy, gdyby nie patrzyły na niego te puste, białe kartki papieru i gdyby nie musiał tu siedzieć z nimi oko w oko. I w jego dręczących snach - Kóves bowiem ostatnio źle sypiał, co więcej, zawsze coś mu się śniło - jakiś mulisty nurt, który raz zniknął, to znowu uparcie pojawiał się na powierzchni wody, Kóves wtedy dostrzegał jakieś słowo - chociaż nigdzie nie było napisane - zaczynało się tak jakoś jak jego nazwisko, ale było dłuższe: „kóvetelesT” „kotelesseg?” - „żądanie?”, „obowiązek?” - kiedy się jednak lepiej przyjrzał, to okazywało się, że to nie słowo, tylko ktoś, kto się topi, miotając się wśród fal, Kóves czuł, że powinien rzucić się na pomoc, wyciągnąć tego kogoś z nurtu, zanim go pochłonie. Ale wtedy ogarniała go złość: „Dlaczego właśnie ja?!” - myślał we śnie, lecz na próżno rozglądał się wkoło, był sam, sam na sam z topielcem. Już-już miał skoczyć, chociaż bał się, że to będzie śmiertelny skok, że topielec wciągnie go pod wodę - na szczęście w porę się budził, ale męczący nastrój tego głupiego snu psuł mu cały dzień.

List. Zdumienie

Któregoś popołudnia Kóves siedział samotnie przy stole w swoim pokoju - niedawno nad miastem przetoczyła się niegroźna, typowa dla schyłku lata ulewa i Kóves, ponieważ nie chciał zmoknąć, wziął się tego dnia do pracy w domu - i prawdopodobnie miał wrażenie, że zastanawia się właśnie, czy napisać scenkę dla Podium Strażaków, zaległy artykuł dla gazety, czy raczej popracować nad komedią, kiedy nagle złapał się na tym, że jego ręka kreśli już ] poniższe wersy - prawdopodobnie początkowe wersy jakiegoś listu:

„Ostatnio ciągle myślę o panu. A ściślej, nie tyle o panu, ile o tym, co pan mi czytał, a jeszcze ściślej, nie tyle o tym, co pan mi czytał, ile raczej...

Ale przecież o tym właśnie chcę napisać. Dlaczego? Po prostu dlatego, że jestem w posiadaniu takich doświadczeń, które są w sam raz dla pana, przydadzą się panu, ja natomiast nie mam co z nimi zrobić. W skrócie: chcę panu pomóc, bo nie może pan zaprzeczyć, że utknął pan w martwym punkcie. Wierzę, że «konstrukcja jest goto-wa», ale pomiędzy «człowiekiem ducha i kultury» a 30 000 trupów coś tam jeszcze mający, możliwe, że to również tylko trup, w każdym razie pierwszy, a więc najważniejszy, bo pytanie brzmi, czy da się go przeskoczyć, czy też może w końcu okaże się przeszkodą nie do pokonania. Tak, tak, to jest ten decydujący, pierwszy krok, pierwszy czyn, który potem «okazuje się wyborem nieodwołalnym», o ile dobrze pamiętam, tylko dlatego, że się zdarzył i że mógł się zdarzyć, i że wprawdzie zdarzył się pod wpływem zewnętrznego przymusu, ale ów zewnętrzny przymus wówczas nie

występował, pojawił się jedynie jako czynnik sytuacyjny - to ostatnie, za pana pozwoleniem, chciałbym już dodać od siebie.

A więc powoduje mną jedynie chęć pomocy, chociaż do pewnego stopnia może również sprzeciw; tak, nie znajduję chwilowo lepszego słowa niż sprzeciw, jakkolwiek nie wiem dokładnie, czemu się sprzeciwiam. Chylę czoła przed pańską wiedzą, ale - jak już wielokrotnie wspominałem - w pańskiej wiedzy brakuje barwy życia, które przeważnie toczy się w kolorze szarym. Niesłuchanie dokładnie widzi pan skrajności, ale utyka pan przy prowadzącym do tego, co krańcowe, co ostateczne, prostym, zwykłym i absurdalnym impulsie, bo tego prostego, zwykłego i absurdalnego impulsu, tego czynu, jak również prowadzącej do niego prostej, zwykłej i absurdalnej drogi już nie potrafi pan sobie wyobrazić. Mówiąc między nami, nie jest to łatwe, a nawet - ośmieliłbym się zaryzykować - jest prawie niemożliwe.

Niech pan więc posłucha.

Item, dostałem powołanie do wojska. Poszedłem, ociągając się, jak zwykle ociąga się człowiek w sytuacji, kiedy musi sprostać własnemu przeznaczeniu. Przychodziły mi do głowy wszystkie możliwe i niemożliwe wybiegi, myślałem nawet

O tym, żeby skoczyć skądś z wysoka i złamać sobie nogę: mój przyjaciel - oficer straży pożarnej - wytłumaczył mi jednak, że to nie ma sensu, bo wówczas poczekają, aż mi się noga zrośnie, i znowu mnie powołają.

Poszedłem więc, otepiały i apatyczny, jak bydło na rzeź, i zanim się spostrzegłem, już ubrali mnie w mundur. Nie może pan ode mnie wymagać, żebym opisywał panu okropności życia w koszarach, bo choć są one dobrze znane, to jednak robią wrażenie, jak się ich doświadcza na własnej

367

r !

skórce. Może powiedziałbym tylko tyle: jest to zupełny brak samotności, intymności, a nawet jej zaprzeczenie, czemu towarzyszą bezustanne i spotęgowane doznania cielesne. To nieprawda, że tracimy osobowość: raczej ulega ona zwielokrotnieniu, co oczywiście nie stanowi wielkiej różnicy. Zresztą, ku memu wcale niemałemu zaskoczeniu, jeśli chodzi o osiągnięcia fizyczne, to świetnie się spisywałem - i z czasem poczułem, jak wypełnia mnie duma, a nawet próżność, jak gdyby miejsce zwolnione przez moją intymną samotność zajęła, dajmy na to, dusza konia wyścigowego, który w przerwach pomiędzy ćwiczeniami i gonitwami z przyjemnością odpoczywa we wspólnej sypialni, w ciepłe parujących ciał, w atmosferze zesłania, błazeństwa i upiornej swojskości. Koszary stały w jakiejś nieznannej okolicy, na pustkowiu - na płaskim terenie, gdzie wiecznie gwizdał wiatr i słychać było dźwięk dzwonów z odległych ludzkich osad; i dobrze pamiętam pewien poranek, kiedy z menażką w ręku stałem w kolejce po kawę na dworze, przed kuchnią - ledwie zaczynało świtać, niebo wisiało nad nami brudne, postrzępione, bielizna, w której poprzednio na komendę rozbrzmiewającą z megafonów wykonywałem ćwiczenia gimnastyczne, mokra od deszczu i od potu, przylgnęła mi do skóry - i poprzez mieszaninę woni tej kawy zbożowej, tego przemokniętego ubrania, tych spoconych ciał, tych pól o świcie, tych latryn i jeszcze czegoś zgniłego nagle przedarło się do mojej świadomości pewne wspomnienie, ale jak gdyby nie moje wspomnienie, lecz kogoś innego, kogo już kiedyś - jak mi się zdawało - widziałem w podobnej sytuacji, kiedyś dawno temu, gdzieś indziej, daleko, w jakimś zatopionym, leżącym poza. zdradliwym obszarem wszelkich zakazów świcie, niewyraźne, ledwie widoczne, wspomnienie

368

pewnego dziecka, chłopca, którego kiedyś zabrano, żeby go zamordować.

Jeśli pan pozwoli, oszczędzę panu dalszych szczegółów.

Cóż to jednak za paskudny sen, w którym się nagle znalazłem? Stoję w jakimś pokoju, koło biurka, przy którym siedzi jakiś major, tęgi, ma zmierzwione włosy, dziurawe zęby, kaprawe oczy, patrzy na mnie złośliwie i chce, żebym podpisał na dole strony umowę, że będę strażnikiem więziennym w centralnym więzieniu wojskowym.

No ale...

Mówię mu, bo niby co miałem powiedzieć? - Ja się do tego nie nadaję. - Jak pan myśli, co odpowiedział ten cuchnący, złośliwy pokurcz? - Nikt się nie rodzi strażnikiem więziennym - tak powiedział, chcąc dodać mi otuchy. I żebym tylko spojrział, inni też podpisali - czyli reszta, moi towarzysze broni, jako że całą jednostkę wyznaczono do tego zadania. - Ale ja jestem człowiekiem ducha i kultury - próbuję jeszcze raz (nie wie pan przypadkiem, dlaczego to właśnie przyszło mi do głowy?). Na to on mówi: - Kochacie lud? - i pytam pana, co na takie dictum może odpowiedzieć ktoś, komu życie miłe, nawet gdyby przypadkiem nie kochał ludu, bo kto miałby w sobie tyle miłości, żeby starczyło dla całego ludu, i w końcu ten szubrawiec nie chciał mnie przecież zatrudnić w charakterze boga, tylko strażnika więziennego. - Tak - mówię więc. - Nienawidzicie wroga? - pyta następnie, no i znowu, co człowiek może odpowiedzieć, będąc w mundurze, nawet gdy nie widzi cienia wroga na horyzoncie, a jeśli o nienawiść chodzi, to nienawidzi jedynie tego majora,

jego zresztą również tylko chwilowo, bo człowiek ma podzielną uwagę i zawsze jest gotów zapomnieć. - No to podpiszcie tutaj! - mówi i stuka

369

w papier palcem wskazującym - swoim wstrętnym, grubym paluchem, o tępym paznokciu poplamionym tytoniem. A ja biorę od niego pióro i podpisuję w miejscu, które mi wskazał. Stale się zastanawiam dlaczego. I bez względu na to, jak długo się zastanawiam, widzę tylko jedną prawdziwą przyczynę, czas. Tak - i pewnie panu to się wyda dziwne, ale tylko dlatego, że, jak powiadam, nie zna pan barw życia i nie wie pan, że to, co później postrzegamy jako bardzo istotne wydarzenie, z początku zawsze pojawia się jako drobne dziwactwo - podpisałem głównie z powodu czasu. W końcu nie znalazłem żadnego ważkiego argumentu i nie mogłem tam stać w nieskończoność, z piórem w ręku. Mógłby pan powiedzieć, że nie trzeba było brać tego pióra. To prawda. Ale wszystko to wydawało się takie nierealne, że mój podpis również nie wydawał mi się prawdziwy. Jak by to powiedzieć, ja sam znalazłem się zupełnie na zewnątrz tej chwili: nie brałem w niej udziału, moje istnienie spało we mnie czy też było sparaliżowane, w każdym razie nie ostrzegło mnie wyraźnym napięciem, że to ważna decyzja. A zresztą czy to w ogóle była decyzja, a przynajmniej moja decyzja? Przecież to nie ja wybrałem sytuację, w której musiałem wybierać, na dodatek pomiędzy talciami dwiema rzeczami, spośród których żadnej nie miałem ochoty wybrać; rzecz jasna, nie chciałem być strażnikiem, ale również nie chciałem zostać ukarany, chociaż - co prawda, to prawda - nikt mi karą nie groził; ale karę człowiek już z góry niejako zakłada i zwykle się nie myli. W grę wchodziło jeszcze parę pomniejszych powodów: mam taki charakter, że wolę ludziom dogadzać, iść im na rękę niż stawać okoniem, a zatem w pewnym stopniu - muszę to

370

powiedzieć - kierowała mną również uprzejmość; ale może i trochę ciekawość, żeby zobaczyć, jak tutaj wygląda więzienie, ale tak, żebym ja sam był bezpieczny - widzi pan, ileż to argumentów wypływało z ducha błazeństwa i upiornej swojskości, o których już wspominałem i które podpowiadało mi całe moje otoczenie.

Mówię tak, jakbym się usprawiedliwiał, chociaż jedynie usiłuję pokazać swoją legitymację: bo przecież wstąpiłem na drogę łaski, a przynajmniej tego, co pan nazywa łaską. Wkrótce znalazłem się w więzieniu. Nigdy nie zapomnę pierwszego wrażenia: zimny, kamienny korytarz, drewniane drzwi, wzdłuż ściany, rozstawieni w sporej odległości od siebie, z rękami skutymi z tyłu, stoją ludzie, opierając się czołem o ścianę. Mają na sobie wysłużone wojskowe drelichy bez galonów, pasa i dystynkcji. W obu końcach korytarza stoi uzbrojony wartownik. Czasem jakiś żołnierz spieszy korytarzem, jego wyglansowane buty, kolorowe naszywki, pistolet dyndający z tyłu i jego królewska obojętność stanowią prawdziwe wyzwanie. A tak w ogóle: czas bez czasu i wieczna, dławiąca cisza. I zapach, próżno by szukać trafniejszego określenia: zapach więzienia.

A więc tutaj trafiłem, i wkrótce rozglądałem się wkoło z poczuciem upiornej swojskości. Cóż innego mogłem zrobić? Staram się nie przedstawiać jako proste tego, co z pozoru wydaje się proste - tak więc ani słowa nie usłyszysz pan ode mnie o przyzwyczajeniu lub czymkolwiek innym, co rzeczywistość przedstawia jako rzeczywistość z tego jedynie powodu, że jest rzeczywistością; ani przez chwilę nie uważałem za naturalne tego, że tutaj jestem, jednocześnie zaś ani jednej chwili nie mogłem nie uważać za naturalną, bo przecież tutaj byłem. Ale nie od razu dostałem obuchem

371

w łeb; nie widziałem celi tortur ani ludzi zagłodzonych na śmierć. Czasem w nocy na dziedzińcu odbywały się egzekucje, to prawda - ale ja ich, po pierwsze, nie widziałem, po drugie zaś, nadawano im charakter działania zgodnego z prawem: wykonują wyroki śmierci wydane przez sąd, koniec, kropka. Na ogół na wszystko znajdowało się wytłumaczenie. Nic nie przekraczało granic i proporcji, które jeszcze - widocznie - mogłem zaakceptować. Więzienie wojskowe nie było najgorszym z więzień, siedzieli tutaj skazani za przestępstwa pospolite lub regulaminowe albo oczekujący na osądzenie, nie tak jak „tam”, czyli w więzieniu celników, oddzielonym od naszego nieprzenikalną ścianą, o którym wspominało u nas z nieco tajemniczą miną.

Ale już wystarczy, bo brzmi to tak, jakbym chciał opisać okoliczności - czyli jakbym się znowu tłumaczył - albo jakby w ogóle dało się opisać okoliczności. A przecież się nie da. Dawno już



pogodziłem się z tym, że nigdy się nie dowiem, gdzie żyję i jakie prawo nade mną stoi, że jestem skazany wyłącznie na własne zmysły i na własne najbardziej bezpośrednie doświadczenia, chociaż i one są zawodne, co więcej, może one właśnie najbardziej.

Zabawne, ale najpierw musiałem skończyć szkołę, coś w rodzaju kursu, gdzie - tak jak innych - uczono mnie, jak być strażnikiem więziennym. Pamiętam swój uśmiech, kiedy usiadłem na sali, uczestnicząc w owym kursie: był to uśmiech potępieńca, uśmiech kogoś, kto od tej pory jest już gotów na wszystko, co przewiduje umowa, i tylko tym gorzkim uśmiechem może zaznaczyć swoją rezerwę.

Ale nie nastąpiło to, czego oczekiwałem. A czego właściwie oczekiwałem? Nie wiem dokładnie - skąd zresztą miałbym wiedzieć? W gruncie rzeczy czegoś takiego, że moja

372

głowę, moją duszę, a nawet moje ciało na swój przebiegły sposób - o którym, rzecz jasna, również nie miałem żadnych dokładniejszych wyobrażeń - poddadzą obróbce, że mnie wyszkolą, wystraszą, żeby następnie wbić mi w głowę jakąś surową, dziką i fanatyczną świadomość, słowem, że przygotowują mnie do mojej paskudnej pracy. Zamiast tego jednak, cóż słyszę? Nigdy pan nie uwierzy: bez przerwy gładzą tylko o prawie, o ustawach i obowiązkach, o regulaminach, orzeczeniach, trybie postępowania, drodze służbowej, przepisach zdrowotnych, higienicznych i tak dalej; i niech pan nie myśli, że robią to podstępnie, zacierając ręce i wrednie, szyderczo się uśmiechając - nie, wcale nie, robią to z miną najpoważniejszą pod słońcem, bez jednego dwuznacznego słowa, bez jednego porozumiewawczego mrugnięcia okiem. Nie mogłem się nadziwić: a więc to jest ich metoda? Wtrącić między więźniów i pozostawić samemu sobie? Liczą na to, że w trakcie codziennych czynności sam się zmienię, że ukształtują mnie one na ich modłę? No - pomyślałem - skoro już upatrzili mnie sobie do realizacji swoich celów - i oczywiście na próżno łamałem sobie głowę, cóż to za tajemnica legła u podstaw ich wyboru: może chcą mnie jakoś wychować, a może, i z czasem to właśnie wydało mi się najbardziej prawdopodobne, zdecydował tu jedynie zwykły, bezosobowy przypadek - muszą pewnie wiedzieć, czego się po mnie spodziewać: ale - przemknęło mi nagle przez myśl - czy ja sam to wiem?

Słowem, bałem się. Jako strażnik więzienny bałem się więźniów. To znaczy bałem się tego, że w charakterze strażnika więziennego będę miał styczność z więźniami. Na dodatek wydawało się to nieuniknione, bo przecież po to mnie tu przydzielili. Jak koszmar senny powracało pytanie, które

373

zadał mi ów major o kaprawych oczach i siarczanym oddechu: czy nienawidzę wroga? - po stokroć ogarniał mnie strach, że dadzą mi do ręki jakąś lichą władzę i zmuszą mnie w ten sposób, żebym dane słowo - ileż razy tego żałowałem! - potwierdził w praktyce. Bo ja sam naturalnie, czy raczej powiedziałbym: instynktownie, wychodziłem z założenia, że więzień to tylko więzień, a grzech czyha jedynie na tych, którzy nad więźniem sprawują władzę. Oczywiście na kursie co rusz słyszałem, że podstawą sądenia jest prawo, więźniowie zatem są tymi, którzy złamali prawo i na karę więzienia za ich przewiny skazało ich prawo. Widziałem, jak jeden czy drugi strażnik więzienny mimo woli, który znalazł się tutaj podobnie jak ja, chwytął się tej argumentacji, jak gdyby fakt, że ma do czynienia z przestępcami, od razu w innym świetle stawiał jego sprawę - w ostateczności sam próbowałem imać się tej metody, ale zawsze dochodziłem do wniosku, że to nie jest metoda dla mnie. Co jak co, ale skłonności do sądenia kogoś nie mam w sobie za grosz i wydawało mi się, że nie ma na ziemi takiego grzechu, który by - przynajmniej w moich oczach - dostatecznie usprawiedliwiał profesję strażnika więziennego.

Z takim przekonaniem podjąłem więc służbę strażnika więziennego w pewnym więzieniu.

Ale musieli coś po mnie poznać, co z należytą ostrożnością - czy, jak kto woli, tchórzliwie - sam bez wątplenia starałem się na każdym kroku im uświadomić, bo w końcu przydzielili mnie do takiej służby, której moje poczucie upiornej swojskości nie miało nic do zarzucenia. Wie pan, sześć pięter wojskowego więzienia to takie inferno postawione na głowie: na szóstym piętrze znajdował się oddział zamknięty, oddzielony szarą, żelazną ścianą od klatki

374

schodowej, jego mieszkańców - nie tak jak na pozostałych piętrach - ubierano w pasiaki, nadzór

nad tym oddziałem - co za szczęście! - pełniło wyłącznie kilku specjalnie do tego celu wytresowanych strażników, starych podoficerów, którzy, niczym piwniczne stonogi, już tylko w więziennym mroku - no i może jeszcze w pobliskiej knajpie - czuli się jak w domu. Każde kolejne niższe piętro traciło coś z tej ogólnej ponurości - drugie było już tylko czymś w rodzaju purgatorium, mieszkali tam więźniowie wychodzący do pracy, mieściły się także więzienne warsztaty: kuchnia, pralnia, szwalnia, zakład szewski, przebywali ci, którzy mieli przywilej pracować przy remontach, a także kucharze, fryzjerzy, więźniowie kanceliści oraz więźniowie lekarze i aptekarz w swoich wygodnych celach, była tu przychodnia lekarska, zakład fryzjerski, stąd też prowadził korytarz, którym przechodziło się do budynku, gdzie znajdował się sąd i prokuratorzy, który, tak słyszałem, we wszystkich więzieniach świata jest nazywany «mostem westchnień».

No więc tutaj przydzielono mnie do służby i mogę powiedzieć, że się zbytnio nie przemęczałem. Rano przejmowałem dyżur i moja praca na tym się, z grubsza biorąc, kończyła. Duże cele były przeważnie puste, ich mieszkańcy - każdy w swoim miejscu pracy - robili swoje. Wieczorem, raczej jak usłużny lokaj niż ponury strażnik więzienny, otwierałem i zamykałem drzwi więźniom wracającym w grupach z pracy, chyba nawet nie muszę dodawać, że wielokrotnie poniechawszy obowiązkowej rewizji. Po kolacji siadałem na krótką pogawędkę w celi lekarzy, potem liczyłem więźniów i przez wewnętrzny telefon meldowałem stan liczbowy na bramie, po apelu zaś sam również wyciągałem się na swoim żelaznym łóżku i spokojnie spałem

375

do porannej pobudki, jeśli nic się nie wydarzyło. Wie pan, w naszym więzieniu ja byłem tym dobrym strażnikiem. Jeśli będzie się pan kiedyś bardzo nudził, niech mnie pan poprosi, żebym panu opowiedział, co robiłem dla tych biednych więźniów. O, mnóstwo różnych iztch<sup>^</sup>j, jeśli to zasługa. Niektórym nawet przemyślałem listy z więzienia i do więzienia - oczywiście tylko tym najbardziej zaufanym, bo to już ryzykowne przedsięwzięcie. W ciągu dnia wystawiałem też co jakiś czas nos ze swojego pokoju, żeby zrobić przegląd więźniów stojących wzdłuż ściany i czekających na przejście przez «most westchnień», i kiedy widziałem u któregoś z nich oznaki wyczerpania, wzywałem go i prowadziłem do ubikacji, żeby się trochę poruszał i przynajmniej przez parę minut wypoczął; i trudno zaprzeczyć, bardzo mi się wtedy podobała moja rola tutejszego namiestnika tajemniczej opatrności, który może więźnia ot tak

- raz-dwa! - obdarzyć przeżyciem cudu, prawdziwego dobrodziejstwa, tyleż nieoczekiwanym, co podejrzenie nie-umotywowanym.

Tak więc żyłem, skarżąc się wprawdzie na los, który mnie tutaj rzucił, ale poza tym wcale wygodnie: dwadzieścia cztery godziny służby, dwadzieścia cztery godziny wolnego i - myślałem - jakoś mi ten czas w wojsku zleci i służba dobiegnie końca.

Patrząc wstecz, nie znajduję żadnego wytłumaczenia dla tego uczucia upiornej swojskości. Kiedy próbuję wskrzesić te wspomnienia, to czuję się, jakbym patrzył na życie obcego człowieka, z którym nigdy nie miałem nic wspólnego i o którym nawet słyszeć nie chcę. Tyle że - i w tym sęk - ciągle mi o nim opowiadają, a opowiadającym jestem ja sam. Pamięta pan naszą pierwszą rozmowę w Morzach

376

Południowych? Powiedział pan wtedy, że pytanie brzmi, do czego człowiek się nadaje. Miał pan rację, teraz i ja widzę, że to jest zasadnicze pytanie, w dodatku mam wrażenie, że niesłuchanie kłopotliwe pytanie.

Pewnego ranka, kiedy przejmowałem służbę, kolega, inny strażnik - czarny, krępy, krótkonogi, na pozór pocziwy człowieczek, w którym jednak zagnieździło się, niczym ohydny gad, powołanie strażnika więziennego - przywitał mnie informacją, że więzień w jednej z pojedynczych cel odmawia przyjmowania posiłków: bo nawet na tym piętrze--purgatorium w bocznych korytarzach po obu końcach głównego korytarza urządzono kilka takich pojedynczych cel. Były przeznaczone do trzymania nieszczęśliwców w pierwszych dniach po aresztowaniu, póki nie przeszli przez wstępne przesłuchanie u prokuratora i nie przydzielono ich do wspólnej celi. Ich mieszkańcy zmieniali się więc często i ledwie zapamiętałem jakąś twarz, już patrzyła na mnie inna, kiedy

otwierałem celę albo - chcąc nie chcąc - zaglądałem przez judasz. Spośród moich czynności strażnika więziennego chyba najtrudniej mi było przywyknąć do tego haniebnego zadania - no, ale skoro ja się skarżę, to co ma powiedzieć ten, wobec kogo musiałem ów środek stosować? Na samym początku - pamiętam, że byłem wtedy jeszcze na kursie - trzeba mi było wręcz wydać rozkaz, żebym to robił. Serce podchodziło mi do gardła, tak się bałem widoku, który zobaczę. W końcu okazało się, że był inny niż to, czego się spodziewałem, nie straszny, tylko nieskończenie smutny, a więc chyba jeszcze gorszy. Przez dziurkę widziałem celę, pryczę, muszłę klozetową bez deski, umywalkę, no i człowieka, który musi tu żyć. Później próbowałem patrzeć tak, jakbym to nie ja patrzył,

377

tylko jakiś' strażnik więzienny - oczywiście szybko musiałem pogodzić się z tym, że tak czy inaczej patrzę jak strażnik więzienny, i to w dodatku strażnik więzienny, którym - niestety - przypadkiem sam jestem. W żaden sposób nie mogłem się oswoić z tym przeklętym otworem, przez który w każdej chwili, nawet najbardziej dla niego kłopotliwej, można było podglądać siedzącego w celi więźnia. Tłumaczyli mi oczywiście: właśnie po to jest judasz, żeby śledzić więźnia, sprawdzać, czy nie jest chory, czy nie robi sobie krzywdy albo przypadkiem czegoś nie knuje. Tylko że ja nie chciałem nikogo łapać na gorącym uczynku i nie chciałem dojrzeć niczego, co mogłoby we mnie wzbudzić odrazę, wyrzucić na mnie przykre wrażenie - całkiem po prostu nie chciałem wiedzieć, co robi za drzwiami człowiek, którego przypadkiem zamknięto w pojedynczej celi. I tak, rzecz jasna, nie było mi trudno zgadnąć: boi się i nudzi, a na podstawie pewnych sygnałów, które z biegiem czasu niejako mimochodem rejestrowałem, musiałem ku swemu zaskoczeniu przyznać, że gdyby od czasu do czasu nie zaglądał do nich nawet strażnik, to - przynajmniej niektórzy z nich - poczuliby się już kompletnie opuszczeni. Wymyśliłem parę prostych sposobów: szedłem po korytarzu, głośno stawiając kroki, aby słyszeli, że się zbliżam (co było sprzeczne z regulaminem; główny klawisz o małej twarzy wciągał na buty podeszwy z filcu i zbliżał się do cel niczym głodująca od miesięcy hiena); skoro nie mogłem pukać przed otwarciem celi, długo wkładałem klucz do zamka, jakbym nie mógł trafić; i chociaż w tych drzwiach, skonstruowanych z plugawą intencją, był, poza judaszem, jeszcze jeden otwór, okienko z klapą, przez które ci nieszczęśnicy dostawali jedzenie, ja zawsze otwierałem całe drzwi, żeby

378

im wpuścić trochę powietrza, żeby dotarł do nich brzęk naczyń, widok krzątanimy, który mimo wszystko trochę ich rozweselał. Przecież powiadam: w naszym więzieniu to ja byłem tym dobrym strażnikiem.

Słowem, że jeden z więźniów nie chce jeść, mówi ten z krótkimi nogami. Mówię mu na to, że może jest chory. Gdzie tam chory, knuje jakieś świństwo ta świnia, mówi tamten. No, no, mówię ja, nie trzeba od razu... Dobra, mówi, on już o tej sprawie zameldował, a o dalszych wypadkach ja również mam składać meldunki, w przeciwnym razie będzie zmuszony zameldować, że zaniechałem swojego obowiązku. Kurwa twoja mać, mówię mu na to po przyjacielsku, spieprzaj do domu, teraz ja tu mam służbę.

Jakoś tak sobie porozmawialiśmy, potem szybko o tym zapomniałem. Ale co się okazało?

Faktycznie, nie chciał jeść. Ani w południe, ani wieczorem.

Czekam więc na apel, a kiedy w więzieniu zapada nocna więzienna cisza - szczególny rodzaj spokoju, oświetlona, niekończąca się noc, wiecznotrwałe piekło, pełne tajemniczych, stłumionych syków i szmerów, dochodzących jak gdyby spod wody - otwieram tę pojedynczą celę, niczym piekącą ranę, z jakąś niejasną nadzieją. - Dlaczego?... - pytam na początek, jakoś tak, nie bardzo widzę jego pociągłą, chudą twarz, bo zasłania ją długa, rzadka broda, zakończona długim, rzadkim, zmierzwionym szpicem (potem ją zgolą, kiedy przeniosą go stąd do wspólnej celi, pomyślałem z melancholią strażnika więziennego, który wie takie rzeczy). Na co tamten odpowiada mi półgębkiem mniej więcej coś takiego, że to kwestia jego przekonania - wyraźnie pamiętam słowo przekonanie. - Co to za przekonanie? - pytam z dobrotliwym uśmiechem, wtedy

379

bowiem miałem wrażenie, że nie ma na świecie takich przekonań, których nie mógłbym

zakwestionować. - To, że jestem niewinny - mówi krótko, i proszę, tego nawet nie muszę kwestionować, bo któż z nas nie jest niewinny, zresztą co to ma za znaczenie?

Powiedziałem to czy może tylko pomyślałem, nie wiem. W każdym razie wszedłem do niego do celi, lekceważąc wszystkie zasady swojego bezpieczeństwa jako strażnika. Ale wkrótce przekonałem się, że moje wysiłki są zupełnie bezcelowe; nie słuchał żadnych argumentów, na mój rozkaz, żeby wstać, nie drgnął, nawet nie odezwał się do mnie więcej ani słowem. Tylko jego mroczne, uparte spojrzenie błędziło po mojej twarzy, niczym ręka ślepego, która maca przedmiot. Jak ktoś, kto ani na chwilę nie traci czujności, nie pozwala się zwieść słowom, jak zapędzone w kąt zwierzę wpatrywał się we mnie, jakby na pierwszy podejrzany znak gotów był uciec pod pryczę albo śmignąć mi między nogami. Widziałem, był przygotowany na wszystko: uważał mnie za wroga, nie za wroga nawet - za strażnika więziennego, oprawcę, z którym nie prowadzi się dyskusji. Oczy mu płonęły, na kościach policzkowych wykwitły dwie czerwone plamy, już drugi dzień nic nie jadł. Mówiłem i mówiłem, i w końcu sam już nie wiedziałem, czy bardziej mnie złości jego zaszczute spojrzenie - niedopuszczające możliwości ani zrozumienia, ani przekonania, czy ta narzucona mi siłą sytuacja, która powoli ze mnie samego czyniła jeńca, zamykała mnie w tej celi, razem z tym więźniem, i nagle - zanim zdołałem uciec - zamknął się nad nami czas i noc.

- Czy ty w ogóle wiesz, co cię czeka? - pytam go w końcu, co tam przepisy, dawno już przeszedłem na ty, ale w żadnym razie niech nie myśli, że z pogardy: nie, nie, jedynie jako urażony bliźni, jeśli mam to dokładnie sformułować. - Nie jesz? - ciągnę. - Tylko że - śmieję się, chociaż wcale mi nie do śmiechu - tutaj nie pozwolą ci na takie fana-berie, możesz wprawdzie głodować, ale tylko wtedy, kiedy oni cię głodzą. A jeżeli nie będziesz jadł, to oni cię nakarmią

- możesz mi wierzyć. Zabiorą cię do gabinetu lekarskiego, wsadzą ci rurę do żołądka, raniąc przy okazji przelyk: widziałem już takie rzeczy - skłamałem, chociaż nie do końca, bo słyszałem o takich metodach, zawsze jednak starałem się trzymać z daleka od tego typu widoków. - I - ciągnę - jak zwrócisz przez usta, to ci to wepchną z drugiej strony, przez odbył. Albo przywiążą cię pasami do łóżka, wbiją ci igłę i tak wtłoczą w twój organizm pokarm. I myślisz, że to wszystko będzie się z tobą działo ot tak, jakbyś to nie był ty, czyli bez twojego udziału? Że przejdiesz przez to wszystko czysty, nieskalany? Mylisz się, i to bardzo się mylisz!

- krzyczę i sam już nie wiem, jakie strzępy wspomnień i jakie obrazy wydobywają gdzieś z głębi, niczym z piwnicy zburzonego domu, kiedy hula wiatr, moje własne słowa.

- Nikt, kogo torturują - krzyczę - nikt w takiej sytuacji nie może pozostać nieskalany - ja to wiem, nie pytaj skąd. Potem nie będziesz już mógł mówić o swojej niewinności, najwyżej o przetrwaniu. I gdybyś przypadkiem chciał umrzeć, to też jest niedozwolone. Myślisz, że ci pozwolą? Przywrócą cię do życia, choćbyś umarł, możesz być o to spokojny - tutaj wolno umrzeć tylko wtedy, kiedy oni cię zabiją.

Tak mówiłem, ale widać było, że moje słowa nie odnoszą żadnego skutku.

- Tego więc chcesz? - odzywam się znowu. - Po prostu prosisz się o to, żeby cię zhańbiono, nie widzisz tego?

380

381

0

I nagle przychodzi mi coś do głowy, nie mogę zrozumieć, że też wcześniej o tym nie pomyślałem; a może w głębi ducha to i tylko to mną kierowało?

- Poza tym - mówię więc - pociągasz za sobą innych, na nich też spadnie odium: muszę napisać na ciebie raport

- wyrwało mi się, zanim zdążyłem pomyśleć. - Nie zastanawiasz się nad tym, że niewinny człowiek straci przez ciebie niewinność?! - słyszę swój głos pełen wyrzutu. - Ja tutaj jeszcze nigdy nikomu nie zrobiłem krzywdy... - jękam się i o mały włos, nie bacząc na to, że jestem strażnikiem więziennym, zacząłbym błagać więźnia, gdyby mnie coś nie powstrzymało. Cóż to takiego było?

Teraz niech pan wyteży słuch - albo wzrok - ponieważ będzie pan mógł usłyszeć

- albo przeczytać - coś najokropniejszego, a jednocześnie najbardziej oczywistego - mógłbym

powiedzieć, że to geniusz chwili rozwinął tutaj skrzydła. No więc, oczywiście, broda różne rzeczy zakrywa, ale miałem wrażenie, że na twarzy więźnia pojawił się, przynajmniej na moment, szyderczy uśmiech.

Niezliczoną ilość razy próbowałem już tę chwilę na trzeźwo przeanalizować - na swoją obronę mogę powiedzieć, że zarówno analiza, jak i trzeźwość zawsze mnie gubiły. Chciałbym pamiętać ową chwilę tak, że ten uśmiech mnie rozzłościł, że nagle ogarnął mnie gniew. Jakkolwiek jednak się wysiłam, nie pamiętam, żebym odczuwał takie emocje, zwłaszcza zaś gniew, który odebrałby mi zdolność jasnego widzenia czy choćby ją ograniczył... Nie: czułem jedynie wstręt, nagłą słabość, wściekłość i znowu tylko wstręt, dotyczący w tym samym stopniu owego więźnia o więziennym oddechu - z którego jakże obcą mi nędzą i w wyniku równie obcej mi całej serii przyczyn zamknęła

382

mnie ta chwila - jak i mnie samego. Wszystko, wszystko wiodło ku najprostszemu rozwiązaniu, jeśli oczywiście można uważać za rozwiązanie fakt, że od tej chwili możliwie najszybciej i możliwie najprościej chciałem się od niego uwolnić. Ale czułem opór, twardy, zawzięty, zapędzony do kąta, bezpodstawny opór, który niezrozumiale i niesprawiedliwie dotyczył właśnie mnie, choć przecież chciałem tylko odwołać się do rozumu i bez wątpienia miałem rację; no i jeszcze - jakoś tak abstrakcyjnie - poczułem niezmierną różnicę sił między takim upierającym się więźniem i strażnikiem więziennym, który w koszuli z rękawami podwiniętymi do łokcia, przepasany na skos pasem koalicyjnym, z pistoletem dyndającym na biodrze i z nogawkami spodni wetkniętymi w miękkie cholewy butów może, jeśli ma taki kaprys, zaprezentować się więźniowi jako uosobienie samowoli i śmiertelnego zagrożenia.

Co mi tam, podszedłem bliżej. Zrobiłem jeden mały krok, i zaraz znowu się zatrzymałem. Więzień musiał widocznie źle zrozumieć ten ruch - albo, w co w tamtej chwili chętniej wierzyłem, źle go sobie wytłumaczył - bo od razu się cofnął. Ale nie miał za wiele miejsca, nogą zahaczył o pryczę, tak więc jedynie górną część tułowia mógł odchylić do tyłu, w tej pozycji patrzył mi w oczy. I wtedy podniosłem rękę, i uderzyłem w twarz bezbronnego więźnia, który upadł na pryczę i stamtąd na mnie patrzył, nie bez strachu, ale jednak z pewną satysfakcją, jeśli się nie mylę, a nawet, jak mi się zdawało, z jakimś tajonym wyzwaniem.

Ja jednak nie zwracałem już na niego uwagi. Wycofałem się z celi, drżącymi rękami z trudem zamknąłem drzwi, potem wolno, jakbym kroczył w takt muzyki żałobnej, ruszyłem korytarzem do swojego pokoju.....

383

Ecce epistoła, wedle życzenia. «Chemicznie czysty czyn\* (dobrze pamiętam, prawda?), nigdy niegojąca się rana.

Zresztą, jeśli się zechce, można go nawet wziąć za początek drogi ku 30 000 trupów.

Jedynie dla porządku i gwoli uzupełnienia dodam jeszcze, że co się mnie tyczy, to nazajutrz rano, w zapierającej dech, podniosłej chwili odczytywania rozkazu dziennego, po prostu runąłem na podłogę i potem tygodniami, miesiącami, nawet w snach, uparcie trwałem przy wywołanej chorobie - bez wątpienia nie do końca wyjaśnioną - nowej istocie, którą się stałem lub którą chciałem się stać. Był to szalenciec, człowiek pogrążony w obłądnie, nie ulega wątpliwości, jedynym azylu, jaki wówczas mogłem dla siebie znaleźć - drugim był pomysł, żeby sprowokować swoje aresztowanie, i nie wiem, czy nie tego właśnie w głębi ducha chciałem, ukrywając to pragnienie przed samym sobą, bo przecież chyba nie mogłem tego chcieć. Daruję panu opowiadanie, w ilu aresztach siedziałem, ile kar - potem mówiłem: upokorzeń (jak gdyby jeszcze można mnie było upokorzyć) - mi wymierzono; w końcu wylądowałem w szpitalu, gdzie już w krzyżowym ogniu fachowych spojrzeń ciągnąłem swoją, być może szaloną, ale trzymającą się twardej logiki grę. W końcu wszystko zależy od mocy naszego postanowienia - tak wynika z moich doświadczeń - człowiek z przerażającą łatwością może pogrążyć się w obłądnie, jeśli za wszelką cenę tego chce. Uświadomiłem sobie jednak, że nie mogę tego uznać za rozwiązanie. Nie dlatego, bym uważał, że to tani chwyt, raczej dlatego, że moje normalne życie jest mi nie bardziej obce niż obłąd. Potem nagle przerwano badania, przez jakiś czas zostawiono mnie w spokoju, a następnie pod pierwszym lepszym pretekstem

wywalono mnie ze szpitala i zwolniono ze służby - w wyniku zmian, jak teraz zewsząd słyszę. Stoję więc tutaj - a ściślej, siedzę - ze swoją historią, którą przekazuję panu, bo sam nie mam co z nią zrobić. W końcu nie stało się nic nie do naprawienia: nie zamordowano mnie ani ja nie zostałem mordercą, puściły jedynie wszystkie spoiwa i coś - chyba dokładnie sam nie wiem co - legło w gruzach. Usiłuję wpełznąć coraz głębiej pod te gruzy, żeby mnie zupełnie przykryły - cóż innego mogę zrobić? Nie potrafiłem ruszyć drogą łaski, którą pan wytyczył; było mnie stać tylko na to, o czym opowiedziałem, i w końcu na tym wyczerpały się moje siły. Wiem, jest jeszcze inna droga: ale i ta nie może mi się już udać naprawdę, bo, jak by to powiedzieć, przepuściłem okazję, przynajmniej chwilowo. W tej długiej, trudnej minucie - muszę to przyjąć do wiadomości - przeznaczenie urządziło sobie przerwę na podwieczorek. Żyję zatem ukryty w tłumie, bezpieczny i szczęśliwy, bo nieoznaczony, anonimowy. Piszę artykuły do gazet oraz komedię. Gdybym się bardzo postarał, bez wątpienia mógłbym do czegoś dojść. Tego, co się ze mną zdarzyło, nie mogę opowiedzieć nikomu, bo alboby mnie wyrozumiale rozgrzeszono, albo surowo potępiono, a ja nie potrzebuję ani jednego, ani drugiego, ponieważ i tak nie ruszyłyby to z miejsca tego, co nieruchome. Potrzebowałbym czegoś innego - i znowu przychodzi mi do głowy słowo, którego pan użył, tylko wcale nie w tym sensie, w jakim pan go używa: łaska. Ale wydaje mi się ono takie dalekie, obce, jak chyba żadne inne. Ponure szmery mojej bezradności, niczym odgłosy rewizji, dzikim rykiem czasami zagłusza we mnie strach. Nie jest to strach nad strachy, tchórzostwo, raczej coś innego; i czasem mam wrażenie,

384

385

że mogę polegać jedynie na swoim strachu, jak gdyby był we mnie tym, co najlepsze i co z biegiem czasu dokądsz mnie pewnie zaprowadzi, źle to formułuję: co pewnie wyprowadzi mnie skądś, nawet jeśli nigdzie mnie nie zaprowadzi...

Ale pana to już nie interesuje. Pan po prostu wzniósł się ponad to i z poczuciem upiornej swojskości zamknął się pan w świecie swoich konstrukcji, skąd nie przewiduje pan wyjścia dla niczego, co żywe, w imię jedynie możliwej łaski, która tak naprawdę jest jakąś formą potępienia, i przyznając, ma pan absolutnie rację, choć jednocześnie nie ma pan racji, bo to nie jest takie łatwe i proste, jeśli nawet, patrząc na to inaczej, faktycznie jest łatwe i proste..."

Kóves w tym miejscu nagle przerwał pisanie, poczuł być może, że zabrnął w jakieś mętne dywagacje, z których w dodatku nie potrafi się teraz wyplątać - prawdopodobnie trochę się zmęczył, poza tym nagle stracił cierpliwość - przez pewien czas siedział jeszcze nad zapisanymi kartkami papieru, jakby się zastanawiał nad tym, czy nie przelecieć ich wzrokiem jeszcze raz; ale potem szybko je zebrał i złożył we czworo, niezdecydowanie rozejrzał się wkoło, jakby szukał koperty - oczywiście na próżno - w końcu włożył je do kieszeni i pośpiesznie wyszedł z domu. Był już prawie u celu - Kóves postanowił, że ten list osobiście wsunie pod drzwi adresata - kiedy na jednej z wąskich, ruchliwych ulic coś go zatrzymało. Wyciągając szyję, wypatrzył w tłumie szczelinę; rzeczywiście, po drugiej stronie ulicy szła kobieta, ani stara, ani młoda - dwie głębokie, tragiczne bruzdy złościły jasną, miłą, dawno niewidzianą twarz. Obok niej - czy raczej za nią, nie nadążając - szedł rosły mężczyzna: łysa na czubku, jajowata głowa, mięsista twarz - jakżeby Kóves mógł go od razu nie poznać, a jednak

386

go nie poznawał, stał tylko w miejscu, nieruchomo. Czegoś bowiem w tej twarzy brakowało, na dodatek tego właśnie co kiedy indziej czyniło ją tak łatwo rozpoznawalną i nie pozwalało pomylić tej twarzy z żadną inną - co to było, czego brakowało, to Kóves dopiero po paru dłuższych chwilach, wargami zimnymi ze strachu wyszeptał sam do siebie rozumu.

W tym momencie mężczyzna nieoczekiwanie zatrzymał się przy jakiejś wystawie sklepowej - był to rodzaj piekarni, za szkłem w witrynie leżały ciastka, torty, ptifurki - kobieta zrobiła jeszcze jeden krok, dopiero kiedy poczuła, że nie jest w stanie oderwać mężczyzny od wystawy, stanęła i odwróciła się. Kúves widział, jak coś do niego mówi i kiwa głową - może go zachęcała, żeby szedł dalej, mężczyzna jednak się uparł, ukucnął i jak dziecko ciągnął kobietę z powrotem do wystawy, kobieta w końcu poddała się i, wprawdzie kręcąc głową, weszła z nim do sklepu.

Przez chwilę Kóves stał jeszcze zaskoczony na skraju chodnika, po czym odwrócił się i przybity, bezradny, szybkimi krokami skierował się ku miastu, jakby mając nadzieję? że w trakcie wędrówki po ulicach zgubi gdzieś ten widok jak uciążliwy i nieprzyjemny przedmiot, tymczasem jednak zaczął odnosić wrażenie, że wręcz przeciwnie, powinien go raczej zachować i wyjmować czasami, żeby kiedyś zrozumieć kryjącą się w nim przestrożę.

List został mu w kieszeni.

L

Kuves otrzymał polecenie, żeby zebrać informacje i napisać artykuł o tym, dlaczego spóźniają się pociągi, pociągi

387

oczywiście zawsze się spóźniały, za niezwykle, jak widać, uznano to dopiero teraz, kiedy wszyscy już do tego przywykli, Kóves, który, rzecz jasna, nie bardzo znał się na pociągach - nawet nie miał zwyczaju nimi podróżować, a więc fakt spóźniania się pociągów, co tu dużo gadać, traktował obojętnie - już drugi dzień biegał z wywieszonym językiem od urzędu do urzędu, zbierając potrzebne informacje, żeby potem, kiedy wkroczy z gotowym artykułem w aureoli nieomylnego eksperta, nie przyłapano go na braku orientacji. Dotarł nawet do wewnętrznych pomieszczeń jednego z dworców i z zainteresowaniem oglądał niesłychanie skomplikowane nastawnie i urządzenia sygnalizacyjne, nieco znużony, ale zachęcająco potakując głową, słuchał wysokich rangą urzędników kolejowych, którzy wyłuszczali mu problemy transportu towarowego, mówili o stanie środków transportu i tego rodzaju sprawach, tłumaczyli się z rozmaitych trudności, na koniec zaś znalazł się w biurze, skąd, jak mu powiedziano, kieruje się wszystkimi pociągami mknącymi gdzieś daleko po szynach albo wręcz przeciwnie - stojącymi; a ponieważ wyższy urzędnik, z którym Kóves miał porozmawiać, kierował właśnie - pośród skomplikowanych wykresów i rozmaitych urządzeń świetlnych i dźwiękowych - wieloma pociągami naraz, poproszono Kóvesa, żeby był łaskaw trochę poczekać, niebawem go zawołają.

Wyglądało jednak na to, że o nim zapomnieli, czy też może w trakcie kierowania pociągami natrafili na nieprzewidziane trudności, w każdym razie Kóves dostatecznie długo już spacerował wte i wewte pozbawionym okien, oświetlonym jedynie migającymi jarzeniówkami, wąskim i wyludnionym korytarzem - który z jednej strony kończył się ślepą ścianą, z drugiej zaś - ten odcinek wydawał się dłuższy -

388

zakręcał dokładnie pod kątem prostym, a więc Kóves przebywał prawdopodobnie w krótszym odcinku korytarza mającego kształt litery L - by zapomnieć albo przynajmniej już od dawna nie myśleć o tym, czego właściwie tu szuka, na kogo i na co czeka, a nawet czy w ogóle czeka, czy też jedynie przypadkowo tu jest, bo przecież mógłby być gdziekolwiek indziej. Poza tym Kóves był w dosyć osobliwym nastroju: czujny, a zarazem roztargniony, jednocześnie nieuważny i napięty, jak zresztą wszyscy tego dnia - przynajmniej takie Kóves odnosił wrażenie. Na zbieranie materiału wyruszył rano z Mórzu Południowych - najpierw bowiem zjadł porządne śniadanie - gdzie przywitał go gwar i nastrój podniecenia: przy stoliku Niekoronowanego - mimo wczesnej pory sam Niekoronowany siedział już na honorowym miejscu - rozwijano właśnie jakiś materiał, coś w rodzaju długiego kawałka płótna, którego oba końce można było zamocować na drzewcach i, rozciągnięty, podnieść w górę - co właśnie usiłowano zrobić - na płótnie widniały wyszyte kolorową, jaskrawą nicią następujące słowa: „Chcemy żyć!” - jeden z kelnerów był zmuszony podejść niezwłocznie do stolika i w imieniu kierownika lokalu - który osobiście nie miał czasu podejść, lecz jak zwykle wyrozumiały, przesyłał jedynie ukłony - poprosić, żeby „dla spokoju nas wszystkich panowie byli łaskawi powstrzymać się od zwracania na siebie uwagi”. Kiedy później Kóves udał się do urzędów, również na bardziej niż zwykle zatłoczonych ulicach wciąż dobiegały jego uszu owe dwa słowa, z którymi po raz pierwszy zetknął się w Morzach Południowych, ale oznaki podniecenia zdradzali również wyżsi urzędnicy, którzy w trakcie swoich wywodów - wbrew smutnym raczej refleksjom na tematy

389

zawodowe - uśmiechali się, czasem tracili wątek albo milkli na chwilę, nasłuchując odgłosów zza

okna, przez które dolatywał do pokoju zgiełk ulicy - wszystko to oczywiście i na Kóvesa wywarło wpływ, chociaż nie da się tego dokładnie ująć w słowa.

Ten doping, ten stan gotowości nie wiadomo do czego, który każdy drobiazg rozdymał do nadnaturalnych rozmiarów, sprawił zapewne, że Kóves nagle usłyszał na korytarzu kroki maszerujących ludzi. Szły ich dziesiątki tysięcy, setki tysięcy, a może miliony? - Kóves nie potrafiłby powiedzieć ile. W rzeczywistości, rzecz jasna, szedł jeden człowiek, i to też nie tutaj, tylko w dłuższym odcinku korytarza w kształcie litery L - którego Kóves ze swojego miejsca nie widział - był to zapewne jakiś urzędnik, który wyszedł ze swojego pokoju i szedł do innego, a jego kroki odbijały się echem w ciasnym korytarzu: Kóves bez wątplenia jasno zdawał sobie z tego sprawę - tylko że jego obecny nastrój po prostu nie pozwalał mu brać pod uwagę tego rodzaju gołych i nad wyraz przygnębiających faktów. Owładnęło nim jedno uczucie: chciał, żeby go wciągnął wir tych kroków, doznał zawrotu głowy, zataczał się, z radością pozwolił się zagarnąć przez ów pochód, pracy do przodu, szeroko rozlany. Tak, w tym tłumie - bo krok jednego urzędnika Kóves nie tylko słyszał już teraz jako krok wielu ludzi, ale nieomal widział ich wszystkich - na Kóvesa czeka ciepło, bezpieczeństwo, niepowstrzymany, ślepy nurt bezustannych kroków i niejasne szczęście wiecznego zapomnienia: nawet przez chwilę nie ulegało to dla niego wątpliwości. Ale w tym samym momencie zobaczył na korytarzu także coś innego - jakąś niewyraźną zjawę, podobną do topielca, który prześladował go we śnie. Oczywiście tego topielca Kóves również widział

390

tak, jak widział tłum: czyli nie widział go, ale miał wrażenie, że widzi lepiej, niżby go widział naprawdę - oto miotła się tam jego samotność, jego opuszczone przez wszystkich, bezpańskie życie. I Kóves w tym momencie, można by rzec, z przeszywającą jasnością, poczuł, że jego czas tutaj upłynął i zarazem się spełnił: skoczyć czy nie skoczyć, musi wybierać - co więcej, miał uczucie mrocznej ulgi, że już właściwie nie musi nawet wybierać. Skoczy po prostu, bo nic innego zrobić nie może, skoczy, chociaż wie, że będzie to skok fatalny, że topielec pociągnie go za sobą, i nie wiadomo, jak długo będzie musiał z nim walczyć na głębinie ani czy kiedykolwiek obaj wypłyną na powierzchnię, na światło.

Jak długo stał tam na korytarzu, jak długo trwał ten jego osobliwy i jak się wydaje, wcale nie chwilowy nastrój, który ogarnął go niespodziewanie, niczym nagły wstrząs przychodzący z zewnątrz, z tego właściwie nie zdawał sobie sprawy. Fakt faktem; jeszcze nie umilkły kroki, które wprowadziły Kóvesa w ów stan podniecenia podobny do wysokiej gorączki, kiedy otworzyły się drzwi i zawołano go; Kóves wszedł i zachowywał się tak, jakby był Kóvesem-dzienni-karzem, autorem artykułu, którego nie interesuje nic innego niż to, dlaczego pociągi się spóźniają; obejrzał wykresy, wysłuchał wyjaśnień, kto wie, może nawet zadawał pytania; kiwał głową, uśmiechał się, uściśnął rękę, pożegnał się, i to wszystko ani trochę mu nie przeszkadzało, a nawet go nie dotyczyło, jak gdyby działo się nie z nim, czy też ściślej, jak gdyby działo się wyłącznie z nim, bo przecież - uświadomił sobie nagle, kiedy zbiegał po schodach i wychodził na ulicę - właśnie w tym względzie stało się z nim coś nieodwracalnego, przełomowego: wszystko, co się działo i co się dzieje,

391

działo się i dzieje się z nim i nic już nie może się z nim dziać bez ostrej świadomości tego faktu. Jakkolwiek jeszcze żyje, to właściwie przeżył już swoje życie, i to życie Kóves nagle zobaczył jako odległą, zamkniętą i skończoną historię, aż się zdziwił, że jest mu taka obca. A jeśli ten widok wzbudził w nim jakąś nadzieję, to dotyczyła ona jedynie samej historii, Kóves bowiem mógł liczyć już tylko na to, że skoro on sam jest nie do uratowania, to można jeszcze uratować jego historię. Jakże mógł pomyśleć, że się ukryje, że uwolni się od ciężaru swojego życia jak pies od łańcucha? Nie, nie: musi odtąd żyć ze wzrokiem utkwionym w owym istnieniu i długo, uporczywie, ze zdziwieniem i niedowierzaniem patrzeć, wciąż tylko patrzeć, aż kiedyś nagle dostrzeże w nim coś, co nie należy już do tego życia; coś, co ogranicza się do istoty, jest konkretne, bezdyskusyjne i skończone, jak katastrofa, coś, co z wolna oddziela się od życia, niczym kryształ lodu, który każdy może podnieść, żeby obejrzeć jego skończony kształt i podać następnym do podziwiania jako cud natury.

Tak przemierzał Kóves ulice, to zatrzymując się, to idąc dalej, bez celu, gdy tymczasem



przypuszczalnie wyznaczył sobie jakieś cele; oczywiście zauważył, że czasem natyka się na przeszkody, musi wymijać ludzi, grupy ludzi, na ulicach było tłoczno, panował zgiełk, Kóves widział też pochód - tym razem prawdziwy - a na transparentach wzniesionych nad tłumem te same dwa słowa: „Chcemy żyć!” - i przelotnie na ich widok Kóves się rozpogodził, roztargniony aprobował je, jak aprobował na przykład to, że świeci słońce, chociaż jego praca w czterech ścianach nie pozwalała mu poświęcać temu zjawisku zbyt dużo uwagi. Prawdopodobnie zrobiło się późno, chociaż nie ściemniło się

392

jeszcze, kiedy skręcił w swoją ulicę, i miał wrażenie, że wśród okrzyków padających z tłumy usłyszał swoje nazwisko, ale ocknął się dopiero wówczas, gdy ktoś chwycił go za ramię: był to Sziklai - jak się okazało, był właśnie u niego, u Kóvesa, zostawił wiadomość u „gospodyni”, potem czekał jeszcze czas jakiś, biegnąc wte i wewte po ulicy, już postanowił, że nie będzie dłużej czekał, kiedy nagle kogo widzi, Kóvesa.

- Stary - wykrzyknął, i wydawał się bardzo podniecony, jego twarz w kolorze oliwki, twarda, z wyłobionymi, ostrymi rysami, przypominała rzeźbę w drewnie - zbieraj się, w nocy przyjedziemy po ciebie ciężarówką!

- Jaką ciężarówką? - spytał oszołomiony Kóves, jak ktoś, kto nie jest całkiem pewny, czy to do niego mówią i jego trzymają za ramię, i czy ten, do kogo mówią i kogo trzymają za ramię, to faktycznie on sam. W końcu udręczony, tracąc humor i śmiejąc się nerwowo na widok zdziwienia Kóvesa, Sziklai był zmuszony mu wytłumaczyć, co się stało: całe miasto stoi na głowie, straż pożarna została rozwiązana, żołnierze zwolnieni do domu, Morza Południowe zamknięte, przypuszczalnie nikt już nie pilnuje granic, kilku - takich jak on i Sziklai - którzy od wielu, wielu lat, świadomie lub podświadomie, tylko czekali na okazję, żeby się z tego miasta zabijającego wszelką nadzieję, z tego życia zadającego kłam każdej nadziei wyrwać, teraz „skrzyknęli się”, skombi-nowali jakąś ciężarówkę, pod osłoną nocy wyjeżdżają i jego, Kóvesa, też zabierają ze sobą.

- Dokąd? - nie rozumiał Kóves, Sziklai zatrzymał się zirytowany, tymczasem bowiem ruszył prawie biegiem, a Kóves, nie bardzo wiedząc, dokąd idą, odruchowo dotrzymywał mu kroku.

393

- A czy to nie wszystko jedno? - rozłościł się teraz na dobre. - Gdziekolwiek!... - ruszył znowu. - Za granicę

- dodał, a w uszach Kóvesa to słowo zabrzmiało nagle jak uroczysty dźwięk dzwonów.

Przez chwilę szedł u boku Sziklaiego bez słowa, ze spuszczoną głową.

- Ja nie mogę jechać, niestety - powiedział.

- Dlaczego? - Sziklai znowu stanął, na jego twarzy malowało się zaskoczenie. - Nie chcesz być wolny? - spytał.

- Ależ chcę - powiedział Kúves. - Kłopot tylko w tym

- uśmiechnął się, jak gdyby się usprawiedliwiał - że muszę napisać powieść.

- Powieść?! - zdumiał się Sziklai. - Właśnie teraz?... Napiszesz gdzie indziej - powiedział, a Kóves nadal niezręcznie się uśmiechał.

- Tak, ale znam już tylko ten jeden jedyny język - powiedział zmartwiony.

- To nauczysz się potem innego - machnął ręką Sziklai, w zniecierpliwieniu przestępując wprost z nogi na nogę

- wyglądało na to, że wzywają go pilne sprawy.

- Zanim się nauczę - powiedział Kóves - zapomnę swoją powieść.

- No to napiszesz jakąś inną - głos Sziklaiego był już tym razem rozdrażniony, i Kúves, bardziej dla porządku aniżeli mając nadzieję na zrozumienie, podsumował tylko:

- Ja mogę napisać tylko tę jedną powieść, dla mnie jedyną możliwą - na co Sziklai już nie znalazł kontrargumentów, ale może wcale ich nie szukał. Przez chwilę stali na ulicy naprzeciw siebie w milczeniu - wokół nich rozbrzmiewały okrzyki „Chcemy żyć!” - po czym - nie wiadomo, czy to Sziklai, czy Kóves wykonał pierwszy ruch?

- szybko się objęli. Następnie Sziklai zniknął w tłumie, Kóves natomiast odwrócił się i wolno ruszył z powrotem, jak ktoś, komu się nie spieszy, bo przeczuwa cały ból i wstyd przyszłości.

Kończymy

- jakkolwiek nie ma końca, bo przecież - wiemy już - nic się nigdy nie kończy: trzeba ciągnąć, dalej i dalej, poufale i wylewnie, aż do mdłości, jak rozmawia ze sobą dwóch morderców. Chociaż to, co mamy do powiedzenia, jest tak samo suche i rzeczowe, jak bezduszne stało się tamto morderstwo; jeszcze jeden statystyczny fakt, tak samo zbędny jak to, że, powiedzmy, mijały lata i Kóves napisał swoją powieść. Dał ją do przepisania na maszynie i złożył - niczym podanie - w sekretariacie wydawnictwa. Pewnego pięknego dnia listonosz doręczył mu gruby pakiet, Kóves dotykając już rozpoznał swoją powieść. Rozerwał kopertę, znalazł załączony do maszynopisu list: w kilku niemiłych słowach informowano go, że jego powieść nie nadaje się do druku.

W tej właśnie chwili, kiedy spada po urwistym zboczu w ciemną przepaść, kiedy jego życie na moment ustało, Kóves znowu skupia na sobie naszą uwagę, ale już nie na długo. Jeszcze tam stoi w przedpokojach, z powieścią w ręku, ma minę człowieka, który poniósł stratę, ale uśmiecha się wszystkowiedzącym uśmiechem: ten grymas na twarzy rezerwuje przeważnie dla przeznaczenia. Prawdopodobnie wyobraża sobie, że dotknął go ciężki, nieodwracalny cios. Przez krótki czas - zanim zdecyduje się wkroczyć na drogę

397

wiodącą w dół - niejako dla odpoczynku, szuka jeszcze schronienia w swojej porażce, niczym w gnieździe, jak chory orzeł, który ma złamane skrzydło, ale wciąż jeszcze dostatecznie bystry wzrok, żeby wypatrywać łupu na ogołoconym polu prawd i samousprawiedliwień. W końcu jednak, jak to się mówi, wybija godzina i trzeba ruszać. Jeśli będzie uważnie obserwował, to po drodze dostrzeże jeszcze parę pożytecznych roślin, które - gdyby nawet, dajmy na to, nie mogły konkurować z szarotką alpejską - spokojnie będzie mógł sobie zerwać. Przede wszystkim spróbuje ustalić, czy wydawca ma rację: czy napisał dobrą książkę, czy złą. Bardzo szybko zda sobie sprawę, że z jego własnego punktu widzenia - i chociaż ów punkt widzenia może być niedoskonały, jest wszakże jedynym, z którego on patrzy na świat - nie ma wcale znaczenia, jeśli on sam sądzi, że jego książka jest właśnie taka, jaka jest, jaka mogła być. Ponieważ - przyzna później i będzie z pewnością zaskoczony - ważniejsze niż sama powieść jest dla niego to, co dzięki jej napisaniu przeżył. Był to bowiem wybór i walka: ten rodzaj walki, który jemu właśnie został dany. Wolność skonfrontowana z nim samym i jego losem, siła, która pozwala zapanować nad okolicznościami, podstępny zamach na to, co konieczne - bo przecież czymże innym jest dzieło, każde ludzkie dzieło, jeśli nie tym właśnie?...

A reszta? Czeką go happy end: zanim sięgnie dna przepaści, dowie się, że jednak wydrukowano jego książkę. Wtedy przeniknie go bolesna tęsknota, z gorzką nostalgią będzie bezustannie smakował słodkie wspomnienie swojej porażki, czas, kiedy naprawdę żył, kiedy trawiła go namiętność i ożywiała skrywana nadzieja, których później pewien stary człowiek - który stoi przed sekretarzykiem i myśli - już nie

398

odczuwa. Jego niepowtarzalna przygoda, jego heroiczna epoka raz na zawsze dobiegły kresu. On sam stał się przedmiotem, jego uparta tajemnica banałem, jego niewysłowio-na prawda wyparowała i zostały znaki. Ta jedna jedyna powieść, dla niego jedyna możliwa - stanie się książką pomiędzy książkami, podzieli los reszty książek, czekając, aż przypadkiem padnie na nią wzrok rzadkiego nabywcy. Jego życie będzie życiem pisarza, który pisze, pisze swoje książki, dopóki zupełnie się nie wypali i nie stanie się tylko szkieletem, uwalniając się od balastu, od frazesów i błyskotek: od życia. Syzyfa - głosi mit - powinniśmy sobie wyobrażać jako szczęśliwca. Bez wątpliwości. Jednak i jemu grozi, że będą się nad nim litować. Syzyf - i służba pracy - są wprawdzie wieczne, ale sama skała nie jest wieczna. Wciąż toczona po wyboistej drodze, w końcu niszczy się, i Syzyf nagle łapie się na tym, że, pogwizdując z roztargnieniem, od dawna już kopie przed sobą w pyle drogi mały szary kamień.

Co ma z nim teraz począć? Zapewne schyli się po niego, schowa do kieszeni i weźmie do domu - bo to przecież jego kamień. W wolnych chwilach - a teraz czekają go już same wolne chwile - na

pewno od czasu do czasu jeszcze go wyjmie. Zacząć go wtaczać pod górę, na sam szczyt, to, rzecz jasna, byłoby śmieszne: ale starczymi oczami, które zachodzą mu bielmem, ogląda go czasem, jakby wciąż jeszcze oceniał jego ciężar i zastanawiał się, jak go dźwignąć. Kładzie na nim drżące palce bez czucia i na pewno będzie go ścisnął w dłoni również w owej ostatniej chwili, w ostatnim podejściu - kiedy bez życia osunie się z krzesła stojącego naprzeciwko sekretarzyka.